

JEFFREY ARCHER

ŚCIEŻKI CHWAŁY

Przełożyła Danuta Sekalska



*Książkę tę poświęcam pamięci Chrisa Brashera, który zachęcił
mnie do jej napisania*

Podziękowania

Szczególnie pragnę podziękować alpinistce i historyczce Audrey
Salkeld za jej bezcenną pomoc, rady i wiedzę.

Moje podziękowania kieruję również do następujących osób:
Simon Bainbridge, John Bryant, Rosie de Courcy, Anthony Geffen,
Bear Grylls, George Mallory II, Alison Prince i Mari Roberts.

Inspiracją do napisania tej książki była autentyczna historia

Elegia pisana na cmentarzu wiejskim

(z angielskiego przez Graya)*

* Przeł. Julian Ursyn Niemcewicz, Dzieła, tom I, Kraków 1883
(wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Piękność, potęga, dawność pradziadów daleka,

Ten co bogaty, ten co żyje bez sposobu,

Nieuchronnej godziny wszystko równie czeka;

I nawet ścieżka chwały prowadzi do grobu.

Thomas Gray (1716-1771)

PROLOG

1999

Sobota, 1 maja 1999

- Ostatnim razem, gdy wspinałem się w okutych butach, odpadłem - odezwał się Conrad.

Jochen miał ochotę zawołać hurra!, ale wiedział, że jeżeli tak zareaguje na zaszyfrowaną wiadomość, wzbudzi czujność ekipy rywali, którzy odbierają na tej samej częstotliwości - albo, co gorsza, podsunie jakiemuś podsłuchującemu dziennikarzowi myśl, że znaleźli ciało. Nie wyłączył radiotelefonu, licząc, że się dowie, na którą z dwu ofiar natknęła się grupa poszukiwawcza, ale nie padło już żadne słowo. Tylko trzask w słuchawce dowodził, że ktoś tam jest, lecz nie chce nic mówić.

Jochen postąpił ściśle wedle instrukcji i po minucie milczenia się wyłączył. Żałował, że nie wybrano go do grupy wspinaczy, która miała poszukiwać obydwu ciał, ale wyciągnął zły los. Ktoś musiał zostać w obozie-bazie i czuwać przy radiotelefonie. Wyjrzał z namiotu na padający śnieg, próbował sobie wyobrazić, co się dzieje tam, w górze.

Conrad Anker patrzył na zamrożone ciało; odbarwiona skóra była biała jak marmur. Ubranie - czy raczej strzępyubrania - wyglądało, jakby niegdyś należało do włóczędzy, nie do człowieka, który kształcił się w Oksfordzie czy w Cambridge. Gruba konopna lina wciąż opasywała nieżywego mężczyznę; jej wystrzępione końce wskazywały, gdzie się przerwała podczas upadku. Ramiona mężczyzny były wyrzucone w górę, lewa noga skrzyżowana nad

prawą. Obydwie kości prawej nogi, piszczelowa i strzałkowa, były złamane, tak że stopa wyglądała jak oddzielona od ciała.

Żaden z członków grupy nie przemówił; z trudem wciągali w płuca rozrzedzone powietrze. Na wysokości 8230 metrów nie szafuje się słowami. Wreszcie Anker ukląkł na śniegu i wznosił modły do Czomolungmy, Bogini Matki Ziemi. Nie spieszył się; w końcu historycy, alpiniści, dziennikarze i zwykli ciekawscy czekali na tę chwilę ponad siedemdziesiąt pięć lat. Zdjął jedną z grubych rękawic na misiu, położył ją koło siebie na śniegu, a potem się pochylił, każdy ruch wykonując powoli i z przesadą, i wskazującym palcem prawej ręki delikatnie odchylił sztywny kołnierz kurtki martwego człowieka. Czuł bicie własnego serca, gdy odczytywał zgrabne czerwone litery na tasie, wszytej od spodu w kołnierz koszuli.

- O Boże! - usłyszał głos za swoimi plecami. - To nie Irvine. To Mallory.

Anker nie zareagował. Musiał się jeszcze dowiedzieć jednej rzeczy - po to przemierzali ponad pięć tysięcy mil.

Wsunął gołą rękę do wewnętrznej kieszeni kurtki zmarłego i zgrabnie wydobyl uszyty ręcznie z wielką starannością przez żonę Malloryego woreczek. Rozwinął go delikatnie, w obawie, że materiał rozpadnie się w rękę. Jeżeli znajdzie to, czego szuka, tajemnica się w końcu wyjaśni.

Pudełko zapalek, nożyczki do paznokci, nienaostrzony ołówek, zapisek na kopercie o tym, ile zostało do użytku butli z tlenem przed szturmem na szczyt, rachunek (niezapłacony) z domu towarowego

Gamages za gogle, rolex bez wskazówek i list żony Mallory'ego z datą czternastego kwietnia tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku. Ale tej jednej rzeczy, którą Anker spodziewał się znaleźć, nie było.

Spojrzał w górę na niecierpliwących się towarzyszy. Nabrał tchu i wolno powiedział: - Nie ma fotografii Ruth. Jeden z nich wydał triumfalny okrzyk.

KSIĘGA PIERWSZA

NIEZWYKŁE DZIECKO

1892

Rozdział 1

StBees, Cumbria, wtorek, 19 lipca 1892

Gdyby ktoś spytał George'a, dlaczego powędrował ku skale, nie potrafiłby odpowiedzieć. Wprawdzie nie umiał pływać, ale nie przejmował się tym, że musi brodzić w morzu, aby dotrzeć do celu.

Tylko jeden człowiek na plaży tego ranka zainteresował się poczynaniami sześciolatka. Wielebny Leigh Mallory złożył „Timesa” i umieścił go na piasku u swych stóp. Nie alarmował żony, która z zamkniętymi oczami rozkoszowała się skąpymi promieniami słońca

obok na leżaku, nieświadoma niebezpieczeństwa, jakie grozi najstarszemu synkowi. Wiedział, że Annie wpadnie w panikę, jak wtedy, gdy chłopiec wdrapał się na dach klubu wiejskiego podczas spotkania Związku Matek.

Wielebny obrzucił spojrzeniem pozostałą trójkę dzieci, które zadowolone bawiły się na brzegu, nie przejmując się losem brata. Avie i Mary ochoczo zbierały muszelki wyrzucone na brzeg przez poranny przyptyw, a ich młodszy braciszek Trafford z przejęciem sypał piasek do wiaderka. Mallory przeniósł wzrok na syna i dziedzica, który wciąż zdecydowanie podążał ku skale. Jeszcze się nie martwił, w końcu chłopiec zda sobie sprawę, że musi zawrócić. Wstał jednak z leżaka, kiedy fale sięgały spodenek chłopczyka.

Choć George tracił grunt pod nogami, gdy tylko dotarł do poszarpanego wypiętrzenia skalnego, zwinnie podciągnął się w górę i skacząc ze skały na skałę, prędko osiągnął szczyt. Tam się usadowił i zapatrzył w dal. Wprawdzie jego ulubionym przedmiotem była historia, ale widać nikt mu nie mówił o królu Kanucie.

Ojciec obserwował teraz z obawą fale płasające niefrasobliwie wokół skał. Cierpliwie czekał, kiedy chłopczyk uświadomi sobie niebezpieczeństwo i na pewno się odwróci i poprosi o pomoc. Nie zrobił tego. Gdy pierwszy bryzg piany dotknął czubków stóp syna, wielebny Mallory wolno podążył na brzeg. „Doskonale, mój chłopcze”, mruknął, przechodząc obok najmłodszego potomka, który teraz z przejęciem budował zamek z piasku. Ale nie spuszczał oka z najstarszego, który nadal nie oglądał się do tyłu, chociaż fale lizały mu

kostki stóp. Mallory zanurzył się w morzu i skierował ku skale, lecz płynąc metodyczną, ale nerwową żabką, uświadomił sobie, że to o wiele dalej, niż myślał.

W końcu dotarł do celu i podciągnął się na skałę. Gdy wdrapywał się niezdarnie na wierzchołek, pokaleczył sobie nogi; nie był tak zwinny, jak syn. Kiedy znalazł się przy chłopcu, starał się nie okazać, że brak mu tchu i że coś mu dokucza.

Wtem usłyszał krzyk. Odwrócił się i spojrzał na żonę, która stała na brzegu i rozpaczliwie wołała:

- George! George!

- Chyba powinniśmy się zbierać z powrotem, mój chłopcze - rzekł wielebny Mallory, siląc się na beztroski ton. - Nie chcemy martwić mamy, prawda?

- Jeszcze tylko chwilę, tatusiu - poprosił George, wciąż zapatrzony w morze.

Ojciec jednak uznał, że nie można dłużej zwlekać, i delikatnie ściągnął syna ze skały.

Dotarcie na plażę zajęło im dużo więcej czasu, gdyż wielebny Mallory trzymał syna w ramionach i musiał płynąć na plecach, pracując tylko nogami. Wtedy George po raz pierwszy zrozumiał, że podróż powrotna może trwać o wiele dłużej.

Kiedy ojciec w końcu padł na piasek, matka ruszyła do nich biegiem. Nie zwracając niemal uwagi na wyczerpanego męża, osunęła się na kolana i przytuliła dziecko z okrzykiem:

- Dzięki Bogu, dzięki Bogu!

Siostrzyczki George'a stały o kilka kroków od nacierających fal, cichutko pochlipując, a młodszy brat, o wiele za mały, żeby myśleć o śmierci, dalej wznosił swoją fortecę.

Wielebny Mallory w końcu usiadł i spojrzał na najstarszego syna, który znów wpatrywał się w morze, choć skały nie było już widać. Pierwszy raz dotarło do niego, że chłopiec nie wie, co to strach, co to niebezpieczeństwo.

1896

Rozdział 2

Doktorzy, filozofowie, nawet historycy rozprawiają o znaczeniu cech dziedzicznych, usiłując zrozumieć sukcesy lub porażki kolejnych pokoleń. Gdyby jakiś historyk przestudiował życiorysy rodziców George'a Mallory'ego, miałby kłopot z wytłumaczeniem wyjątkowego talentu ich syna, nie mówiąc o jego urodzie i prezencji.

Ojciec i matka George'a uważali siebie za członków wyższej klasy średniej, choć nie mieli środków na poparcie tych pretensji. Parafianie wielebnego Mallory'ego w Mobberley w Cheshire uważali go za wyznawcę Kościoła Wysokiego, osobnika zadzierającego nosa i ograniczonego, a jego żonę zgodnie uznawali za snobkę. Przypuszczali, że George musiał odziedziczyć swoje talenty po kimś z dalszej rodziny. Ojciec chłopca miał świadomość, że starszy syn jest niezwykle dzieckiem, i był gotów do poświęceń, żeby zapewnić

chłopcu naukę w Glengorse, modnej szkole prywatnej na południu Anglii.

George często słyszał, jak ojciec mówi:

- Po prostu będziemy musieli zacisnąć pasa, zwłaszcza jeśli Trafford podąży twoim śladem.

Po namyśle George spytał matkę, czy w Anglii są takie prywatne szkoły podstawowe, gdzie mogłyby się uczyć jego siostry.

- Na Boga, nie! - rzuciła z pogardą. - To by była tylko strata pieniędzy. A zresztą, co za sens?

- A taki, że Avie i Mary miałyby takie same możliwości jak Trafford i ja.

- Po co narażać dziewczynki na takie męki, skoro to i tak nie pomogłoby im złapać odpowiedniego męża?

- A czy mąż nie odniósłby pożytku, poślubiając wykształconą kobietę?

- To ostatnia rzecz, jakiej pragnie mężczyzna - stwierdziła matka. - Wkrótce się przekonasz, że mężowie przeważnie wymagają, żeby żona urodziła im potomka, była gospodarna i dobrze zarządzała służbą.

George nie czuł się przekonany. Postanowił poczekać na odpowiednią okazję i poruszyć ten temat z ojcem.

Letnich wakacji tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego szóstego roku rodzina Mallorych nie spędzała na morskich kąpielach w St Bees, lecz na pieszych wędrówkach w Malvern Hills. Prędko się

okazało, że nikt nie potrafi dotrzymać kroku George'owi, ojciec jednak próbował mężnie towarzyszyć synowi na wyższych stokach, natomiast pozostali członkowie rodziny spacerowali w dolinach poniżej.

Gdy ojciec, dysząc, podążał o kilka kroków z tyłu, George powrócił do nurtującego go pytania o wykształcenie sióstr.

- Dlaczego dziewczyny nie mają takich samych szans jak chłopcy?

- Taki jest naturalny porządek rzeczy, mój chłopcze - wysapał ojciec.

- A kto go ustanawia?

- Bóg - odparł wielebny Mallory, znalazłszy się na bezpiecznym gruncie. - To On nakazał mężczyźniem się mozolić, aby zapewnić utrzymanie i schronienie rodzinie, a żonie siedzieć w domu i doglądać dzieci.

- Ale Bóg musiał zauważyć, że kobiety bywają rozumniejsze od mężczyzn. On na pewno wie, że Avie jest o wiele bystrzejsza niż Trafford i ja.

Wielebny Mallory pozostał w tyle, gdyż potrzebował trochę czasu, żeby rozważyć argumenty syna i zastanowić się, jak odpowiedzieć.

- Mężczyźni z natury górują nad kobietami - stwierdził w końcu bez specjalnego przekonania, po czym niepewnie dodał: - A z naturą igrać nie należy.

- Jeśli to prawda, tatusiu, to czemu królowa Wiktorja potrafiła tak pomyślnie rządzić ponad sześćdziesiąt lat?

- Po prostu nie było żadnego męskiego pretendenta do tronu - odparł ojciec, czując, że stąpa po grząskim gruncie.

- Anglia miała szczęście, że nie było też żadnego mężczyzny, kiedy królowa Elżbieta wstępowała na tron - zauważył George. - Może czas dać dziewczynkom takie same możliwości, jakie mają chłopcy, żeby mogły dojść do czegoś w świecie.

- To niemożliwe! - prychnął ojciec. - To by obaliło naturalny porządek społeczny. Gdyby tak było, jak ty chcesz, to jakby twoja matka znalazła kucharkę albo pomywaczkę?

- Najęłaby jakiegoś mężczyznę - rzucił prostodusznie George.

- Wielkie nieba! George, toż ty mówisz jak wolnomyśliciel. Czy słuchałeś tyrad tego jegomościa, Bernarda Shawa?

- Nie, tatusiu, ale czytam jego broszury.

Rodzicom nierzadko zdarza się podejrzewać, że potomstwo przewyższa ich inteligencją, ale wielebny Mallory nie dopuszczał tej myśli, bo George dopiero skończył dziesięć lat. Chłopak już się szykował do następnego pytania, lecz się okazało, że ojciec coraz bardziej zostaje w tyle. Ale przecież gdy przychodziło do wspinania, to nawet wielebny Mallory już dawno temu uznał, że nie dorasta synowi do pięt.

Rozdział 3

George nie płakał, kiedy rodzice wyprawili go do szkoły. Nie dlatego, że nie zbierało mu się na płacz, ale dlatego, że inny chłopak, w takim samym czerwonym blezerze i krótkich szarych spodenkach, ryczał w głoś z drugiej strony przedziału.

Guy Bullock wywodził się z innego świata. Nie umiał dokładnie powiedzieć George'owi, jak jego ojciec zarabia na utrzymanie, ale w tym, co mówił, przewijało się słowo „przemysł” - coś, co, jak George był pewien, nie spotkałoby się z aprobatą jego matki. Jeszcze jedno stało się jasne, kiedy Guy opowiedział o wakacjach rodziny w Pirenejach: to dziecko nigdy się nie spotkało z wyrażeniem „Musimy zaciskać pasa”. Mimo to, kiedy po południu zajęchali na stację Eastbourne, byli już najlepszymi przyjaciółmi.

Obaj chłopcy spali na sąsiednich łóżkach w sypialni dla młodszych uczniów, siedzieli obok siebie w klasie, a kiedy przeszli na ostatni rok w Glengorse, nikt się nie dziwił, że dzielą jeden pokój do nauki. Chociaż George był lepszy od przyjaciela niemal we wszystkim, do czego się zabierali, Guy nigdy nie miał o to żalu. Wydawało się raczej, że cieszą go sukcesy George'a, nawet wtedy, gdy ten został kapitanem drużyny piłki nożnej i potem, kiedy zdobył stypendium na naukę w Kolegium Winchester. Guy powiedział ojcu, że nie dostałby się do Winchester, gdyby nie uczył się w jednym pokoju z George'em, który go nieustannie dopingował.

Kiedy Guy sprawdzał wyniki egzaminu wstępnego na tablicy ogłoszeń, George'a zaciekał przyczepiony niżej komunikat. Pan Deacon, belfer od chemii, zapraszał absolwentów na wakacyjną

wspinaczkę w Szkocji. Guya niespecjalnie to interesowało, ale gdy George wpisał swoje nazwisko na listę, zrobił to samo.

George nigdy nie był pupilkiem pana Deacona, może dlatego, że chemia nie była przedmiotem, w którym by brylował, ale ponieważ jego pasja wspinaczkowa górowała nad jego obojętnością wobec palnika Bunsena czy papierka lakmusowego, uznał, że musi żyć w zgodzie z chemikiem. W końcu, jak się zwierzył Guyowi, jeżeli ten wredny typ zadaje sobie trud organizowania rok w rok wakacji wspinaczkowych, to nie może być całkiem beznadziejny.

Gdy tylko znaleźli się wśród jałowych gór Szkocji, George obudził się w innym świecie. W dzień wędrował po porośniętych paprocią i wrzosem wzgórzach, a nocą, zanim z ociąganiem ułożył się do snu, czytał przy świetle świecy Dziwną historię dra Jekylla i Mra Hyde a.

Ilekcóć pan Deacon zbliżał się do nowego wzgórza, George zostawał z tyłu i zastanawiał się nad szlakiem wybranym przez nauczyciela. Raz czy dwa odważył się zasugerować inną drogę, ale pan Deacon zignorował jego propozycję, dodając, że prowadzi grupy wspinaczkowe do Szkocji od osiemnastu lat i lepiej by było, żeby Mallory docenił korzyści doświadczenia. George posłuchał i nadal podążał za nauczycielem wydeptanymi ścieżkami.

Wieczorem przy kolacji, podczas której George pierwszy raz poznał smak napoju imbirowego i skosztował łososia, pan Deacon długo się rozwodził nad planami na następny dzień.

- Jutro - oznajmił - czeka nas najtrudniejsza próba, ale jestem pewien, że po dziesięciu dniach wspinaczki po górach Szkocji jesteście gotowi podjąć wyzwanie.

Kilkanaście młodych twarzy zwróciło się ku Deaconowi oczekująco.

- Spróbujemy wejść na najwyższą górę Szkocji - powiedział nauczyciel.

- Ben Nevis - rzekł George. - Tysiąc trzysta czterdzieści cztery metry - dodał, choć nigdy nie widział tej góry.

- Zgadza się - potaknął pan Deacon, wyraźnie zirytowany, że mu przerwano. - Kiedy dotrzemy na samą górę... wspinacze mówią: wierzchołek albo szczyt... zjemy lunch i będziecie mogli podziwiać jeden z najpiękniejszych widoków na Wyspach Brytyjskich. Ponieważ musimy być z powrotem w obozie przed zachodem słońca, a zejście jest zawsze najtrudniejszą częścią każdej wspinaczki, niech wszyscy się stawiają o siódmej na śniadanie, tak żebyśmy mogli wyruszyć punktualnie o ósmej.

Guy obiecał obudzić George'a o szóstej rano, gdyż przyjacielowi często się zdarzało zaspać i spóźnić na śniadanie, co nie powstrzymywało pana Deacona od realizacji programu, który przypominał operację militarną. Jednak George był tak podniecony perspektywą wspinaczki na najwyższą górę w Szkocji, że to on obudził Guya. Jako jeden z pierwszych stawiał się na śniadanie i niecierpliwie czekał przed namiotem na długo przed wyznaczoną godziną.

Pan Deacon spojrział na zegarek. Za minutę ósma ruszył różnym krokiem, podążając ścieżką, która miała ich zaprowadzić do stóp góry.

- Komenda, gwizdać! - zawołał, kiedy grupa przeszła półtora kilometra. Wszyscy chłopcy z wyjątkiem jednego wyjęli gwizdki i dmuchnęli w nie z całych sił, co miało sygnalizować, że znaleźli się w niebezpieczeństwie i potrzebują pomocy. Pan Deacon nie zdołał powściągnąć uśmiechu, gdy zauważył, który z podopiecznych nie wykonał jego polecenia.

- Mallory, czyżbyś zostawił gwizdek w namiocie?

- Tak, proszę pana - odparł George, zły, że pan Deacon go przyłapał.

- Wobec tego natychmiast wracaj do obozu, poszukaj go i postaraj się nas dogonić, zanim zaczniemy podchodzić w górę.

George nie tracił czasu na protesty. Zawrócił i gdy znalazł się w obozie, wczołgał się do namiotu. Gwizdek leżał na śpiworze. George zaklął, schwycił gwizdek i popędził z powrotem, z nadzieją, że dogoni kolegów, nim rozpoczną wspinaczkę. Jednak gdy dotarł do podnóża góry, niewielki sznur wspinaczy już się piał wzwyż. Guy Bullock, który odgrywał rolę „ogona”, bez przerwy spoglądał do tyłu, wyglądając przyjaciela. Ucieszył się, gdy spostrzegł biegnącego George'a, i zaczął do niego zapamiętale machać. George pomachał mu, a tymczasem grupa powoli posuwała się do góry.

- Trzymajcie się szlaku - usłyszał jeszcze George słowa nauczyciela, a potem wszyscy zniknęli za pierwszym zakrętem.

Wtedy chłopiec się zatrzymał. Zadarł głowę i spojrzał na górę, spowitą mgiełką prześwietloną promieniami porannego słońca. Jasno oświetlone skały i tonące w cieniu parowy obiecywały setki różnych dróg na szczyt, zlekceważonych przez pana Deacona i jego wierną drużynę, twardo trzymającą się szlaku zalecanego przez przewodnik.

Wzrok George'a spoczął na cienkiej zygzakowatej linii biegnącej w górę, wyschniętym łożysku strumienia, który musiał spływać leniwie w dół przez dziewięć miesięcy w roku - ale nie dziś. Chłopiec zboczył ze ścieżki, nie zwracając uwagi na strzałki i oznaczenia, i skierował się do podnóża góry. Bez namysłu uchwycił pierwszą krawędź, jak gimnastyk wyskakujący do drążka, i zwinnie pisał się w górę, poczynając od małej rysy przez półeczkę do występu skalnego, przy czym ani razu się nie zawahał, ani razu nie spojrzał w dół. Zatrzymał się tylko na chwilę, kiedy dotarł do wielkiego, spiczastego występu skalnego trzysta metrów powyżej. Przez chwilę badał teren, po czym wypatrzył nową drogę i znów ruszył wzwyż, czasem stawiając stopę w wydeptanym zagłębieniu w skale, czasem posuwając się dziewiczym szlakiem. Zatrzymał się dopiero, kiedy dotarł prawie do połowy góry. Spojrzał na zegarek - siedem po dziewiątej. Ciekaw był, dokąd doszedł pan Deacon z grupą.

Przed sobą George ujrzał niewyraźny szlak, sprawiający wrażenie, jakby używali go tylko wytrawni wspinacze albo zwierzęta. Podążał nim, aż stanął przed olbrzymią granitową płytą - zamkniętymi drzwiami, które nikogo, kto nie miał do nich klucza, nie dopuszczały na szczyt. Przez chwilę się zastanawiał: mógł wrócić tą samą drogą

albo obejść skałę dokoła, co niewątpliwie zaprowadziłoby go z powrotem na bezpieczny teren publicznego szlaku - jedno i drugie znacznie przedłużyłoby wspinaczkę. Wtem się uśmiechnął, gdy przycupnięta na półce powyżej owieczka zabeczała żałośnie, widać nienawykła, żeby ludzie zakłócali jej spokój, po czym dała susa, mimo woli wskazując drogę nieproszonemu gościowi.

George rozglądał się za najmniejszą rysą, gdzie mógłby zaczepić rękę, potem stopę i piąć się w górę. Nie spoglądał w dół, kiedy powoli pokonywał pionową ścianę skalną, szukając chwytu dla palców czy choćby najmniejszej listwy. Gdy już ją znalazł i podciągnął się w górę, użył jako oparcia dla stopy. Chociaż ściana skalna nie miała więcej niż siedemnaście metrów wysokości, dopiero po dwudziestu minutach George podciągnął się na jej wierzchołek i po raz pierwszy ujrzał szczyt góry Ben Nevis. Za wybór najtrudniejszej drogi spotkała go nagroda; teraz aż do samego szczytu prowadziło łagodne zbocze.

Pobiegł rzadko uczęszczanym szlakiem i gdy dotarł do wierzchołka, poczuł się tak, jakby stanął na szczycie świata. Nie zdziwił się, że pan Deacon ze swoją drużyną jeszcze tam nie doszli. Siedział samotnie, wpatrując się w sielski krajobraz, rozciągający się na przestrzeni wielu kilometrów. Minęła godzina, zanim zjawił się pan Deacon z wierną grupą. Nauczyciel nie krył irytacji, kiedy chłopcy okrzykami i oklaskami powitali postać siedzącą na szczycie. Pan Deacon podszedł do George'a i zapytał:

- Jak nas zdołałeś wyprzedzić, Mallory?

- Wcale was nie wyprzedziłem. Po prostu znalazłem inną drogę.

Po minie pana Deacona chłopcy poznali, że nie wierzy George'owi.

- Tak jak ci wiele razy mówiłem, schodzić jest zawsze trudniej, niż iść w górę, tym bardziej że człowiek zużywa mnóstwo energii, żeby dotrzeć na szczyt. Na ogół nowicjusze nie zdają sobie z tego sprawy - rzekł pan Deacon. I po dramatycznej przerwie dodał: - Często płacą za to własną zgubą.

George milczał.

- Więc pamiętaj, żeby schodzić razem z grupą.

Gdy chłopcy pochłonęli swoje kanapki, pan Deacon ustawił ich w szeregu i sam stanął na przedzie. Jednakże nie wyruszył, póki nie zobaczył, że George jest w grupie i rozmawia ze swoim przyjacielem Bullockiem. Kazałby mu podejść do przodu, gdyby usłyszał, co mówi:

- Do zobaczenia w obozie, Guy.

Co do jednego pan Deacon się nie mylił: zejście z góry było nie tylko trudniejsze niż wejście na nią, ale i bardziej niebezpieczne, oraz, jak przewidywał, trwało o wiele dłużej.

Zapadał już zmierzch, kiedy pan Deacon, powłócząc nogami, dobrnął do obozu, a wraz z nim utyłana i umordowana drużyna. Nie wierzyli własnym oczom: George Mallory siedział po turecku na ziemi, popijał napój imbirowy i czytał książkę.

Guy Bullock parsknął śmiechem, ale panu Deaconowi wcale nie było do śmiechu. Postawił George'a na baczność i wygłosił wykład na temat tego, jak ważne jest bezpieczeństwo w górach. Skończywszy, polecił George'owi opuścić spodnie i się schylić. Nie miał pod ręką

trzcinki, więc zdjął skórzany pas, który podtrzymywał mu szorty khaki, i wymierzył chłopcu sześć uderzeń na gołe ciało. George nie wydał jęku.

Nazajutrz bladym świtem pan Deacon odprowadził George'a na najbliższą stację kolejową. Kupił mu bilet i dał mu list, nakazując, żeby oddał go ojcu zaraz po przybyciu do Mobberley.

- Dlaczego tak wcześnie wróciłeś? - spytał ojciec.

George podał mu list i milczał, kiedy wielebny Mallory rozdarł kopertę i czytał list Deacona. Ściągnął usta, usiłując pohamować uśmiech, spojrzał na syna i pogroził mu palcem.

- Pamiętaj, chłopcze, żeby w przyszłości zachowywać się taktownie i nie wprawiać w zakłopotanie starszych i ważniejszych od siebie.

1905

Rozdział 4

Poniedziałek, 3 kwietnia 1905

Rodzina siedziała przy śniadaniu, kiedy do pokoju weszła pokojówka z poranną pocztą. Położyła kupkę listów na stole przy wielebnym Mallorym wraz ze srebrnym nożem do otwierania kopert - rytuał ten powtarzała każdego ranka.

Ojciec George'a umyślnie zignorował tę drobną ceremonię i dalej smarował masłem kolejną grzanekę. Dobrze wiedział, że syn od kilku dni czeka na wykaz ocen na zakończenie semestru. George zachowywał się z podobną nonszalancją, gawędząc z bratem o ostatnich wyczynach braci Wright w Ameryce.

- Moim zdaniem - wtrąciła się matka - to nienaturalne. Bóg ptakom rozkazał latać, nie ludziom. I, George, zdejmij łokcie ze stołu.

Dziewczynki nie wyraziły żadnej opinii, bo wiedziały, że ilekroć nie zgadzają się z matką, mówiła, że dzieci należy widzieć, a nie słyszeć. Jak się wydaje, ta zasada nie odnosiła się do chłopców.

Ojciec George'a nie brał udziału w rozmowie, tylko przeglądał koperty, próbując ustalić, które są ważne, a które można odłożyć na bok. Jedno było pewne: te, które mogły zawierać żądania zapłaty od miejscowych kupców, zostawały na spodzie i nie były otwierane przez kilka dni. Wielebny uznał, że dwie koperty zasługują pilnie na uwagę: jedna ze stemplem pocztowym Winchesteru i druga z herbem wytłoczonym na odwrocie. Pociągnął łyk herbaty i uśmiechnął się do najstarszego syna, który dalej udawał, że się nie interesuje komedią graną na drugim końcu stołu.

W końcu Mallory ujął nóż i otworzył cieńszą z dwu kopert, po czym rozwinął list od biskupa Chesteru. Jego Eminencja potwierdzał, że z największą przyjemnością wygłosi kazanie w kościele parafialnym w Mobberley, jeśli ustali się dogodny termin. Ojciec George'a podał list żonie. Na jej ustach ukazał się uśmiech, gdy zobaczyła herb pałacu biskupiego.

Wielebny Mallory nie spieszył się, otwierając drugą, grubszą kopertę, i udawał, że nie zauważył, iż rozmowa przy stole nagle ucichła. Wyciągnął z koperty niewielką broszurkę i powoli przewracał stronicę, rozważając jej treść. Od czasu do czasu się uśmiechnął, czasem zmarszczył brwi, ale chociaż milczenie się przedłużało, nie wypowiadał żadnej opinii. Taka sytuacja zdarzała się zbyt rzadko, żeby się nią nie delectować jeszcze przez parę chwil.

Wreszcie spojrzął na Georgea i powiedział:

- Drugie miejsce z historii, z oceną 86 procent. - Zajrzał do broszurki. - Dobrze pracował w tym półroczu, dobrze zdane egzaminy, godny pochwały esej o Gibbonie. Mam nadzieję, że wybierze ten przedmiot, kiedy wstąpi na uniwersytet. - Uśmiechnął się i odwrócił stronę. - Piąte miejsce w angielskim, 74 procent. Bardzo obiecujący esej na temat Boswella, ale powinien poświęcić trochę więcej czasu Miltonowi i Szekspirowi, a mniej R. L. Stevensonowi.

Teraz George się uśmiechnął.

- Siódmy w łacinie, 69 procent. Doskonałe tłumaczenie Owidiusza, na pewno powyżej poziomu wymaganego przez Oksford czy Cambridge od wszystkich kandydatów. Czternasty w matematyce, 56 procent, jeden procent powyżej stopnia dostatecznego.

Ojciec umilkł, zmarszczył brwi, po chwili kontynuował czytanie:

- Dwudziesty dziewiąty w chemii. Wielebny Mallory podniósł głowę.

- Ilu uczniów jest w klasie? - zapytał.

- Trzydziestu - odparł George, dobrze wiedząc, że ojciec zna odpowiedź.

- Bez wątpienia twój przyjaciel Guy Bullock uchronił cię przed zajęciem ostatniego miejsca. - Ojciec znowu pochylił głowę nad broszurką. - 26 procent. Okazuje nikłe zainteresowanie wszelkimi eksperymentami, radziłbym mu zrezygnować z tego przedmiotu, jeżeli myśli o studiach uniwersyteckich.

George milczał, kiedy ojciec rozwijał list dołączony do wykazu ocen. Teraz nie trzymał wszystkich w niepewności.

- Twój wychowawca pan Irving - oznajmił - uważa, że Cambridge zaoferuje ci miejsce w trymestrze jesiennym. - Zawiesił głos. - Cambridge to dla mnie niespodzianka - dodał po chwili - gdy się pamięta, że to najbardziej płaska okolica w kraju.

- Toteż miałem nadzieję, tatusiu, że pozwolisz mi odwiedzić Francję tego lata, żebym mógł uzupełnić wykształcenie.

- Paryż? - Wielebny Mallory zmarszczył brwi. - Co masz na myśli, drogi chłopcze? Moulin Rouge?

Pani Mallory spiorunowała męża wzrokiem, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że nie pochwała tak ryzykownych uwag w obecności dziewczynek.

- Nie, tatusiu, nie Czerwony Młyn, tylko Białą Górę - odparł George. - Ściśle mówiąc, Mont Blanc.

- Ale czy to nie szalenie niebezpieczne? - zaniepokoiła się matka.

- Ani w połowie tak niebezpieczne jak Moulin Rouge - zauważył ojciec.

- Nie martw się, mamó, ani o jedno, ani o drugie - powiedział George, śmiejąc się. - Mój wychowawca pan Irving będzie ze mną cały czas, a jest nie tylko członkiem Klubu Alpejskiego, ale wystąpi w roli mojej przyzwoitki, jeżeli mi się poszczęści i zostanę przedstawiony wspomnianej damie.

Ojciec milczał przez pewien czas. Nigdy nie roztrząsał sprawy kosztów przy dzieciach, chociaż poczuł ulgę, kiedy George zdobył stypendium do Kolegium Winchester, co mu oszczędziło 170 funtów z rocznego chesnego w wysokości 200 funtów. Pieniądze nie należały do tematów, jakie się poruszało przy stole, mimo że rzadko się zdarzało, żeby o nich nie myślał.

- Kiedy masz rozmowę kwalifikacyjną w Cambridge? - w końcu zapytał.

- Od czwartku za tydzień, ojczu.

- Więc dam ci odpowiedź od piątku za tydzień.

Rozdział 5

Czwartek, 13 kwietnia 1905

Chociaż Guy obudził przyjaciela na czas, George i tak się spóźnił na śniadanie. Uważał, że to dlatego, iż musiał się ogolić, a tej umiejętności nie zdołał jeszcze w pełni opanować.

- Czy to nie dziś masz się stawić na rozmowę w Cambridge? - zapytał go wychowawca, kiedy George nałożył sobie drugą porcję owsianki.

- Tak, proszę pana - odparł.

- A jeżeli dobrze pamiętam - pan Irving spojrział na zegarek - twój pociąg do Londynu odjeżdża za niecałe pół godziny. Wcale bym się nie dziwił, gdyby inni kandydaci już czekali na peronie.

- Rezygnując ze śniadania i nie wysłuchując pańskich rad? - rzucił George z uśmiechem.

- Skądże - rzekł pan Irving. - Rozmawiałem z nimi przy wczesnym śniadaniu, bo uważam, że nie wolno im się spóźnić. Jeżeli ty, Mallory, myślisz, że mam bzika na punkcie punktualności, to poczekaj, aż poznasz pana Bensaona.

George pchnął miskę z owsianką w stronę Guya, powoli wstał i spokojnym krokiem opuścił jadalnię, jak ktoś najbardziej beztroski na świecie, po czym pomknął, jakby chciał wygrać bieg olimpijski na sto metrów, przez dziedziniec, i wpadł do internatu. Przeskakując po trzy stopnie naraz, pokonał schody i znalazł się na najwyższym piętrze. Nagle sobie przypomniał, że nie spakował torby podróżnej. Jednak gdy wbiegł do pokoju, z radością ujrzał swoją skórzaną walizeczkę już opiętą pasem i stojącą przy drzwiach. Guy musiał przewidzieć, że znów zostawi wszystko na ostatnią chwilę.

- Dziękuję, Guy - powiedział na głos George, z nadzieją, że przyjaciel pałaszuje zasłużoną drugą miskę owsianki. Złapał walizkę,

zbiegł z impetem po schodach i popędził z powrotem przez dziedziniec, przystając tylko przy portierni.

- Gdzie jest szkolny kabriolet, Simkins? - spytał z desperacją.

- Odjechał piętnaście minut temu, proszę pana.

- Psiakrew - mruknął George i ruszył pędem na ulicę. Skierował się ku stacji przekonany, że mimo wszystko zdąży na pociąg.

Biegł ulicą z niemiłym uczuciem, że czegoś zapomniał, ale jeżeli nawet, to i tak nie miał czasu, żeby po to wrócić. Kiedy wypadł zza rogu na Station Hill, zobaczył, że w powietrze bucha gruby kłęb szarego dymu. Czy pociąg wjeżdża na stację, czy odjeżdża? Jeszcze przyspieszył, przemknął obok zaskoczonego biletera i wpadł na peron, gdzie ujrzał, jak konduktor macha zieloną chorągiewką, wskazuje na stopnie ostatniego wagonu i zatrząskuje za sobą drzwi.

Pociąg ruszył, George pobiegł za nim i równo z nim dotarł na koniec peronu. Konduktor współczująco się uśmiechnął, a tymczasem pociąg nabrał szybkości i przepadł w chmurze dymu.

- Psiakrew - powtórzył George i odwrócił się, by ujrzeć szarżującego nań biletera.

Ten, gdy tylko złapał oddech, zagadnął:

- Czy mogę zobaczyć pański bilet?

W tym momencie George sobie uświadomił, czego zapomniał.

Rzucił walizkę na peron, otworzył ją i zaczął przetrząsać ubrania, udając, że szuka biletu, chociaż wiedział, że leży na stoliku przy łóżku.

- Kiedy odjeżdża następny pociąg do Londynu? - zapytał od niechcienia.

- Co godzina o równej godzinie - padła natychmiastowa odpowiedź. - Ale musi pan mieć bilet.

- Psiakrew - po raz trzeci zaklął George, uświadamiając sobie, że nie może się spóźnić na następny pociąg. - Musiałem zostawić bilet w internacie - powiedział bezradnie.

- To musi pan kupić drugi - stwierdził bileter.

George'a ogarnęła rozpacz. Czy ma przy sobie jakieś pieniądze? Zaczął przeszukiwać kieszenie ubrania i z ulgą znalazł półkoronówkę, którą matka dała mu na Boże Narodzenie. Zastanawiał się, gdzie ją podział. Podążył potulnie za bileterem do kasy, gdzie kupił bilet trzeciej klasy z Winchester do Cambridge za jednego szylinga i sześć pensów. Często się dziwił, dlaczego w pociągach nie ma drugiej klasy, ale uznał, że nie pora o to pytać. Gdy bileter przedziurkował mu bilet, George wrócił na peron i kupił „Timesa” u gazeciarza, rozstając się z jeszcze jednym pensem. Usiadł na niewygodnej drewnianej ławce z listewek i otworzył gazetę, żeby się dowiedzieć, co się dzieje na świecie.

Premier Arthur Balfour obwieszczał nową entente cordiale, między Wielką Brytanią i Francją. W przyszłości stosunki z Francją mogą się tylko poprawić, obiecał Brytyjczykom. George przewrócił stronę i przeczytał artykuł na temat Theodore'a Roosevelta, który niedawno rozpoczął drugą kadencję jako prezydent Stanów Zjednoczonych. Kiedy pociąg odjeżdżający o dziewiątej do Londynu

w kłębach pary wjechał na stację, George przeglądał drobne ogłoszenia na pierwszej stronie, oferujące wszystko od płynu na porost włosów po cylindry.

Ucieszył się, że pociąg przybył punktualnie, a jeszcze bardziej, gdy na dworzec Waterloo wjechał kilka minut wcześniej. Wyskoczył z wagonu, przemknął przez peron i wybiegł na ulicę. Pierwszy raz w życiu zatrzymał dorożkę, zamiast czekać na tramwaj do Kings Cross - rozrzutność, jakiej ojciec by nie pochwalił, ale o wiele bardziej by się gniewał, gdyby George nie dotarł na rozmowę z panem Bensonem i stracił szansę na studia w Cambridge.

- Kings Cross - polecił George, wsiadłszy do dorożki. Woźnica świsnął batem i strudzony stary siwek wolno poczłapał przez Londyn. George co kilka minut spoglądał na zegarek, ale wciąż był pewien, że zdąży na umówione spotkanie o trzeciej z tutorem w Kolegium Magdaleny.

Zajechawszy na miejsce, George odkrył, że najbliższy pociąg do Cambridge odjeżdża za piętnaście minut. Odprężył się pierwszy raz w tym dniu. Jednak nie przewidział, że pociąg będzie stawał na każdej stacyjce od Finsbury Park do Stevenage, toteż kiedy w końcu lokomotywa z sapaniem wtoczyła się na stację w Cambridge, zegar na peronie wskazywał drugą trzydzieści siedem.

George pierwszy wysiadł z pociągu i gdy bileter przedziurkował mu bilet, zaczął się rozglądać za dorożką, ale żadnej nie było widać. Puścił się pędem, kierując się znakami wskazującymi drogę do śródmieścia, ale nie miał pojęcia, w którą stronę się zwrócić.

Przystawał, prosząc przechodniów, żeby mu wskazali drogę do Kolegium Magdaleny, lecz dopiero młodzieniec w krótkiej czarnej todze i birecie udzielił mu dokładnych wskazówek. George podziękował i znów ruszył biegiem, szukając teraz mostu przez rzekę Cam. Pędził przez most, kiedy gdzieś daleko zegar wybił trzy uderzenia. George się uśmiechnął zadowolony. Spóźni się najwyżej dwie minuty.

Przebiegłszy przez most, zatrzymał się przed masywnymi podwójnymi drzwiami z czarnego dębu. Obrócił gałkę i pchnął drzwi, ale nie ustąpiły. Dwa razy zastukał kołatką, odczekał chwilę, ale nikt nie odpowiedział. Spojrzał na zegarek: cztery minuty po trzeciej. Znowu zastukał do drzwi, ale wciąż żadnej reakcji. Chyba niemożliwe, żeby go nie wpuścili, skoro się spóźnił tylko parę minut?

Zastukał trzeci raz i nie przestawał, dopóki nie usłyszał, że klucz obraca się w zamku. Drzwi otworzyły się, skrzypiąc, i ukazał się w nich niski, zgarbiony mężczyzna w czarnym surducie i meloniku.

- Kolegium jest zamknięte, proszę pana - oznajmił.

- Ale ja jestem umówiony na rozmowę z panem Bensonem o trzeciej - błagalnym tonem powiedział George.

- Starszy tutor dał mi wyraźne polecenie, żebym zamknął bramę o trzeciej i później nikogo nie wpuszczał.

- Ale ja... - wybąkał George, lecz jego słowa trafiły w próżnię, bo drzwi zatrzaśnięto mu przed nosem i znowu usłyszał zgrzyt klucza przekręcanego w zamku.

Zaczął bić w bramę gołą pięścią, choć wiedział, że nikt nie pośpieszy mu z pomocą. Przeklął swoją głupotę. Co powie, gdy ludzie go spytają, jak udała się rozmowa? Co powie panu Irvingowi, kiedy wróci wieczorem do szkoły? Jak się pokaże na oczy Guyowi, który na pewno stawi się punktualnie na rozmowę z panem Bensonem w przyszłym tygodniu? Wiedział, jak zareaguje ojciec: oto pierwszy Mallory od czterech pokoleń, który nie będzie się kształcił w Cambridge. A jeżeli chodzi o matkę, to czy będzie mógł jeszcze pokazać się w domu?

Zmarszczył brwi, patrząc na dębową bramę, która broniła mu wejścia. Chciał zastukać ostatni raz, ale wiedział, że to bezcelowe. Zastanawiał się, czy nie ma innego sposobu, żeby się dostać do środka, ale ponieważ rzeka Cam okrążała kolegium od północnej strony fosa, nie było takiej możliwości. Chyba że... George spojrział w górę, na wysoki ceglany mur otaczający kolegium, i zaczął spacerować tam i z powrotem chodnikiem, jakby badał ścianę skalną. Spostrzegł kilka spękań i szczelin, wyłobionych podczas czterystu pięćdziesięciu lat przez działanie lodu, śniegu, wiatru, deszczu i słońca, i... wytyczył sobie drogę. Bramę wieńczył potężny kamienny łuk; jego krawędź odległa była tylko o długość ramienia od parapetu, który byłby świetnym oparciem dla stopy. Powyżej znajdowało się jeszcze jedno, mniejsze okno i następny parapet, z którego można by dosięgnąć spadzistego dachu pokrytego dachówką; który, jak podejrzewał, był identyczny po drugiej stronie budynku.

Rzucił walizkę na chodnik - nigdy nie noś niepotrzebnych ciężarów, gdy próbujesz się wspinać - wcisnął czubek prawej stopy w niewielki otwór kilkadziesiąt centymetrów powyżej chodnika i odepchnął się od gruntu lewą nogą, chwytając za występ muru i podciągając się wzwyż ku kamiennemu łukowi. Kilku przechodniów przystanęło, żeby patrzeć, jak się pnie w górę, a kiedy w końcu znalazł się na dachu, nagrodziło go przyciszonymi oklaskami.

George przez kilka chwil badał drugą stronę muru. Jak zawsze, zejście miało być trudniejsze od wchodzenia w górę. Przerzucił lewą nogę na drugą stronę i opuścił się wolno, obiema rękami trzymając się rynny i szukając oparcia. W chwili, gdy wymacał czubkiem stopy parapet, puścił się jedną ręką rynny. W tym momencie zsunął mu się but, a druga ręka rozluźniła uchwyt. George złamał złotą regułę o zachowaniu trzech punktów oparcia. Wiedział, że upadnie, co regularnie ćwiczył, zeskakując z drążka w sali gimnastycznej, ale drążek nigdy nie był tak wysoko. Odpadł, ale pierwszy raz w tym dniu mu się poszczęściło, bo wylądował na wilgotnym klombie.

Podniósł się i ujrzał starszego pana, który mu się przyglądał. Może ten biedak myśli, że stoi w obliczu bosonogiego włamywacza, przemknęło mu przez głowę.

- Czy mogę ci pomóc, młodzieńcze? - zapytał starszy pan.

- Dziękuję panu - odrzekł George. - Jestem umówiony z panem Bensonem.

- O tej porze powinieneś zastać pana Bensaona w jego gabinecie.

- Przepraszam, ale nie wiem, gdzie to jest - rzekł George.

- Prosto przez Bramę Członków Kolegium - powiedział starszy pan, wskazując drugą stronę trawnika. - Drugi korytarz na lewo. Na drzwiach jest tabliczka z nazwiskiem.

- Dziękuję panu - powiedział George, schylając się, żeby zawiązać sznurówkę.

- Ależ proszę - rzekł starszy pan i powędrował dróżką w stronę pomieszczeń profesorskich.

George przebiegł przez trawnik, a potem pod sklepieniem przejściem na wspaniały elżbietański dziedziniec. Gdy znalazł się w drugim korytarzu, stanął, żeby przeczytać nazwiska na tablicy: A. C. Benson, starszy tutor, trzecie piętro. Błyskawicznie pokonał schody, a gdy dotarł na miejsce, przystanął przed pokojem pana Bensa, żeby złapać oddech. Delikatnie zapukał do drzwi.

- Wejść - zabrzmiał męski głos.

George otworzył drzwi i wkroczył do królestwa starszego tutora. Pulchny, rumiany mężczyzna z sumiastymi wąsami podniósł na niego wzrok. Pod togą miał ubranie w kratkę i pstrą żółtą muchę, siedział za wielkim biurkiem zarzuconym oprawnymi w skórę książkami i pracami studentów.

- W czym mogę ci pomóc? - zapytał, chwyciwszy wyłogi togi.

- Nazywam się George Mallory. Jestem z panem umówiony na spotkanie.

- Byłem umówiony, należałoby powiedzieć. Oczekiwałem cię, Mallory, o trzeciej, a ponieważ wydałem wyraźne polecenie, żeby

żadnego kandydata nie wpuszczać do kolegium po tej godzinie, muszę zapytać, jak się tutaj dostałeś.

- Przelazłem przez mur, proszę pana.

- Co takiego? - zapytał Benson, wstając wolno zza biurka, z wyrazem niedowierzania na twarzy. - Za mną, Mallory.

George nie odzywał się, podążając za panem Bensonem schodami, a potem przez dziedziniec do portierni. Portier poderwał się na widok starszego tutora.

- Harry - rzekł pan Benson. - Czy pozwoliłeś temu kandydatowi wejść do kolegium po godzinie trzeciej?

- Nie, proszę pana. Na pewno nie - odparł portier, patrząc z osłupieniem na młodego człowieka.

Pan Benson odwrócił się do George'a.

- Pokaż mi, jak się tu dostałeś - polecił.

George powiódł obu mężczyzn do Ogrodu Członków Kolegium i pokazał im ślady swych stóp na klombie. Starszy tutor nadal nie wyglądał na przekonanego. Portier nic nie mówił.

- Mallory, jeśli, jak twierdzisz, przeszedłeś przez ten mur, to na pewno potrafisz na niego z powrotem wleźć. - Pan Benson cofnął się o krok i skrzyżował ramiona.

George wolno przespacerował się ścieżką i dokładnie się przyjrzał murowi, nim zdecydował się na wybór drogi. Starszy tutor i portier patrzyli zdumieni, jak młody człowiek zwinnie, nie zatrzymując się, wspina się na mur, przekłada nogę nad szczytem dachu i siada na nim okrakiem.

- Czy mogę zejść z powrotem, proszę pana? - zapytał żałośnie.

- Ależ tak, młodzieńcze - odrzekł bez wahania pan Benson. - Jest jasne jak słońce, że nic cię nie powstrzyma przed dostaniem się do tego kolegium.

Rozdział 6

Sobota, 1 lipca 1905

Kiedy George oznajmił ojcu, że nie zamierza odwiedzić Moulin Rouge, mówił prawdę. Rzeczywiście, wielebny Mallory dostał już list od pana Irvinga ze szczegółową marszrutą w Alpach, ale bez słowa o planach postoju w Paryżu. Ale to było, zanim George ocalił panu Irvingowi życie, został zaarrestowany za zakłócanie spokoju i spędził noc w więzieniu.

Matka George'a nie potrafiła ukryć niepokoju, kiedy syn wyruszał na jedną ze swoich wypraw wspinaczkowych, ale zawsze wsuwała mu do kieszeni marynarki banknot pięciofiintowy, szepcząc, żeby nic nie mówił ojcu.

George spotkał się z Guyem i panem Irvingiem w Southampton, gdzie wsiedli na prom do Hawru. Gdy cztery godziny później wyszli na ląd w porcie francuskim, czekał na nich pociąg, który miał ich dowieźć do Martigny. Podczas długiej podróży George przez większość czasu wyglądał przez okno.

Przypomniął sobie o zamiłowaniu pana Irvinga do punktualności, kiedy wysiedli z pociągu i zobaczyli czekający na nich szaraban. Woźnica strzelił z bicia i mała grupka ruszyła żwawo w głąb gór, a George mógł z bliska ocenić wielkie wyzwania, jakie go czekały. Było już ciemno, kiedy trzech podróżnicy zameldowali się w hotelu Pod Złotym Lwem w Bourg St Pierre, u stóp Alp. Przy kolacji pan Irving rozpostarł na stole mapę i przedstawił plan na następne dwa tygodnie, wskazując cele wspinaczki: Wielka Przełęcz św. Bernarda (2469 m), Mont Velan (3765 m) i Grand Combin (4314 m). Jeżeli uda się zdobyć wszystkie trzy, spróbują wejść na Monte Rosa (4634 m).

George wpatrywał się z przejęciem w mapę; pragnął, żeby już był jutrzejszy poranek. Guy milczał. Wprawdzie było wiadomo, że pan Irving wybierał spośród swoich uczniów tylko najbardziej obiecujących wspinaczy, którzy mieli mu towarzyszyć w corocznych wyprawach w Alpy, lecz Guy już zaczynał się zastanawiać, czy powinien był się zgłosić.

Natomiast George nie miał żadnych wątpliwości. Ale nawet pan Irving się zdziwił, gdy następnego dnia dotarli na Przełęcz św. Bernarda w rekordowym czasie. Przy kolacji tego wieczoru George zapytał, czy mógłby przejąć rolę prowadzącego, kiedy zaatakują Mont Velan.

Już od pewnego czasu pan Irving zdawał sobie sprawę, że George jest najświetniejszym wspinaczem ze wszystkich uczniów, z jakimi miał do tej pory do czynienia, i że jest bardziej utalentowany od swego doświadczonego nauczyciela. Jednak pierwszy raz się

zdarzyło, żeby uczeń oznajmił, że chce być prowadzącym - i to zaledwie w drugim dniu wyprawy.

- Pozwolę ci, żebyś nas prowadził na niższych partiach Mont Velan - zgodził się Irving. - Ale kiedy osiągniemy wysokość tysiąca pięciuset metrów, przejmę prowadzenie.

Pan Irving jednak nie przejął prowadzenia, gdyż następnego dnia George wiódł mały zespół z pewnością i biegłością wprawnego alpinisty, a nawet wskazywał nauczycielowi nowe drogi, których ten nigdy przedtem nie brał pod uwagę. A gdy dwa dni później wspięli się na Grand Combin w krótszym czasie, niż panu Irvingowi kiedykolwiek się udało, mistrz został uczniem.

Wydawało się, że teraz George'a interesuje tylko jedno: kiedy będzie mógł się porwać na Mont Blanc.

- Na razie jeszcze nie - rzekł pan Irving. - Nawet ja bym nie próbował bez profesjonalnego przewodnika. Ale gdy jesienią rozpoczniesz studia w Cambridge, dam ci list polecający do Geoffreya Younga, najbardziej doświadczonego wspinacza w kraju, i to on zadecyduje, kiedy będziesz gotów ruszyć na podbój tej szczególnej damy.

Pan Irving uważał natomiast, że mogą zaatakować Monte Rosa, i George bez problemów poprowadził ich na wierzchołek, choć Guy chwilami nie mógł nadażyć. Dopiero przy schodzeniu zdarzył się wypadek. Może pan Irving za bardzo uwierzył we własne siły - taka wiara to największy wróg wspinacza - i uznał, że po triumfalnym zdobyciu szczytu nie przytrafi się nic złego.

George jak zwykle schodził pewnie, ale gdy dotarli do wybitnie stromego kuluaru, postanowił zwolnić, bo pamiętał, że Guyowi przejście w górę tego fragmentu drogi nie przyszło łatwo. George już prawie strawersował kuluar, gdy usłyszał krzyk. Jego błyskawiczna reakcja niewątpliwie uratowała życie wszystkim trzem. Wbił czekan głęboko w śnieg i prędko okręcił linę wokół drzewca, podparłszy je mocno butem, a w drugiej ręce ścisnął linę. Patrzył bezradnie, jak Guy przelatuje obok. Uznał, że pan Irving zrobi to, co on, i że we dwóch zastopują impet upadku Guya. Jednak nauczyciel nie zdołał zareagować równie szybko i mimo że wbił czekan mocno w śnieg, nie zdążył zapętlić liny wokół drzewca. Po chwili on też przeleciał koło George'a. Chłopak nie spojrzał w dół, lecz docisnął butem głowicę czekana i rozpaczliwie usiłował utrzymać równowagę. Między nim a doliną zionęła dwustumetrowa otchłań.

Trwał niewzruszenie, tymczasem tamci dwaj zatrzymali się w locie i zawiśli w powietrzu. George nie był pewien, czy napięta lina nie pęknie, co by było równoznaczne ze skazaniem jego towarzyszy na śmierć. Nie miał czasu, żeby się pomodlić, ale ponieważ minęła sekunda i dalej ścisnął w rękę linę, zdawało się, że otrzymał odpowiedź, choćby tylko chwilową. Niebezpieczeństwo nie minęło, ponieważ musiał jeszcze bezpiecznie sprowadzić tych obu z powrotem na zbocze.

Spojrzał w dół i zobaczył, że kurczowo trzymają się liny, a twarze mają białe jak śnieg. Wykorzystując umiejętność, jaką nabył dzięki bez końca powtarzanym ćwiczeniom w szkolnej sali

gimnastycznej, wprowadził linę w ruch wahadłowy i powoli rozkołysał obu wspinaczy, aż po chwili pan Irving stanął na zboczu. Potem, podczas gdy George dalej trwał na swoim stanowisku, Irving wykonał tę samą operację, i dopóty bujał linę, dopóki Guya nie sprowadził na stok.

Minęło trochę czasu, nim poczuli się na siłach, żeby znów schodzić, a George nie wyciągnął czekana ze śniegu, póki nie nabrał pewności, że pan Irving i Guy całkiem ochłonęli. Centymetr po centymetrze, krok po kroku, sprowadził obu oszołomionych wspinaczy na bezpieczną, szeroką półkę około metra poniżej. Odpoczywali prawie godzinę, po czym pan Irving przejął rolę prowadzącego i powiódł ich na bezpieczniejsze zbocza.

Przy kolacji wieczorem prawie nie rozmawiali, ale wszyscy trzej wiedzieli, że jeśli nie wrócą w góry nazajutrz, Guy nigdy więcej nie będzie się wspinał. Następnego dnia pan Irving poprowadził swych podopiecznych z powrotem na Monte Rosa, lecz wybrał dalszą i o wiele łatwiejszą drogę. Gdy George i Guy wrócili tego wieczoru do hotelu, nie byli już dziećmi.

Poprzedniego dnia niebezpieczeństwo groziło im tylko przez kilka minut, ale każdą z tych minut odmierzało sześćdziesiąt długich chwil zapamiętanych do końca życia.

Rozdział 7

Gdy znaleźli się w Paryżu, widać było, że pan Irving nie czuje się tu obco i chłopcy z chęcią zdali się na jego przewodnictwo, uzgodniwszy wcześniej, że ostatni dzień podróży spędzą w stolicy Francji, świętując szczęśliwe zakończenie górskiej przygody.

Pan Irving zainstalował ich w rodzinnym hoteliku usytuowanym na malowniczym dziedzińcu w siódmej dzielnicy. Po lekkim lunchu zaznajomił ich z dziennym życiem Paryża: zobaczyli Luwr, Notre Dame, Łuk Triumfalny. Jednak to wieża Eiffla, wzniesiona na Wystawę Powszechną w 1889 roku, w stulecie rewolucji francuskiej, rozpała wyobraźnię George'a.

- Nawet o tym nie myśl - upomniął pan Irving swego pupila, kiedy go przyłapał z oczami wlepionymi w najwyższy punkt stalowej budowli, jakieś 300 metrów nad nimi.

Nauczyciel kupił trzy bilety za sześć franków i zapędził chłopców do windy, która wolno zawiozła ich na wieżę.

- Nie osiągnęliśmy nawet pogórza Mont Blanc - zauważył George, spoglądając na Paryż w dole.

Pan Irving uśmiechnął się i pomyślał, że nawet zdobycie Mont Blanc może nie wystarczyć George'owi Malloryemu. Kiedy przebrali się do kolacji, pan Irving zabrał chłopców do restauracyjki w lewobrzeżnym Paryżu, gdzie spróbowali pasztetu z gęsich wątróbek, do którego podano w małych kieliszkach schłodzone wino Sauternes. Następnie wniesiono boeuf bourguignon, potrawę smaczniejszą niż jakakolwiek duszona wołowina, jakiej próbowali, a potem dojrzały ser brie; cóż za odmiana po szkolnym wikcie! Do obu dań podano

wyśmienitego burgunda i George uznał, że to jeden z najbardziej ekscytujących dni w jego życiu. Ale na tym się nie skończyło. Pan Irving pozwolił jeszcze swoim pupilom posmakować koniaku i dopiero potem wrócił z nimi do hotelu. Tuż po północy pożegnał ich i udał się do swojego pokoju.

Guy usiadł na łóżku, a George zaczął się rozbierać.

- Odczekamy kilka minut, a potem się wymkniemy.

- Wymkniemy się? - wybąkał George.

- Tak - powiedział Guy, dla odmiany obejmując prowadzenie. -

Co za sens być w Paryżu i nie odwiedzić Moulin Rouge?

George dalej odpinał guziki koszuli.

- Obiecałem mamie...

- Jakżeby nie - zakpił Guy. - I chcesz, żebym uwierzył, że człowiek, który chce się wspiąć na wyżyny Mont Blanc, nie ma ochoty zapuścić się w czeluści nocnego życia Paryża?

George z ociąganiem zapiął koszulę, tymczasem Guy' zgasił światło, otworzył drzwi sypialni i wyjrzał na korytarz. Przekonany, że pan Irving leży w łóżku z książką *Trzech panów w łódce*, wyszedł z pokoju. George niechętnie podążył za nim, zamknawszy cicho drzwi.

Gdy znaleźli się w holu, Guy wysliznął się na ulicę. Przywołał dorożkę, zanim George zdążył zaprotestować.

- Moulin Rouge - rzucił Guy z pewnością siebie, nie okazywaną na górskich zboczach.

Dorożkarz ruszył żwawo.

- Gdyby pan Irving mógł nas teraz zobaczyć! - rzekł Guy, otwierając srebrną papierošnicę, której George nigdy u niego nie widział.

Trasa wiodła na drugi brzeg Sekwany, na Montmartre, górę, której pan Irving nie uwzględnił w swojej marszrucie. Zatrzymali się przed Moulin Rouge, ale George, widząc elegancko ubranych birbantów, niektórych nawet w smokingach, nie był pewien, czy zostaną wpuszczeni do środka. I znowu Guy przejął inicjatywę. Zapłaciwszy dorożkarzowi, wyjął dziesięciofrankowy banknot z portfela i wręczył go portierowi, który obrzucił młodzieńców podejrzliwym spojrzeniem, ale pozwolił im wejść.

Gdy znaleźli się w środku, kierownik sali potraktował ich z równym brakiem entuzjazmu, mimo że Guy wyciągnął następny banknot dziesięciofrankowy. Młody kelner zaprowadził ich do mikroskopijnego stolika w głębi sali i podał im kartę win. George nie odrywał oczu od nóg dziewczyny oferującej papierosy, a tymczasem Guy, widząc, jak szybko topnieją fundusze, zamówił jedno z najtańszych win figurujące na przedostatnim miejscu na karcie. Kelner prędko wrócił i nalał im po kieliszku semillon. Po chwili zgasły światła.

George siedział sztywno wyprostowany, kiedy dwanaście dziewczyn w krzykliwych czerwonych kostiumach, spod których wystawały warstwy białych halek, wykonywało taniec nazwany w programie kankanem. Ilekroć wyrzucały w górę nogi w czarnych pończochach, przeważnie męska publika reagowała hałaśliwą owacją i

krzykami Magnifique! Chociaż George wychowywał się z dwiema siostrami, nigdy jeszcze nie widział tyle golizny, nawet podczas kąpieli w St Bees. Guy zażądał drugiej butelki wina i George zaczął podejrzewać, że to nie pierwsza wizyta jego przyjaciela w klubie nocnym, ale przecież Guy wychowywał się w Chelsea, a nie w Cheshire.

Ledwo opadła kurtyna i zapłonęły światła, zjawił się kelner i podał rachunek, który niewiele miał wspólnego z cenami na karcie win. Guy do cna opróżnił portfel, ale to nie wystarczyło, więc George musiał sięgnąć po pięć funtów schowanych na czarną godzinę. Na widok obcej waluty kelner się skrzywił, ale schował do kieszeni wielki biały banknot, ani myśląc o wydaniu reszty - ot, i cała entente cordiale pana Balfoura.

- O Boże! - jęknął Guy.

- No właśnie - rzekł George. - Nie miałem pojęcia, że dwie butelki wina mogą tyle kosztować.

- Nie, nie. - Guy nie patrzył na przyjaciela. - Nie chodzi mi o rachunek. - Wskazał na stolik przy scenie.

Georgea zamurowało, gdy ujrzał ich nauczyciela siedzącego obok skąpo odzianej kobiety i obejmującego ją ramieniem.

- Chyba pora odtrąbić odwrót - powiedział Guy.

- Zgadzam się - potaknął George.

Wstali i powędrowali do drzwi, nie oglądając się za siebie, dopóki nie znaleźli się na ulicy.

Ledwo stanęli na chodniku, gdy podeszła do nich kobieta w jeszcze krótszej spódniczce, niż nosiły kelnerki sprzedające papierosy w Moulin Rouge.

- Messieursi - wyszeptała. - Besoin de compagnie?

- Non, merci, madame - odparł George.

- Ah, Anglais - rzekła. - Juste pñx pour tous les dewći - W normalnych okolicznościach byłbym do usług - wtrącił Guy. - Ale niestety zostaliśmy już oskubani przez pani rodaków.

Kobieta rzuciła mu pytające spojrzenie, więc George przetłumaczył słowa przyjaciela. Wzruszyła ramionami i odeszła, oferując swoje wdzięki innym mężczyznom, którzy wysypywali się z nocnego klubu.

- Mam nadzieję, że wiesz, jak trafić do hotelu - zagadnął Guy, który niezbyt pewnie stał na nogach. - Bo ja nie mam już pieniędzy na dorożkę.

- Nie mam pojęcia - odrzekł George - ale kiedy nie masz pewności, znajdź obiekt, który znasz, a on wskaże ci miejsce przeznaczenia. - Ruszył różnym krokiem.

- Racja - zgodził się Guy i pośpieszył za przyjacielem. George trzeźwiał, gdy przechodzili na drugą stronę rzeki, i prawie nie spuszczał wzroku z wybranego punktu odniesienia. Guy podążał za nim i nie odzywał się ani słowem, aż po czterdziestu minutach stanęli u stóp monumentu, którego wielu paryżan ponoć nie cierpiało i pragnęło, żeby został rozebrany śruba po śrubie, dźwigar po dźwigarze, gdy tylko upłynie dwudziestoletnie pozwolenie.

- Myślę, że nasz hotel jest gdzieś tutaj. - Guy wskazał wąską boczną uliczkę. Odwrócił się i zobaczył, że George z zachwytem wpatruje się w wieżę Eiffla.

- To jest dopiero wyzwanie - odezwał się, nie odwracając wzroku.

- Chyba nie mówisz poważnie - rzekł Guy, gdy przyjaciel skierował się w stronę jednej z czterech trójkątnych łap u podstawy wieży.

Guy pobiegł za nim, protestując, ale George zdążył już wskoczyć na kratownicę i zaczął się wspinać. I choć Guy krzyczał co sił, mógł tylko stać i patrzeć, jak przyjaciel zwinnie podąża z belki na belkę. George ani razu nie spojrzał w dół, ale gdyby to zrobił, spostrzegłby niewielką grupkę nocnych marków, która zebrała się na dole i z przejęciem śledziła każdy jego ruch.

George musiał być w połowie drogi na szczyt, kiedy Guy usłyszał gwizdki. Odwrócił się i ujrzał, że na plac wjeżdża wóz policyjny i hamuje pod wieżą. Wyskoczyło z niego kilku umundurowanych policjantów i podbiegło do czekającego funkcjonariusza, którego Guy wcześniej nie zauważył. Ten poprowadził ich prędko do windy i otworzył metalowe drzwi. Tłum patrzył, jak winda wolno sunie w górę.

Guy zadarł głowę, żeby zobaczyć, gdzie jest George. Brakowało mu tylko pół metra do szczytu i chyba nic nie wiedział o swoich prześladowcach. Po kilku chwilach winda jęklonie stanęła przy nim. Otwarto drzwi i jeden z policjantów niepewnie postawił nogę na

najbliższej belce. Po drugim kroku się rozmyślił i prędko dał susa z powrotem do windy. Starszy rangą policjant zaczął przemawiać do niegodziwca, który udawał, że nic nie rozumie.

George wciąż chciał dotrzeć na szczyt, ale kiedy po rozsądnych argumentach nastąpiły przekleństwa zrozumiałe w każdym języku, z ociąganiem wszedł do windy. Gdy policja wróciła na dół z upolowaną zdobyczą, gawieź zgromadzona pod wieżą utworzyła szpaler ciągnący się aż do czekającego pojazdu, wznosząc okrzyki na cześć młodego człowieka.

- *Chapeau, jeune homme.*

- *Dommage.*

- *Bravo!*

- *Magnifique!*

Drugi raz tej nocy George usłyszał to słowo wykrzykiwane przez tłum.

Spostrzegł Guya w chwili, gdy policja się szykowała, żeby go wepchnąć do furgonu i wywieźć nie wiadomo dokąd.

- Poszukaj pana Irvinga! - krzyknął. - On będzie wiedział, co robić.

Guy biegł przez całą drogę do hotelu, wjechał windą na trzecie piętro, dobijał się do drzwi pokoju pana Irvinga, ale nikt mu nie otworzył. Niechętnie wrócił na parter, usiadł na schodach i czekał na nauczyciela. Zastanawiał się nawet, czy nie wracać do Moulin Rouge, ale uznał, że to mogłoby przysporzyć jeszcze więcej kłopotów.

Zegar hotelowy wybił szóstą, gdy przed drzwi zajechał powóz z panem Irvingiem. Po skąpo odzianej damie nie było śladu. Nauczyciel bardzo się zdziwił, widząc, że Guy siedzi na schodach, a jeszcze bardziej, gdy się dowiedział dlaczego.

Dyrektorowi hotelu wystarczyły dwa telefony, żeby znaleźć komisariat policji, gdzie George spędził noc. Pan Irving musiał użyć całego swojego talentu dyplomatycznego, nie mówiąc już o opróżnieniu portfela, żeby dyżurny policjant zgodził się zwolnić nieodpowiedzialnego młodzieńca, i to dopiero wtedy, gdy pan Irving zapewnił inspektora policji, że opuszczą kraj immediately.

Na promie do Southampton pan Irving powiedział młodzieńcom, że jeszcze się nie zdecydował, czy ma powiadomić o incydencie ich rodziców.

- A ja wciąż się waham - palnął Guy - czy powiedzieć ojcu, jak się nazywa ten klub, do którego pan nas zabrał zeszłej nocy.

Rozdział 8

Poniedziałek, 9 października 1905

George poczuł ulgę na widok otwartych drzwi Kolegium Magdaleny, kiedy zjawił się tam pierwszego dnia trzymestru.

Wkroczył na portiernię, postawił walizkę na podłodze i oznajmił znajomej postaci za kontuarem:

- Nazywam się...

- Pan Mallory - rzekł portier, unosząc melonik. - Jakże mógłbym zapomnieć - dodał z ciepłym usmiechem. - Zajrzał do notatnika. - Przydzielono panu pokój w siódmej klatce, w Budynku Pepysa. Zwykle prowadzę pierwszoroczników w pierwszym dniu trimestru do ich kwater, ale pan wygląda na kogoś, kto sam umie trafić na miejsce.

George się roześmiał.

- Prosto przez pierwszy dziedziniec, a potem pod tymi łukiem - poinformował portier.

- Dziękuję. - George schwycił walizkę i skierował się ku drzwiom.

- Proszę pana...

George się odwrócił i zobaczył, że portier wstał z krzesła.

- To pańskie. - Podał świeżo upieczonemu studentowi inną skórzaną walizkę z monogramem GLM z boku. - I proszę się nie spóźnić na spotkanie z dziekanem o szóstej.

- Spotkanie o szóstej?

- Tak, dziekan zaprasza do siebie na drinka. Lubi poznawać nowych studentów w pierwszym dniu trimestru.

- Dziękuję za przypomnienie. Przy okazji, czy mój przyjaciel Guy Bullock już się zjawiał?

- Tak, proszę pana. - Portier znów zajrzał do notatnika. - Jest na górze nad panem.

- Pierwszy raz mu się udało - rzucił George, nie tłumacząc, co ma na myśli.

Idąc w stronę dziedzińca, uważał, żeby nie stąpać po trawniku, który wyglądał jak strzyżony nożyczkami. Minał kilku studentów, niektórzy byli w długich togach, świadczących o tym, że otrzymują pełne stypendium, inni w krótkich na znak, że tak jak on dostają częściowe, jeszcze inni nie nosili tog, tylko birety, które od czasu do czasu unosili, pozdrawiając się wzajemnie.

Nikt nie przyglądał się George'owi, nikt nie uniósł czapki na jego widok, co mu przypomniało pierwszy dzień w Winchester. Nie mógł się nie uśmiechnąć, kiedy przechodził obok bramy, gdzie mieszkał pan Benson. Starszy tutor wysłał telegram nazajutrz po ich spotkaniu, oferując George'owi stypendium na studia historyczne. W liście, który przyszedł później, poinformował go, że sam będzie jego opiekunem naukowym.

George przeszedł pod kamiennym łukiem i znalazł się na Drugim Dziedzińcu, gdzie stał Budynek Pepysa. Zatrzymał się przy wąskim korytarzu oznaczonym pogrubioną cyfrą siedem. Zataszczył walizki po drewnianych schodach na drugie piętro i znalazł drzwi, na których srebrnymi literami wydrukowano: „G. L. Mallory”. Ciekawe, pomyślał, ile nazwisk zmieniło się na tych drzwiach przez ostatnie sto lat.

Wszedł do pokoju niewiele większego niż ten, który zajmował w szkole w Winchester, ale tutaj nie musiał dzielić małej przestrzeni z Guyem. Jeszcze się rozpakowywał, gdy rozległo się pukanie i do środka, nie czekając na zaproszenie, wkroczył Guy. Młodzieńcy

wymienili uścisk rąk, jakby nigdy wcześniej się nie spotkali, potem wybuchnęli śmiechem i pochwycili się w ramiona.

- Jestem piętro wyżej nad tobą - oznajmił Guy.

- Już powiedziałem, co o tym myślę.

Guy się uśmiechnął, widząc znajomą listę, którą George już zdążył przyczepić do ściany nad biurkiem.

Ben Nevis 1344 m v

Przełęcz św. Bernarda 2469 m v

Mont Velan 3765 m v

Grand Combin 4314 m v

Monte Rosa 4634 m v

MontBlanc 4807 m?

- Chyba zapomniałeś o Montmartre - rzekł. - Nie mówiąc o wieży Eiffla.

- Wieża Eiffla ma tylko trzysta dwadzieścia trzy metry wysokości - odbił piłeczkę George. - I chyba zapomniałeś, że nie dotarłem na szczyt.

Guy spojrział na zegarek.

- Lepiej się pośpieszmy, jeżeli nie chcemy się spóźnić na spotkanie z dziekanem.

- Masz rację - rzekł George i prędko narzucił tokę.

Kiedy dwaj młodzi studenci przemierzali Drugi Dziedziniec, kierując się ku siedzibie dziekana, George zapytał Guya, czy coś wie na temat pryncypała kolegium.

- Tylko tyle, ile mi powiedział pan Irving. Podobno był naszym człowiekiem w Berlinie, zanim odszedł z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Miał opinię człowieka, który traktuje Niemców dość obcesowo. Według Irvinga nawet kajzer miał się przed nim na baczności.

George poprawił krawat, gdy włączyli się w strumień młodych mężczyzn, którzy sunęli przez ogród dziekana w stronę domu w stylu wiktoriańskiego gotyku, który zajmował cały bok dziedzińca. U drzwi powitał ich służący kolegium w białym zakiecie i czarnych spodniach, z notatnikiem w ręku.

- Ja się nazywam Bullock, a to Mallory - rzekł Guy. Mężczyzna odhaczył ich nazwiska, ale przedtem zmierzył wzrokiem George'a.

- Dziekan jest w salonie na pierwszym piętrze - oznajmił.

George wbiegł po schodach - zawsze pokonywał schody biegiem - i wszedł do dużego, z elegancją umeblowanego pokoju, w którym pełno było studentów i profesorów, a poprzednicy tych ostatnich spoglądali z ozdabiających ściany olejnych obrazów. Inny służący podał przybyłym po kieliszku sherry, tymczasem George spostrzegł kogoś, kogo poznał. Podeszedł się przywitać.

- Dobry wieczór panu - powiedział.

- Mallory. Jestem zachwycony, że zdążyłeś - rzekł bez cienia kpiny starszy tutor. - Właśnie przypomniałem dwóm twoim kolegom z

pierwszego roku, że pierwsze zajęcia zaczynamy jutro o dziewiątej rano. Skoro teraz mieszkasz w kolegium, nie musisz się wspinać przez mur, żeby zdążyć na czas, prawda?

- Tak, proszę pana - odparł George, sącząc sherry.

- Chociaż nie liczyłbym na to - wtrącił się Guy.

- To mój przyjaciel, Guy Bullock - dokonał prezentacji George. -

O niego nie trzeba się martwić, on zawsze przychodzi na czas.

Podszedł do nich jedyny człowiek w tym pokoju, który - poza służącymi kolegium - nie miał na sobie togi.

- O, sir David - powiedział starszy tutor. - Nie sądzę, żeby miał pan okazję poznać pana Bullocka, ale wiem, że dobrze pan zna pana Mallory'ego, który kilka miesięcy temu spadł do pańskiego ogrodu.

George się odwrócił i stanął przed obliczem pryncypała kolegium.

- O Boże! - wykrztusił.

Sir David uśmiechnął się do nowego studenta.

- Nie, nie, proszę pana. Wystarczy „dziękuję”.

Guy pilnował, żeby George się nie spóźnił na pierwsze spotkanie z panem Bensonem następnego ranka, ale i tak George pojawił się w ostatniej chwili. Starszy tutor na początek oznajmił, że tygodniowe wypracowania należy przynosić w każdy czwartek do piątej po południu, a jeżeli ktoś się spóźni na prowadzone przez niego zajęcia, niech się nie dziwi, jeżeli zostanie drzwi zamknięte na klucz.

Georgea pokrzepiła myśl, że jego pokój dzieli od pokoju Bensona tylko sto metrów i że matka wyposażyła go w budzik.

Po tych wstępnych uwagach zajęcia przebiegły o wiele przyjemniej, niż George przewidywał. Jeszcze bardziej podniosło go na duchu odkrycie, jakiego dokonał wieczorem przy kieliszku sherry, mianowicie, że starszy tutor podziela jego miłość do Boswella, jak również do Byrona i Wordswortha, i że przyjaźni się z Brownningiem.

Jednak pan Benson nie pozostawił George'owi złudzeń co do tego, jakie są oczekiwania wobec stypendysty na pierwszym roku, i przypomniał mu, że chociaż trymestr uniwersytecki trwa tylko osiem tygodni, to trzeba pracować równie intensywnie w czasie wakacji. Na odchodnym pan Benson dodał:

- I koniecznie niech pan pójdzie na targi „nowych” w niedzielę, bo inaczej nigdy się pan nie dowie, ile różnych form działalności oferuje ten uniwersytet. Na przykład - uśmiechnął się - może zechce pan wstąpić do grupy teatralnej.

Rozdział 9

Guy zapukał do drzwi pokoju George'a, ale nikt się nie odezwał. Spojrzał na zegarek: pięć po dziesiątej. George nie może być na śniadaniu, bo w niedzielę podają je do dziewiątej, a na pewno nie wybrałby się bez niego na targi „nowych”. Albo śpi, albo się kąpie. Guy znowu zapukał, ale znów bez rezultatu. Otworzył drzwi i zajrzał do środka. Łóżko było nieposłane - co go nie zdziwiło - na poduszce

leżała otwarta książka, na biurku rozrzucone w nieładzie papiery, ale George'a ani śladu. Na pewno się kąpie.

Guy usiadł na łóżku i czekał. Już dawno temu przestał się uskarżać na brak poczucia czasu przyjaciela. Budziło to jednak irytację wielu znajomych George'a, którzy wciąż przypominali mu dewizę obowiązującą w Kolegium Winchester: „Maniery czynią człowieka”. Guy zdawał sobie sprawę z wad przyjaciela, ale wiedział też, że ma on wyjątkowe talenty. Zrządzenie losu, które sprawiło, że znaleźli się w jednym przedziale w drodze do prywatnej szkoły, zmieniło całe jego życie. Inni uznawali czasami George'a za nietaktownego, a nawet aroganckiego, przy bliższym poznaniu jednak przekonywali się też o jego dobroci, hojności i poczuciu humoru.

Guy wziął do ręki książkę leżącą na poduszce. Była to powieść E. M. Forstera, pisarza, na którego nigdy się przedtem nie natknął. Zdążył przeczytać zaledwie kilka stron, gdy do pokoju wkroczył George z ręcznikiem owiniętym wokół pasa i z mokrymi włosami.

- To już dziesiąta? - zapytał, odwijając ręcznik i wycierając głowę.

- Dziesięć po - rzekł Guy.

- Benson sugerował, żebym się zapisał do towarzystwa teatralnego. Tam moglibyśmy poznać jakieś dziewczyny.

- Nie sądzę, żeby Benson interesował się dziewczynami. George gwałtownie się odwrócił.

- Chyba nie chcesz powiedzieć...

- Na wypadek, gdybyś nie zauważył - rzekł Guy do przyjaciela, który stał przed nim nagi - nie tylko dziewczyny się za tobą oglądają.

- A ty kogo wolisz? - spytał George i trzepnął go ręcznikiem.

- Przy mnie możesz się czuć bezpiecznie - zapewnił go Guy. - A teraz, czy mógłbyś się wreszcie ruszyć? Bo wszyscy sobie pójdą, zanim jeszcze się tam pojawimy.

Gdy przecinali dziedziniec, George narzucił swoje zwykłe tempo i Guy z trudem za nim nadążał.

- Do jakich klubów wstąpisz? - spytał Guy, niemal biegnąc koło niego.

- Do takich, gdzie ciebie nie przyjmą - odparł George, szczerząc zęby w uśmiechu. - Co mi da duże pole do wyboru.

Zwolnili kroku, dołączywszy do rojnej gromady studentów, którzy też zmierzali na targi. Jeszcze byli daleko od parku Parkers Piece, a już słyszeli muzykę, śpiew chórów i tysiąc przekrzykujących się, rozentuzjasmowanych głosów.

Wielki obszar murawy zajmowały stoiska obsługiwane przez studentów, wrzaskliwych niczym uliczni sprzedawcy. George i Guy wędrowali pierwszym przejściem, napawając się atmosferą. Guya zainteresował mężczyzna w białym stroju krykiecisty, dzierżący kij i piłkę, co trochę raziło jesienią, który zagadnął:

- Czy któryś z was gra w krykieta?

- W drużynie Kolegium Winchester grałem na pozycji pałkarza inaugurującego mecz - rzekł Guy.

- To trafiłeś we właściwe miejsce - powiedział mężczyzna z kijem. - Nazywam się Dick Young.

Na dźwięk nazwiska człowieka, który grał w reprezentacji Anglii zarówno w krykiecie, jak i piłce nożnej, Guy lekko się skłonił.

- A twój przyjaciel? - zagadnął Dick.

- Lepiej nie tracić na niego czasu - rzekł Guy. - On mierzy wyżej, choć akurat rozgląda się za facetem, który też się nazywa Young. Dogonię cię potem, George - zwrócił się do przyjaciela.

George skinął głową i wmieszał się w tłum, nie zważając na krzyk:

- Czy śpiewasz? Szukamy tenora.

- Może być kastrat - zażartował ktoś.

- Czy umiesz grać w szachy? Musimy w tym roku dać łupnia tym z Oksfordu.

- Grasz na jakimś instrumencie muzycznym? - spytał ktoś z desperacją. - Choćby na cymbałach?

George nagle stanął, gdy na końcu przejścia spostrzegł nad stoiskiem płócienny daszek z napisem: Towarzystwo Fabiańskie, rok założenia 1884. Szybkim krokiem podążył w stronę człowieka, który wymachiwał jakąś broszurą i wykrzykiwał:

- Równość dla wszystkich!

Gdy George podszedł do mężczyzny, ten zapytał:

- Czy chciałbyś dołączyć do naszej gromadki? Czy też jesteś jednym z tych ograniczonych torysów?

- Skądże - rzekł George. - Od dawna kieruję się nauką Kwintusa Fabiusza Maksymusa. „Jeżeli umiesz wygrać bez gniewu, jesteś prawdziwym zwycięzcą”.

- Porządny z ciebie gość - powiedział młody człowiek i posunął przez stół formularz. - Zapisz się, to będziesz mógł przyjść w przyszłym tygodniu na nasze zebranie, na którym będzie przemawiał George Bernard Shaw. Przy okazji, nazywam się Rupert Brooke - dodał, wyciągając rękę. - Jestem sekretarzem klubu.

George serdecznie uściśnął podaną dłoń, po czym wypełnił formularz i go oddał. Brooke spojrział na podpis.

- Nieźle, stary! - odezwał się. - Czy te plotki są prawdziwe?

- Jakie plotki?

- Że dostałeś się na ten uniwersytet, przelazłszy przez mur kolegium?

George już chciał odpowiedzieć, kiedy ktoś z tyłu powiedział:

- A potem kazano mu wyleźć z powrotem. To jest zawsze najtrudniejsze.

- A to dlaczego? - spytał niewinnie Brooke.

- To proste - rzekł Guy, zanim George miał szansę się odezwać.

- Kiedy się wspinasz na skalną ścianę, ręce dzieli od oczu tylko kilkanaście centymetrów, ale gdy schodzisz, stopy są co najmniej półtora metra niżej, więc gdy spojrzysz w dół, łatwiej możesz stracić równowagę. Rozumiesz?

George wybuchnął śmiechem.

- Nie słuchaj mojego przyjaciela - powiedział. - Nie tylko dlatego, że to ograniczony torys, ale w dodatku pacholek systemu kapitalistycznego.

- To prawda - potwierdził Guy bez cienia wstydu.

- A do jakich klubów się zapisałeś? - spytał Brooke, zwróciwszy się do niego.

- Poza klubem krykietowym do Cambridge Union, do Towarzystwa Disraelego i do Legii Akademickiej - wyliczył Guy.

- Wielkie nieba - westchnął Brooke. - Czy nie ma nadziei dla tego człowieka?

- Niestety, nie - przyznał Guy. Zwrócił się do George'a i dodał: - Ale za to znalazłem to, czego szukasz, więc chodźmy.

George pozdrowił Brooke'a, unosząc bilet, co ten odwzajemnił. Guy skierował się do następnego rzędu stoisk, gdzie triumfalnie wskazał białą markizę z napisem CUMC*, rok założenia 1904.

* CUMC - Cambridge University Mountaineering Club, jeden z najstarszych klubów wspinaczkowych w Wielkiej Brytanii.

George klepnął przyjaciela w plecy. Zaczął oglądać fotografie dawnych i obecnych studentów stojących na Wielkiej Przełęczy św. Bernarda, na szczytach Mont Velan i Monte Rosa. Na tablicy po drugiej stronie stolika widniało wielkie zdjęcie Mont Blanc z napisem: „Wybierz się z nami w przyszłym roku do Włoch, jeżeli chcesz się potrudzić”.

- Jak tu można wstąpić? - zapytał George niskiego, krępego studenta stojącego obok wyższego, z czekanem w ręku.

- Do Klubu Wysokogórskiego nie można wstąpić, chłopie - padła odpowiedź. - Trzeba zostać wybranym.

- Co trzeba zrobić w tym celu?

- To bardzo proste. Zgłoś się na jakieś spotkanie naszego klubu na Pen-y-Pass, to wtedy zdecydujemy, czy jesteś wspinaczem, czy tylko weekendowym turystą.

- Powinniście wiedzieć - przerwał mu Guy - że mój przyjaciel...

- ...chętnie się zgłosi - dopowiedział George, zanim Guy zdążył dokończyć zdanie.

Obaj zapisali się na weekendową wycieczkę do Walii i oddali formularze zgłoszeniowe wyższemu z dwóch mężczyzn stojących za stolikiem.

- Ja jestem Somervell - oznajmił. - A to O deli. Jest geologiem, więc bardziej interesuje się badaniem skał niż wspinaczką. A ten z tyłu - dodał, wskazując na starszego mężczyznę - to Geofłrey Winthrop Young z Klubu Alpejskiego. Jest naszym honorowym przewodniczącym.

- Najznakomitszy wspinacz w kraju - rzucił George. Young się uśmiechnął, czytając formularz zgłoszeniowy George'a.

- Graham Irving lubi przesadzać - powiedział. - Ale już do mnie napisał o twojej ostatniej wyprawie w Alpy. Jak się znajdziemy na Pen-y-Pass, będziesz miał szansę pokazać, czyś taki dobry, jak on twierdzi.

- Jest lepszy - wtrącił Guy. - Irving nie wspomniał o naszej wizycie w Paryżu, gdzie... ooch! - wrzasnął, gdy George kopnął go w goleń.

- Czy miałbym szansę wybrać się z wami na wyprawę na Mont Blanc? - spytał George.

- To raczej niemożliwe - rzekł Young. - Jest paru innych chętnych na ten wypad.

Pierwszorocznik z Kolegium Magdaleny wzbudził teraz o wiele większe zainteresowanie Somervella i Odella. Trudno było sobie wyobrazić dwóch bardziej niepodobnych do siebie młodych mężczyzn niż ci dwaj. Odell miał niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, rudawą czuprynę, rumianą twarz i bladoniebieskie oczy. Wyglądał zbyt młodo na studenta, ale gdy zaczynał mówić, wydawał się starszy. Natomiast Somervell miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i ciemną, rozwichrzoną czuprynę, która wyglądała, jakby rzadko dotykał jej grzebień. Miał czarne oczy pirata, ale gdy zadawano mu pytanie, pochylał głowę i mówił cicho, nie dlatego, żeby zachowywał rezerwę, ale po prostu był nieśmiały. George instynktownie czuł, że ci dwaj tak różni mężczyźni do końca życia będą jego przyjaciółmi.

Sobota, 23 czerwca 1906

Gdyby ktoś spytał Georgea - jak uczynił to ojciec - co osiągnął w pierwszym roku w Cambridge, toby odpowiedział, że zyskał o

wiele więcej niż ocena dostateczna na egzaminach na koniec trymestru.

- Czy możliwe, że zaangażowałeś się w zbyt wiele pobocznych zajęć - upomniał go wielebny Mallory - a żadne nie będzie pomocne, kiedy przyjdzie ci wybrać zawód?

George nie zaprzętał sobie tym specjalnie głowy.

- Bo nie muszę ci przypominać, mój chłopcze - rzekł ojciec, robiąc to właśnie - że nie posiadam wystarczających środków, które by ci pozwoliły pędzić żywot bez konieczności zarobkowania.

Tę opinię wielebny Mallory wyrażał nader dobitnie od pierwszego dnia nauki syna w prywatnej szkole podstawowej.

George był pewien, że takiej rozmowy nie było między Guyem i jego ojcem, mimo że przyjaciel też zdał z trudem na trójczybę. George uznał, że nie jest to właściwy moment, aby oznajmić tacie, że jeśli znajdzie się wśród szczęśliwców wytypowanych przez Geoffreya Younga do wspinaczki w Alpach, to pojedzie tego lata do Włoch.

W odróżnieniu od przyjaciela wstydził się słabego stopnia. Jednakże pan Benson go zapewnił, że niewiele mu brakowało do oceny dobrej, i dodał, że jeżeli trochę bardziej się przyłoży do nauki podczas następnych dwóch lat, to powinien ukończyć końcowe egzaminy właśnie z taką oceną - a gdyby zdobył się na pewne poświęcenia, mógłby się nawet pokusić o stopień celujący.

George się zastanawiał, jakie poświęcenia pan Benson miał na myśli. Przecież wybrano go do komitetu Towarzystwa Fabiańskiego, gdzie jadał obiady z George'em Bernardem Shawem i Ramsayem

MacDonaldem. Wieczory spędzał regularnie w towarzystwie takich postaci, jak Rupert Brooke, Lytton Strachey, Geoffrey i John Maynard Keynes i Ka Cox - oni wszyscy cieszyli się wielkim uznaniem pana Bensaona. Grał nawet papieża w sztuce Marlowea Tragiczne dzieje doktora Fausta w inscenizacji Brooka - choć pierwszy gotów był przyznać, że recenzje nie były pochlebne. Zaczął też pisać pracę o Boswellu, którą miał nadzieję w przyszłości opublikować. Ale wszystko to było drugorzędne przy jego staraniach, żeby go wybrano do Klubu Alpejskiego. Czy pan Benson oczekiwał, że poświęci w wszystko, aby uzyskać upragnioną najwyższą ocenę?

Rozdział 10

George Mallory nigdy jeszcze nie wspinał się z kimś, kto był mu równy. Dopóki nie spotkał George'a Fincha.

Podczas przerwy wakacyjnej w trymestrze św. Michała George wybrał się do Walii na jedno ze spotkań Klubu Wysokogórskiego Uniwersytetu Cambridge w Pen-y-Pass. Co dzień Geoffrey Young dobierał zespół do porannej wspinaczki i George wkrótce zaczął darzyć szacunkiem Odella i Somervella, którzy nie tylko byli świetnymi kompanami, ale też dotrzymywali mu kroku na trudniejszych zboczach.

W czwartek rano George wraz z Finchem wyznaczeni zostali do wspinaczki granią Crib Goch, Crib-y-Ddysgl, Snowdon i Lliwedd. Gdy obydwaj mozolnie wdrapywali się na Snowdon, często

posuwając się na czworakach, George pojął, że ten młody Australijczyk nie spocznie, dopóki wszystkich nie zostawi za sobą.

- To nie są wyścigi - rzekł George, gdy reszta wspinaczy została w tyle.

- Właśnie że są - rzucił Finch, nie zwalniając tempa. - Czyś nie zauważył, że Young zaprosił na ten wypad tylko dwie osoby, które nie studiują w Oksfordzie albo w Cambridge? - Umilkł, żeby nabrać tchu, i wypalił: - I ta druga to kobieta.

- Nie zwróciłem na to uwagi - przyznał George.

- Jeżeli mam mieć jakąś nadzieję, że Young mi zaproponuje, żebym pojechał z nim w lecie w Alpy - mruknął Finch - to muszę mu pokazać, kto jest najlepszy ze wszystkich kandydatów.

- Naprawdę? - rzekł George, przyspieszając i wyprzedzając swojego pierwszego rywala.

Kiedy okrążyli Snowdon Horseshoe, Finch znów był u jego boku. Obaj dyszeli, niemalże zbiegając ze wzgórza. George zwolnił tempo, pozwalając się wyprzedzić Finchowi, gdy ukazał się hotel w Pen-y-Pass.

- Jesteś dobry, Mallory, ale czy dość dobry? - mruknął Finch, gdy George zamówił dwa piwa. Byli przy następnej kolejce, kiedy dołączyli do nich Odell z Somervellem.

Kilka miesięcy później dwaj rywale doskonalili swoje umiejętności we wspinaczce skalnej w Kornwalii, a gdy pytano Younga, który jego zdaniem jest lepszy, nie kwapił się z odpowiedzią. Jednakże George uznał, że gdy w lecie staną na zboczach Alp

włoskich, Young musi zdecydować, którego z nich wybrać na partnera do niełatwej próby wejścia na Mont Blanc z doliny Courmayeur.

Między wspinaczami, którzy regularnie uczestniczyli w wycieczkach do Walii i Kornwalii, był ktoś, z kim George chciałby częściej przebywać. Dziewczyna nazywała się Cottie Sanders. Córka bogatego przemysłowca mogłaby śmiało studiować w Cambridge, gdyby jej matka uważała, że to przystoi młodej damie. George, Guy i Cottie regularnie wybierali się we troje na poranną wspinaczkę, ale gdy na niższych zboczach zjedli lunch, Young nalegał, żeby George zostawił tamtych dwoje i wraz z Finchem, Somervellem i Odellem ruszał na trudniejsze wspinaczki popołudniowe.

Cottie nie była piękną według powszechnie przyjętych gustów, ale George rzadko tak się dobrze czuł w towarzystwie kobiety. Cottie była niewysoka, a jeżeli miała ładną figurę, to ją skrętnie skrywała pod warstwami swetrów i spodni. Piegowata twarzyczka i kręcone kasztanowe włosy nadawały jej wygląd chłopczycy. Ale nie to pociągało w niej George'a.

Jego ojciec w porannych kazaniach często mówił o „wewnętrznym pięknie” i George, który siedział na swym miejscu w przedniej ławce, często sobie z tego w duchu kpił. Ale to było, zanim spotkał Cottie. Nie zauważył jednak, że jej oczy zawsze rozbłyskują w jego obecności. A gdy Guy ją zapytał, czy kocha Georgea, po prostu powiedziała:

- Chyba wszyscy go kochają?

Ile razy Guy poruszał ten temat, George zawsze odpowiadał, że Cottie jest dla niego tylko koleżanką.

- Co myślisz o George'u Finchu? - spytała Cottie któregoś dnia, kiedy usiedli na wierzchołku skały, żeby zjeść lunch.

- Czemu pytasz? - rzekł George, rozwijając pergaminowy papier i wyjmując kanapkę.

- Ojciec kiedyś mi powiedział, że tylko politycy odpowiadają pytaniem na pytanie.

George się uśmiechnął.

- Przyznaję, że Finch jest wyjątkowo dobrym wspinaczem, ale można go mieć dość, jak się przebywa z nim przez cały dzień.

- Mnie wystarczyło dziesięć minut - wyznała Cottie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał George, zapalając fajkę.

- Kiedy nikt nas nie widział, próbował mnie pocałować.

- Może się w tobie buja? - rzucił George, bagatelizując sprawę.

- Nie sądzę. Nie jestem w jego typie.

- Ale musisz mu się podobać, skoro chciał cię pocałować.

- Tylko dlatego, że jestem jedyną dziewczyną w promieniu osiemdziesięciu kilometrów.

- Czterdziestu siedmiu, moja miła - rzekł George ze śmiechem i stuknął fajką o skałę. - Widzę, że zbliża się nasz szacowny wódz - dodał i pomógł Cottie wstać.

George był rozczarowany, że Young nie chce sprowadzić zespołu z Lliwedd interesująco wyglądającym zejściem skalnym filarem. Gdy zeszli niżej, z irytacją stwierdził, że zostawił fajkę i musi po nią wrócić na szczyt. Cottie zgodziła się pójść z nim, ale gdy dotarli do podstawy skały, George poprosił, żeby poczekała, bo nie chciało mu się iść dłuższym szlakiem i obchodzić olbrzymiej przeszkody dokoła.

Patrzyła z niedowierzaniem, jak się wspina stromą ścianą skalną bez cienia lęku. Gdy dotarł na wierzchołek, zabrał fajkę, wsadził ją do kieszeni i zszedł tą samą drogą.

Wieczorem przy kolacji Cottie opisała kolegom, czego była świadkiem. Z ich sceptycznych min można było poznać, że nikt jej nie uwierzył. George Finch nawet się roześmiał i szepnął do Younga:

- Ona myśli, że George to sir Galahad*.

* Sir Galahad - w późnej legendzie arturiańskiej jeden z najczystszych i najszlachetniejszych rycerzy Okrągłego Stołu, zdobywca św. Graala.

Young się nie śmiał. Zastanawiał się, czy George Mallory nie byłby dla niego idealnym partnerem do wspinaczki, którą nawet Królewskie Towarzystwo Geograficzne uważało za niemożliwą.

Miesiąc później Young napisał do siedmiu wspinaczy z zaproszeniem na wyprawę we włoskie Alpy podczas letnich wakacji. Zapowiedział, że nie wybierze pary, która dokona szturmu na Mont

Blanc z doliny Courmayeur, dopóki się nie przekona, który z nich najlepiej się zaaklimatyzuje w trudnych warunkach.

Guy Bullock i Cottie Sanders nie dostali zaproszenia, bo Young uważał, że ich obecność tylko by przeszkadzała.

- To mogłoby być miłe - oznajmił, kiedy ekipa zebrała się w Southampton - podczas weekendu w Walii, ale nie w Courmayeur, gdzie czeka nas wspinaczka najbardziej zdradliwymi stokami w Europie.

Rozdział 11

Sobota, 14 lipca 1906

Niczym nocni włamywacze wymknęli się niepostrzeżenie z hotelu, z tobołkami pod pachą. W milczeniu przecięli nieoświetloną ulicę i przepadli w lesie, wiedząc, że minie trochę czasu, zanim koledzy, którzy teraz prawdopodobnie przebierają się do kolacji, zauważą ich nieobecność.

Kilka pierwszych dni było udanych. Ściągnęli do Courmayeur w piątek, kiedy pogoda była idealna do wspinaczki. Tydzień później, „zaliczywszy” - według ulubionego wyrażenia Geoffreya Younga - Aiguille du Chardonnet, Grepon i Mont Maudit, wszyscy szykowali się do ostatniego wyzwania, zakładając, że pogoda się utrzyma.

Kiedy stojący zegar w hotelu wybił siódmą, honorowy przewodniczący CUMC postukał łyżeczką o szklanę. Pozostali członkowie komitetu umilkli.

- Punkt pierwszy - odezwał się Geoffrey Young, spojrzawszy na listę z porządkiem obrad - wybór nowego członka. Pan Somervell zaproponował, a pan Odell poparł kandydaturę Georgea Mallory'ego.

- Podniósł głowę. - Kto jest za?

Pięć rąk wystrzeliło w górę.

- Przegłosowano jednogłośnie - oznajmił Young. Jego słowom towarzyszyły brawa, coś, co jeszcze nigdy się nie zdarzyło. - Zatem ogłaszam, że George Leigh Mallory został wybrany na członka CUMC.

- Może ktoś powinien pójść i go poszukać - zauważył Odell - żeby mu oznajmić dobrą nowinę?

- Jeżeli chcesz znaleźć Mallory'ego, to lepiej włóż buty do wspinaczki - powiedział tajemniczo Young.

- Wiem, że on nie studiuje w Cambridge - rzekł Somervell - ale proponuję, żebyśmy wybrali George'a Fincha na honorowego członka klubu. W końcu jest świetnym wspinaczem.

Nikt się nie kwapił z poparciem tej propozycji.

George potarł zapałkę i zapalił płomień pod prymusem. Obaj mężczyźni siedzieli w namiocie po turecku, twarzami do siebie. Ogrzewali dłonie, czekając, aż się zagotuje woda, co trwa długo, kiedy człowiek znajduje się w połowie drogi na górski szczyt. George

postawił na ziemi dwa kubki, a Finch rozerwał opakowanie batonu Kendal Mint Cake, przełamał go na pół i podał spory kawałek partnerowi wspinaczki.

Dzień wcześniej stali obaj na wierzchołku Mont Maudit i spoglądali w górę na Mont Blanc, tylko sześćset metrów wyżej, zastanawiając się, czy jutro będą patrzeć z niej w dół.

George spojrzął na zegarek: za dwadzieścia pięć ósma. O tej porze Geoffrey Young przypuszczalnie przedstawia ekipie jutrzejszy program, informując, kto mu będzie towarzyszył w szturmie na szczyt. Woda się zagotowała.

- To był niezwykły tydzień - ciągnął Young. - Powiedziałbym nawet, że najbardziej pamiętny w moim życiu wspinacza, co zresztą jeszcze bardziej utrudnia mi podjęcie decyzji, kogo wybrać na partnera, który zaatakuje ze mną jutro szczyt. Aż za dobrze zdaję sobie sprawę, że niektórzy z was od lat czekają na tę szansę, wszakże nie tylko jeden poczuje się rozczarowany. Jak wiecie, wejście na Mont Blanc technicznie nie jest trudne dla doświadczonego wspinacza... jeśli, naturalnie, nie spróbuje tego dokonać od strony Courmayeur. - Umilkł na chwilę, po czym podjął: - W skład zespołu wejdzie nas pięciu: ja, Somervell, Odell, Mallory i Finch. Wyruszymy jutro o czwartej rano i osiągniemy wysokość cztery tysiące sześćset dziewięćdziesiąt cztery metry, i tam odpoczniemy dwie godziny. Jeżeli pogoda, ta kapryśna pani, nam pozwoli, to trzyosobowy zespół szturmowy ruszy do ataku na szczyt. - Odell i Somervell zejść do

schroniska Grand Mulets na wysokości cztery tysiące osiemdziesiąt cztery metry, gdzie Somervell będzie czekał na powrót zespołu szturmowego.

- Triumfalnego powrotu - powiedział wielkodusznie Somervell, chociaż ani on, ani Odell nie mogli ukryć zawodu, że nie wybrano ich do ataku na szczyt.

- Miejmy nadzieję - rzekł Young. - Wiem, jak niektórzy z was czują się rozczarowani, że nie zostali wybrani do zespołu szturmowego, ale nie zapominajcie, że bez grupy wspierającej nie można zdobyć żadnej góry i że każdy członek ekipy odegra swoją rolę. Jeżeli jutrzejszy atak z jakiegoś powodu się nie powiedzie, wtedy poproszę Odella i Somervella, żeby wraz ze mną pod koniec tygodnia ponownie zaatakowali szczyt.

Obydwaj mężczyźni uśmiechnęli się smutno, niczym zdobywcy srebrnego medalu na olimpiadzie.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia oprócz tego, kto będzie moim partnerem w szturmie na szczyt.

George zdjął rękawicę, odkręcił pokrywkę słoika z bovrilem i wrzucił pełną łyżkę gęstego brązowego koncentratu mięsnego do kubków. Finch dolał gorącej wody, porządnie wymieszał zawartość i wręczył George'owi napój. George ułamał następny kawałek kendał mint cake i podał Finchowi większą część. Milcząc, delektowali się posiłkiem. W końcu George przerwał milczenie.

- Ciekaw jestem, kogo wybierze Young.

- Na pewno ciebie - rzekł Finch, grzejąc dłonie o kubek. - Ale nie wiem, kogo jeszcze: Odella, Somervella czy mnie. Jeśli zdecyduje się na najlepszego wspinacza, to będę ja.

- Dlaczego nie miałyby wybrać najlepszego?

- Ja nie jestem swojakiem z Oksfordu czy z Cambridge, stary - rzekł Finch, przedrzeźniając akcent kolegi.

- Young nie jest snobem - zauważył George. - To nie wpłynie na jego decyzję.

- Oczywiście moglibyśmy uprzedzić jego decyzję - podsunął Finch, szczerząc zęby.

- Co masz na myśli? - zdziwił się George.

- Moglibyśmy wyruszyć na szczyt zaraz z rana, a potem usiąść i czekać, który z nich do nas dołączy.

- To by było pyrrusowe zwycięstwo - rzucił George, wypijając swój napój do dna.

- Zwycięstwo jest zwycięstwem - rzekł Finch. - Spytaj jakiegoś mieszkańca Epiru, co sądzi o słowie „pyrrusowe”.

George nic nie powiedział, tylko wśliznął się w śpiwór. Finch rozpiął rozporek i wyszedł z namiotu. Spojrzał na szczyt Mont Blanc błyszczący w świetle księżyca i nawet pomyślał, czy zdołałby wspiąć się nań sam. Kiedy z powrotem wczółgał się do namiotu, George już smacznie spał.

- Nie mogę znaleźć żadnego z nich - rzekł Odell, powróciwszy do kolegów przy kolacji. - Wszędzie szukałem.

- Mają jutro ważny dzień, więc starają się odpocząć - powiedział Young, przed którym akurat postawiono talerz z gorącym bulionem. - Ale nie jest łatwo spać w temperaturze minus dwudziestu stopni. Muszę trochę zmodyfikować jutrzejszy plan.

Wszyscy przy stole przestali jeść i zwrócili się ku niemu.

- Do mnie, Odella i Somervella dołączy Herford.

- A co z Mallorym i Finchem? - spytał Odell.

- Czuję, że obaj będą już siedzieć w Grand Mulets i na nas czekać.

Rozdział 12

Mallory i Finch byli już po lunchu, gdy Young z zespołem dotarł do nich do schroniska w Grand Mulets. Nie odzywali się, czekając, jak zareaguje przywódca wyprawy na ich zuchwalstwo.

- Próbowaliście wejść na szczyt? - spytał Young.

- Ja chciałem - odparł Finch, wchodząc za nim do schroniska - ale Mallory się sprzeciwił.

- Bystry z niego chłopak - rzekł Young.

Rozłożył na stole starą pergaminową mapę. George i Finch uważnie słuchali, kiedy objaśniał im proponowaną drogę przejścia ostatnich sześciuset siedemdziesięciu metrów.

- To będzie moja siódma próba wejścia z Courmayeur - powiedział. - A jeśli osiągniemy szczyt, to będzie zaledwie trzecia udana, więc szanse są mniejsze niż pół na pół.

Złożył mapę i schował do plecaka. Wymienił uścisk ręki z Somervellem, Herfordem i Odellem.

- Dziękuję wam, panowie - rzekł. - Postaramy się wrócić do was przed piątą. Najpóźniej wpół do szóstej. Czekać na nas z kubkiem gorącego earl greya - dodał z uśmiechem. - Nie możemy ryzykować późniejszego powrotu - spojrzał w górę na groźny szczyt, po czym zwrócił się do wybranych towarzyszy: - Czas związać się liną. Zapewniam was, panowie, że z tą damą lepiej nie zadawać się po ciemku.

Przez następną godzinę wszyscy trzej posuwali się systematycznie wąską granią, która miała ich zaprowadzić na wysokość trzystu metrów od szczytu. George zaczynał się już zastanawiać, po co te korowody, ale to było, zanim dotarli do Wrót Stodoły, olbrzymiej turni lodowej obrzeżonej z obu stron litą skałą pełniącą rolę jakby podpórek do książek. Była też prostsza, dłuższa droga na szczyt, ale, wedle słów Younga, nadająca się dla kobiet i dzieci.

Young usiadł u podnóża Wrót Stodoły i znowu oglądał mapę.

- Teraz zrozumiecie, dlaczego przez te wszystkie weekendy trenowaliśmy wspinaczkę skalną - powiedział.

George nie mógł oderwać oczu od Wrót, usiłując znaleźć jakieś pęknięcia w gładziźnie bądź zagłębienia, którymi inni wspinacze przeszli wcześniej. Na próbę postawił stopę w wąskiej rysie.

- Nie - rzucił stanowczo Young, który podszedł, żeby objąć prowadzenie. - Może za rok.

Young zaczął powoli trawersować gigantyczną, przewieszoną turnię lodową, to znikając z oczu, to pojawiając się po chwili. Każdy z nich zdawał sobie sprawę, że jeżeli jeden popełni drobny błąd, to wszyscy, złączeni liną niczym pepowiną, stoczą się w dół.

Finch spojrział w górę. Young był niewidoczny i jedyne, co było widać, to obcasy okutych butów Georgea, znikające za krawędzią. Centymetr po centymetrze Mallory i Finch wolno podążali za Youngiem, ze świadomością, że przy najmniejszym fałszywym ruchu Wrota Stodoły zatrzaskną się im przed nosem i kilka sekund później zostaną pogrzebani w nieoznaczonym grobie.

Centymetr po centymetrze...

W Grand Mulets Odell stał nad ogniem, przypiekając kawałek chleba, a Herford gotował w imbryku wodę na herbatę.

- Ciekaw jestem, jak daleko doszli - powiedział Odell.

- Założyłbym się, że próbują znaleźć klucz do Wrót Stodoły - rzekł Somervell.

- Powinienem wracać - oznajmił Odell - żeby śledzić ich wspinaczkę przez hotelowy teleskop. Jak tylko zobaczę, że zeszli do was, zamówię kolację.

- I butelkę szampana - podsunął Somervell.

Young wydzwignął się na półkę nad Wrotami Stodoły. Nie musiał czekać długo na obu towarzyszy. Żaden z nich nie odzywał się przez pewien czas i nawet Finch nie udawał, że nie jest utrudzony.

Niespełna dwieście pięćdziesiąt metrów nad nimi majaczył szczyt Mont Blanc.

- Nie myślcie, że dzieli was od niego dwieście pięćdziesiąt metrów - przestrzegł Young. - To raczej trzy kilometry, a z każdym krokiem będziecie wdychać coraz rzadsze powietrze. - Zerknął na zegarek. - Nie pozwólmy tej damie czekać.

Chociaż skalisty teren wydawał się nie tak trudny jak Wrota Stodoły, był jednak zdradliwy; szczeliny lodowcowe, oblodzone kamienie i nierówne skały pokryte tylko cienką warstwą śniegu czyhały na najdrobniejszy błąd. Wierzchołek jawił się zwoźniczo blisko, ale ta dama okazała się bałamutna. Upłynęły jeszcze dwie godziny, zanim Young w końcu postawił stopę na szczycie.

Gdy Mallory pierwszy raz ujrzał widok roztaczający się z najwyższej góry Alp, zabrakło mu słów.

- Magnifique! - wykrztusił w końcu, ogarniając wzrokiem rozwinięte nad wiek potomstwo madame Blanc, widniejące tak daleko jak wzrok sięgał.

- To jeden z paradoksów wspinaczki górskiej - odezwał się Young - że dorośli mężczyźni przez długie miesiące przygotowują się do wyprawy, całymi tygodniami ćwiczą i doskonalą umiejętności i w końcu jeden dzień poświęcają na zdobycie góry. A potem, osiągnąwszy cel, spędzają tylko kilka chwil, radując się tym sukcesem wraz z jednym czy dwoma podobnie stukniętymi towarzyszami, których niewiele łączy poza tym, że chcą znów to wszystko powtórzyć, ale tym razem trochę wyżej.

George skinął głową. Finch się nie odezwał.

- Panowie, muszę zrobić jedną rzecz, zanim zaczniemy schodzić
- rzekł Young.

Wyjął z kieszeni kurtki suwerena, schylił się i położył go na śniegu. Mallory i Finch zafascynowani obserwowali ten rytuał, ale nie komentowali.

- Król Anglii składa wyrazy uszanowania, madame - powiedział Young - i ma nadzieję, że zezwoli pani jego pokornym poddanym na bezpieczny powrót do ojczyzny.

Kiedy Odell przybył do hotelu kilka minut po czwartej, najpierw zamówił butlę ponczu, po czym wyszedł na werandę i zajął postereunek. Spojrzał przez wielki teleskop, a gdy ustawił ostrość na króliku zmykającym do lasu, przeniósł wzrok na górę. Skierował teleskop wyżej, ale chociaż dzień był bezchmurny, wiedział, że wspinacze będą wielkości mrówek i szukanie ich jest bezcelowe.

Skierował teleskop w dół i skupił uwagę na drewnianym szałasie na Grand Mulets. Wydało mu się, że widzi stojące przed nim dwie postaci, ale nie mógł rozpoznać, który jest Somervell, a który Herford. Podeszedł do niego kelner w białej kurtce i podał mu czarę gorącego ponczu. Odell rozparł się, delektując się gorącym trunkiem, który zwilżył mu wyschnięte gardło. Puścił wodze fantazji i przez chwilę wyobrażał sobie, jak to jest, kiedy otworzywszy Wrota Stodoły, staje się na szczycie Mont Blanc.

Spojrzał znowu przez teleskop, choć się nie spodziewał, że przed piątą będzie się coś działo w Grand Mulets. Young to solidny gość, zjawi się punktualnie. Pomyślał, że gdy tylko ujrzy wracających wspinaczy, każe zamrozić butelkę szampana, żeby go wypić wraz z triumfatorami. W holu stojący zegar uderzył raz, co oznaczało wpół do piątej. Odell skierował teleskop na Grand Mulets, na wypadek gdyby zespół wspinaczy zjawił się przed czasem, ale wciąż nie było widać żadnego ruchu. Wolno naprowadził teleskop na wyższą partię góry, licząc, że w soczewce pojawią się trzy punkciki.

- O Boże, nie! - wykrzyknął.

- Una problema, signorei - zapytał kelner, który dolewał mu ponczu.

- Lawina! - odparł Odell.

Rozdział 13

George usłyszał z tyłu charakterystyczny huk, ale nie zdążył się odwrócić.

Śnieg uderzył go jak olbrzymia fala, zmiatająca wszystko przed sobą. Rozpaczliwie próbował utrzymać się w wyprostowanej pozycji, mocno pracując ramionami jak w żabce, w nadziei że zachowa przed twarzą niszę powietrzną, żeby zyskać trochę czasu, jak zalecał podręcznik. Kiedy jednak uderzyła go druga fala, wiedział, że zginie. Trzecia i ostatnia obracała nim jak kamykiem, porywając go w dół, w dół, w dół.

Przemknęła mu przez głowę myśl o matce, która zawsze lękała się takiej chwili, potem o ojcu, który nigdy o tym nie mówił, a wreszcie o bracie i siostrach, którzy go przeżyją. Czy tak wygląda piekło? Nagle się zatrzymał. Leżał przez moment bez ruchu, usiłując siebie przekonać, że wciąż żyje, i dowiedzieć się, gdzie jest. Spadł na dno lodowej szczeliny, lodowej jaskini Aladyna, której piękno w innych okolicznościach by podziwiał. Co radził podręcznik? Szybko się zorientować, gdzie góra, gdzie dół, żeby przynajmniej poruszać się we właściwym kierunku. Dostrzegł ciemne szare światło dziesięć, może dwanaście metrów nad głową.

Przypomniał sobie następne zalecenie: sprawdź, czy kości masz całe. Poruszył palcami prawej ręki; wciąż miał ich pięć. Lewa dłoń była bardzo zmarznięta, ale też mógł nią poruszać. Wyciągnął prawą nogę i niepewnie uniósł. Miał jedną nogę. Uniósł lewą - a więc dwie. Oparł się na rękach i wolno, bardzo wolno się podźwignął. Zlodowaciały mu palce. Rozejrzał się za rękawiczkami, ale nigdzie ich nie było. Musiał je stracić podczas upadku.

Jaskinię wypełniały ze wszystkich stron wystające żebra lodowe tworzące szereg naturalnych stopni do szczytu. Ale czy były bezpieczne? George przeczołgał się przez miękki śnieg na drugą stronę swego więzienia i kopnął lód czubkiem okutego buta. Lód ani drgnął. Minęło sto, a może więcej lat, zanim osiągnął taką grubość, i tak łatwo się nie podda. George poczuł się trochę pewniej, ale powtarzał sobie, żeby postępować według zasad, nie śpieszyć się i niepotrzebnie nie ryzykować. Przez pewien czas usiłował wybadać, po

których stopniach tej szczególnej drabiny mógłby się wspiąć. Wyglądało na to, że najlepszy szlak zaczyna się po przeciwnej stronie jaskini, więc przeczołgał się z powrotem i uchwycił dolny stopień. Pomodlił się. Kiedy człowiek jest w niebezpieczeństwie, pragnie wierzyć, że jest Bóg.

Postawił ostrożnie stopę na występie lodowym, kilkanaście centymetrów nad dnem jaskini, a potem schwycił drugi powyżej gołymi rękoma, teraz skostniałymi z zimna, i wolno podciągnął się w górę. Zaryzykował i obciążył całym ciężarem ciała dolny stopień, bo gdyby się pod nim załamał, to spadłby jedynie z niewielkiej wysokości w miękki śnieg. Ale stopień wytrzymał, co zachęciło go do dalszej wspinaczki szczeblami owej drabiny Jakubowej i do próby odkrycia, czy dołączy do aniołów czy do ziemskich towarzyszy.

Był mniej więcej w połowie wysokości, z każdym ruchem bardziej pewny siebie, kiedy kawałek lodu ukruszył mu się w ręce. Stopa od razu ześliznęła się z lodu poniżej, więc zawisł na jednej ręce, jakieś dziesięć metrów nad dnem jaskini. Oblał się potem w szczelinie lodowej, w której byłochyba minus czterdzieści stopni. Zaczął się wolno kołysać w tył i w przód, pewien, że bogowie w górze postanowili przedłużyć mu życie o kilka minut i że lada chwila lód, którego się uczepił, pęknie. „Wtem jedną stopą wymacał oparcie dla czubka buta, potem drugą następnę. Wstrzymał oddech, palce prawej ręki niemal stopiły się w jedno z lodem powyżej. Siły zaczęły go opuszczać. Odczekał chwilę, nim wybrał następny szczebel drabiny. Jeszcze trzy i będzie się mógł przecisnąć przez strugę światła. Wybrał

ostrożnie kolejny stopień, potem drugi i wreszcie mógł wystawić pięść przez niewielką szczelinę nad głową. Krzyknąłby z radości, ale nie miał chwili do stracenia, gdyż ostatnie promienie słońca szybko się chowały za najwyższym wierzchołkiem.

George wystawił głowę przez otwór i rozejrzał się na lewo i na prawo. Nie musiał sobie przypominać instrukcji, by wiedzieć, że miejsce przed sobą trzeba oczyścić ze śniegu, żeby się dokopać do skały czy jakiegoś twardego podłoża.

Odgarniał śnieg gołymi rękoma, dopóki nie odsłonił płyty skalnej, na którą niedawno naniósł ją lawina. Zebrał wszystkie siły, żeby się wydźwignąć ze szczeliny, i uczeplił się krawędzi skały. Nie zwlekał, ale niczym krab przemknął jej powierzchnią, pełen lęku, że się ześlizgnie z oblodzonej skały z powrotem do krewasy.

Wtedy usłyszał, że ktoś śpiewa Matyldę*. Nietrudno było zgadnąć, kim jest solista. George brnął przez śnieg, aż dojrzał sylwetkę śpiewaka. Finch siedział wyprostowany i w kółko powtarzał refren. Widać nie znał drugiej zwrotki.

* Waltzing Matilda - znana ballada australijska, nazywana nieoficjalnym hymnem narodowym Australii. Jej słowa mówią o pieszej wędrowce z całym dobytkiem w tobołku („Matilda”) niesionym na plecach. Jest apoteozą australijskiego umiłowania wolności i włości.

- George, czy to ty? - krzyknął Finch, usiłując przebić wzrokiem padający śnieg.

Pierwszy raz zwrócił się do niego po imieniu.

- Tak, to ja - odkrzyknął George, przyczołgawszy się do niego. -
Co z tobą?

- W porządku - odparł Finch. - Oprócz złamanej nogi i tego, że
tracę czucie w palcach lewej stopy. Musiałem gdzieś po drodze zgubić
but. A ty jak się czujesz?

- Nigdy nie czułem się lepiej, stary - rzekł George.

- Ach, ci cholerni Anglicy - powiedział Finch. - Jeżeli mamy się
stąd wydostać, to musisz znaleźć moją latarkę.

- Gdzie mam jej szukać?

- Ostatnio widziałem ją trochę wyżej.

George zaczął pełznąć na czworakach jak mały szkrab. Już
zważył, gdy nagle ujrzał kilka metrów przed sobą na śniegu czarny
przedmiot. Radośnie krzyknął. Potem zaklął. To był tylko zgubiony
but Fincha. Nie ustawał i posuwał się dalej, aż znów ogarnęła go
radość, gdy zobaczył uchwyt latarki sterczący w śniegu. Dopadł jej i
pomodlił się w duchu, zanim się odważył ją włączyć. Strumień światła
zajaśniał w półmroku.

- Dzięki Bogu - mruknął George i ruszył z powrotem do Fincha.

Ledwo znalazł się przy nim, obaj usłyszeli jęk.

- To Young - rzekł Finch. - Idź i zobacz, czy możesz pomóc.
Tylko na litość boską wyłącz tę latarkę, póki słońce jeszcze całkiem
się nie schowało. Jeżeli Odell dostrzegł z hotelu lawinę, ekipa
ratownicza jest już pewno w drodze, ale minie wiele godzin, zanim do
nas dotrą.

George zgasił latarkę i popęzł w stronę, skąd dobiegał jęk, ale dopiero po dłuższym czasie natknął się na leżące w śniegu nieruchome ciało z prawą nogą podgiętą pod udem lewej.

- Wybierz się z Matyldą na włóczęgę...

George prędko odgarnął śnieg przy ustach Younga, ale nie próbował go poruszyć.

- Trzymaj się, przyjacielu - wyszeptał mu do ucha. - Somervell i Herford powinni już być w drodze. Na pewno przyjdą tu prędko.

Chciałby wierzyć w to, co mówi. Ujął rękę Younga i zaczął ją rozcierać, próbując przywrócić krążenie krwi, i przez cały czas odgarniał padający śnieg.

- Z Matyldą na włóczęgę...

Odell wypadł przez frontowe drzwi hotelu na podjazd i rzucił się do korby przedpotopowej syreny alarmowej. Pokręcił nią i syrena wydała ogłuszający, zgrzytliwy ryk, który zaalarmuje Somervella i Herforda.

Kiedy słońce całkiem się skryło za najwyższym wierzchołkiem, George postawił latarkę na śniegu i skierował ją w dół. Włączył ją i mrok przeszył strumień światła, ale jak długo ono przetrwa?

- Wybierz się z Matyldą na włóczęgę...

W poradniku nie było wzmianki o tym, co zrobić z fałszującym Australijczykiem, pomyślał George, kładąc głowę na śniegu i zapadając w sen. Niezły sposób, żeby umrzeć.

- Z Matyldą, z Matyldą...

Gdy George się przebudził, nie wiedział, gdzie jest, jak się tam znalazł i jak długo w tym miejscu przebywa. Ujrzał pielęgniarkę. Zasnął.

Kiedy się znowu ocknął, przy jego łóżku stał Somervell. Serdecznie się do niego uśmiechnął i powiedział:

- Witaj na świecie.

- Jak długo byłem nieprzytomny?

- Dwa, może trzy dni. Ale doktorzy są przekonani, żej w ciągu tygodnia postawią cię na nogi.

- A Finch?

- Ma nogę w gipsie, ale wcina suto śniadanie i śpiewa Matyldę każdej pielęgniarce, która ma ochotę słuchać.

- Co z Youngiem? - zapytał George, bojąc się najgorszego.

- Wciąż jest nieprzytomny, był wychłodzony i ma złamaną rękę. Medycy robią, co mogą, żeby go poskładać do kupy, i jak im się uda uratować mu życie, będzie ci musiał podziękować.

- Mnie?

- Gdyby nie twoja latarka, nigdy byśmy was nie znaleźli.

- To nie była moja latarka - powiedział George. - Tylko Fincha.

Zasnął.

Rozdział 14

Wtorek, 9 lipca 1907

- Kiedy śmierć zajrzy ci w oczy, nic potem nie jest już takie samo - powiedział Young. - To cię oddala od innych. George nalał gościowi herbaty.

- Chciałem się z tobą zobaczyć, Mallory, aby się upewnić, że to nie przez to okropne przeżycie przestałeś się wspinać.

- Skądże - odrzekł George. - Jest o wiele ważniejszy powód. Mój tutor przestrzegł mnie, że nie dostanę się na studia doktoranckie, jeśli nie zdam celująco.

- A jakie masz szanse, stary?

- Wydaje się, że jestem na granicy. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby przegrać tylko dlatego, że nie pracowałem wystarczająco pilnie.

- To zrozumiałe - zauważył Young. - Ale od samej pracy człowiek głupieje...

- Wolę być nudnym zwycięzcą niż błyskotliwym nieudacznikiem - odbił piłeczkę George.

- Ale czy po egzaminach pomyślisz o tym, żeby wybrać się ze mną latem w Alpy?

- Na pewno. - George się uśmiechnął. - Jeżeli jest coś czego się boję bardziej niż niezdania na stopień celujący, to myśli o Finchu, który staje na coraz wyższych szczytach i śpiewa Matyldę.

- Właśnie poznał wyniki swoich egzaminów - rzekł Young.

- I...?

Guy nie mógł się nadziwić, że George tak się przykłada do nauki przed końcowymi egzaminami. W czasie wiosennych ferii nie wyrwał się nawet na jeden dzień do Pen-y-Pass czy Kornwalii, nie mówiąc o Alpach. Zadawał się tylko z królami, despotami i możnowładcami, a jeżeli gdzieś się wyprawiał, to tylko na pola bitewne w odległych krainach, ucząc się dniami i nocami aż do rana w dniu rozpoczęcia egzaminów.

Po pięciu dniach bezustannego pisania i jedenastu różnych egzaminach pisemnych George wciąż nie był pewien, jak mu poszło. Taką pewnością mają tylko bardzo zdolni i bardzo tępi. Kiedy oddał ostatnią pracę, opuścił salę egzaminacyjną i wyłonił się na światło dzienne, zobaczył, że Guy siedzi na stopniach budynku, żeby go powitać, z butelką szampana w jednej ręce i z dwoma kieliszkami w drugiej. George usiadł obok niego i uśmiechnął się.

- Nie pytaj - powiedział, gdy Guy zajął się usuwaniem drutu z korka.

Przez następne dziesięć dni panował nastrój niepewności. Egzaminowani czekali, aż egzaminatorzy ogłoszą, której klasy dyplom uzyskali, a wraz z nim, jaką przeznaczono im przyszłość.

I chociaż pan Benson usilnie przekonywał swego ucznia, że niewiele mu brakowało do zwycięstwa, było prawdą, że George Leigh Mallory uzyskał dyplom drugiej klasy, a zatem nie będzie mógł wrócić do Kolegium Magdaleny w trymestrze św. Michała, by rozpocząć przewód doktorski. I nie na wiele się zdały słowa autora:

- Kiedy wiesz, że przegrałeś, poddaj się z godnością. Nie bacząc na zaproszenie Geoffreya Younga, który proponował spędzenie miesiąca w Alpach latem, George spakował manatki i wsiadł do pierwszego pociągu do Birkenhead. Gdyby go ktoś zapytał, nazwałby następne cztery tygodnie czasem refleksji, natomiast ojciec wciąż mówił o zaprzeczeniu, a matka, w czterech ścianach sypialni, tłumaczyła nietypowe zachowanie syna przygnębieniem.

- On już nie jest dzieckiem - mówiła. - Musi zdecydować, co zrobi ze swoim życiem.

Mimo protestów żony wielebny Mallory odczekał kolejny tydzień, zanim poruszył z synem temat jego przyszłości.

- Rozważam możliwości - powiedział ojcu George. - Chciałbym zostać pisarzem. Zacząłem już pracę nad książką o Boswellu.

- Może to pouczające, ale mało prawdopodobne, żeby było popłatne - stwierdził ojciec. - Przypuszczam, że nie chcesz mieszkać na poddaszu i żyć o chlebie i wodzie.

George nie mógł się z tym nie zgodzić.

- Czy myślałeś o karierze wojskowej? Byłbyś świetnym żołnierzem.

- Nigdy nie potrafiłem się podporządkować zwierzchnikom - odparł George.

- A zastanawiałeś się nad przyjęciem święceń kapłańskich?

- Nie, bo się obawiam, że jest nieprzezwyciężona przeszkoda.

- Cóż to takiego?

- Nie wierzę w Boga - powiedział po prostu George. - To nie przeszkodziło niektórym moim najznakomitszym kolegom przywdziać szat duchownych.

George wybuchnął śmiechem.

- Ale z ciebie cynik, tato - zauważył. Wielebny Mallory nie zareagował na uwagę syna.

- Może powinieneś pomyśleć o polityce, mój chłopcze.

Jestem pewien, że znalazłbyś okręg wyborczy, który z radością powierzyłby ci mandat poselski.

- Gdybym jeszcze wiedział, którą partię popieram - rzekł George. - Zresztą skoro posłom się nie płaci, polityka jest zajęciem bogatych.

- Podobnie jak górską wspinaczka - zauważył ojciec, unosząc brwi.

- To prawda - przyznał George. - Zatem muszę znaleźć zajęcie, które zapewni mi wystarczające środki na realizację mojego hobby.

- Więc ustalone - rzekł wielebny Mallory. - Zostaniesz nauczycielem.

Wprawdzie George nie powiedział, co myśli o sugestii ojca, lecz znalazłszy się w swym pokoju, usiadł i napisał do swojego dawnego wychowawcy z pytaniem, czy w szkole w Winchester nie ma wolnej posady belfra od historii. Pan Irving odpowiedział przed upływem tygodnia. Szkoła nie zdecydowała się jeszcze na wybór nauczyciela przedmiotów klasycznych, ale ostatnio przyjęła na staż nauczyciela

historii. George już żałował, że strawił miesiąc na rozmyślaniach. Jednakże, pisał dalej pan Irving, „doszło do mnie pocztą pantoflową, że Charterhouse* rozgląda się za nauczycielem historii i gdybyś chciał się starać o tę posadę, chętnie ci udzielę referencji”.

* Charterhouse School - jedna z najstarszych prestiżowych męskich średnich szkół angielskich, założona w 1611 roku. Najpierw się mieściła w dawnym budynku klasztoru kartuzów w Londynie, w 1872 roku została przeniesiona do Godalming w hrabstwie Surrey.

Dziesięć dni później George pojechał do Surrey na rozmowę z dyrektorem Charterhouse, wielebnym Geraldem Rendallem. Pan Irving przestrzegł George'a, że prawie wszystko po Winchester i Cambridge może go rozczarować, jednak George był mile zaskoczony, że wizyta sprawiła mu taką przyjemność. Ucieszył się i odczuł ulgę, kiedy dyrektor zaprosił go do grona nauczycielskiego, odrzuciwszy trzech innych kandydatów.

Gdy George odpisywał wielebnemu Rendallowi, że przyjmuje stanowisko, nie przewidywał, że nie szkoła, lecz jeden z członków jej zarządu zmieni jego życie.

1910

Rozdział 15

- Będę potrzebował dwóch pierwszorzędnych wspinaczy do ataku na szczyt - odparł GeofFrey Young.

- Czy ma pan kogoś' na myśli? - spytał sekretarz Królewskiego Towarzystwa Geograficznego.

- Tak - powiedział zdecydowanie Young, nie chcąc wyjawiać nazwisk.

- To lepiej, żeby się pan z nimi porozumiał - rzekł Hinks. - I to w najgłębszej tajemnicy, bo jeżeli Dalajlama nie udzieli nam swego błogosławieństwa, nie będziemy mogli nawet przekroczyć granicy Tybetu.

- Napiszę do obydwu dziś wieczorem - powiedział Young.

- Nic na piśmie, to moja rada - rzekł sekretarz. Young skinął głową.

- I mam małą prośbę. Gdy kapitan Scott...

Gdy George w pierwszych tygodniach w Charterhouse nie wkładał togi i biretu, często brano go za jednego z chłopców.

Pierwszy rok w szkole przysporzył mu o wiele więcej przyjemności, niż się spodziewał, mimo że niższa piąta klasa składała się z grupy potworów, którzy robili wszystko, żeby zakłócić przebieg lekcji. Kiedy jednak ci sami chłopcy znaleźli się w ostatniej, szóstej klasie, ku zdziwieniu George'a kilku z nich przeszło całkowitą metamorfozę, koncentrując całą energię na zapewnieniu sobie miejsca na wybranym uniwersytecie. George chętnie poświęcał niezliczone godziny, pomagając im osiągnąć ten cel.

Jednak kiedy podczas letnich wakacji ojciec go zapytał, co mu sprawiło największą satysfakcję, wymienił trenowanie piłkarskiej jedenastki juniorów zimą i zespołu hokejowego młodzików na

wiosnę, ale na pierwszym miejscu wędrówki górskie z grupą chłopców latem.

- A czasem można też trafić na wyjątkowego chłopaka - powiedział - który wyróżnia się prawdziwym talentem i ciekawością świata i na pewno zdobędzie sławę.

- Spotkałeś taki ideał? - zainteresował się ojciec.

- Tak - powiedział George bez dalszych wyjaśnień.

W ciepły letni wieczór George pojechał pociągiem do Londynu, a potem poszedł na piechotę na Savile Row dwadzieścia trzy w Mayfair, żeby z Geoffreyem Youngiem zjeść kolację. Portier zaprowadził go do baru dla członków klubu, gdzie George znalazł swojego gospodarza gawędzącego z kilkoma podstarzałymi wspinaczami, którzy wyolbrzymiali swoje górskie sukcesy. Gdy Young zobaczył swego gościa, zostawił towarzystwo i zaprowadził George'a do sali jadalnej.

- Obawiam się, że dziś to bractwo potrafi się wspiąć najwyżej na stółek barowy - zauważył.

Przy zupie windsorskiej, a potem przy steku i cynaderkach zapiekanych w cieście oraz podanych na deser lodach waniliowych Young przedstawił George'owi program planowanej wyprawy w Alpy. George jednak czuł, że Young ma coś ważniejszego w zanadrzu, ponieważ w przysłanym wcześniej liście szczegółowo opisał, jakie szczyty będą zdobywać tego lata. Dopiero gdy przeszli do

biblioteki na kawę i koniak, George poznał prawdziwy powód zaproszenia.

- Mallory - rzekł Young, gdy usiedli w kącie w drugim końcu pokoju - czy zechciałbyś mi towarzyszyć jako mój gość w siedzibie Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w przyszły czwartek wieczorem, kiedy kapitan Scott będzie mówił o bliskiej wyprawie na biegun południowy?

George omal nie rozlał kawy, tak był podniecony perspektywą usłyszenia nieustraszonego odkrywcy, który będzie mówił o swej ekspedycji na statku Discovery, zwłaszcza że ostatnio przeczytał w „Timesie”, że wszystkie bilety rozeszły się w kilka godzin po anonsie Towarzystwa, kto wygłosi doroczny wykład podsumowujący.

- Jakim sposobem... - zaczął George.

- Jako członkowi komitetu Klubu Alpejskiego udało mi się wydębic dwa dodatkowe bilety od sekretarza Towarzystwa. Ale w zamian poprosił o drobną uprzejmość.

George chciałby zadać naraz dwa pytania, ale okazało się, że Young je przewidział.

- Oczywiście ciekaw jesteś, kto będzie moim drugim gościem - powiedział.

George skinął głową.

- To żadna niespodzianka, zaprosiłem jedyne go wspinacza, który ci dorównuje. - Young zawiesił głos. - Jednak muszę wyznać, że uprzejmość, o jaką poprosił sekretarz Towarzystwa, była dla mnie zaskoczeniem.

George odstawił kubek z kawą na boczny stolik, skrzyżował ramiona i czekał.

- To proste - oznajmił Young. - Kiedy Scott skończy wykład i poprosi o pytania, sekretarz chce, żebyś podniósł rękę.

Rozdział 16

To była jedna z tych rzadkich okazji, kiedy George się nie spóźnił. Powtórzył sobie pytanie, jadąc pociągiem z Godalming, i chociaż był przekonany, że zna odpowiedź, wciąż nie mógł zrozumieć, dlaczego sekretarz Towarzystwa chce, żeby akurat on je zadał.

Ogarnęło go rozczarowanie, kiedy na początku roku przeczytał w „Timesie”, że nie Anglik, lecz Amerykanin Robert Peary pierwszy dotarł do bieguna północnego. Skoro temat odczytu Scotta brzmi „Biegun południowy jeszcze nie zdobyty”, uznał, że - jak sugerował GeofFrey Young - wielki odkrywca zamierza podjąć drugą próbę, aby powetować wcześniejsze niepowodzenie.

Kiedy pociąg stanął na dworcu Waterloo, George wyskoczył z wagonu, przebiegł przez peron, oddał bilet i zaczął się rozglądać za dorożką. Young go uprzedził, że popularność Scotta jest tak wielka, iż większość miejsc będzie zajęta przynajmniej na godzinę przed rozpoczęciem wykładu.

Przed wejściem do budynku Towarzystwa ustawiała się już niewielka kolejka, gdy George okazywał swoje zaproszenie.

Przyłączył się do gwarne go tłumu podążającego do sali wykładowej na parterze.

Zadziwił go ogrom niedawno zbudowanej sali wykładowej. Na ścianach wyłożonych dębową boazerią wisiały obrazy olejne przedstawiające dawnych prezesów Towarzystwa, a na ciemnej parkietowej posadzce ustawiono pewno pięćset, a może więcej czerwonych pluszowych Foteli. Nad wzniesioną wyżej sceną górował portret przedstawiający całą postać króla Jerzego V.

George przejrzał rząd za rzędem, szukając Younga. W końcu dostrzegł go w głębi sali; siedział obok Fincha. Mallory szybkim krokiem przemierzył salę i zajął przy nim miejsce.

- Nie zdołałbym go dłużej utrzymać - powiedział z szerokim uśmiechem Young.

- Przepraszam - rzekł George i przechylił się, żeby uścisnąć dłoń Finchowi.

Rozejrzał się po sali, szukając znajomych twarzy. Somervell, Herford i Odell siedzieli z tyłu. Najbardziej uderzyło George'a, że nie było widać żadnych kobiet. Wiedział, że kobiety nie mogą zostać członkami Towarzystwa, ale dlaczego nie mogły tu być w charakterze gości? Ciekawe, co by się działo, gdyby Cottie Sanders została zaproszona przez GeoFFreya Younga. Czy posadzono by ją w pierwszym rzędzie, który był pusty? Spojrzał w górę, na galerię, gdzie zajmowało miejsca kilka elegancko ubranych dam w długich sukniach i szalach. Zmarszczył brwi, a potem zwrócił wzrok znowu na scenę, gdzie dwaj mężczyźni ustawiali wielki srebrny ekran. W głównym

przejściu inny mężczyzna sprawdzał przezroczą w latarni magicznej, pstrykając przesłoną.

Sala wykładowa prędko się wypełniała i na długo przedtem, nim zegar poniżej galerii wybił osiem uderzeń, kilku członków Towarzystwa i ich gości stało w przejściach i z tyłu. Z ósmym uderzeniem zegara członkowie komitetu jeden za drugim wkroczyli do sali i zajęli miejsca w pierwszym rzędzie, a niski, wytworny dżentelmen we Fraku, który wszedł na scenę, został powitany gromkimi oklaskami. Uniósł ręce takim ruchem, jakby je chciał rozgrzać przy kominku, i brawa natychmiast umilkły.

- Dobry wieczór, panie i panowie - przemówił. - Nazywam się sir Francis Younghusband. Mam zaszczyt dziś wieczór przewodniczyć temu spotkaniu i wierzę, że dzisiejszy wykład będzie jednym z najbardziej ekscytujących w długiej historii Towarzystwa. Królewskie Towarzystwo Geograficzne szczeni się tym, że jest światowym liderem w dwóch różnych, ale nie pozostających bez związku ze sobą dziedzinach: po pierwsze, w badaniu i sporządzaniu map niezbadanych wcześniej terytoriów i po drugie, w eksplorowaniu owych odległych i niebezpiecznych krain, gdzie jeszcze nie stanęła stopa białego człowieka. Zgodnie z naszym statutem popieramy i zachęcamy tych zdeterminowanych śmiazków, którzy z zapalem przemierzają glob ziemski wzdłuż i wszerz, ryzykując życie w służbie Imperium Brytyjskiemu. Właśnie taki człowiek będzie dziś naszym mówcą i nie wątpię - ciągnął sir Francis, spojrzawszy w górę na portret króla - że za chwilę się dowiemy o jego planach podjęcia

drugiej próby, żeby jako pierwszy poddany Jego Królewskiej Mości dotarł do bieguna południowego. Jest oklepanym frazesem stwierdzenie, że mówcy nie trzeba przedstawiać, ale podejrzewam, że nie ma w naszym kraju mężczyzny, kobiety czy dziecka, którzy by nie znali nazwiska kapitana Marynarki Królewskiej Roberta Falcona Scotta.

Publiczność wstała jak jeden mąż, kiedy gładko ogolony, krępy, o przenikliwych niebieskich oczach mężczyzna w marynarskim mundurze wymaszerował zza kulis. Stał na środku sceny na rozstawionych nogach, stwarzając wrażenie, że przez pewien czas nie ruszy się z miejsca. Uśmiechnął się do publiczności i, inaczej niż sir Francis, nie zrobił nic, żeby uciszyć wybuch entuzjazmu, toteż dopiero po dłuższej chwili był w stanie przemówić.

George był urzeczony od jego pierwszego zdania. Scott mówił ponad godzinę, ani razu nie posługując się notatkami, a tymczasem przezrocza wyświetlane na ekranie za jego plecami dramatycznie ożywiły jego poprzednią ekspedycję na Antarktykę na statku Discovery. Jego słowa regularnie przerywały spontaniczne oklaski.

Publiczność się dowiedziała, jak kapitan Scott dobiera sobie zespół i jakich wymaga cech charakteru: przede wszystkim lojalności, odwagi i bezwzględnej dyscypliny. Potem mówca opisał znoje i trudy, na jakie muszą się nastawić jego ludzie, jeżeli chcą przeżyć przez cztery miesiące na Antarktyce, wędrując czterysta mil przez niezbadane polarne pustkowia do bieguna południowego.

George z niedowierzaniem wpatrywał się w wizerunki mężczyzn, którzy uczestniczyli w poprzedniej ekspedycji; niektórzy stracili nie tylko palce rąk i nóg z powodu silnych odmrożeń, ale też uszy, a w jednym wypadku nawet nos. Na widok jednego z przezroczy jakaś kobieta na galerii zemdląca.

- Każdy, kto mi będzie towarzyszył w tej wyprawie - ciągnął po krótkiej przerwie Scott - musi być gotów na takie cierpienia, jeżeli ma nadzieję wytrwać, kiedy w końcu osiągniemy biegun południowy. I proszę pamiętać, że poczytuję sobie za najważniejszy obowiązek zapewnienie, żeby wszyscy uczestnicy wyprawy wrócili bezpiecznie do domu.

George mógł tylko marzyć, żeby znaleźć się w zespole Scotta, ale wiedział, że niedoświadczony nauczyciel, którego jak na razie największym sukcesem było zdobycie Mont Blanc, nie ma szans.

Scott zakończył wykład podziękowaniem dla Towarzystwa, jego komitetu i członków za stałe poparcie, świadom, że bez ich pomocy nie mógłby nawet podnieść kotwicy w Tilbury, nie mówiąc o zawinięciu do McMurdo Sound z pełnym wyposażeniem i w gotowości do tak ambitnego przedsięwzięcia. Kiedy zapaliły się światła, Scott lekko się skłonił, a publiczność znów zgodnie powstała, aby wyrazić uznanie temu tak bardzo brytyjskiemu bohaterowi. George mógł sobie tylko wyobrażać, jak to jest, kiedy się stoi na tej scenie i jest się tak gorąco oklaskiwanym i, co ważniejsze, czego by od niego oczekiwano, żeby sobie zasłużył na takie uwielbienie.

Kiedy w końcu umilkły oklaski i publiczność usiadła na swoich miejscach, Scott jeszcze raz podziękował i poprosił o pytania.

Wstał jakiś mężczyzna w pierwszym rzędzie.

- To Arthur Hinks - szepnął Geoffrey Young. - Właśnie został wybrany na sekretarza Królewskiego Towarzystwa Geograficznego.

- Proszę pana - zaczął Hinks. - Krążą pogłoski, że Norwedzy pod dowództwem Amundsena też planują szturm na biegun południowy. Czy to pana niepokoi?

- Nie - odparł Scott. - Zapewniam pana i członków Towarzystwa, że to Anglik, a nie wiking pierwszy dotrze do bieguna południowego.

I znów te słowa nagrodzono gromkimi oklaskami.

Z kilkunastu rąk, które wystrzeliły w górę, Scott wybrał teraz mężczyznę z trzeciego rzędu. Po lewej stronie jego marynarki smokingowej widniały rzędy odznaczeń wojennych.

- Przeczytałem dziś rano w „Timesie”, że Norwegowie chcą się posłużyć saniami motorowymi i psami, żeby dotrzeć przed panem na biegun południowy.

Z sali dało się słyszeć okrzyki: „Hańba!”.

- Czy mogę zapytać, jaka jest pańska reakcja na to jawne lekceważenie kodeksu amatorskiego?

Finch spojrział na pytającego z niedowierzaniem.

- Po prostu zignoruję ich, panie generale - odpowiedział Scott. - Moje przedsięwzięcie jest wyzwaniem, które ma dowieść wyższości człowieka nad żywiołami, i nie mam żadnych wątpliwości, że

dobrałem grupę dżentelmenów, którzy są aż nadto gotowi, by temu wyzwaniu sprostać.

Ze wszystkich stron wypełnionej do ostatka sali rozległy się okrzyki „Racja!”, „Dobrze mówi!”. Ale Finch milczał.

- I pozwolę sobie dodać - ciągnął Scott - że zamierzam być pierwszym człowiekiem, który dotrze do bieguna południowego, a nie pierwszym psem. - Zawiesił głos. - Chyba że brytyjskim buldogiem.

Wybuchł śmiech i kilka osób podniosło ręce, George też. Scott odpowiedział na trzy pytania, a potem wskazał na George'a.

- Młody dżentelmen na skraju piątego rzędu okazuje determinację, jakiej szukam, kiedy dobieram moją drużynę, więc posłuchajmy, co ma do powiedzenia.

George wstał powoli, nogi mu się trzęsły. Czuł na sobie wzrok pięciuset osób.

- Proszę pana - rzekł drżącym głosem. - Kiedy pan dotrze na biegun południowy, to co jeszcze pozostanie Anglikowi do zdobycia?

Opadł z powrotem na fotel. Część publiczności wybuchnęła śmiechem, inni zaczęli bić brawo. Na twarzy Fincha odmalowało się zaskoczenie. Czemu Mallory zadaje pytanie, na które zna odpowiedź?

- Kolejnym wielkim wyzwaniem dla Anglika - odrzekł bez wahania Scott - będzie wejście na najwyższą górę świata, Mount Everest w Himalajach. Wznosi się ona na wysokość ośmiu tysięcy ośmiuset czterdziestu metrów nad poziomem morza... to prawie dziewięć kilometrów, mój chłopcze... i nie mamy pojęcia, jak na takiej wysokości zachowa się ludzki organizm, bo żaden człowiek nigdy

jeszcze nie dotarł wyżej niż sześć tysięcy siedemset metrów. I jeszcze trzeba wziąć pod uwagę temperaturę, która może tam spaść poniżej czterdziestu stopni Celsjusza, i wichry, które będą siec skórę na strzepy. Ale jednego jestem pewien: psy i motorowe sanie na nic się tam nie zdadzą. - Przerwał na chwilę i spojrzawszy prosto na George'a, dodał: - Lecz komukolwiek się powiedzie to wspaniałe przedsięwzięcie, ten będzie pierwszym człowiekiem, który stanie na dachu świata. Zazdroszczę mu. Miejmy nadzieję, że to będzie Anglik. Jednak - zakończył, zwracając się ku damie siedzącej w pierwszym rzędzie na galerii - obiecałem żonie, że zostawię to szczególne wyzwanie młodszemu mężczyźnie.

Scott z powrotem zwrócił wzrok na Georgea, a publiczność znów zgotowała mówcy spontaniczny aplauz.

Finch natychmiast wyrzucił rękę w górę, a Scott skinął mu głową.

- Czy pan się uważa za amatora, czy za zawodowca?

Z różnych stron sali dało się słyszeć stłumione okrzyki, gdy Australijczyk patrzył wyzywająco na mówcę.

Scott chwilę zwlekał z odpowiedzią, ale nie spuszczał wzroku z Fincha.

- Jestem amatorem - w końcu powiedział - ale amatorem, który się otacza profesjonalistami. Moi lekarze, inżynierowie, poganiacze, nawet moi kucharze są w pełni wykwalifikowani i poczuliby się znieważeni, gdyby nazwał ich pan amatorami. Ale uznaliby za jeszcze

większą zniewagę, gdyby pan sugerował, że motywem ich udziału w tej ekspedycji jest korzyść finansowa.

Ta odpowiedź wzbudziła najgłośniejsze brawa tego wieczoru, które zagłuszyły słowa Fincha, usłyszane tylko przez Younga i Mallory'ego.

- Jeśli on rzeczywiście tak uważa, to nie wróci żywy. Udzieliwszy odpowiedzi na jeszcze dwa czy trzy pytania,

Scott ponownie podziękował Towarzystwu za sponsorowanie wykładu i za pełne poparcie dla jego najnowszego przedsięwzięcia. Potem wystąpił pan Hinks z oficjalnym podziękowaniem w imieniu Towarzystwa, po czym publiczność powstała z miejsc i gromko odśpiewała hymn narodowy.

Podczas gdy Young i Finch dołączyli do opuszczających salę, George pozostał na miejscu, nadal wpatrując się w scenę, na której stał przedtem Scott; scenę, z której pewnego dnia to on zamierzał przemawiać do przedstawicieli Towarzystwa. Finch wyszczerzył zęby w uśmiechu, gdy się obejrzał i zobaczył nieruchomego Mallory'ego. Zwróciwszy się do Younga, powiedział:

- On tu będzie siedział, tak samo zasluchany, kiedy to ja będę wygłaszał doroczny wykład podsumowujący.

Young uśmiechnął się do aroganckiego szczeniaka.

- A jaki, jeśli wolno spytać, będzie jego temat?

- Everest zdobyty - rzucił Finch. - Bo to bractwo nie wpuści mnie na scenę, jeśli nie będę pierwszym, który wejdzie na ten szczyt.

KSIĘGA DRUGA

TA INNA

1914

Rozdział 17

Poniedziałek, 9 lutego 1914

- Kiedy Elżbieta wstąpiła na tron angielski w tysiąc pięćset pięćdziesiątym ósmym roku, ani dwór, ani prości ludzie nie cieszyli się, że jest ich monarchinią. Jednakże kiedy umierała w tysiąc sześćset trzecim roku, czterdzieści pięć lat później, dziewicza królowa była równie popularna jak wcześniej jej ojciec król Henryk Ósmy

- Proszę pana, proszę pana - powiedział chłopiec w pierwszym rzędzie, podnosząc wysoko rękę.

- Tak, Carter młodszy? - rzekł George.

- Co to znaczy „dziewica”, proszę pana?

George nie zareagował na chichoty i mówił dalej, tak jakby mu zadano poważne pytanie.

- Dziewica to kobieta, która jest virgo intacta. Mam nadzieję, że twoja łacina jest wystarczająco dobra, żebyś to rozumiał. A gdyby nie, to zawsze możesz sprawdzić w Ewangelii świętego Łukasza, rozdział pierwszy, wers dwudziesty siódmy: „Do dziewicy poślubionej mężowi imieniem Józef... a dziewica miała na imię Maryja”. Ale

wracajmy do Elżbiety. To była złota epoka Szekspira i Marlowe'a, Drake'a i Raleigha, czasy, kiedy Anglicy nie tylko rozgromili hiszpańską Armadę, ale również stłumili wojnę domową podwodzą hrabiego Essex, który według opinii niektórych historyków był kochankiem królowej.

Kilka rąk, jak było do przewidzenia, wystrzeliło w górę.

- Wainwright - powiedział ze znużeniem George, aż nadto świadom, jakie będzie pytanie.

- Co to takiego „kochanek”, proszę pana? George się uśmiechnął.

- Kochanek to mężczyzna, który żyje z kobietą, ale nie w świętym stanie małżeńskim.

- To znaczy kochanek nie może być virgo intacta, prawda, proszę pana? - rzucił Wainwright ze znaczącym uśmieszkiem.

- Masz rację, Wainwright, chociaż podejrzewam, że Elżbieta nigdy nie wzięła sobie kochanka, bo to by podważyło jej autorytet monarchini.

Inny uczeń podniósł rękę.

- Ale czy dwór i prości ludzie nie woleliby mieć na tronie mężczyzny, jak hrabia Essex, zamiast kobiety?

George znów się uśmiechnął. Graves, jeden z tych nielicznych chłopców, którzy przedkładali klasę szkolną nad boisko sportowe, nie zadawał frywolnych pytań.

- Wówczas nawet początkowi krytycy Elżbiety woleli ją od hrabiego Essex. Z perspektywy ponad trzystu lat widać, że ta kobieta

z pewnością nie ustępuje żadnemu z mężczyzn w panteonie angielskich monarchów - zakończył, gdy w oddali rozdzwonił się kapliczny dzwon.

George się rozejrzał, sprawdzając, czy nie ma więcej pytań. Nie było. Odetchnął.

- Zatem to wszystko - powiedział. - Ale, panowie - doÅ dał, podnosząc głos - pamiętajcie, żeby wasze wypracowania na temat religijnego i politycznego znaczenia małżeństwa Henryka Ósmego z Anną Boleyn najpóźniej w południe w czwartek trafiły na moje biurko.

Rozległ się wyraźny jęk, kiedy uczniowie zbierali podręczniki i opuszczali klasę.

George wziął gąbkę do tablicy i wytarł nazwiska i daty sześciu królowych Henryka. Odwrócił się i zobaczył, że Graves wciąż siedzi na swoim miejscu.

- Robercie, czy potrafisz wymienić nazwiska wszystkich sześciu i daty, kiedy zostały królowymi? - zapytał.

- Katarzyna Aragońska, tysiąc pięćset dziewięć, Anna Boleyn, tysiąc pięćset trzydziesty trzeci, Joanna Seymour, tysiąc pięćset trzydziesty szósty, Anna Kliwijska, tysiąc pięćset czterdziesty, Katarzyna Howard, tysiąc pięćset czterdziesty, i Katarzyna Parr, tysiąc pięćset czterdziesty trzeci.

- A w przyszłym tygodniu nauczę was prostego sposobu zapamiętywania ich losów.

- Rozwiedziona, ścięta, sama z życiem się rozstała, rozwiedziona, ścięta, ostatnia króla przeżyła - wyrecytował Graves. - Powiedział nam pan w tamtym tygodniu.

- Naprawdę? - zdziwił się George, odkładając gąbkę na biurko; widać nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo toę ma wysmarowaną kredą.

Wyszedł za uczniem z klasy i przeciąwszy dziedziniec, udał się do pokoju nauczycielskiego, by z kolegami spędzić długą przerwę. Wprawdzie był lubiany przez większość personelu, jak również przez uczniów, lecz dobrze wiedział, że nie wszyscy koledzy pochwalają jego „leseferystyczną” postawę, jak to po cichu określali, a paru nawet głośno wyraziło opinię, że brak dyscypliny na jego lekcjach podważa ich autorytet, zwłaszcza kiedy uczą niższą piątą klasę tego samego dnia.

Kiedy doktor Rendall uznał, że pora wziąć Mallory’ego na stronę i poruszyć z nim ten temat, George po prostu mu powiedział, że wierzy w autoekspresję, bo jak inaczej chłopcy mogliby zrealizować w pełni swoje zdolności? Ponieważ dyrektor szkoły nie miał pojęcia, co oznacza to słowo, postanowił nie drażnić sprawy. I tak z końcem roku szkolnego przechodził na emeryturę, a wtedy niech kto inny tym się martwi. George miał tylko jednego prawdziwego przyjaciela wśród kolegów. Andrew O’Sullivan był studentem Cambridge w tym samym czasie co on, choć nigdy się tam nie spotkali. Studiował geografię w Kolegium Fitzwilliama i był w uniwersyteckiej reprezentacji bokserskiej, i mimo że nie interesował się górską wspinaczką, a

jeszcze mniej zasadami Kwintusa Fabiusza Maksymusa, od pierwszej chwili przyłgnęli do siebie z George'em.

Kiedy George wkroczył do pokoju nauczycielskiego, Andrew siedział rozparty w fotelu i czytał gazetę. George nalał sobie filiżankę herbaty i podszedł do przyjaciela.

- Widziałeś dzisiejszy „Times”? - zagadnął Andrew.

- Nie - odparł George, stawiając na stoliku spodeczek i filiżankę.

- Zwykle czytam wiadomości po nabożeństwie wieczornym.

- Korespondent dziennika w Delhi - rzekł Andrew - donosi, że lord Curzon wynegocjował umowę z Dalajlamą, zezwalającą doborowej grupie wspinaczy przekroczyć...

George trochę za szybko pochylił się do przodu i potracił filiżankę kolegi.

- Przepraszam, Andrew - powiedział i schwycił gazetę. Przyjaciela lekko ubawiło to rzadkie uchybienie dobrym manierom, ale nie odezwał się, dopóki George nie oddał mu gazety.

- Królewskie Towarzystwo Geograficzne zachęca osoby zainteresowane, żeby się zgłaszały - mówił dalej Andrew. - Czyżbyś był, mój drogi, osobą zainteresowaną?

George nie chciał odpowiadać, dopóki się nie zastanowi, i z ulgą przyjął dzwonek sygnalizujący nauczycielom, że przerwa się skończy za pięć minut.

- No cóż - rzekł Andrew, podnosząc się z fotela - jeżeli nie możesz odpowiedzieć na to pytanie, zadam ci łatwiejsze. Czy w czwartkowy wieczór coś robisz poza czytaniem „Timesa i...

- Oceniam wypracowania niższej piątej na temat Arjnady - odparł George. - Jestem przekonany, że ta dziada czerpie sadystyczną przyjemność z poprawiania historii. Wainwright chyba myśli, że Hiszpanie wygrali bitwę, a Drake skończył w Tower.

Andrew wybuchnął śmiechem.

- Po prostu jeden z członków zarządu szkoły, pan Thackeray Turner, zaprosił mnie w ten wieczór na kolację i zapytał, czy chciałbym z kimś przyjść.

- To miło, że o mnie pomyślałeś - powiedział George, kiedy wyszli na dziedziniec - ale przypuszczam, że pan Turner miał na myśli kobietę.

- Wątpię - rzekł Andrew. - On ma trzy córki na wydaniu.

Rozdział 18

Czwartek, 12 lutego 1914

George potarł krecią kij bilardowy. Od pierwszej chwili polubił Thackeraya Turnera: był bezceremonialny, szczery, otwarty, choć nieco staroświecki, i bez przerwy sprawdzał, ile jesteś w stanie z siebie dać.

W drodze do domu Turnera Andrew powiedział George'owi, że z zawodu jest on architektem. Kiedy wjechali przez bramę z misternie wykutego żelaza, a potem przemierzali długą aleję lipową, i gdy George pierwszy raz ujrzął Westbrook położone wśród wzgórz

Surrey, w otoczeniu najwspanialszych rabat kwiatowych, trawników i z ogrodem wodnym poniżej poziomu gruntu, bez słów pojał, dlaczego Turner odnosił sukcesy w swoim zawodzie.

Zanim zdążyli dotrzeć do szczytu schodów, kamerdyner otworzył drzwi. Poprowadził ich w milczeniu długim korytarzem, gdzie w pokoju bilardowym czekał Turner. Ponieważ jego marynarka smokingowa wisiała na oparciu krzesła, George uznał, że gospodarz szykuje się do walki.

- Czas rozegrać partię, zanim panie zejdą na kolację - tymi słowy Turner powitał gości.

George obejrzał z podziwem portret gospodarza pędzla Lavery'ego zawieszony nad kominkiem oraz dziewiętnastowieczne akwarele ozdabiające ściany - jedną namalował artysta o tym samym nazwisku co gospodarz - po czym zdjął marynarkę i podwinął rękawy.

Gdy na zielonym suknie ustawiono trzy bile, George szybko poznał charakter gospodarza z innej strony. Pan Turner lubił wygrywać, a nawet spodziewał się, że wygra. Nie przewidział jednak, że George nie lubi przegrywać. George nie był pewien, czy Andrew po prostu pragnie dogodzić starszemu panu, czy też nie jest dobrym graczem. Tak czy owak, on sam nie miał specjalnej ochoty spełnić oczekiwań gospodarza.

- Pańska kolej, przyjacielu - rzekł Turner, zdobywszy jedenaście punktów za jednym podejściem.

George nie śpieszył się ze strzałem, a kiedy wręczał kij Andrew, miał na koncie czternaście punktów. Wkrótce się okazało, że Turner trafił na równego sobie, spróbował więc innej taktyki.

- O'Sullivan powiada, że ma pan dość radykalne poglądy, Mallory.

George się uśmiechnął. Nie pozwoli Turnerowi zdobyć nad sobą przewagi, czy przy stole bilardowym, czy poza nim.

- Jeśli to aluzja do tego, że popieram powszechne prawo wyborcze, to się pan nie myli. Andrew zmarszczył brwi.

- Tylko trzy punkty - oznajmił, dodając tę zdobycz do swego mizernego konta.

Turner wrócił do stołu i nie odezwał się słowem, dopóki nie zainkasował kolejnych dwunastu punktów, ale gdy George składał się do następnego uderzenia, Turner zapytał:

- Więc przyznałby pan kobietom prawo głosu? George się wyprostował i potarł kij kredą.

- Oczywiście, proszę pana - odpowiedział, po czym znów zabrał się do ustawiania bili.

- Ale kobiety nie są wystarczająco wykształcone, żeby podjąć taką odpowiedzialność - rzekł Turner. - A zresztą, czy można oczekiwać od kobiety racjonalnego sądu?

George pochylił się nad stołem i tym razem zdobył kolejne dwadzieścia jeden punktów, po czym wręczył kij Andrew, który nic nie wbił.

- Jest na to prosta rada - powiedział George.

- A mianowicie? - zagadnął Turner, lustrując wzrokiem stół i badając możliwości.

- Przede wszystkim dać kobietom szansę odpowiedniego wykształcenia, tak żeby mogły wstępować na uniwersytet i kończyć takie same studia jak mężczyźni.

- Zapewne Oksford ani Cambridge nie wchodziłyby w grę?

- Przeciwnie - rzekł George. - Oksford i Cambridge muszą być pierwsze, bo wtedy pozostali na pewno pójdą za ich przykładem.

- Kobiety ze stopniami naukowymi - parsknął Turner. - To nie do pomyslenia.

Złożył się do następnego strzału, ale spudłował i biała bila potoczyła się do najbliższej luzy. George musiał zmobilizować całą powagę, żeby się nie roześmiać.

- Chciałbym się upewnić, że pana dobrze zrozumiałem, Mallory - powiedział Turner, podając kij gościowi. - Uważa pan, że utalentowane kobiety, te z dyplomami uniwersytetów w Oksfordzie i w Cambridge, powinny otrzymać prawo głosu?

- Nie, proszę pana, nie taka jest moja propozycja - odparł George. - Uważam, że do kobiet powinna się odnosić taka sama zasada jak do mężczyzn. Głupie też powinny mieć prawo głosu.

Po raz pierwszy od początku gry na twarzy Turnera pojawił się uśmiech.

- Nie wyobrażam sobie, żeby parlament się na to zgodził. Wszak indyki zazwyczaj nie głosują za świętami Bożego Narodzenia.

- Dopóki któryś z nich nie wpadnie na to, że dzięki temu mogliby wygrać następne wybory - zasugerował George, z powodzeniem wykonał wózek i wbił czerwoną bilę do łuzy. Wyprostował się z uśmiechem. - Myślę, że wygrałem, proszę pana.

Turner z niechęcią skinął głową. Kiedy wkładał marynarkę, rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Wkroczył kamerdyner.

- Kolacja podana.

- Dziękuję, Atkins - powiedział gospodarz. Kiedy kamerdyner wyszedł, Turner szepnął: - Założyłbym się o moje roczne dochody, że Atkins nie dałby kobietom prawa głosu.

- A ja założyłbym się o mój roczny dochód, że nigdy go pan o to nie zapytał - palnął George, żałując tych słów w chwili, gdy je wypowiadał.

Andrew miał zakłopotaną minę, ale się nie odezwał.

- Bardzo pana przepraszam - powiedział George. - Ta uwaga była niewybaczalna i...

- Nie szkodzi, drogi chłopcze - uspokoił go Turner. - Obawiam się, że po śmierci żony trochę... jak to się teraz mówi?... zramolałem. A teraz zasiądźmy z damami do kolacji. - Kiedy przemierzali hol, dodał: - Dobrze pan grał, Mallory. Nie mogę się doczekać spotkania rewanżowego, kiedy to zapewne zapozna nas pan ze swoimi poglądami na temat praw robotników.

Kamerdyner przytrzymał otwarte drzwi, wpuszczając Turnera i gości do jadalni. Po środku wyłożonego dębową boazerią pokoju królował wielki dębowy stół w stylu raczej elżbietańskim niż

wiktoriańskim. Nakryto na sześć osób, dobierając kosztowne sztuce, bieliznę stołową i porcelanę.

Wchodząc do pokoju, George wstrzymał oddech, co mu się rzadko zdarzało nawet wtedy, gdy stał na szczycie góry. I chociaż trzy córki pana Turnera, Marjorie, Ruth i Mildred czekały, żeby je przedstawiono, George wpatrywał się tylko w Ruth, która oblała się rumieńcem i odwróciła głowę.

- Niechże pan tam nie stoi, Mallory - huknął Turner, spostrzegłszy, że George zatrzymał się w drzwiach. - One pana nie ugryzą. Przekona się pan, że wyznają poglądy bliższe pańskim niż moim.

George ruszył do przodu, przywitał się z trzema młodymi kobietami i starał się nie okazać rozczarowania, kiedy gospodarz posadził go między Marjorie i Mildred. Dwie pokojówki podały pierwsze danie, łososia z koperkiem na zimno, podczas gdy kamerdyner nalał Turnerowi do skosztowania pół kieliszka sancerre. George nie tknął najbardziej apetycznej potrawy, jaką widział od tygodni, zerkał bowiem ukradkiem na Ruth, która siedziała na drugim końcu stołu. Wydawała się nieświadoma swojej urody. Jak z płócien Botticellego, szeptał pod nosem George, podziwiając jej jasną karnację, błękitne oczy i bujne rudobrazowe włosy. Jak z Botticellego, powtórzył, ujmując nóż i widelec.

- Czy to prawda - spytała Marjorie, najstarsza z trzech sióstr, przerywając mu tok myśli - że poznał pan Georgea Bernarda Shawa?

- Tak, panno Turner, miałem zaszczyt być na kolacji z tym wielkim człowiekiem, po tym jak wygłosił mowę w Towarzystwie Fabiańskim w Cambridge.

- Jaki tam wielki człowiek - rzekł Turner. - Po prostu jeszcze jeden socjalista, który lubuje się w pouczeniu nas, jak powinniśmy pokierować swoim życiem. On nawet nie jest Anglikiem.

Marjorie uśmiechnęła się łagodnie do ojca.

- Krytyk teatralny „Timesa” - ciągnęła, nadal zwracając się do George’a - uważa, że Pigmalion jest dowcipny i skłania do refleksji.

- Pewno on też jest socjalistą - rzucił Turner między jednym kęsem i drugim.

- Czy widziała pani tę sztukę, panno Turner? - spytał George, zwracając się do Ruth.

- Nie, proszę pana - odparła dziewczyna. - Ostatni spektakl, na jakim byliśmy, to Ciotka Karola w wiejskim klubie, i to gdy pastor zakazał czytania sztuki Bądźmy poważni na serio.

- Napisanej przez innego Irlandczyka - wtrącił Turner - którego nazwisko nie powinno być wymieniane w przyzwoitym towarzystwie. Czy zgodzi się pan ze mną, Mallory? - zapytał.

W tym momencie sprząnięto pierwsze danie. Nietknięty przez George’a łosoś wyglądał, jakby wciąż jeszcze mógł pływać.

- Jeżeli przyzwoite towarzystwo nie potrafi dyskutować o dwóch najbardziej utalentowanych dramaturgach swojego pokolenia, to owszem, zgadzam się z panem.

Mildred, która do tej pory się nie odzywała, pochyliła się ku George'owi i szepnęła:

- Jakże się z panem zgadzam, panie Mallory.

- A pan, panie O'Sullivan? - zagadnął Turner. - Czy jest pan takiego samego zdania jak Mallory?

- Rzadko się zgadzam z tym, co mówi George - rzekł Andrew - i dlatego się przyjaźnimy.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a tymczasem kamerdyner postawił na kredensie półmisek z poledwicą i uzyskawszy aprobatę pana domu, zaczął ją kroić.

George skorzystał z chwilowej nieuwagi towarzystwa i spojrzał na drugi koniec stołu, ale przekonał się, że Ruth śmieje się do jego przyjaciela.

- Muszę wyznać - odezwał się Andrew - że nie oglądałem sztuki żadnego z tych dżentelmenów.

- Zapewniam pana - oświadczył Turner, skosztowawszy czerwonego wina - że żaden z nich nie jest dżentelmenem.

George już miał zareagować, ale Mildred szepnęła:

- Proszę go zignorować. To jedyne, czego nasz ojciec nie znosi. George się usmiechnął i wdał się w bardziej nobliwą konwersację z Marjorie na temat tajników splotu plecionkarskiego, którą kontynuował do chwili, gdy zabrano talerze, chociaż od czasu do czasu zerkał na drugi koniec stołu. Wydawało się, że Ruth tego nie zauważa.

- A więc, panowie - przemówił Turner, składając serwetę - miejmy nadzieję, że wyciągnęliście przynajmniej jedną naukę z tego wieczoru.

- Jaką mianowicie, proszę pana? - spytał Andrew.

- A taką, żeby nie spółdzić trzech córek. Tym bardziej że Mallory nie spocznie, dopóki wszystkie nie wstąpią na uniwersytet i nie uzyskają stopni naukowych.

- Kapitalna propozycja - Mildred zwróciła się do Mallory'ego. - Gdybym miała szansę pójść za przykładem ojca i zostać architektem, z radością bym to zrobiła.

Pierwszy raz tego wieczoru pan Turner zaniemówił. Upłynęła dłuższa chwila, zanim na tyle ochłonął, aby zaproponować:

- Może byśmy teraz wszyscy przeszli do salonu na kawę?

Tym razem dziewczęta nie mogły ukryć zaskoczenia odstępstwem ojca od tradycyjnego rytuału. Zwykle zapraszał gości płci męskiej na koniak i cygara i dopiero potem wszyscy dołączali do dam.

- Pamiętne zwycięstwo - szepnęła Marjorie George'owi, gdy jej odsunął krzesło.

George odczekał, aż trzy siostry opuszczą jadalnię, i dopiero wtedy przystąpił do dzieła. Z zadowoleniem stwierdził, że Andrew jest zajęty rozmową z gospodarzem.

Gdy tylko Ruth usiadła na sofie, George swobodnym krokiem podszedł do niej i usiadł obok. Dziewczyna nic nie powiedziała, tylko spoglądała na Andrew, który przysiadł się do Marjorie na szeszlunku.

Osiągnąwszy cel, George nagle zaniemówił. Dopiero po dłuższej chwili Ruth pośpieszyła mu na ratunek.

- Czy przypadkiem nie pokonał pan mojego ojca w bilardzie? - zapytała.

- Tak, panno Turner - rzekł George, gdy Atkins postawił koło dziewczyny filiżankę z kawą.

- To by tłumaczyło, dlaczego był taki kłótniwy podczas kolacji. - Upiła łyk kawy i dodała: - Jeżeli znowu pana zaprosi, byłoby bardziej dyplomatycznie pozwolić mu wygrać.

- Obawiam się, że nigdy bym się na to nie zgodził.

- Ale dlaczego, proszę pana?

- Bo to by ujawniło słabość mojego charakteru, o czym ona mogłaby się dowiedzieć.

- Ona? - spytała szczerze zaintrygowana Ruth.

- Czomolungma, Bogini Matka Ziemi.

- Ale ojciec mi mówił, że to Everest ma pan nadzieję zdobyć.

- „Everest” to imię, które nadali jej Anglicy, ale ona nie reaguje na nie.

- Kawa panu wystygnie - zauważyła Ruth, zerkając na drugą stronę pokoju.

- Dziękuję, panno Turner - powiedział George i upił łyk.

- I ma pan nadzieję poznać bliżej tę boginię?

- Może z czasem, panno Turner. Ale nie wcześniej, niż gdy uda mi się podbić jedną czy dwie inne damy.

Ruth spojrzała na niego pytająco.

- Jaką konkretnie?

- Madame Matterhorn - odparł. - Mam zamiar zostawić jej swój bilet wizytowy w ferie wielkanocne. - Upił znowu łyk kawy i spytał: - A gdzie pani spędzi Wielkanoc, panno Turner?

- Ojciec zabiera nas do Wenecji w kwietniu. To miasto, jak podejrzewam, nie zyskałoby pańskiej przychylności, bo wznosi się niewiele ponad poziomem morza.

- Nie tylko wysokość się liczy, panno Turner.

„...Pod czystym
Spojrzeniem oczu lazurowych dnia,
Leży Wenecja narodzona z morza,
Gwarny labirynt domów i uliczek,
Umiłowany pałac Amfitryty”*

* P. B. Shelley, Wiersze napisane wśród Eugenejskich Wzgórz, przeł. Zygmunt Kubiak, w: Poeci języka angielskiego, t. 2, Warszawa 1971.

- Więc pan wielbi Shelleya - rzekła Ruth, odkładając pustą filiżankę na boczny stolik.

George miał już odpowiedzieć, kiedy zegar na kominku wybił jedno uderzenie. Andrew wstał i zwrócił się do gospodarza:

- To był uroczy wieczór, ale chyba czas się pożegnać. George spojrzał na zegarek: wpół do jedenastej. Bardzo pragnął jeszcze

zostać, ale Turner już się podniósł, a Marjorie podeszła do niego i ciepło się uśmiechnęła.

- Mam nadzieję, że wkrótce znowu pan nas odwiedzi - powiedziała.

- Ja też mam taką nadzieję - rzekł George, spoglądając na Ruth.

Pan Turner się uśmiechnął. Może nie pokonał Mallory'ego, ale jedna z jego córek na pewno się na nim poznała.

Rozdział 19

Piątek, 13 lutego 1914

George nie chciał, żeby Andrew odkrył, co zamierza.

Nie mógł przestać myśleć o Ruth. Nigdy nie spotkał tak pogodnej piękności, tak zachwycającego towarzystwa, a kiedy został z nią sam na sam, potrafił tylko wpatrywać się w jej niebieskie oczy i robić z siebie głupca. A im częściej uśmiechała się do Andrew, w tym większą wpadał rozpacz, nie umiając się zdobyć na jakąś błyskotliwą uwagę ani nawet na grzeczną rozmowę.

Tak bardzo chciał ją trzymać za rękę, lecz Mildred cały czas go rozpraszała, dzięki czemu Andrew skupiał uwagę Ruth. Czy w ogóle się nim interesowała, a może Andrew już rozmawiał z jej ojcem? Widział, że przy kolacji obaj byli pogrążeni w rozmowie. Musi się dowiedzieć, o czym mówili. Nigdy w życiu nie czuł się tak zagubiony.

W przeszłości George widział zakochanych mężczyzn i po prostu traktował ich jak głupców, którzy dali się omamić. Ale teraz stał się jednym z nich i, co gorsza, jego boginka chyba upodobała sobie kogo innego. Andrew nie jest jej wart, powiedział głośno, nim zapadł w sen. Ale potem sobie uświadomił, że on też nie.

Kiedy się zbudził następnego ranka - jeżeli w ogóle zmrużył oczy - próbował przestać myśleć o Ruth i przygotować się do lekcji. Wzdrgał się na myśl o spędzeniu czterdziestu minut z niższą piątą i wysłuchiwanie ich opinii na temat Waltera Raleigha oraz znaczenia, jakie miało sprowadzanie przez niego tytoniu z Wirginii. Gdyby Guy nie był na placówce dyplomatycznej na drugim końcu świata, mógłby go spytać o radę, co ma robić.

Pierwsza lekcja tego rana niemiłosiernie mu się dłużyła. Wainwright omal nie wyprowadził go z równowagi i pierwszy raz Carter młodszy go zagiął, ale wtedy na szczęście rozbrzmiał kapliczny dzwon. Ciekawe, komu bije, pomyślał. Nie żeby któryś z uczniów wiedział, kto to taki John Donne - może z wyjątkiem Roberta Gravesa.

Idąc wolno dziedzińcem do pokoju nauczycielskiego, powtarzał sobie zdania wielokrotnie przećwiczone w nocy. Musi się trzymać przygotowanego tekstu, dopóki nie otrzyma odpowiedzi na wszystkie pytania, bo inaczej Andrew go przejrzy i wykpi. Przed stu laty George wyzwalałby go na pojedynek. Nagle sobie przypomniał, który z nich dwóch walczył na ringu w barwach uniwersytetu.

George wkroczył do głównego budynku z pewną siebie, swobodną miną, jakby był najbardziej beztroskim człowiekiem na świecie. Kiedy otwierał drzwi pokoju nauczycielskiego, czuł, jak bije mu serce. A jeżeli Andrew nie ma tutaj? Chyba nie zdoła przetrwać kolejnej lekcji z niższą piątą, jeśli choćby na kilka pytań nie dostanie odpowiedzi.

Andrew siedział na zwykłym miejscu przy oknie i czytał poranną gazetę. Uśmiechnął się na widok George'a, który nalał sobie herbaty i podszedł do niego. Z irytacją stwierdził, że jeden z kolegów właśnie usiadł na krześle obok Andrew i zaczął rozprawiać o niesprawiedliwie ułożonym planie lekcji.

George przycupnął na kaloryferze między nimi. Usiłował sobie przypomnieć pierwsze pytanie. A, tak...

- Miły wieczór, no nie? - powiedział Andrew, składając gazetę i zwracając się do George'a.

- Aha, miły wieczór - powtórzył niepewnie George, mimo że tej kwestii nie było w jego scenariuszu.

- Chybaś się dobrze bawił.

- Jeszcze jak! - przyznał George. - Ten Turner to ciekawy typ.

- Widać było, że przypadłeś mu do gustu.

- Mówisz serio?

- Jestem tego pewien. Jeszcze nie widziałem, żeby był taki ożywiony.

- To znasz go już od jakiegoś czasu? - odważył się George.

- Byłem w Westbrook tylko dwa razy i on prawie nie otworzył ust.

- Naprawdę? - powiedział George, uzyskawszy odpowiedź na pierwsze pytanie.

- A co myślisz o dziewczynach? - zagadnął Andrew.

- O dziewczynach? - powtórzył George zły, że Andrew zadaje jego własne pytania.

- Tak. Czy któraś ci się spodobała? Marjorie nie odrywała od ciebie oczu.

- Nie zauważyłem - rzekł George. - A co z tobą?

- Wiesz, stary, szczerze mówiąc, byłem trochę zaskoczony.

- Zaskoczony? - zapytał George, mając nadzieję, że w jego głosie nie przebija rozpacz.

- Tak. Widzisz, nie przypuszczałem, że ona w ogóle się mną interesuje.

- Ona?

- Ruth.

- Ruth?

- Tak. Podczas moich wcześniejszych dwóch wizyt nawet nie zaszczyciła mnie spojrzeniem, ale wczoraj wieczorem nie przestawała ze mną gawędzić. Myślę, że mogę mieć szansę.

- Możesz mieć szansę? - George aż podskoczył.

- Czy ty się dobrze czujesz, Mallory?

- Jasne. Dlaczego pytasz?

- Hm, po prostu powtarzasz wszystko, co powiem.

- Wszystko, co powiesz? Ja powtarzam? - rzekł George, siadając z powrotem na kaloryferze. - Więc masz nadzieję zobaczyć znowu Ruth, tak? - nareszcie wtrącił jedno z przygotowanych pytań.

- Wiesz, dziwna rzecz - rzekł Andrew. - Zaraz po kolacji pan domu odwołał mnie na bok i zaproponował, żebym spędził z całą rodziną Wielkanoc w Wenecji.

- I przyjąłeś' zaproszenie? - spytał George, przerażony tym pomysłem.

- Chciałbym, ale jest pewna drobna komplikacja.

- Drobna komplikacja?

- Znow się bawisz w papugę - upomniał go Andrew.

- Przepraszam - rzekł George. - Co za komplikacja?

- Już się zobowiązałem, że wezmę udział w rozgrywkach hokejowych West Country podczas świąt wielkanocnych, a ponieważ jestem jedynym bramkarzem, na jakiego mogą liczyć, nie mogę ich wystawić do wiatru.

- Pewno, że nie - przytaknął George, znow podskakując. - To byłoby w bardzo złym tonie.

- Właśnie - rzekł Andrew. - Ale chyba wykombinowałem wyjście kompromisowe.

- Kompromisowe?

- Aha. Gdybym opuścił ostatni mecz, tobym złapał pociąg na prom z Southampton w piątek wieczór i byłbym w Wenecji w niedzielę rano, a wtedy mógłbym spędzić cały tydzień z Turnerami.

- Cały tydzień? - powtórzył George.

- Przedstawiłem pomysł staremu Turnerowi i wydaje się, że mu to odpowiada, więc dojadę do nich w ostatnim tygodniu marca.

To było wszystko, co chciał wiedzieć George. Zeskoczył z grzejnika, spodnie na siedzeniu miał przypalone.

- Czy na pewno czujesz się dobrze, Mallory? Jesteś jakiś roztargniony.

- To przez Wainwrighta - odparł George ucieszony, że może zmienić temat.

- Wainwrighta? - spytał Andrew.

- O mało nie wyprowadził mnie z równowagi, kiedy wypalił, że to hrabia Essex rozgromił hiszpańską Armadę, a Drake'a nawet tam nie było.

- Bo bez wątpienia grał w kręgle w Plymouth Hoe*.

* Według Normana Daviesa Drake „podobno dokończył partię kręgli rozgrywaną właśnie na Plymouth Ho i dopiero potem zajął się hiszpańską Armadą”, Norman Davies, Wyspy, przeł. Elżbieta Tabakowska, Wydawnictwo Znak 2003.

- Nie. Wainwright ma teorię, że Drake był w tym czasie w Hampton Court, zajęty przedłużającym się romanssem z Elżbietą, i że wyprawił hrabiego do Devon, żeby nie wszedł mu w drogę.

- Myślałem, że miało być na odwrót - zauważył Andrew.

- No chyba - powiedział George.

Rozdział 20

Wtorek, 24 marca 1914

Pierwsze dwa dni wspinaczki były udane, mimo że Finch wydawał się zamyślony i nie tak otwarty jak zwykle. Dopiero trzeciego dnia, kiedy obaj utkwili na półce w połowie drogi na grań Zmiitt, George się dowiedział dlaczego.

- Czy ty rozumiesz kobiety? - zagadnął Finch, jakby rozmawiali na ten temat każdego dnia.

- Nie mogę powiedzieć, żebym miał duże doświadczenie w tej dziedzinie - przyznał George, myśląc o Ruth.

- Nie ty jeden - zauważył Finch.

- Zawsze uważałem ciebie za autorytet w tych sprawach.

- Kobiety nie pozwolą żadnemu mężczyźnie być autorytetem w tych sprawach - powiedział z rozgoryczeniem Finch.

- Zakochałeś się w kimś, tak? - zapytał George, ciekaw, czy Australijczyk ma takie samo strapienie.

- Odkochałem się - powiedział Finch. - Co jest o wiele bardziej skomplikowane.

- Jestem pewien, że wkrótce znajdziesz nową miłość.

- O to się nie martwię - rzekł przyjaciel. - Właśnie się dowiedziałem, że ona jest w ciąży.

- Wobec tego musisz się z nią ożenić - stwierdził rzeczowo George.

- Na tym polega problem - powiedział Finch. - Jesteśmy już małżeństwem.

Jeszcze nigdy od czasu przygody z lawiną na Mont Blanc George nie był tak bliski odpadnięcia. Ponad nimi ukazała się głowa.

- Ruszajcie się - rzekł Young. - Czy też obaj nie wiecie, jak rozwiązać ten problem?

Żaden z nich się nie odezwał, więc Young po prostu powiedział:

- Idźcie za mną.

Przez następną godzinę wszyscy trzej dzielnie się zmagali, pokonując ostatnie trzysta metrów, i dopiero kiedy George stanął obok towarzyszy na wierzchołku, Finch znowu otworzył usta.

- Czy są jakieś wieści o tej jednej górze, na której szczyt wszyscy chcemy dotrzeć? - zwrócił się do Younga.

Wprawdzie George nie pochwalał jego bezceremonialnego stylu, lecz miał nadzieję, że Young odpowie na to pytanie, gdyż jedno było pewne: nikt ich nie podsłucha na wysokości czterech tysięcy czterystu siedemdziesięciu sześciu metrów, na jaką wznosił się Matterhorn.

Young spojrział w dolinę, zastanawiając się, ile wyjawić.

- Wszystko, co powiem na ten temat, musi zostać między nami - powiedział w końcu. - Nie spodziewam się oficjalnego oświadczenia Ministerstwa Spraw Zagranicznych przynajmniej w ciągu dwóch najbliższych miesięcy. - Nic nie mówił przez dłuższą chwilę i tym razem nawet Finch milczał. - Jednak mogę wam powiedzieć - ciągnął - że Klub Alpejski zawarł tymczasową umowę z Królewskim Towarzystwem Geograficznym w sprawie utworzenia wspólnego gremium, które będzie się zwać Komitet Everestowski.

- A kto będzie w nim zasiadał? - zapytał Finch.

I znów Young długo milczał, zanim odpowiedział.

- Sir Francis Younghusband będzie przewodniczącym, ja zastępcą, a sekretarzem pan Hinks.

- Nikt nie może być przeciwko Younghusbandowi jako przewodniczącemu - powiedział George, starannie dobierając słowa. - W końcu odegrał zasadniczą rolę w zainicjowaniu wyprawy na Everest.

- Ale to nie dotyczy Hinksa - rzucił Finch, nie przebierając w słowach. - To facet, któremu się udało ze snobizmu uczynić sztukę.

- Czy to nie zbyt obcesowe, stary? - zaproponował George, który myślał, że nie zaszokuje go już nic, z czym wyrwie się Australijczyk.

- A czy nie zauważyłeś, że podczas wykładu Scotta w Królewskim Towarzystwie Geograficznym kobiety, w tym żony Hinksa i Scotta, upchnięto na galerii jak bydło w pociągu towarowym?

- Tradycje niełatwo wygasają w takich instytucjach - zauważył ze spokojem Young.

- Nie usprawiedliwiamy snobizmu, strojąc go w szaty tradycji - rzekł Finch. - Wiesz, George - dodał - Hinks będzie zachwycony, jeśli zostaniesz wybrany do zespołu wspinaczy. Przecież kształciłeś się w Winchester i w Cambridge.

- To niestosowna uwaga - powiedział ostro Young.

- Wkrótce się dowiemy, czy nie mam racji - nie ustępował Finch.

- Z tej strony nie musisz się niczego obawiać - rzekł Young. - Mogę cię zapewnić, że to Klub Alpejski wybierze zespół wspinaczkowy, a nie Hinks.

- Możliwe - odparł Finch, upierając się przy swoim - ale liczy się to, kto będzie zasiadał w tym Komitecie.

- Będzie się składał z siedmiu członków - wyjaśnił Young. - Trzech z Klubu Alpejskiego. Zanim zapytasz: poproszę Somervella i Herforda, żeby do mnie dołączyli.

- Nie mógłbyś lepiej wybrać - wtrącił George.

- Możliwe - zgodził się Finch. - Ale kto jest kandydatem Towarzystwa?

- Hinks, gość o nazwisku Raeburn i generał Bruce, czyli będzie trzech na trzech.

- Czyli Younghusband będzie miał rozstrzygający głos.

- Nie widzę tu żadnego problemu - rzekł Young. - Younghusband jest doskonałym przewodniczącym Towarzystwa i nikt nigdy nie podawał w wątpliwość jego prawości.

- Powiedziane prawdziwie po brytyjsku - zauważył Finch.

Young zacisnął usta i po chwili dodał:

- Chyba powinienem podkreślić, że Towarzystwo będzie wybierać tylko tych członków ekspedycji, którzy zajmą się wykreśleniem dokładnych map dalszego rejonu i gromadzeniem próbek geologicznych, jak również flory i fauny występującej jedynie w Himalajach. Do Klubu Alpejskiego będzie należał wybór zespołu

wspinaczy i naszym zadaniem będzie też wyszukanie drogi na szczyt Everestu.

- A kto przypuszczalnie poprowadzi ekspedycję? - zapytał Finch, wciąż nie dając za wygraną.

- Spodziewam się, że generał Bruce. Pełnił służbę w Indiach przez wiele lat i jest jednym z nielicznych Anglików, którzy poznali Himalaje, a także przyjaźni się z Dalajlamą. Będzie idealnym przewodnikiem przez granicę do Tybetu. Gdy dotrzemy na podgórze Everestu i założymy obóz bazowy, ja zostanę szefem akcji górskiej i to moim obowiązkiem będzie zapewnienie, żeby Anglik był pierwszym człowiekiem, który stanie na dachu świata.

- Ja jestem Australijczykiem - przypomniał mu Finch.

- Jakże to właściwe, żeby inny członek Wspólnoty Brytyjskiej stanął obok mnie - powiedział Young z uśmiechem, po czym dodał: - Może byłoby rozsądne, panowie, gdybyśmy już schodzili. Chyba że zamierzacie nocować na tej górze.

George z powrotem założył okulary ochronne, podekscytowany nowinami Younga, ale podejrzewał, że Finch sprowokował go do wyjawienia dużo więcej, niż zamierzał. Young położył suwerena na najwyższym punkcie Matterhornu, skłonił się i rzekł:

- Jego Królewska Mość składa wyrazy uszanowania, madame, i ma nadzieję, że pozwoli pani jego poddanym bezpiecznie wrócić do domu.

- Mam jeszcze jedno pytanie - odezwał się Finch.

- Ale tylko jedno - rzekł Young.

- Jak myślisz, kiedy ekspedycja ma wyruszyć do Tybetu?

- Nie może to być później niż w lutym przyszłego roku - odparł Young. - Musimy założyć obóz bazowy do maja, jeżeli mamy mieć dość czasu, aby dotrzeć na szczyt przed nastaniem pory monsunowej.

Finch wydawał się zadowolony z tej odpowiedzi, natomiast George mógł się tylko zastanawiać, jak pan Fletcher, nowo mianowany dyrektor Charterhouse, zareaguje na prośbę jednego z nauczycieli o sześciomiesięczny urlop.

Young powiódł ich powoli w dół, nie tracąc słów na błahą rozmowę, dopóki nie znaleźli się na bezpieczniejszym gruncie. Kiedy na horyzoncie ukazał się ich hotel, wypowiedział ostatnie zdanie na temat planowanej wyprawy.

- Panowie, byłbym zobowiązany, gdybyśmy nie mówili więcej o tej sprawie, nawet między nami, dopóki Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie wyda oficjalnego oświadczenia.

Obaj mężczyźni skinęli głowami.

- Jednakże mam nadzieję, że nic innego nie planujecie na rok tysiąc dziewięćset piętnasty.

Finch właśnie schodził na kolację w koszuli rozpiętej pod szyją, spodniach z flaneli i sportowej marynarce, gdy spostrzegł Mallory'ego, który stał przy recepcji i wypisywał czek.

- Wyruszamy na małą przygodę, czy tak? - zapytał, spoglądając na walizkę u stóp kolegi.

Mallory się uśmiechnął.

- Tak. Muszę przyznać, że nie jesteś jedynym facetem, którego próbuję wyprzedzić.

Finch spojrział na przywieszkę przy walizce.

- Skoro w Wenecji nie ma gór, o których bym słyszał, to mogę tylko przypuścić, że w grę wchodzi druga kobieta.

George nie odpowiedział, tylko podał czek recepcjonistce stojącej za kontuarem.

- Tak jak myślałem - zauważył Finch. - A ponieważ już zasugerowałeś, że jestem trochę znawcą, jeżeli chodzi o płęć piękną, to ostrzegam, że lawirowanie między dwiema kobietami, nawet jeżeli żyją na innych kontynentach, nigdy nie jest proste.

George uśmiechnął się od ucha do ucha, złożył pokwitowanie i schował do kieszeni.

- Mój drogi Finchu - powiedział. - Pozwól, że zwrócę ci uwagę, że zanim będzie ta druga, wpierw musi być pierwsza.

I bez słowa podniósł walizkę, uśmiechnął się do Fincha i skierował do drzwi.

- Na twoim miejscu nie powtarzałbym tych słów, gdy staniesz pierwszy raz przed obliczem Czomolungmy - powiedział cicho Finch.

- Mam wrażenie, że ta szczególna dama może się okazać pamiętliwą kochanką.

George nie obejrzał się za siebie.

Rozdział 21

Czwartek, 26 marca 1914

Od chwili, gdy w Westbrook George zobaczył Ruth, nie mógł przestać o niej myśleć, nawet gdy się wspinał. Czy dlatego Finch osiągnął przed nim szczyt Matterhornu, a Young wybrał Somervella i Herforda do komitetu? Czyżby Finch miał rację, sugerując, że kiedyś George będzie musiał dokonać wyboru? Teraz nie było to konieczne, gdyż obie damy starannie go unikały.

George wymknął się z Zermatt we wtorek wieczorem, zostawiając kolegom batalię z kilkoma mniejszymi szczytami. Wsiadł do pociągu do Lozanny z przesiadką w Visp, gdzie przez większość czasu obmyślał plan, jak by przypadkowo mogli się spotkać - to znaczy, o ile uda mu się ją znaleźć.

W pociągu przy akompaniamencie stukotu kół George'owi napłynęła do głowy myśl, że wprawdzie na górach nie można polegać, ale przynajmniej tkwią w jednym miejscu. Czy nie będzie zbyt oczywiste, że jechał ze Szwajcarii do Włoch specjalnie dla niej? Wiedział, kto się natychmiast domyśli.

Kiedy George wysiadł w Lozannie, kupił bilet trzeciej klasy w pociągu do Werony, skąd zamierzał się przesiąść na ekspres do Wenecji. Nie było sensu wydawać pieniędzy na droższy bilet, skoro zależało mu na tym, żeby się przespać.

I pewno by spał, gdyby nie siedzący obok Francuz, który najwyraźniej uważał, że wszystko, co pałaszuje, musi być sUto okraszone czosnkiem, a chrapał tak, że zagłuszał lokomotywę.

George przespał się tylko parę chwil, zanim pociąg dotarł na miejsce. Nigdy wcześniej nie był w Wenecji, ale z przewodnikiem Baedekera nie rozstawał się przez cały miesiąc, kiedy więc wysiadł na stacji Santa Lucia, wiedział, gdzie są wszystkie pięciogwiazdkowe hotele w mieście. Wiedział nawet, że Firenze jest pierwszym hotelem w Europie, który oferuje pokój z przylegającą łazienką.

Kiedy tramwaj wodny dowiózł go do placu św. Marka, George udał się na poszukiwanie jedyne go hotelu, na jaki było go stać, nie położonego zbyt daleko od centrum miasta. Wprowadził się do najmniejszej izdebki na ostatnim piętrze, miejscu odpowiednim dla wspinacza, i rozgościł się, rozpaczliwie spragniony snu. Musiał wstać, jak wszyscy wytrawni wspinacze, przed słońcem, jeżeli planowana sztuczka miała mu się udać. Był pewien, że przed dziesiątą Turnerowie nie wychylą nosa z hotelu, gdziekolwiek się zatrzymali.

George spędził następną bezsenną noc, tym razem nie z winy czosnku i stukotu kół pociągu; materac bez sprężyn i poduszka z garstką pierza nie zadowolilyby nawet jego uczniów z Charterhouse.

Wstał przed szóstą i pół godziny później kroczył mostem Rialto w towarzystwie zapóźnionych birbantów i nielicznych o tej porze robotników. Wyjął listę hoteli z wewnętrznej kieszeni marynarki i rozpoczął metodyczne poszukiwania.

Najpierw zaszedł do hotelu Bauer, gdzie w recepcji spytał o rodzinę Turnerów - starszego pana z trzema córkami. Recepcjonista z nocnej zmiany sprawdził długą listę gości i potrząsnął przecząco głową. W pobliskim hotelu Europa e Regina George dostał taką samą

odpowiedź. W hotelu Baglione mieszkali Thompson i Taylor, ale nie było nikogo o nazwisku Turner, natomiast kierownik nocnej zmiany w Gritti Pałace przed udzieleniem odpowiedzi zażądał napiwku, a potem odparł, że nikt taki tu nie mieszka. W następnym hotelu odmówiono podania nazwisk gości nawet wtedy, gdy George powiedział, że jest bliskim przyjacielem rodziny.

George zaczynał się już zastanawiać, czy Turnerowie nie zmienili planów wakacyjnych, kiedy szwajcar w San Clemente, Anglik, uśmiechnął się, słysząc nazwisko, chociaż nie chciał się uśmiechnąć drugi raz, póki George nie wręczył mu banknotu o wysokim nominale. Rodzina Turnerów, powiedział, nie zatrzymała się w San Clemente, ale od czasu do czasu jadają tu kolację, i raz go poprosili, żeby im zamówił vaporetto, żeby mogli wrócić do... Nie dokończył zdania, dopóki drugi banknot o takim samym nominale nie dołączył do pierwszego... do swojego hotelu. Za trzecim banknotem George uzyskał nazwę hotelu, Cipriani, jak również nabrzeża, gdzie hotelowa taksówka wodna dowoziła gości.

George wsadził chudszy portfel z powrotem do kieszeni i szybko podążył na plac św. Marka, skąd było widać wyspę Giudecca i wyniosły budynek hotelu Cipriani. Co dwadzieścia minut taksówka wodna z nazwą „Cipriani” na dziobie przybijała na nabrzeże. George skrył się pod osłoną wielkiego sklepienia, skąd mógł obserwować każdą łódź wypływającą pasażerów, przekonany, że nie przeoczy starszego pana w towarzystwie trzech młodych dam, zwłaszcza że

podczas ostatnich sześciu tygodni obraz jednej z nich miał ciągle przed oczyma...

Przez następne dwie godziny George przyglądał się każdemu pasażerowi przyplływającemu z wyspy Giudecca. Gdy minęła kolejna, zaczął się zastanawiać, czy Turnerowie nie przenieśli się do innego hotelu, może tam, gdzie odmówiono mu pokazania listy gości. Widział, że turyści zapelniają okoliczne kafejki. Przenikający powietrze aromat świeżo pieczonych panini, crostini i gorącej kawy przypomniał mu, że nie jadł śniadania. Ale nie śmiał opuścić posterunku, bał się bowiem, że akurat wtedy rodzina Turnerów wyjdzie na brzeg. Zdecydował, że jeżeli nie zjawią się do południa, zaryzykuje i pojedzie na wyspę, a nawet wejdzie do ich hotelu. Ale jak wytłumaczy swoją obecność, jeżeli na nich wpadnie? Pan Turner by wiedział, że miesięczna pensja George'a ledwo starczy na jedną noc w hotelu Cipriani, nawet w najmniejszym pokoju.

Nagle George ją spostrzegł. W pierwszej chwili pomyślał, że jest nawet piękniejsza, niż pamiętał. Była w długiej empirowej sukni z żółtego jedwabiu, z szeroką czerwoną wstążką pod biustem. Kręcone, rudawobrazowe włosy opadały jej do ramion, które osłaniała przed porannym słońcem białą parasolką. Gdyby ktoś go spytał, jak były ubrane Marjorie i Mildred, nie umiałby powiedzieć.

Pan Turner pierwszy postawił stopę na nabrzeżu. Był w szykownym kremowym garniturze, białej koszuli i krawacie w paski. Podawał ramię córkom, kiedy wysiadały z łodzi. George odetchnął z

ulgą, nie widząc Andrew, który - miał nadzieję - bronił bramki w Taunton.

Turnerowie powędrowali w kierunku placu św. Marka krokiem ludzi, którzy wiedzą, dokąd idą, i istotnie tak było, bo kiedy weszli do zatłoczonej kawiarni, kierownik sali od razu zaprowadził ich do jedyne go wolnego stolika. Złożyli zamówienie i Turner od razu zagłębił się w „Timesie” z poprzedniego dnia, natomiast Ruth zaczęła kartkować książkę, która musiała być przewodnikiem po Wenecji, ponieważ przeglądała ją wraz z siostrami, od czasu do czasu wskazując charakterystyczne obiekty.

W pewnej chwili Ruth spojrzała w jego stronę i przez moment George się zastanawiał, czy go nie spostrzegła, chociaż rzadko zauważa się kogoś, kogo się nie szuka, zwłaszcza jeśli ta osoba kryje się w cieniu. Czekał cierpliwie, aż pan Turner poprosi o rachunek, zdając sobie sprawę, że nie może zwlekać z realizacją drugiej części swojego planu. Ledwo Turnerowie opuścili kawiarnię, George wychynął spod sklepienia bramy i podążył na środek placu. Nie spuszczał wzroku z Ruth, która szła z otwartym przewodnikiem w rękę. Czytała na głos fragmenty, a rodzina uważnie słuchała. George pomyślał, że wolałby być na szczycie góry, nawet gdyby jedynym jego towarzyszem był Finch. Przecież to jasne, że się połapią, jak go tylko zobaczą. Był tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Wyłonił się spoza grupy przechadzających się turystów i gdy był w odległości kilku kroków, zatrzymał się przed Turnerem.

- Dzień dobry panu - powiedział, uchylając kanotiera i robiąc zdziwioną minę. - Co za miła niespodzianka.

- Hmm, niewątpliwie dla mnie to jest niespodzianka, panie Mallory - rzekł Turner.

- I nadzwyczaj przyjemna - dodała Marjorie.

- Dzień dobry, panno Turner - powiedział George, ponownie unosząc kapelusz.

Co prawda Mildred nagrodziła go nieśmiałym uśmiechem, ale Ruth dalej wpatrywała się w przewodnik, jakby niespodziewane pojawienie się George'a było tylko irytującym przerywnikiem.

- Przed pięcioma zwieńczonymi łukami portalami Bazyliki - oznajmiła, podnosząc głos - rozpościera się piazza San Marco, rozległy, wybrukowany, okolony arkadami plac, nazwany niegdyś przez Napoleona salonem Europy.

George nadal się do niej uśmiechał, czując się niczym Malwolio, bo jak Oliwia nie chciała mu odwzajemnić uśmiechu. Czuł, że przedsięwziął podróż daremnie i że nigdy, nawet przez chwilę, nie powinien był sobie wyobrażać... Wymknie się, a oni szybko zapomną, że tu był.

- Dzwonnica świętego Marka - ciągnęła Ruth, podnosząc wzrok - wznosi się na wysokość dziewięćdziesięciu dziewięciu metrów i zwiedzający mogą się dostać na jej szczyt, pokonując czterysta dwadzieścia jeden stopni.

George uchylił kapelusza przed panem Turnerem i odwrócił się, żeby odejść.

- Czy myśli pan, że zdobyłby się na to? - zapytała go Ruth.

George się zawahał.

- Możliwe - odparł, odwracając się do niej. - Ale należałoby wziąć pod uwagę warunki atmosferyczne. Silny wiatr mógłby być utrudnieniem.

- Nie wyobrażam sobie, dlaczego silny wiatr miałby być utrudnieniem, skoro byłby pan bezpieczny w środku?

- I trzeba też pamiętać, panno Turner - kontynuował George - że najważniejszą decyzją przed rozpoczęciem wspinaczki jest wybór właściwej drogi. Rzadko się zdarza, że idzie się na wprost, a jak się wybierze źle, można wrócić, nie osiągnąwszy celu.

- Ależ to interesujące - prychnęła Ruth.

- Lecz jeżeli się nadarza prostsza droga, powinno się wziąć ją pod uwagę.

- W bedekerze nie ma nic, co by wskazywało, że jest jakaś prostsza droga - rzekła Ruth.

George zdecydował, że jeśli ma odejść, to zrobi to z fasonem.

- Więc może czas napisać nowy rozdział w pani przewodniku, panno Turner.

Bez słowa zdjął kapelusz i marynarkę i oddał Ruth. Spojrzał jeszcze raz na wieżę i skierował się do wejścia dla publiczności, gdzie ustawił się w kolejce turystów czekających, żeby dostać się do środka.

Kiedy dotarł na czoło kolejki, wskoczył na turniket i chwycił się krawędzi kamiennego łuku nad wejściem. Podciągnął się w górę i stanął na występie. Kilka chwil później, ku osłupieniu gapiów

śledzących jego wspinaczkę, już zwisał z pierwszej balustrady. Zatrzymał się na chwilę, zastanawiając się nad następnym ruchem. Zamierzał postawić prawą stopę na posągu świętego - świętego Tomasza, stwierdziła Mildred - który miał wątpiącą minę. Pan Turner odwrócił na chwilę wzrok od George'a, który wspinał się z gzymsu na gzyms, z przypory na przyporę, i spojrzał na córki. Mildred wydawała się zafascynowana zręcznością George'a, na twarzy Marjorie malował się podziw, ale najbardziej zaskoczyła ojca reakcja Ruth. Zbladła śmiertelnie i dygotała. Kiedy zdawało się, że George traci równowagę już blisko wierzchołka, pan Turner myślał, że jego ulubienica zemdleje.

George spojrział w dół na zatłoczony plac, niezdolny rozpoznać Ruth w mozaice pstrokatych kolorów. Uchwycił mocno obiema rękami szeroką balustradę, podciągnął się w górę i dołączył do turystów, którzy dotarli tu bardziej konwencjonalną drogą.

Mała grupka zahipnotyzowanych gapiów cofnęła się, z trudem wierząc w to, czego byli świadkami. Kilku zrobiło zdjęcia, żeby pokazać w domu, że tego nie zmyślili. George przechylił się przez balustradę i zaczął zastanawiać nad drogą powrotną - wtem spostrzegł, że na plac wbiegają dwaj karabinierzy.

Nie mógł ryzykować powrotu tą samą drogą, jeżeli nie chciał do francuskiej przygody dodać pobytu we włoskim więzieniu. Rzucił się do głównego wyjścia u szczytu schodów i dołączył do turystów, którzy zaczynali powoli schodzić krętymi kamiennymi schodami na plac. Minął szybko kilka osób, zwalniając dopiero przy grupie

Amerykanów, którzy najwyraźniej nie widzieli jego wyczynu. Rozmawiali tylko o tym, gdzie będą jedli lunch.

Kiedy grupa wysypała się z wieży na plac, George wziął pod rękę amerykańską matronę z Illinois, która wcale nie protestowała. Uśmiechnęła się do niego.

- Czy ci kiedy mówiłam, że mój krewniak był na Titanica? - zagadnęła.

- Nie - odrzekł George. - To fascynujące - dodał, gdy grupa mijala dwóch karabinierów, którzy rozglądali się za mężczyzną bez towarzystwa.

- Tak, to dziecko mojej siostry, Roderick. On nawet nie miał...

Ale George już gdzieś przepadł.

Gdy tylko umknął z pełnego ludzi placu, udał się spieszenie do swojego hotelu, ale nie biegł, żeby nie zwrócić uwagi. W piętnaście minut się spakował, uregulował rachunek - musiał dopłacić za opuszczenie hotelu po dwunastej - i wyszedł.

Pomaszerował w kierunku mostu Rialto, gdzie, jak wiedział, znajdzie vaporetto, które go dowiezie na stację kolejową. Kiedy łódź motorowa wolno sunęła obok placu św. Marka, zauważył policjanta przesłuchującego młodego człowieka, który musiał być w jego wieku.

Kiedy wysadzono go na stacji Santa Lucia, poszedł wprost do kasy biletowej i spytał, o której godzinie odjeżdża najbliższy pociąg na londyński dworzec Victoria.

- O trzeciej - odpowiedział kasjer. - Ale niestety, nie ma już biletów pierwszej klasy.

- Wobec tego muszę pojechać trzecią - rzekł George, opróżniając do reszty portfel.

Schodził na bok, ilekroć ujrzał policjanta, i zdawało mu się, że minęła wieczność, nim rozbrzmiał dzwonek na peronie i kierownik pociągu krzykiem zachęcił pasażerów pierwszej klasy, żeby wsiadali do ekspresu. George dołączył do doborowej grupy podążającej w stronę pociągu, przypuszczając, że policja tymi ludźmi na pewno nie będzie się interesować. Pomyślał nawet, żeby wleźć na dach pociągu, ale uznał, że wtedy jeszcze bardziej by był widoczny.

Znalazłszy się w pociągu, George kręcił się w korytarzu, mając się na baczności przed konduktorem. Zastanawiał się, czy nie zamknąć się w toalecie i tam poczekać, aż pociąg ruszy, kiedy usłyszał z tyłu:

- 77 vostro biglietto, signore, per favore.

George się odwrócił i zobaczył mężczyznę w długim błękitnym surducie z klapami suto lamowanymi złotem, trzymającego w ręce notes oprawny w skórę. Spojrzał przez okno i dostrzegł policjanta idącego peronem i wpatrującego się w okna pociągu. Udał, że szuka biletu, gdy policjant wszedł do wagonu.

- Musiał mi się gdzieś zawieruszyć - powiedział George. - Wrócę do kasy i...

- To niepotrzebne, proszę pana - wpadł mu w słowo konduktor, przechodząc z łatwością na język angielski. - Wystarczy, że poda mi pan swoje nazwisko.

- Mallory - powiedział George z rezygnacją, widząc zbliżającego się policjanta.

- Ach, tak - rzekł konduktor. - Jest pan w wagonie B, przedziale jedenastym. Pańska żona już przybyła. Czy zechciałby pan pójść za mną?

- Moja żona? - rzekł George, podążając za konduktorem przez wagon restauracyjny do następnego wagonu i usiłując wymyślić jakąś prawdopodobnie brzmiącą wymówkę, zanim konduktor zorientuje się w swojej pomyłce.

Kiedy znaleźli się przed przedziałem numer jedenaście, porządkowy otworzył drzwi z napisem „Riservato”. George zajrzał do środka i zobaczył swoją marynarkę i kanotier na siedzeniu naprzeciw niej.

- A, jesteś, kochany - przemówiła Ruth. - Już się zastanawiałam, czy zdążysz.

- Myślałem, że wracasz do Anglii dopiero w przyszłym tygodniu - wyjąkał George, siadając obok dziewczyny.

- Ja też - odparła Ruth. - Ale ktoś mi powiedział, że jeżeli nadarza się prostsza droga, powinno się ją wziąć pod uwagę, jeśli naturalnie nie wieje silny wiatr.

George wybuchnął śmiechem i chciał podskoczyć z radości, gdy wtem przypomniał sobie przeszkodę równie groźną jak włoska policja.

- Czy twój ojciec wie, że tu jesteś?

- Przekonałam go, że nie byłoby dobrze dla opinii szkoły, gdyby jeden z jej nauczycieli trafił do więzienia tuż przed rozpoczęciem nowego trymestru.

- A Andrew? Czy nie zamierzaliście... Ruth zarzuciła mu ramiona na szyję.

George usłyszał, jak odsuwają się drzwi przedziału. Nie śmiał odwrócić głowy.

- Oczywiście, kochanie, odpowiedź brzmi tak - powiedziała Ruth i pocałowała go.

- Scusi. - Policjant przyłożył palce do czapki i dodał: - Mills congratulazioni, signorel

Rozdział 22

Piątek, 1 maja 1914

- Pański strzał, jak sędzę - rzekł Turner.

George ustawił czubek kija bilardowego na wprost białej bili. Czuł, jak trzęsą mu się nogi, kiedy składał się do uderzenia. Spudłował i bila potoczyła się, wirując, odbiła się od bandy i zatrzymała nieopodal czerwonej.

- Faul - rzucił Turner. - I dla mnie cztery punkty.

- Zgadza się - westchnął George, gdy gospodarz wrócił do stołu.

Turner odezwał się dopiero wtedy, gdy zgromadził kolejne szesnaście punktów.

Ostatni miesiąc był najszcześniejszy w życiu Georgea. Prawdę mówiąc, nawet nie wiedział, że takie szczęście w ogóle istnieje. Z każdym dniem kochał Ruth coraz mocniej. Była taka bystra, wesola, przebywanie z nią dostarczało tak wiele radości.

Podróż do Anglii okazała się sielanką. Każda minuta zbliżała ich do siebie, George przeżył tylko chwilę niepokoju, kiedy pociąg stanął na granicy włoskiej i celnik dokładnie sprawdzał jego paszport. Kiedy wreszcie wjechali do Francji, George pierwszy raz się odprężył i nawet przelotnie pomyślał o Youngu i Finchu wspinających się w Zermatt. Ale tylko przelotnie.

Przy kolacji powiedział Ruth, dlaczego zamówił wszystkie pięć dań z karty: od trzech dni nie miał nic w ustach. Roześmiała się, kiedy opowiedział, z kim ostatnio spędził w pociągu noc - z mężczyzną, który bekał czosnkiem, kiedy nie spał, a podczas snu wdychał jego wyziewy.

- Więc nie spałeś przez trzy ostatnie noce - zauważyła.

- I nie zapowiada się na to, żebym spał tej nocy, kochanie - powiedział George.

- Nie mogę udawać, że tak spodziewałam się spędzić pierwszą noc z mężczyzną, którego pokocham - rzekła Ruth. - Ale może byśmy... - Pochyliła się nad stołem i coś wyszeptała George'owi do ucha.

Zastanawiał się przez chwilę, po czym chętnie przystał na propozycję.

Kilka minut później Ruth odeszła od stolika. W przedziale siedzenia rozłożono w pojedyncze łóżka. Ruth się rozebrała, powiesiła odzież, umyła twarz w małej umywalce, położyła się i zgasiła światło. George siedział w wagonie restauracyjnym i pił czarną kawę. Dopiero po wyjściu ostatniego gościa wrócił do przedziału.

Cicho odsunął drzwi i wśliznął się do środka, a potem chwilę stał bez ruchu, czekając, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Widział pod pościelą zarys szczupłej sylwetki Ruth i pragnął jej dotknąć. Zdjął marynarkę, krawat, spodnie, koszulę i skarpetki, zostawił wszystko na podłodze i wszedł do łóżka. Był ciekaw, czy Ruth jeszcze nie śpi.

- Dobranoc, panie Mallory - powiedziała.

- Dobranoc, pani Mallory - odparł.

George mocno spał pierwszy raz od trzech nocy.

Kiedy George się schylił do następnego uderzenia, Turner rzekł:

- Mallory, napisał pan na początku tygodnia, że chciałby porozmawiać ze mną o ważnej sprawie.

- Tak, to prawda - odparł George, tak pchnąwszy białą bilę, że zniknęła w najbliższej kieszeni.

- Znowu faul - skomentował Turner.

Wrócił do stołu i nie śpiesząc się, zgromadził znów więcej punktów, co sprawiło, że George poczuł się jeszcze większą niezdara.

- Tak, proszę pana - wybąkał w końcu i po chwili milczenia dodał: - Z pewnością zauważył pan, że spędzam mnóstwo czasu z pańską córką.

- Z którą? - spytał Turner, gdy George znów nic nie wbił. -
Następny faul. Czy zdobędzie pan jakieś punkty tego wieczoru, młody
człowieku?

- Chodzi o to, że...

- Chciałby pan mieć moje błogosławieństwo, zanim poprosi pan
Ruth o rękę.

- Już ją poprosiłem - przyznał George.

- Mam nadzieję, Mallory. W końcu spędził pan już z nią noc.

Gdy George zbudził się po tej nocy, było całkiem ciemno.
Rozsunął zasłony i ujrzał pierwsze promienie słońca wyłaniające się
spoza horyzontu: radosny widok dla każdego, kto się wspina po
górach.

Cicho wstał, wymacał slipki na podłodze i je wciągnął. Potem
znalazł pozostałe części garderoby. To niezbyt trudne dla kogoś, kto
zwykł spać w małym namiocie i posługiwać się tylko świecą. George
ostrożnie odsunął drzwi przedziału i wyśliznął się na korytarz.
Rozejrzał się, ale na szczęście było pusto. Prędko zapiał koszulę,
włożył spodnie i skarpetki, zawiązał krawat i narzucił marynarkę.
Kiedy wkroczył do wagonu restauracyjnego, obsługa, która nakrywała
do śniadania, była zaskoczona pojawieniem się pasażera pierwszej
klasy o tak wczesnej porze.

- Dzień dobry panu - powiedział kelner, który z lekkim
zażenowaniem przyglądał się spodniom Mallory'ego.

- Dzień dobry - odparł George i po dwóch krokach się zorientował, że ma niezapięty rozporek. Roześmiał się, zapiął go i pognał przez wagon restauracyjny w poszukiwaniu porannej gazety.

Dopiero kiedy się znalazł w wagonie K, ujrzał kiosk z gazetami. W oknie widniał napis „Chiuso”, ale przez szybę widać było młodego człowieka, który stał za ladą i rozwiązywał gruby sznur opasujący paczkę gazet. George z niedowierzaniem patrzył na pierwszą stronę. Z trudem rozpoznał się na nieostrej fotografii, ale nawet przy swojej słabej znajomości włoskiego zrozumiał tytuł: „Policja poszukuje tajemniczego wspinacza na Bazylikę św. Marka”.

Pokazał palcem na stertę gazet i sprzedawca niechętnie otworzył drzwi.

- Ile ma pan egzemplarzy tej gazety?

- Dwadzieścia.

- Biorę wszystkie - oznajmił George.

Sprzedawca miał niepewną minę, ale gdy George dał mu pieniądze, ze wzruszeniem ramion włożył gotówkę do kasy.

George podziwiał biżuterię w gablocie, a tymczasem, sprzedawca wydał mu resztę.

- Ile to kosztuje? - zapytał, wskazując jedną z aksamitnych podstawek.

- W jakiej walucie, proszę pana?

- W funtach szterlingach - odparł George, wyjmując książeczkę czekową.

Młody człowiek przesunął palcem wzdłuż kolumny liczb na karcie przymocowanej do ściany.

- Trzydzieści dwa funty, proszę pana.

George wypisał czek na równowartość swojej przyszlomiesięcznej pensji, a sprzedawca spakował maleńki upominek. George wrócił do wagonu restauracyjnego z gazetami pod pachą, a upominek schował do kieszeni marynarki. Wchodząc do następnego wagonu, znów skontrolował wzrokiem korytarz. Wciąż pusto. Wszedł do najbliższej toalety i przez kilka minut odrywał pierwszą stronę każdej gazety z wyjątkiem jednej, a potem przez dłuższy czas spuszczał je z wodą. Gdy znikł mu z oczu ostatni tytuł, otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Po drodze do wagonu restauracyjnego przed każdym prywatnym przedziałem kładł gazetę.

- Ale, proszę pana, ja mogę wyjaśnić, jak to się stało - zaprotestował George, kiedy bila zagrywana odbiła się od stołu i potoczyła się po podłodze.

- Znowu faul - zauważył Turner, podnosząc bilę i kładąc ją na suknie. - Nie domagam się wyjaśnień, ale jakie są pańskie widoki na przyszłość?

- Jak pan wie, jestem nauczycielem w Charterhouse, gdzie obecnie moje uposażenie wynosi trzysta siedemdziesiąt pięć funtów rocznie.

- To z pewnością nie wystarczy, żeby jedna z moich córek żyła na poziomie, do jakiego przywykła - rzekł Turner. - Czy ma pan jakiś dochód prywatny?

- Nie, nie mam. Mój ojciec jest duchownym, który musiał wychować czworo dzieci.

- Wobec tego będę wypłacał Ruth siedemset pięćdziesiąt funtów rocznie i dam jej dom w prezencie ślubnym. Jeżeli urodzą się dzieci, będę opłacał ich wykształcenie.

- Nigdy nie mógłbym poślubić dziewczyny posiadającej prywatny dochód - powiedział wyniośle George.

- Nie mógłby pan poślubić Ruth, gdyby go nie miała - zawyrokował Turner, z powodzeniem wykonał wózek i wbił czerwoną bilę do luzu.

George siedział samotnie i pił kawę, czekając na Ruth. Czy to prawda, że piękna kobieta śpi w przedziale jedenastym wagonu B, czy też to wszystko mu się śni i gdy się za chwilę obudzi, odkryje, że siedzi we włoskim więzieniu i że nie ma w pobliżu żadnego pana Irvinga, który go wybawi?

Pojawiło się kilku pasażerów, którzy zasiedli do śniadania, ale gdy pytali kelnerów, dlaczego w gazetach brak pierwszej strony, ci nie umieli odpowiedzieć. Kiedy Ruth weszła do wagonu restauracyjnego, George mógł myśleć tylko o jednym: z tą kobietą będę jadł śniadanie przez całe życie.

- Dzień dobry, pani Mallory - powiedział, wstając od stolika i biorąc ją w ramiona. - Czy ty w ogóle wiesz, jak bardzo cię Kocham? - dodał i pocałował ją.

Ruth oblała się rumieńcem pod karcącymi spojrzeniami kilku starszych pasażerów.

- George, chyba nie powinniśmy się całować na oczach innych.

- A wczoraj pocałowałaś mnie na oczach policjanta - przypomniał jej George, siadając z powrotem.

- Ale tylko dlatego, że chciałam cię uchronić przed aresztowaniem.

Podszedł do nich kelner z przyjaznym uśmiechem. W końcu w Orient Expressie byli przyzwyczajeni do par w podróży poślubnej.

Kiedy oboje złożyli zamówienie, George pchnął przez stół pierwszą stronę porannej gazety.

- Ładne zdjęcie, panie Mallory - szepnęła Ruth, przeczytawszy tytuł. - I nie dość, że panna została skompromitowana na pierwszej randce, to jeszcze ukrywa teraz zbiega. Więc pierwsze, o co zapyta mój ojciec, to czy masz uczciwe zamiary, czy też mogę tylko mieć nadzieję, że będę dziewczyną przestępcy?

- Jestem zaskoczony, że pani o to pyta, pani Mallory.

- Po prostu ojciec mi powiedział, że już masz bardzo wysoko postawioną ukochaną.

- Twój ojciec się nie myli, bo mu wyjaśniłem, że zostałem obiecany tej damie po osiągnięciu pełnoletności i kilka osób już było na naszych zaręczynach. W Tybecie nazywają to zaaranżowanym

małżeństwem, kiedy żadna ze stron nie widzi drugiej przed zaślubinami.

- Wobec tego musisz jak najprędzej odwiedzić tę małą lafiryndę i stanowczo jej oznajmić, że jesteś po słowie.

- Boję się, że nie jest taka mała. - George uśmiechnął się od ucha do ucha. - Ale gdy tylko stanie się zadość dyplomatycznym subtelnościom, złożę jej wizytę na początku przyszłego roku i wtedy jej wytłumaczę, dlaczego nie możemy się dłużej widywać.

- Żadna kobieta nie chce usłyszeć takich słów. - Ruth przybrała poważny ton. - Możesz jej oznajmić, że się zgodzę na kompromis.

- Kompromis? - uśmiechnął się George.

- Możliwe - rzekła Ruth - że za pierwszym razem ta bogini nie będzie chciała cię widzieć, bo jak każda kobieta zechce się upewnić, czy jesteś stały w uczuciach i wrócisz, żeby znów starać się o jej względy. Ja tylko proszę, George, żebyś, jak już uwiedziesz tę boginię, wrócił do mnie i nigdy więcej się do niej nie zalecał.

- Dlaczego mówisz to tak poważnie, kochanie? - spytał George, ujmując jej rękę.

- Bo gdy zobaczyłam, jak wspinasz się na dzwonnice świętego Marka, przekonałam, jak wspinasz się na dzwonnice świętego Marka, przekonałam, jak wspinasz się na dzwonnice świętego Marka, przekonałam, jak wspinasz się na dzwonnice świętego Marka, przekonaneś mnie o swojej miłości, ale też zrozumiałam, na jakie ryzyko jesteś gotów, jeżeli w coś żarliwie wierzysz... nie bacząc na niebezpieczeństwa. Chcę, żebyś mi obiecał, że gdy staniesz na szczycie tej piekielnej góry, będzie to pierwszy i ostatni raz.

- Zgadza się i zaraz tego dowiodę - rzekł George, puszczając rękę Ruth.

Wyjął z kieszeni mały pakiecik, zdjął opakowanie i położył przed nią skórzane pudełeczko. Ruth je otworzyła i zobaczyła złoty pierścionek z pojedynczym brylantem.

- Czy wyjdiesz za mnie, ukochana? Ruth uśmiechnęła się.

- Myślałam, że uzgodniliśmy to wczoraj - powiedziała, wsunęła pierścionek na palec, przechyliła się przez stół i pocałowała narzeczonego.

- Ale ja myślałem, że uzgodniliśmy też...

George przez chwilę rozważał propozycje pana Turnera i w końcu powiedział:

- Dziękuję panu. - Zapisawszy na swoje konto trzy punkty, pierwsze tego wieczoru, dodał: - To bardzo wspaniałomyślnie z pana strony.

- To nie więcej i na pewno nie mniej, niż zdecydowałem, kiedy przyjechał pan do Wenecji, żeby zobaczyć Ruth.

Pierwszy raz tego wieczoru George się roześmiał.

- Chociaż tylko kilku minut brakowało, żeby trafił pan do więzienia.

- Tylko kilku minut?

- Tak - odpowiedział Turner i wbił do luzu następną czerwoną bilę. - Tego dnia po południu odwiedzili mnie włoscy policjanci. Chcieli się dowiedzieć, czy zetknąłem się z Anglikiem nazwiskiem Mallory, którego wcześniej aresztowano w Paryżu za to, że się wspinał na wieżę Eiffla.

- To nie byłem ja - zaprzeczył George.
- Opis tego włóczykija pasuje do pana jak ulał.
- Ale to nieprawda. Brakowało mi do wierzchołka co najmniej kilkunastu metrów, kiedy mnie aresztowano. Turner wybuchnął śmiechem.

- Mogę tylko powiedzieć, Mallory, żebyś się nie wybierał w podróż poślubną do Francji albo do Włoch, jeżeli nie chcesz spędzić pierwszej nocy po ślubie w więziennej celi. Jednakże kiedy zbadałem sprawę twojej przestępczej działalności w Wenecji, okazało się, żeś złamał tylko lokalny przepis.

- Lokalny przepis?

- Nie zapłaciłeś biletu wstępu na zabytkową kampanilę. - Turner zawiesił głos. - Maksymalna grzywna tysiąc lirów. - Uśmiechnął się do przyszłego zięcia. - A przechodząc do ważniejszej sprawy, drogi chłopcze... wygrałem, jak sądzę.

Rozdział 23

Wtorek, 2 czerwca 1914

- Czy pan myśli, że będziemy musieli przystąpić do wojny? - spytał Wainwright pierwszego dnia trzymestru.

- Miejmy nadzieję, że nie - odparł George.

- Dlaczego nie, proszę pana, skoro to słuszna sprawa? Przecież powinniśmy stanąć w obronie tego, w co wierzymy. Anglicy zawsze tak postępowali.

- Ale gdyby się udało wynegocjować honorowe porozumienie z Niemcami - podsunął George - to czy nie byłoby to lepsze rozwiązanie?

- Nie można negocjować honorowego porozumienia z Hunami, proszę pana. Oni nigdy nie dotrzymują umów.

- Może tym razem historia udowodni, że nie masz racji.

- Ale pan zawsze nas uczył, żeby uważnie studiować przeszłość, jeżeli chce się przewidzieć najbardziej prawdopodobny wynik w przyszłości, a Hunowie...

- Niemcy, Wainwright.

- A Niemcy, jak mówi historia, zawsze byli wojowniczym narodem.

- Niektórzy mogą powiedzieć to samo o Anglikach, jeśli tylko to jest w naszym interesie.

- Nieprawda, proszę pana - rzekł Wainwright. - Anglia tylko wtedy toczy wojnę, kiedy chodzi o słuszną sprawę.

- Z punktu widzenia Anglików - zauważył George, co na chwilę uciszyło Wainwrighta.

- A jakbyśmy przystąpili do wojny - wyrwał się Carter młodszy - to czy pan by się zaciągnął?

Zanim George zdążył odrzec, wtrącił się Wainwright:

- Pan Asquith powiedział, że jak przystąpimy do wojny, to nauczyciele będą zwolnieni ze służby wojskowej.

- Zdaje się, Wainwright, że jesteś nadzwyczaj dobrze poinformowany w tych sprawach - zauważył George.

- Mój ojciec jest generałem, proszę pana.

- Poglądy zasłyszane w pokoju dziecięcym zawsze trudniej wykorzenić niż to, czego się naucza w klasie szkolnej - zauważył George.

- Kto to powiedział? - zapytał Graves.

- Bertrand Russell - poinformował go nauczyciel.

- A wszyscy wiedzą, że to obdżektor - wtrącił się Wainwright.

- Kto taki? - zdziwił się Carter młodszy.

- To człowiek, który odmawia służby wojskowej ze względu na przekonania. I użyje każdej wymówki, żeby się nie bić o swój kraj - wyjaśnił Wainwright.

- Każdy powinien iść za swoim sumieniem, kiedy ma dokonać wyboru moralnego.

- Niewątpliwie Bertrand Russell - rzucił Wainwright.

- Nie, Jezus Chrystus - sprostował George. Wainwright umilkł, ale odezwał się Carter młodszy:

- Gdybyśmy wzięli udział w wojnie, to czy to by panu nie odebrało szansy zdobycia Everestu?

(...) usta dzieci i niemowląt*...

* Ps 8,2.

Ruth zadała George'owi przy śniadaniu takie samo pytanie oraz drugie, jeszcze ważniejsze, czy poczyta sobie za obowiązek zaciągnąć się do wojska, czy, jak to brutalnie wyraził jej ojciec, schowa się za osłoną togi nauczycielskiej.

- Osobiście wierzę... - zaczął George, ale w tej chwili zabrzmiał dzwonek.

Klasie bardzo się śpieszyło na poranną pauzę i nie interesowała się jego osobistymi przekonaniem.

Przemierzając dziedziniec, George odpędził wszelkie myśli o wojnie, mając nadzieję na pokojowe porozumienie z Andrew, którego nie widział od powrotu z Wenecji. Kiedy otworzył drzwi pokoju nauczycielskiego, zobaczył, że kolega siedzi na zwykłym miejscu i czyta „Timesa”. Nie podniósł głowy. George nalał sobie filiżankę herbaty i powoli zbliżył się do niego, gotów stoczyć pojedynek na słowa.

- Dzień dobry, George - odezwał się Andrew, nie podnosząc wzroku.

- Dzień dobry, Andrew - odparł George, siadając obok kolegi.

- Mam nadzieję, że udały ci się wakacje - dodał Andrew, odkładając gazetę.

- Jako tako - odparł ostrożnie George.

- Nie mogę tego powiedzieć o sobie, stary. George poprawił się na krześle i czekał na atak.

- Przypuszczam, że słyszałeś o mnie i Ruth - rzekł Andrew.

- Jasne, że tak - potwierdził George.

- To co byś mi radził, stary?
 - Bądź wspaniałomyślny - podsunął z nadzieją George.
 - Łatwo ci tak mówić, chłopie, ale co z Ruth? Wątpię, żeby była skłonna do wspaniałomyślności.
 - Dlaczego nie? - zapytał George.
 - A czy ty byłbyś skłonny, gdybym cię w ostatniej chwili zawiódł?
- George nie umiał znaleźć stosownej odpowiedzi.
- Wiesz, ja naprawdę chciałem pojechać do Wenecji - ciągnął Andrew - ale jak doszliśmy do półfinału mistrzostw...
 - Gratulacje - powiedział George, któremu coś zaczęło świtać w głowie.
 - I chłopaki mnie nakłonili, powiedzieli, że nie mogę zawieść drużyny, zwłaszcza że nie mają innego bramkarza.
 - To nie pojechałeś do Wenecji?
 - No przecież próbuję ci to powiedzieć, staruszk. Gorzej, że nie wygraliśmy mistrzostw, więc przegrałem na obydwu frontach.
 - A to pech - rzekł George, usiłując ukryć uśmiech satysfakcji.
 - Myślisz, że ona się jeszcze kiedy do mnie odezwie? - zapytał Andrew.
 - Hmm, niedługo się przekonasz - zapewnił go George.
 - Jakim sposobem? - Andrew uniósł pytająco brwi.
 - Właśnie wysłaliśmy ci zaproszenie na nasz ślub.

Rozdział 24

Środa, 29 lipca 1914

- Czy poznałeś to uosobienie wszelkich cnót? - spytał Odell, odkładając na miejsce obok dziennik „Manchester Guardian”.

- Nie - odparł Finch - ale powinienem się domyślić, że coś się kroi, kiedy Mallory się urwał i pojechał do Wenecji.

- Myślę, że to jest to, co pisarki nazywają szalonym romanssem - odezwał się Young. - Oni się znają tylko kilka miesięcy.

- Dla mnie to byłoby aż za długo - wtrącił Guy Bullock, który wrócił do Anglii. - Mówię wam, chłopaki, ona jest zachwycająca i każdy, kto czegoś zazdrościł George’owi w przeszłości, zzielenieje z zawiści, jak ją zobaczy.

- Nie mogę się doczekać, żeby poznać dziewczynę, dla której George stracił głowę - powiedział z szerokim uśmiechem Somervell.

- Panowie, do rzeczy - rzekł Young, gdy konduktor krzyknął:

- Następna stacja Godalming.

- Po pierwsze - ciągnął Young - mam nadzieję, że nie zapomnieliście czekanów...

- Czy chcesz poślubić tę kobietę, żyć z nią zgodnie z przykazaniem Bożym w świętym stanie małżeńskim? Czy będziesz ją miłował, hołubił, szanował i otaczał opieką w chorobie i w zdrowiu i dochowasz jej wierności, wyrzekając się innych niewiast aż po kres żywotów waszych?

George nie odrywał oczu od Ruth, kiedy jego ojciec wypowiadał te słowa.

- Tak mi dopomóż Bóg - powiedział z mocą. Wielebny Mallory zwrócił się teraz do panny młodej i uśmiechnął się.

- Czy chcesz poślubić tego mężczyznę, żyć z nim zgodnie z przykazaniem Bożym w świętym stanie małżeńskim? Czy będziesz mu posłuszna, będziesz mu służyć, miłować go, szanować i otaczać opieką w chorobie i w zdrowiu i dochowasz mu wierności, wyrzekając się innych mężczyzn aż po kres żywotów waszych?

- Tak mi dopomóż Bóg - rzekła Ruth, chociaż tylko nieliczni poza siedzącymi w przedniej ławie mogli słyszeć jej odpowiedź.

- Kto oddaje tę oto kobietę za żonę temu mężczyźnie? - zapytał wielebny Mallory.

Pan Thackeray Turner wystąpił do przodu.

Geoffrey Young, który był drużbą Georgea, podał wielebnemu Mallory'emu skromną złotą obrączkę. George wsunął ją Ruth na serdeczny palec lewej ręki i oznajmił:

- Tą obrączką zaślubiam cię, ciałem swoim wielbię cię, wszelkie doczesne dobra tobie ofiarowuję.

Pan Turner uśmiechnął się pod nosem. Wielebny Mallory jeszcze raz złączył prawe ręce młodych i radośnie przemówił do zgromadzonych:

- Ogłaszam was mężem i żoną. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Gdy zabrzmiały dźwięki marsza weselnego Mendelssohna, George pocałował żonę pierwszy raz.

Państwo Mallory przeszli powoli nawą i George był uradowany, że tak wielu przyjaciół zadało sobie trud i przyjechało do Godalming. Zauważył, że jest wśród nich Rupert Brooke i Lytton Strachey, Maynard i Geoffrey Keynes, jak również Ka Cox oraz Cottie Sanders, która się do niego smutno uśmiechnęła. Ale prawdziwa niespodzianka czekała George'a i Ruth, kiedy wyszli z kościoła na blask słońca i zostali powitani przez straż honorową, którą utworzyli Young, Bullock, Herford, Somervell, Odell i oczywiście George Finch, wysoko wznosząc lśniące czekany, pod którymi niby pod baldachimem przeszli młodzi w ulewie confetti.

Po przyjęciu weselnym, podczas którego George i Ruth zdołali zamienić kilka słów z każdym z gości, nowożeńcy odjechali nowiutkim jajowatym morrisem pana Turnera na dziesięciodniowe wędrowne wakacje w Quantocks.

- Co myślisz o moich opiekunach, którzy będą mi towarzyszyć, kiedy cię opuszczę, żeby złożyć hołd drugiej kobiecie mojego życia? - zagadnął George, prowadząc samochód pustą, krętą drogą.

- Rozumiem, dlaczego tak chętnie idziesz w ślady Geoffreya Younga - odparła Ruth, studiując mapę rozłożoną na kolanach. - Szczególnie kiedy wysłuchałam tej głębokiej mowy, jaką wygłosił w imieniu drużbów. Odell i Somervell wyglądają na takich, co niczym Horacjusz staną po twojej stronie mostu, natomiast Herford, jak sędzę,

będzie szedł z tobą krok w krok, jeżeli zostanie wyznaczony do wspinaczki na szczyt.

- A Finch? - George zerknął na pannę młodą. Ruth zawahała się. Zmienił się ton jej głosu.

- On zrobi wszystko, George. Naprawdę wszystko, żeby dotrzeć na szczyt tej góry przed tobą.

- Skąd ta pewność, kochanie? - spytał ze zdziwieniem George.

- Kiedy wyszłam z kościoła wsparta na twoim ramieniu, patrzył na mnie tak, jakbym była niezamężną kobietą.

- Jak mogło patrzeć wielu kawalerów zgromadzonych w kościele - rzekł George. - Z Andrew O'Sullivanem włącznie.

- Nie. Andrew spoglądał na mnie tak, jakby chciał, żebym była wolna. To wielka różnica.

- Możesz mieć rację co do Fincha - przyznał George - ale tylko jego chciałbym mieć u boku przy pokonywaniu ostatnich trzystu metrów jakiegokolwiek góry.

- Także Everestu?

- Nade wszystko Czomolungmy.

Państwo Mallory zajechali pod hotelik w Crewkerne tuż po siódmej wieczór. Dyrektor hotelu czekał u wejścia, żeby ich powitać, a gdy wpisali się do rejestru gości - dopiero drugi raz podpisując się jako pan i pani Mallory - zaprowadził ich do apartamentu dla nowożeńców.

Rozpakowali walizki, myśląc, ale nie mówiąc, o jednym. Kiedy uporali się z tym prostym zadaniem, George wziął żonę za rękę i zaprowadził ją na dół do jadalni. Kelner podał im wielką kartę dań, którą przeczytali w milczeniu, po czym złożyli zamówienie.

- George, chciałabym spytać - zaczęła Ruth - czy ty...

- Tak, jedyna?

Ruth dokończyła zdanie, gdyby nie to, że wrócił kelner, niosąc dwie miski parującej, gorącej zupy pomidorowej i postawił je przed nimi. Odczekała, aż się na tyle oddalił, żeby nie słyszeć jej słów, i spróbowała od nowa.

- Kochany, czy ty masz pojęcie, jaka jestem zdenerwowana?

- Ani w połowie tak jak ja - przyznał George, który nawet nie dotknął łyżki.

Ruth schyliła głowę.

- George, myślę, że powinieneś wiedzieć...

- Tak, kochanie? - rzekł George, ujmując jej rękę.

- Nigdy nie widziałam nagiego mężczyzny, nie mówiąc o...

- Czy ci kiedyś mówiłem o mojej wizycie w Moulin Rouge? - zagadnął George, próbując rozładować napięcie.

- Wiele razy - odparła Ruth z uśmiechem. - A jedyną kobietą, jakiej w ogóle okazałeś wtedy zainteresowanie, była madame Eiffel, i nawet ona odrzuciła twoje zaloty.

George wybuchnął śmiechem, bez słowa wstał i wziął żonę za rękę. Ruth uśmiechnęła się, gdy opuszczali jadalnię, mając nadzieję, że nikt nie spyta, dlaczego nawet nie skosztowali zupy.

Milcząc, szybko weszli na trzecie piętro. Kiedy stanęli przed drzwiami sypialni, George mocował się z zamkiem i wreszcie udało mu się otworzyć drzwi. Gdy tylko weszli do środka, wziął żonę w ramiona. Po dłuższej chwili ją wypuścił i cofnął się o krok z uśmiechem. Powoli zdjął marynarkę i krawat, cały czas patrząc na Ruth. Zona uśmiechnęła się i rozpięła suknię, która opadła na podłogę, odsłaniając długą jedwabną halkę sięgającą tuż za kolana. Ściągnęła ją wolno przez głowę i gdy halka wylądowała koło sukni, George objął Ruth i ją pocałował. Ona próbowała zsunąć mu spodnie, on usiłował rozpiąć jej stanik. Gdy byli nadzy, przez moment stali, patrząc na siebie, potem upadli na łóżko. George gładził jej długie, kasztanowate włosy, a ona delikatnie go całowała. Zaczęli poznawać swoje ciała i prędko zrozumieli, że nie ma w tym nic, czego trzeba by się bać.

Kochali się, a potem Ruth opadła na poduszki i powiedziała:

- A teraz niech mi pan powie, panie Mallory, z kim wolałby pan spędzić noc, z Czomolungmą czy ze mną?

George tak głośno się roześmiał, że Ruth zakryła mu dłonią usta, bojąc się, że usłyszą ich w sąsiednim pokoju. Trzymał ją w objęciach, dopóki nie zasnęła głębokim snem.

Następnego ranka George zbudził się pierwszy i całował jej piersi, aż otworzyła oczy. Uśmiechnęła się do niego, kiedy wziął ją w ramiona, błędząc rękoma po jej ciele. Mógł się tylko zdumiewać, gdzie się podziała ta nieśmiała dziewczyna, która nie mogła przełknąć łyżki zupy poprzedniego wieczoru. Znowu się kochali, a potem

ukradkiem przemknęli korytarzem do łazienki, gdzie razem wykapali się w największej wannie, jaką widzieli w życiu. Potem George w ręczniku wokół pasa przysiadł na łóżku i patrzył, jak jego piękna żona się ubiera. Ruth się zarumieniła.

- Lepiej się pośpiesz, George, bo nie zjemy też śniadania.

- To mi odpowiada - rzekł George.

Ruth się uśmiechnęła i zaczęła wolno rozpinać suknię.

Przez dziesięć następnych dni George i Ruth wędrowali po okolicach Quantocks, często wracając do hotelu już dawno po zachodzie słońca. Co dzień Ruth wypytywała George'a o swoją rywalkę, usiłując zrozumieć, dlaczego Czomolungma ma nad nim taką władzę. George nadal planował wyjazd do Tybetu na początku przyszłego roku, co znaczyło, że rozstaną się na co najmniej sześć miesięcy.

- Jak myślisz, ile dni i nocy zajmie wam dotarcie na szczyt? - zapytała Ruth, kiedy stanęli na wierzchołku Lydeard Hill.

- Nie możemy tego wiedzieć - przyznał George. - Ale Finch jest przekonany, że w miarę wzrostu wysokości będziemy musieli spać w coraz mniejszych namiotach. Może nawet trzeba będzie spędzić ostatnią noc przed atakiem na szczyt na wysokości ponad ośmiu tysięcy dwustu metrów.

- Ale jak w ogóle można się przygotować do tak ciężkiej próby? - spytała Ruth, spoglądając na dół z dziesięciokrotnie mniejszej wysokości.

- Nie mam pojęcia - rzekł George, gdy zaczęli schodzić ze wzgórza, trzymając się za ręce. - Nikt nie wie, jak zachowa się organizm człowieka na wysokości ponad sześciu tysięcy siedmiuset metrów, nie mówiąc o ośmiu tysiącach ośmiuset czterdziestu, gdzie temperatura może spaść do minus czterdziestu stopni, a jeżeli w twarz wieje ci wiatr, musisz zrobić dziesięć kroków, żeby posunąć się o metr do przodu. Spędziliśmy kiedyś z Finchem trzy dni w małym namiocie na wysokości czterech tysięcy pięciuset siedemdziesięciu metrów i w pewnej chwili zrobiło się tak zimno, że wleźliśmy do jednego śpiwora i całą noc tuliliśmy się jeden do drugiego.

- Mogę się tulić do ciebie całą noc - rzekła Ruth z uśmiechem. - Dzięki temu lepiej zrozumiem, co będziesz przeżywał.

- Nie sądzę, kochanie, żebyś była gotowa spędzić noc na wysokości ośmiu tysięcy ośmiuset czterdziestu metrów. Nawet dwie noce w małym namiocie na plaży mogą się okazać nie lada wyzwaniem.

- Czy myśli pan, panie Mallory, że by się pan na to zdobył?

- Kiedy ostatni raz zadała mi pani to pytanie, pani Mallory, o mało nie wylądowałem w więzieniu.

W najbliższym miasteczku znaleźli sklep ze sprzętem biwakowym i George kupił mały brezentowy namiot oraz jednoosobowy śpiwór. Po sutej kolacji wymknęli się z hotelu i pojechali samochodem na najbliższą plażę. George wybrał odludne miejsce zwrócone ku oceanowi, które nie chroniło przed silnym

wiatrem. Wbili sporo kołków w piasek, żeby wiatr nie porwał ich pierwszego domu.

Gdy zabezpieczyli namiot, obciążając kołki kamieniami, Ruth wczłgała się do środka, a George został na plaży. Rozebrał się i wśliznął się do śpiwora, obejmując dygocącą żonę. Przywarli do siebie, ale nawet kiedy przestali się kochać, Ruth dalej tuliła się do męża.

- Opuściłbyś dom, żeby tak spać noc w noc? - zapytała z niedowierzaniem.

- Przy minus czterdziestu stopniach i w powietrzu tak rozrzedzonym, że ledwo można oddychać.

- W objęciach innego mężczyzny. Cóż, panie Mallory, masz jeszcze kilka miesięcy na zmianę decyzji - dodała smutno.

Żadne z nich nie pamiętało, kiedy zasnęli, ale nigdy nie zapomnieli, jak ich obudzono. George zmrużył oczy pod światłem latarki i usiadł. Ruth, której ciało pokrywały siady po ukąszeniach muszek, wciąż się do niego tuliła.

- Proszę wyjść na zewnątrz - rozkazująco przemówił czyjś głos.

George musiał podjąć decyzję, czy ma się zachować jak dzielny rycerz i nie budząc żony, wyjść, drżąc z zimna. Zdecydował, że zachowa się jak sir Galahad, i powolutku wypełzł z namiotu, gdzie czekało dwóch funkcjonariuszy z lokalnej policji, którzy świecili latarkami na jego nagie ciało.

- Czy mogę zapytać, co państwo tu robią? - spytał pierwszy policjant.

George chciał powiedzieć, że jego żona chciała się dowiedzieć, jak to jest, kiedy się spędza noc na Mount Evereście, ale zamiast tego rzekł:

- Jesteśmy świeżo po ślubie, panie sierżancie, i po prostu chcieliśmy spędzić noc na plaży.

- Myślę, że lepiej będzie, jeżeli oboje państwo przyjdą na posterunek - odezwał się głos spoza drugiej latarki. - Ale może najpierw pan i pańska żona się ubierzecie.

George wczuł się do namiotu i zobaczył, że Ruth się śmieje.

- Co cię tak śmieszy? - zapytał, wciągając spodnie.

- Ostrzegałam, że cię aresztują.

Główny inspektor policji, którego obudzono w środku nocy i poproszono, żeby przyjechał na posterunek i przesłuchał dwoje podejrzanych, wkrótce składał przeprosiny.

- Dlaczego policja myślała, że jesteśmy szpiegami? - zapytał go George.

- Rozłożyliście państwo namiot niecałe sto metrów od ściśle tajnych magazynów marynarki wojennej - odparł inspektor. - Jestem pewien, że nie muszę panu przypominać, że premier prosił wszystkich o zachowanie czujności, gdy szykujemy się do wojny.

Rozdział 25

Październik 1914

Według powszechnie panującej opinii wojna miała się skończyć przed Bożym Narodzeniem.

George i Ruth wrócili z podróży poślubnej do Godalming i osiedli w domu, który pan Turner podarował córce w prezencie ślubnym. Posiadłość o nazwie The Holt to było więcej, niż oboje mogliby żądać, i z pewnością więcej, niż oczekiwał George. Liczyła dziesięć akrów ziemi, a okazały dom otaczał ogród, w którym Ruth, jak wiedziała, spędzi wiele szczęśliwych godzin.

Nikt nie mógł wątpić, że George bardzo kocha swoją żonę, i Ruth chodziła w glorii kobiety, która wie, że jest darzona miłością. Niczego im nie brakowało i każdy, kto widział ich razem, musiał uważać ich za szczęśliwą parę, wiodącą idylliczną egzystencję. Ale to był pozór, gdyż George'a dręczyło sumienie.

Podczas następnych miesięcy George mógł się tylko biernie przyglądać, jak wielu jego przyjaciół i rówieśników z Cambridge, a nawet kilku młodych ludzi, których uczył w Charterhouse, wyruszało na front zachodni, żeby nigdy nie wrócić, podczas gdy jedynym poświęceniem z jego strony było odłożenie na czas po wojnie wyprawy do Tybetu. Gorzej, że przyjaciele, którzy odwiedzali The Holt, zawsze byli w mundurach. Brooke, Young, Somervell, Odell, Herford, a nawet Finch wpadli, żeby spędzić tu noc przed wyjazdem do Francji. George nieraz się zastanawiał, czy któryś z nich nie myśli o nim, że znalazł sobie łatwe wyjście z sytuacji. I chociaż przyjaciele nigdy nie poruszali tego tematu, a nawet starali się podkreślić, jak ważna jest jego praca, on nigdy nie miał pewności. A ilekroć dyrektor,

pan Fletcher, odczytywał nazwiska absolwentów szkoły, którzy oddali życie w służbie krajowi, tym bardziej czuł się winny.

George postanowił porozmawiać o swoich wątpliwościach z najstarszym przyjacielem, Guyem Bullockiem, który wrócił do Londynu, żeby objąć posadę w Ministerstwie Wojny. Guy próbował go przekonać, że nie ma szczytniejszego powołania niż nauczanie następnego pokolenia dzieci, które zajmą miejsce tych, którzy zginęli.

Potem George zwrócił się o radę do Geoffreya Younga, który mu przypomniał, że jeśli zdecyduje się zaciągnąć, ktoś inny musi go zastąpić. Prowadził również niekończące się dyskusje z Andrew O'Sullivanem, który nie miał cienia wątpliwości, że czynią słusznie, tkwiąc na swych posterunkach. Pan Fletcher zajmował jeszcze bardziej niewzruszoną postawę, dowodząc, że nie może sobie pozwolić na stratę kogoś z doświadczeniem Georgea.

Ile razy George poruszał ten temat w rozmowie z Ruth, dobitnie wyrażała swoje zdanie. W końcu doprowadziło to do ich pierwszej sprzeczki po ślubie.

George z coraz większym trudem zasypiał w nocy, zmagając się z sumieniem, a Ruth też często leżała, nie śpiąc, świadoma jego rozterek.

- Czy wciąż nie śpisz, kochanie? - szepnęła pewnej nocy.

Pochylił się i pocałował ją delikatnie w usta, a potem objął ją, a ona położyła mu głowę na ramieniu.

- Myślałem o naszej przyszłości - rzekł George.

- Już jest pan mną znudzony, panie Mallory? - zakpiła. - I pomyśleć, że jesteśmy dopiero kilka miesięcy po ślubie.

- Raczej przerażony, że cię stracę - powiedział cicho George. Poczul, że Ruth zeszywniała. - Nikt nie wie lepiej niż ty, kochanie, jak bardzo czuję się winny, że nie jestem razem z przyjaciółmi we Francji.

- Czy któryś z nich powiedział coś, co sprawiło, że czujesz się winny?

- Nie, żaden - przyznał George. - Ale to milczenie jest jeszcze bardziej wymowne.

- Ale oni wiedzą, że służysz swojemu krajowi w inny sposób.

- Nikt, najdroższa, nie może uciec przed własnym sumieniem.

- Gdyby cię zabito, co by z tego przyszło?

- Nic poza tym, że wiedziałabyś, że postąpiłem honorowo.

- A ja zostałabym wdową.

- Jak wiele innych kobiet poślubionych honorowym mężczyznom.

- Czy ktoś z grona nauczycielskiego Charterhouse się zaciągnął?

- Nie mogę się wypowiadać za moich kolegów - odparł George.

- Ale mogę mówić za Brooke'a, Younga, Bullocka, Herforda, Somervella i Fincha, którzy należą do najszlachetniejszych mężczyzn mojego pokolenia i nie zawahali się, żeby służyć swojemu krajowi.

- Oni wyraźnie powiedzieli, że rozumieją twoje położenie.

- Może, ale oni nie wybrali łatwego wyjścia.

- Kogoś, kto się wspiał na dzwonnice świętego Marka, nie można oskarżać o wybór łatwego wyjścia - zaprotestowała Ruth.

- A jeżeli ten człowiek nie dołączył do swoich kolegów na froncie, kiedy jego kraj toczy wojnę? - George objął żonę. - Rozumiem, co czujesz, kochanie, ale może...

- Może uczyni różnicę, George - przerwała mu - jak ci powiem, że jestem w ciąży?

Ta radosna nowina opóźniła decyzję George'a, ale niedługo po narodzinach córki, Clare, powróciło poczucie winy. Mając własne dziecko, poczuwał się do jeszcze większej odpowiedzialności wobec przyszłego pokolenia.

Wojna się ciągnęła, a on dalej uczył, jednak nie poprawiało mu samopoczucia, że w drodze do szkoły codziennie musiał przechodzić koło plakatu werbunkowego, na którym dziewczynka siedząca na kolanach ojca pytała: „Tatusiu, co TY robiłeś podczas Wielkiej Wojny?”

A co on powie Clare?

Za każdym razem, kiedy George tracił przyjaciela, koszmar powracał. Czytał, że nawet najodważniejsi mogą się załamać, gdy ruszą do ataku i znajdą się pod ostrzałem. George się załamał, gdy spokojnie siedział w swojej ławce w szkolnej kaplicy.

Dyrektor szkoły wstał, żeby odprawić poranne nabożeństwo.

- Módlmy się - powiedział - za tych absolwentów Charterhouse, którzy złożyli najwyższą ofiarę, oddając życie za wielką sprawę.

Niestety - ciągnął - muszę dodać dwa nowe nazwiska do tej wydłużającej się listy. Porucznik Peter Wainwright z Królewskiego Pułku Fizylierów, który zginął pod Loos, dowodząc atakiem na stanowisko nieprzyjacielskie. Uczcijmy jego pamięć.

- Uczcijmy jego pamięć - powtórzyli zgromadzeni. George ukrył twarz w dłoniach i cicho zapłakał. Po chwili dyrektor wymienił drugie nazwisko.

- Podporucznik Simon Carter, którego wielu z nas czule wspomina jako Cartera młodszego, został zabity, służąc dla swojego kraju w Mezopotamii. Uczcijmy jego pamięć.

Podczas gdy zgromadzeni pochylili głowy i powtarzali za dyrektorem jego słowa, George wstał, skłonił się przed ołtarzem i wymaszerował z kaplicy. Nie zatrzymywał się, póki nie dotarł do Godalming High Street, gdzie ustawił się w kolejce młodych mężczyzn przed miejscowym biurem werbunkowym.

- Nazwisko? - zapytał sierżant, kiedy George dotarł na przód kolejki.

- Mallory.

Sierżant zmierzył go wzrokiem od góry do dołu.

- Pan zdaje sobie sprawę, że według nowej ustawy o pborze nauczyciele są zwolnieni ze służby wojskowej? - zapytał.

George zdjął długą czarną togę i biret i wrzucił do najbliższego kosza na śmieci.

KSIĘGA TRZECIA

ZIEMIA NICZYJA

1916

Rozdział 26

9 lipca 1916

Kochana Ruth,

To był jeden z najnieszczęśliwszych dni mojego życia, kiedy się rozstawaliśmy na zimnej, opustoszałej stacji kolejowej w Godalming. To okrutne, że mogliśmy spędzić razem tylko weekend po tym, jak ukończyłem szkolenie, ale obiecuję, że będę co dzień pisał do Ciebie.

Było mi miło, gdy przy pożegnaniu mnie zapewniłaś, że wierzysz, iż czynię słusznie, chociaż Twoje oczy mówiły co innego.

Dołączyłem do mojego pułku w Dover i natknąłem się na paru starych kumpli. Czy pamiętasz Siegfrieda Herforda? Jakże trudną decyzję musiał podjąć, mając ojca Niemca i matkę Angielkę.

Następnego dnia wyruszyliśmy do - łajbą, która przeciekała jak durszlak i podskakiwała na falach niczym gumowa kaczka. Jeden z chłopaków powiedział, że to pewnie osobisty podarunek od kajzera. Przez prawie całą podróż wylewaliśmy menażkami galony wody z powrotem do oceanu. Chyba pamiętasz z naszej ostatniej przeprawy przez kanał La Manche, że nie nadaję się na żeglarza, ale jakoś udało mi się opanować nudności przy żołnierzach.

Przybiliśmy do-o świcie i nie zauważyliśmy tam specjalnych oznak, które by świadczyły o udziale Francuzów w tej wojnie. Razem z dwoma bratnimi oficerami poszedłem do kafejki, gdzie uraczyliśmy się gorącymi rogalikami i kawą. Spotkaliśmy kilku oficerów wracających z frontu, którzy życzyli nam, żebyśmy się nacieszyli ostatnim w najbliższych miesiącach posiłkiem spożywanym na stole nakrytym obrusem (nie mówiąc o luksusie porcelanowych talerzyków), bo za dwadzieścia cztery godziny będziemy siedzieć w całkiem innej jadalni.

Jak zwykle czegoś zapomniałem, tym razem Twojej fotografii. Rozpaczliwie pragnę ujrzeć znów Twoją twarz, choćby tylko w bieli i czerni, więc proszę, przyślij mi to zdjęcie, które Ci zrobiłem na Derden Heights na dzień przed naszym aresztowaniem. Chcę cały czas mieć je przy sobie.

Bóg tylko wie, jak do Ciebie tęsknię, i nie mogę zrozumieć, dlaczego człowiek w takiej masie ludzi, w obliczu tak szaleńczej krzątaniny i przy tak ogłuszającym hałasie może się czuć tak bardzo samotny. Po prostu próbuję inaczej wyrazić, że Cię kocham, choć wiem, że będziesz się ze mną droczyć, gdybym twierdził, że jesteś jedyną kobietą w moim życiu. Ale ja już patrzę na Czomolungme jak na dawną miłość.

Twój kochający mąż, George

George oddał list pułkowemu biuraliście i kręcił się, czekając, aż konwój ciężarówek wyruszy na front.

Po kilku kilometrach piękny wiejski francuski krajobraz Milleta i Moneta z cętkowanymi zieleniami i jaskrawymi żółciami, z owcami i krowami pasącymi się na polach ustąpił szpetnym obrazom spalonych i uschłych drzew, zabitych koni, domów bez dachów i nieszczęsnych cywili, którzy stali się pionkami na szachownicy wojny.

Konwój nieustępliwie posuwał się do przodu, ale nim George całkiem ogłuchł od hałasu, obserwował, jak gromadzą się złowieszcze szaroczarne chmury wyziewów siarki, żeby wreszcie całkiem zakryć słońce. Zatrzymali się w końcu w obozie oddalonym o niespełna pięć kilometrów od linii frontu, gdzie brak było jakiegokolwiek oznakowania, a dni zamieniły się w wieczną noc. Tutaj George spotkał grupę ludzi w mundurach, którzy nie wiedzieli, czy za dwadzieścia cztery godziny będą jeszcze żywi.

George posilił się konserwą wołową oraz sklejoną fasolką i robaczywymi ziemniakami, a potem go zakwaterowano w namiocie z trzema innymi, młodszymi od niego oficerami. Okres służby każdego z nich był inny - miesiąc, dziewięć tygodni i siedem miesięcy: ostatni, porucznik Evans, uważał się prawie za weterana.

Następnego ranka George pochłoniął śniadanie podane na blaszanym talerzu, a potem został zawieszony na stanowisko artyleryjskie, czterysta metrów za linią frontu, gdzie miał zastąpić Evansa, na którego od dawna czekała dwutygodniowa przepustka.

- Tu nie jest tak źle, bracie - zapewniał go Evans. - Dużo mniej niebezpiecznie niż na samej linii frontu. Pomyśl o tych biedakach przed tobą, co czekają tylko na głos sygnałówki wzywającej do ataku,

i na których od miesiący czyha śmierć. Nasze zadanie jest dużo prostsze. Masz pod sobą oddział trzydziestu siedmiu żołnierzy i do dyspozycji dwanaście haubic, które prawie cały czas są w akcji, chyba że się rozpadną. Starszym podoficerem jest sierżant Davies. Jest tu ponad rok, a przedtem służył w wojsku piętnaście lat. Zaczynał jako szeregowiec w wojnie burskiej, więc nawet nie myśl o jakimś ruchu, zanim się z nim nie naradzisz. No i jeszcze jest kapral Perkins. Ten typ nigdy nie przestaje narzekać, ale przynajmniej przez to jego spalone poczucie humoru chłopaki nie myślą o Hunach. Prędko poznasz resztę oddziału. To dobrzy chłopcy i nie zawiodą cię, jak przyjdzie co do czego. George skinął głową, ale nie przerywał.

- Najtrudniejsza decyzja - ciągnął Evans - czeka cię w każdą niedzielę po południu, kiedy trzeba wysłać na następne siedem dni trzech żołnierzy na wysunięty punkt obserwacyjny. Nie pamiętam, żeby kiedyś wszyscy trzej wrócili żywi. Mają informować nas o zamiarach nieprzyjaciela, żebyśmy wycelowali działa na niego, a nie na nasze wojsko. Powodzenia, Mallory - powiedział na koniec młody porucznik, uściskawszy George'owi dłoń. - Pożegnam się, na wypadek gdybyśmy się więcej nie mieli spotkać.

5 września 1916

Najdroższa Ruth,

Moje stanowisko znajduje się daleko poza linią frontu, więc nie ma powodu, żeby się o mnie martwić. Dostało mi się trzydziestu

siedmiu ludzi; zdaje się, że to dobre chłopaki - jednego możesz nawet pamiętać, to szeregowy Rodgers. Był naszym listonoszem, zanim się zaciągnął. Czy mogłabyś dać znać jego rodzinie, że żyje, jest zdrow i dobrze sobie tu radzi? Mówi, że zostanie w wojsku, dopóki ta wojna się nie skończy. Reszta chłopaków przyjęła mnie bardzo serdecznie, co miłe z ich strony, bo przecież dobrze wiedzą, że niedawno się zaciągnąłem. Dopiero dziś rano zrozumiałem, co mój oficer szkoleniowy miał na myśli, kiedy mówił, że tydzień na polu bitwy przysłuży się lepiej człowiekowi niż trzymiesięczne szkolenie.

Ukochana, nie przestaję myśleć o Tobie i Clare, i o świecie, na który przychodzą nasze dzieci. Miejmy nadzieję, że politycy mają rację, kiedy zapowiadają, że ta wojna zakończy wszystkie wojny, bo nie chciałbym, żeby moje dzieci przeżywały kiedyś to szaleństwo.

Żaden żołnierz nie ma obowiązku pełnić służby na froncie dłużej niż przez trzy miesiące naraz, więc możliwe, że będę w domu na czas narodzin braciszka albo siostrzyczki Clare.

George przerwał pisanie i zastanowił się nad swoimi słowami. Dobrze wiedział, że przepisy kodeksu wojskowego były regularnie pomijane przy udzielaniu przepustek, ale chciał, żeby Ruth była nastawiona optymistycznie. Wolałby, żeby nie poznała prawdy o życiu nad Sommą, dopóki sam jej nie powie, gdy się zobaczą. Wiedział, jaki musi ją dręczyć niepokój, skoro każdego dnia może nadejść telegram zaczynający się od słów: „Minister wojny z głębokim żalem zawiadamia...”

Ukochana. Nasze dwa lata, które przeżyliśmy razem, to najszcześniejszy okres mojego życia i wiem, że zawsze kończę listy słowami o mojej tęsknocie, ale nie ma takiej minuty, kiedy bym o Tobie nie myślał. Dostałem od Ciebie kilka listów w zeszłym miesiącu i dziękuję Ci za wszystkie nowiny o Clare i o tym, co się dzieje w domu - ale fotografii wciąż nie ma. Może przyjdzie w następnej poczcie. Jeszcze bardziej niż Twego wizerunku wyglądam dnia, kiedy Cię zobaczę i wezmę w ramiona, bo wtedy się przekonasz, jak bardzo było mi Ciebie brak.

Twój kochający mąż George

- Jakiś problem, Perkins?
- Chyba nie, panie sierżancie.
- To dlaczego twoja jednostka marnuje dziewięćdziesiąt sekund na załadowanie działa, kiedy całej baterii starczy niecała minuta?
- Robimy, co możemy, panie sierżancie.
- To dużo za mało, Perkins. Czy to jasne?
- Tak jest, panie sierżancie.
- Przestań z tym sierżantem, Perkins, tylko coś z tym zrób.
- Tak jest, panie sierżancie.
- Hej, Matthews.
- Tak, panie sierżancie.
- O dwunastej zero zero skontroluję twoje działko i jak się nie będzie błyszczeć jak moja dupa w słońcu, to wsadzę cię do komory naboju i wystrzelę na szkopów. Czy to jasne, chłopie?
- Tak jest, panie sierżancie.

Odezwał się brzęczyk polowego telefonu. George chwycił słuchawkę.

- Silny ogień zaporowy o milę stąd, kierunek godzina jedenasta - powiedział żołnierz z posterunku obserwacyjnego. - Może znaczyć, że Niemcy szykują się do ataku. - Rozłączył się.

- Sierżancie Davies! - wrzasnął George, usiłując przekrzyczeć huk dział.

- Tak jest!

- Jedna mila, jedenasta godzina, Niemcy nacierają.

- Tak jest! Ruszcie się, chłopaki, trzeba urządzić szkopom gorące przyjęcie. Zobaczmy, kto pierwszy trafi w środeczek blaszanego szwabskiego hełmu.

George się uśmiechnął, chodząc tam i z powrotem wzdłuż linii dział i sprawdzając jedno po drugim, uszczęśliwiony, że sierżant Davies urodził się w Swansea, a nie po drugiej stronie Linii Zygryda.

- Dobra robota, Rodgers - rzucił Davies. - Znowu pierwszy w akcji. Tak trzymać i ani się obejrzysz, jak zostaniesz starszym szeregowym.

Nawet George nie mógł nie zrozumieć tej mało subtelnej aluzji, kogo podać do awansu.

- Starasz się, Perkins, to rozumiem - pochwalił Davies kilka chwil później. - Jeszcze nie muszę ci odpruwać belek.

- Dzięki, panie sierżancie.

- Nie dziękuj mi, kapralu. Nie chcę, żebyś' myślał, że mi zmiękł.

- Jasne, że nie, panie sierżancie.

- Matthews, nie mów mi, że znowu się wleciesz w ogonie.
- Sprężyna iglicy poszła, panie sierżancie.
- Oo, Matthews, przykro mi to słyszeć. Gnaj, chłopie, do magazynu z amunicją i zobacz, czy tam nie ma błyszczącej nowiutkiej... no szybko, ty cholerny przygłupie!
- Ale magazyn jest trzy mile za linią frontu, panie sierżancie. Nie mógłbym poczekać na ciężarówkę z poranną dostawą?
- Nie, nie mógłbyś, Matthews, bo jak się nie pośpieszysz, to gdy wrócisz, te pieprzone Niemiaszki... przepraszam za wyrażenie... zwałą się nam tu na śniadanie. Czy to jasne?
- Tak jest, panie sierżancie.
- No to biegiem.
- Tak jest, panie sierżancie.

14 października 1916

Kochana Ruth,

Dziś kolejny w łańcuchu niekończących się dni, kiedy obie strony ostrzeliwują się nawzajem, a my nie mamy pojęcia, kto bierze górę w tej wojnie. Od czasu do czasu pojawia się jakiś oficer sztabowy i zapewnia, że wykonujemy pierwszorzędną robotę i że Niemcy są w odwrocie - co budzi pytanie: to dlaczego nie posuwamy się do przodu? Niewątpliwie niemiecki sztabowiec mówi to samo swoim żołnierzom. Jedno tylko jest pewne, obaj nie mogą mieć racji.

Przy okazji, powiedz Twemu ojcu, że gdyby chciał zbić drugą fortunę, to powinien założyć fabrykę trąbek do uszu, bo jak ta wojna się skończy, na pewno będzie na nie wielkie zapotrzebowanie.

Przepraszam, kochanie, jeżeli w tych listach trochę się powtarzam, ale niezmiennie jest tylko to, że Cię Kocham i że pragnę trzymać Cię w ramionach.

Twój Kochający mąż, GeorgeGeorge podniósł głowę i zobaczył, że jeden z kaprali też coś gryzmoli.

- List do żony, Perkins?

- Nie, testament.

- Czy to nie zbyt pesymistyczne?

- Chyba nie, panie poruczniku - odparł Perkins. - W cywilu jestem bukmacherem i mam zwyczaj rozważać szanse za i przeciw. Ludzie na froncie przeżywają przeciętnie szesnaście dni, a ja tu jestem dłużej niż trzy miesiące, to jak długo jeszcze mogę igrzać z losem?

- Ale tu, Perkins, jesteś o wiele mniej zagrożony niż ci biedacy na linii frontu - próbował dodać mu otuchy George.

- Jest pan trzecim oficerem, który mi to mówi, a tamci dwaj wrócili do kraju w drewnianych skrzynkach.

George'a wciąż przerażały takie rzucane mimochodem uwagi o śmierci i zastanawiał się, kiedy wreszcie się uodporni.

- Ja to widzę tak - ciągnął Perkins. - Ta wojna jest jak gonitwa Grand National. Jest chmara koni wyścigowych i jeźdźców na starcie, ale nie wiadomo, kto ukończy bieg. A na końcu jest tylko jeden zwycięzca. Szczerze mówiąc, nie ma pewności, że to będzie angielska szkapa.

George spostrzegł, że szeregowy Matthews kiwa potakująco głową, a szeregowy Rodgers ma spuszczoną głowę i czyści nasączoną olejem szmatą lufę karabinu.

- Cóż, Matthews, ty przynajmniej niedługo wyjdiesz na przepustkę - rzekł George, usiłując oderwać ich myśli od tematu, który wciąż im ciążył.

- Już się nie mogę doczekać, panie poruczniku - westchnął Matthews i zaczął zwijać papierosa.

- Jaka będzie pierwsza rzecz, którą zrobisz, jak dotrzesz do domu? - zagadnął George.

- Obląpię kobitę - odparł Matthews. Perkins i Rodgers zarechotali.

- No dobrze, Matthews - rzekł George. - A druga?

- Zzuję trzewiki, panie poruczniku.

7 grudnia 1916

Najdroższa Ruth,

Twoja fotografia właśnie nadeszła w porannej poczcie, a ponieważ siedzę w okopie tuż poza-, piszę ten list na kolanie. Usłyszałem, jak jeden z chłopaków powiedział: ale ślicznotka, i zgadzam się z nim. Niedługo przyjdzie na świat nasze drugie dziecko i mam obiecany urlop okolicznościowy w ciągu najbliższych trzech miesięcy. Jeżeli nie uda mi się dotrzeć do domu na czas narodzin, to nawet przez chwilę sobie nie wyobrażaj, że o Tobie nie myślę.

Jestem już na froncie cztery miesiące i przybywający z kraju nowi podporucznicy są coraz młodszy. Niektórzy traktują mnie jak starego żołnierza. Kiedy ta wojna się skończy, spędzę resztę moich dni z Tobą w domu.

Przy okazji, jeżeli będzie chłopiec, nazwijmy go John...

- Przepraszam, że przeszkadzam, panie poruczniku - powiedział sierżant Davies - ale mamy mały problem.

George natychmiast się poderwał, bo nigdy nie słyszał u Daviesa tego słowa. - Jakiego rodzaju?

- Straciliśmy łączność z chłopakami ze stanowiska obserwacyjnego.

George wiedział, że „utrata łączności” w ustach Daviesa oznacza, że wszyscy trzej żołnierze zginęli.

- Co radzicie, sierżancie? - spytał, pamiętając o radzie Evansa.

- Ktoś tam musi dotrzeć, panie poruczniku, i to szybko, żebyśmy przywrócili łączność, zanim te cholerne szkopy nas stratuja. Jeżeli mogę zaproponować, panie poruczniku...

- Tak, proszę, sierżancie.

- Mógłbym wziąć Matthews i Perkinsa i zobaczyć, co się da zrobić, a potem się panu zameldować.

- Nie, sierżancie - powiedział George. - Nie Matthews. On jutro wychodzi na przepustkę. - Rzucił okiem na Perkinsa, który zbladł jak ściana i cały się trząsł. George nie musiał go pytać o szanse powrotu któregoś z nich. - Myślę, że dołączę do was tym razem, sierżancie.

Kiedy George był w Winchester, podczas zajęć sportowych przebiegał czterysta metrów w niecałą minutę i na końcu nie był nawet zdyszany. Nie miał pojęcia, ile trwało, zanim razem z Daviesem i Perkinsem dotarł na linię frontu, ale kiedy stoczył się do okopów, był wyczerpany i przerażony, i aż nadto świadom, co dzień i noc musieli znosić żołnierze na froncie.

- Proszę schylić głowę, panie poruczniku - poradził Davies, który obserwował pole bitwy przez lornetkę polową. - Stanowisko obserwacyjne jest około stu metrów dalej, pierwsza godzina. - Podał lornetkę George'owi.

George nastawił ostrość i gdy umiejscowił stanowisko, mógł się przekonać, dlaczego łączność się przerwała.

- Dobra, miejmy to za sobą - rzucił, zanim miał czas pomyśleć, co mianowicie chce przez to powiedzieć.

Wyskoczył z okopów i gnał jak nigdy w życiu, poruszając się zygzakami, przez wypełnione wodą wyboje i grząskie czarne błoto. Nie obejrzał się ani razu, bo był pewien, że Davies i Perkins biegną tuż za nim. Mylił się. Perkins padł trafiony kulą zaledwie po kilku krokach i leżał, umierając w błocie, a Davies przebiegł prawie sześćdziesiąt metrów, zanim go zabito.

George miał tylko dwadzieścia metrów do stanowiska obserwacyjnego. Pokonał piętnaście, gdy pocisk z moździerza rozerwał mu się u stóp. To wtedy pierwszy i ostatni raz w życiu powiedział: „Kurwa!” Zwalił się na kolana, pomyślał o Ruth, a potem padł twarzą w błoto. Jeszcze jedna pozycja statystyczna.

Rozdział 27

Regularny napływ listów nagle ustał. To był zawsze pierwszy znak; o wiele za często przychodził potem niepożądany telegram.

Co dzień z rana, na pół godziny przed przyjazdem na rowerze starego pana Rodgersa, Ruth siadała w niszy przy oknie w salonie, z rękoma złożonymi na powiększającym się brzuchu, i czekała na niego. Kiedy się pojawiał, próbowała odgadnąć wyraz jego twarzy. Czy to twarz wieszcząca list, czy raczej telegram? Uważała, że pozna prawdę na długo przedtem, nim listonosz dotrze do drzwi.

W chwili, gdy spostrzegła, że Rodgers wjechał w bramę, Clare zaczęła płakać. Czy jeszcze ma ojca? Czy może George zginął przed narodzinami swojego drugiego dziecka?

Ruth stała przy drzwiach, kiedy pan Rodgers przestał pedałowac, zahamował i zatrzymał się przy schodach. Zawsze wykonywał te same czynności: zsiadał z roweru, szperał w torbie, wyjmował listy i w końcu wchodził na schody i wręczał korespondencję pani Mallory. Dziś nie było inaczej. Na pewno? Pan Rodgers wszedł na górę i uśmiechnął się do Ruth. To nie był dzień telegramu.

- Dwa listy dzisiaj, proszę pani, i jeżeli się nie mylę, jeden od pani męża - oznajmił, podając kopertę zaadresowaną znajomym pismem Georgea.

- Dziękuję - powiedziała Ruth, wprost niezdolna ukryć ulgi. „Wtem sobie przypomniała, że nie jest jedyną osobą, która tak cierpi każdego dnia. - Ma pan jakieś wiadomości od syna? - zapytała.

- Żadnych - odparł listonosz. - Wie pani, nasz Donald nigdy nie lubił pisać listów, no to musimy być dobrej myśli.

Wsiadł na rower i odjechał.

Ruth otworzyła list George'a, zanim jeszcze znalazła się w salonie. Wróciła na swoje miejsce przy oknie, usiadła i zaczęła czytać, najpierw szybko, a potem bardzo powoli.

12 stycznia 1917

Najdroższa,

Żyję, chociaż nie jestem w pełni sił. Nie lękaj się. Skończyło się na złamanej kostce. Mogło być dużo gorzej. Doktor mówi, że z czasem będę całkiem sprawny i nawet będę mógł się znowu wspinać, ale tymczasem wysyłają mnie do kraju, żebym doszedł do siebie.

Ruth spojrzała przez okno na widniejące w oddali wzgórza Surrey, nie wiedząc, czy się śmiać, czy płakać. Dopiero po dłuższej chwili wróciła do listu George'a.

Niestety, sierżant Davies i kapral Perkins padli w tej samej akcji. Dwaj wspaniali żołnierze, podobnie jak wielu ich towarzyszy. Mam nadzieję, że mi przebaczysz, kochanie, ale uważałem, że muszę napisać parę słów do ich żon, zanim zabiorę się do listu do Ciebie.

To się zaczęło, kiedy sierżant Davies oznajmił, że mamy problem...

- Zalecę, żeby pana wypisano w najbliższych dniach i odesłano do kraju, dopóki pan nie powróci do zdrowia.

- Dziękuję, panie doktorze - powiedział radośnie George.

- Niech mi pan nie dziękuje, stary, prawdę mówiąc, potrzebuję tego łóżka. Zanim będzie pan na tyle zdrowy, żeby tu wrócić, to może przy odrobinie szczęścia ta piekielna wojna się skończy.

- Miejmy nadzieję - rzekł George, rozglądając się po namiocie szpitalnym pełnym dzielnych żołnierzy, których życie nigdy nie będzie takie jak przedtem.

- Aha - dodał doktor. - Rano zajrzał tu szeregowy Rodgers. Uważa, że to pańskie.

- Jak najbardziej - przytaknął George, biorąc do ręki fotografię Ruth, której już nie miał nadziei zobaczyć.

- To prawdziwa ślicznotka - powiedział doktor w zadumie.

- Panu też wpadła w oko? - spytał z uśmiechem George.

- O, i ma pan gościa. Czy czuje się pan na siłach go przyjąć?

- Tak, chętnie zobaczę Rodgersa - odparł George.

- Nie, to nie Rodgers. To kapitan Geoffrey Young.

- Och, nie wiem, czy to nie za mocne przeżycie - powiedział z szerokim uśmiechem George.

Pielęgniarka poprawiła poduszkę George'a i podłożyła mu ją pod plecy, kiedy czekał na swojego prowadzącego. Nigdy inaczej nie nazywał go w myślach. Jednak powitalny uśmiech zamarł mu na ustach, gdy Young, utykając, wszedł do namiotu.

- George, mój drogi - powiedział Young. - Przyszedłem, gdy tylko usłyszałem. Jednym z plusów służby w ratowniczych oddziałach pomocniczych jest to, że wiadomo, gdzie kto jest i co robi.

Young przysunął sobie drewniane krzeselko, które kiedyś pewnie stało we francuskiej klasie szkolnej, i usiadł przy łóżku George'a.

- Tyle mam wiadomości, że nie wiem, od czego zacząć.

- Dlaczego nie od Ruth? Czy miałeś okazję ją odwiedzić, kiedy byłeś ostatnio na przepustce?

- Tak, wpadłem tam po drodze do Dover.

- I jak ona się miewa? - zapytał George, opanowując niecierpliwość.

- Piękna jak zawsze i chyba już całkiem przyszła do siebie.

- Jak to? - zapytał z niepokojem George.

- Po urodzeniu drugiego dziecka - wyjaśnił Young.

- Mojego drugiego dziecka?

- Mówisz mi, że nikt ci nie powiedział, że jesteś dumnym ojcem... - Young zamilkł. - Chyba to dziewczynka.

George po cichu wznosił modły do Boga, w którego nie wierzył.

- I jaka ona jest? - zapytał.

- Chyba milutka - rzekł Young. - Ale prawdę mówiąc nigdy nie umiałem odróżnić jednego niemowlęcia od drugiego.

- Jakiego koloru ma oczy?

- Nie mam pojęcia, stary.

- A włosy? Jasne czy ciemne?

- Raczej coś pośredniego, ale mogę się mylić.
- Jesteś beznadziejny. Czy Ruth wybrała jej imię?
- Miałem okropne przeczucie, że mnie o to zapytasz.
- Może Elizabeth?
- Chyba nie. Jakieś niespotykane. Za chwilę sobie przypomnę.

George wybuchnął śmiechem.

- Mówisz jak stuprocentowy kawaler.

- Hmm, wkrótce sam się przekonasz - zauważył Young. - Lekarz mówi, że odsyła cię do domu. Staraj się nie wracać. Zrobiłeś więcej, niż należało, żeby ukoić swoje sumienie, i nie trzeba igrać z losem.

George pomyślał o martwym kapralu, który zgodziłby się z Youngiem.

- Jakie jeszcze nowiny? - zapytał. - Trochę dobrych, trochę złych... niestety, więcej tych złych.

George milczał, w czasie gdy Young próbował zebrać myśli.

- Rupert Brooke zginął pod Lemnos, w drodze do Gallipoli, zanim jeszcze znalazł się na terenie przeciwnika.

George zacisnął usta. Miał w tornistrze tomik poezji Brooke'a i uważał, że jak wojna się skończy, poeta na pewno napisze wiekopomne wiersze. Nie przerywał Youngowi, czekając na kolejne nazwiska dodane do nieuchronnej listy zmarłych. Szczególnie jedno bał się usłyszeć.

- Siegfried Herford dostał pod Ypres. Nieszczęśnik umierał trzy dni. - Young westchnął. - Jeżeli ktoś taki musi przedwcześnie

umierać, to nie powinno to być na jakimś błotnistym polu na ziemi niczyjej, ale na szczycie wielkiej góry, który właśnie zdobył.

- A Somervell? - odważył się spytać George.

- Musi biedak patrzeć na największe potworności, jakie ta wojna wyrządza ludziom. Być chirurgiem na linii frontu to nie przelewki, ale on nigdy się nie skarży.

- Odell?

- Trzykrotnie ranny. Ministerstwo Wojny w końcu poszło po rozum do głowy i wysłało go z powrotem do Cambridge, ale dopiero wtedy, gdy jego dawne kolegium przyjęło go w poczet członków. Ktoś tam w górze wreszcie wykombinował, że będziemy potrzebować najwybitniejszych umysłów, kiedy wreszcie przywrócimy porządek.

- A Finch? Założę się, że znalazł sobie jakąś ciepłą posadkę i opiekuje się pielęgniarzkami.

- Nic podobnego - rzekł Young. - Zgłosił się na ochotnika na dowódcę oddziału saperów, więc ma nawet mniejsze szanse przeżycia niż chłopaki na froncie. Miał kilka propozycji bezpiecznej pracy w Whitehall, ale wszystkie odrzucił... prawie tak, jakby chciał zginąć.

- O, nie - zaprzeczył George - on nie chce zginąć. Finch jest jednym z tych nielicznych osobników, którzy nie wierzą, że ktoś albo coś może go uśmiercić. Pamiętasz, jak wyśpiewywał Matyldę na Mont Blanc? Young zachichotał.

- A w dodatku zamierzają mu dać Order Imperium Brytyjskiego.

- Wielkie nieba! - zaśmiał się George. - To teraz nic go nie powstrzyma.

- Chyba że ty - rzucił cicho Young - jak ta twoja kostka się zrośnie. Założę się, że wy dwaj pierwsi staniecie na czubku świata.

- Z tobą, jak zwykle, o krok przed nami.

- Obawiam się, że to już niemożliwe, stary.

- Dlaczego? Wciąż jesteś młodym człowiekiem.

- To prawda - rzekł Young. - Ale teraz to może nie być takie łatwe. - Podciągnął lewą nogawkę spodni i pokazał protezę.

- Strasznie mi przykro - wyjąkał George, zaszokowany. - Nie miałem pojęcia.

- Nie przejmuj się, stary druhu - powiedział Young. - Jestem szczęśliwy, że żyję. Ale nie będzie żadną niespodzianką, kogo zarekomenduję Komitetowi Everestowskiemu jako prowadzącego zespół wspinaczy, kiedy ta wojna się skończy.

Ruth siedziała przy oknie w salonie, kiedy w bramie ukazał się samochód w kolorze brunatnozielonym. Nie mogła rozpoznać, kto siedzi za kierownicą, widziała tylko, że ten ktoś - on lub ona - jest w mundurze.

Gdy młoda kobieta prowadząca samochód wysiadła i otworzyła tylne drzwi, Ruth już stała na schodach. Najpierw zobaczyła dwie kule wyłaniające się z wnętrza samochodu, potem nogi, a potem swojego męża. Zbiegła na dół i zarzuciła mu ręce na szyję. Pocałowała go, jakby to było pierwszy raz, co przywołało wspomnienie z przedziału sypialnego w pociągu jadącym z Wenecji. Kobieta-szofer stała w postawie na baczność, trochę zakłopotana.

- Dziękuję, kapralu - powiedział z szerokim uśmiechem George.
Kobieta zasalutowała, wsiadła do samochodu i odjechała.

Ruth wreszcie wypuściła George'a z objęć, ale tylko dlatego, że nie pozwolił, by mu pomogła wejść po schodach do domu. W drodze do salonu George zapytał:

- Gdzie jest moja mała dziewczuszka?

- W pokoju dzieciennym razem z Clare i nianią. Pójdę po nie.

- Jak ma na imię? - zawołał George, ale Ruth już była w połowie schodów.

George wsparł się na kulach, wszedł do salonu i opadł na fotel przy oknie. Nie pamiętał, żeby tu stał wcześniej, i zastanawiał się, dlaczego jest zwrócony ku oknu. Spojrzał na angielski krajobraz, który tak kochał, i jeszcze raz sobie przypomniał, jakim jest szczęściarzem, że żyje. Brooke, Herford, Wainwright, Carter młodszy, Davies, Perkins...

Tok myśli przerwał mu płacz, który usłyszał na długo przedtem, nim ujrzał swoją drugą córeczkę. Podźwignął się z fotela, kiedy Ruth i niania weszły do pokoju z dwiema dziewczynkami. Najpierw uściskał Clare, a potem wziął na ręce małe zawiniątko.

- Jasne włosy i niebieskie oczy - powiedział.

- Myślałam, że już to wiesz - rzekła Ruth. - Nie dostałeś moich listów?

- Niestety nie. Dotarł do mnie tylko twój wysłannik, Geoffrey Young, który ledwie pamiętał, że to dziewczynka, i absolutnie nie mógł sobie przypomnieć jej imienia.

- To dziwne - powiedziała Ruth - bo spytałam go, czy będzie ojcem chrzestnym, i się zgodził.

- To ty nie wiesz, jak ona ma na imię, tatusiu? - zapytała Clare, podskakując.

- Nie wiem - odparł George. - Czy Elizabeth?

- Coś ty, tatusiu! Beridge - poinformowała go Clare ze śmiechem. "Jakieś rzadko spotykane imię" - George przypomniał sobie słowa Geoffreya Younga.

Już po kilku chwilach w ramionach ojca Beridge zaczęła się zanosić płaczem i niania prędko ją wzięła na ręce. Dziecko najwyraźniej źle się czuło w objęciach obcego mężczyzny.

- Przydałoby się nam jeszcze z pół tuzina - rzekł George, przytuliwszy Ruth, gdy tylko niania zabrała Clare i Beridge do pokoju dzieciennego.

- Zachowuj się przyzwoicie, George - zaśmiała się Ruth. - Pamiętaj, że nie jesteś już na froncie ze swoimi kompanami.

- To najwspanialsii faceci, jakich w życiu znałem - powiedział George ze smutkiem.

Ruth się uśmiechnęła.

- Czy będzie ci ich brakowało?

- Ani w połowie tak jak ciebie.

- Więc teraz, kochanie, kiedy wróciłeś do domu, jaka jest ta pierwsza rzecz, którą chciałbyś zrobić?

George przypomniał sobie odpowiedź szeregowego Matthews na takie samo pytanie. Uśmiechnął się na myśl, że nie ma specjalnej różnicy pomiędzy oficerem i szeregowym żołnierzem.

Pochylił się, żeby rozsznurować buty.

KSIĘGA CZWARTA

WYBÓR ZESPOŁU

1921

Rozdział 28

Środa, 22 czerwca 1921

Kiedy tego ranka George zszedł na dół na śniadanie, nikt się nie odezwał.

- Co się stało? - zapytał, zajmując swoje miejsce pomiędzy córkami.

- Ja wiem - powiedziała Clare - ale mama nie pozwoliła mi mówić.

- A Beridge? - rzucił George.

- Nie bądź niemądry, tatusiu. Wiesz, że ona nie umie czytać.

- Czytać? - powtórzył George, przyglądając się badawczo Clare.

- Sherlock Holmes by powiedział, że słowo „czytać” to pierwszy trop.

- A kto to taki, tatusiu?

- Wielki detektyw - powiedział George. - On by się rozejrzał po pokoju, żeby sprawdzić, co tam jest do czytania. A więc, czy ten sekret może się kryć w gazetach?

- Tak - odparła Clare, klasnąwszy w ręce. - I mamusia mówi, że to jest coś, czego chciałeś całe życie.

- Jeszcze jeden trop - rzekł George, biorąc do ręki świeżego „Timesa”, który był otwarty na stronie jedenastej. Uśmiechnął się na widok tytułu. - Twoja mama się nie myli.

- Przeczytaj artykuł, tatusiu, przeczytaj.

- Posłanka Nancy Astor wygłosiła w Izbie Gmin przemówienie o prawach kobiet. - George spojrział na Ruth i zauważył: - Szkoda, że nie jem dzisiaj śniadania z twoim ojcem.

- Może i tak - rzekła Ruth. - Ale Sherlock Holmes by ci powiedział, że tracisz czas. Przemówienie Astor to tylko fałszywy trop.

George zaczął przerzucać strony gazety. Ruth się uśmiechnęła, widząc, że drży mu ręka. Nie widziała takiego wyrazu na jego twarzy od...

- Przeczytaj artykuł, tatusiu. George spełnił prośbę córeczki.

- Sir Francis Younghusband - zaczął - ogłosił wczoraj wieczorem, że Królewskie Towarzystwo Geograficzne wraz z Klubem Alpejskim utworzy Komitet Everestowski, którego będzie prezesem, a pan Geoffrey Young jego zastępcą.

George spojrział na Ruth, która się do niego uśmiechnęła.

- Czytaj dalej, tatusiu, czytaj dalej - prosiła Clare.

- Pierwszym zadaniem komitetu będzie wybranie zespołu wspinaczy, którzy dokonają pierwszego szturmu na Mount Everest.

George znowu podniósł wzrok. Ruth wciąż się uśmiechała. Prędko wrócił do artykułu, uprzedzając przynaglenia Clare.

- Nasz korespondent uważa, że wśród wymienianych kandydatów na kierownika akcji górskiej znajdują się pan George Mallory, nauczyciel w Charterhouse, oraz pan George Finch, australijski naukowiec, obecnie wykładowca Kolegium Imperialnego w Londynie.

- Ale nikt się do mnie nie zgłaszał - rzekł George.

Ruth, podając mu kopertę doręczoną właśnie wraz z pocztą, ze stemplem Królewskiego Towarzystwa Geograficznego na odwrocie, dalej się uśmiechała.

- To proste, mój drogi Watsonie - powiedziała.

- Kto to jest Watson? - spytała Clare.

Rozdział 29

Żaden z pięciu mężczyzn siedzących wokół stołu nie pałał sympatią do pozostałych, ale nie o to tu chodziło. Każdy z nich został wybrany do Komitetu Everestowskiego z innego powodu.

Prezes, sir Francis Younghusband, był bliżej Everestu niż pozostali, bo w odległości sześćdziesięciu kilku kilometrów, kiedy prowadził negocjacje z Dalajlamą w sprawie bezpiecznego przekroczenia przez ekspedycję granicy z Tybetem; precyzyjnie

sformułowano to w traktacie podpisanym na początku roku przez lorda Curzona, ministra spraw zagranicznych. Sir Francis siedział sztywno wyprostowany u szczytu stołu, nogami prawie nie dotykał podłogi, gdyż miał niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu. Gęste, falujące siwe włosy i pobrużdżone czoło dodawały mu powagi, którą rzadko podważano.

Po jego lewicy siedział Arthur Hinks, sekretarz komitetu: jego głównym celem było strzec reputacji Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, które reprezentował i skąd otrzymywał roczne uposażenie. Czoło miał jeszcze nie pobrużdżone, a kilka kępek włosów na jego wyłysiałej głowie nie zdążyło osiwieć. Przed nim na stole leżało kilka teczek i świeżo nabyta księga protokołów. Dowcipnisie opowiadali, że pisywał protokoły zebrania dzień wcześniej, aby mieć pewność, że wszystko poszło zgodnie z planem. Nikt nie powiedziałby mu tego w oczy.

Po jego lewej stronie siedział pan Raeburn, który niegdyś miał opinię znakomitego alpinisty. Jednak cygaro, którego nie wypuszczał z ręki, oraz brzuszek opierający się o kant stołu tłumaczyły, dlaczego tylko osoby obdarzone dobrą pamięcią przypominały sobie dni, kiedy się wspinał.

Naprzeciw niego zajmował miejsce komandor porucznik Ashcroft, emerytowany oficer marynarki; zawsze tuż przed zebraniem komitetu wychylał kieliszeczek z Hinksem, który przekazywał mu instrukcje, jak głosować. Doszedł do stopnia komandora, bo nigdy nie sprzeciwiał się rozkazom. Na widok jego ogorzałego oblicza i białej

brody nawet przypadkowy obserwator by się domyślił, gdzie ten człowiek spędził większość swego życia. Po jego lewej stronie, a po prawej prezesa siedział mężczyzna, który żywił nadzieję, że pierwszy stanie na dachu świata, ale Niemcy położyli jej kres.

Stojący zegar w przeciwległym kącie pokoju wybił szóstą i sir Francis się ucieszył, że nie musi przywoływać zebranych do porządku. W końcu wszyscy ci mężczyźni siedzący wokół stołu przywykli do wydawania i wykonywania rozkazów.

- Panowie - powiedział. - Mam honor otworzyć inauguracyjne zebranie Komitetu Everestowskiego. W następstwie sukcesu ekspedycji, która w zeszłym roku zbadała oddalone regiony Himalajów, obecnym naszym zadaniem jest wyznaczenie zespołu wspinaczy zdolnych zatknąć flagę brytyjską na najwyższej górze świata. Niedawno Jego Królewska Mość udzielił mi audiencji - sir Francis spojrzał w górę na portret patrona wiszący na ścianie - i zapewniłem go, że pierwszym człowiekiem, który postawi stopę na szczycie Everestu, będzie jeden z jego poddanych.

- Racja, racja! - mruknęli jednogłośnie Raeburn i Ashcroft. Sir Francis przerwał i spojrzał w notatki, które mu przygotował Hinks.

- Pierwszym naszym zadaniem dzisiejszego wieczoru będzie wyznaczenie kierownika ekspedycji, który zaprowadzi wybrany przez nas zespół aż na pogórze Himalajów, gdzie założy obóz bazowy prawdopodobnie na wysokości ponad pięciu tysięcy stu metrów. Naszym drugim zadaniem będzie wybór kierownika akcji górskiej. Przez lata przewidywałem, że zostanie nim pan Geoffrey Winthrop

Young, ale ze względu na ranę odniesioną na wojnie jest to niestety niemożliwe. Jednakże nadal możemy się odwoływać do jego olbrzymiego doświadczenia i znajomości problemów związanych ze wspinaczką górską i serdecznie go witamy jako wiceprzewodniczącego tego komitetu.

Young lekko się skłonił.

- A teraz proszę pana Hinksa, żeby nam przedstawił porządek obrad tego zebrania.

- Dziękuję, panie przewodniczący - rzekł Hinks, muskając wąsa.

- Jak pan przypomniał, naszym pierwszym obowiązkiem jest wybór kierownika wyprawy. To musi być człowiek zdecydowany, o wypróbowanych zdolnościach przywódczych, najlepiej z pewną znajomością Himalajów. Musi też być zręcznym dyplomata, na wypadek gdyby wystąpiły jakieś trudności z miejscową ludnością.

- Racja, racja! - przytaknął jeden z członków komitetu, co w uszach Younga zabrzmiało jak odzywka na dany sygnał.

- Panowie - ciągnął Hinks. - Nie mam wątpliwości, że znaleźliśmy jedyne go człowieka, który uosabia te wszystkie cechy: jest to generał Charles Granville Bruce, do niedawna dowódca Piątego Królewskiego Pułku Gurkhów. Komitet zainteresuje wiadomość, że generał jest najmłodszym synem lorda Aberdare i kształcił się w Harrow i Sandhurst.

Raeburn i Ashcroft natychmiast wyrecytowali:

- Proszę, proszę!

- Zatem nie waham się zalecić, żebyśmy mianowali generała Bruce'a przywódcą wyprawy i zaprosili, by dołączył do nas jako członek komitetu.

- To brzmi bardzo przekonująco - rzekł Younghusband. - Czy mogę przyjąć, że komitet się zgadza i że Bruce jest właściwym człowiekiem do tego zadania?

Rozejrzał się dokoła i stwierdził, że wszyscy członkowie komitetu oprócz jednego potakują skinieniem głowy.

- Panie przewodniczący - przemówił Young. - Decyzję, kto powinien stanąć na czele ekspedycji, podjęło Towarzystwo, i zupełnie słusznie. Jednakże, ponieważ nie znam przebiegu wyboru, ciekaw jestem, czy brano pod uwagę jakiegoś innego kandydata.

- Czy zechciałby pan odpowiedzieć na to pytanie, panie Hinks? - poprosił Younghusband.

- Oczywiście, panie przewodniczący - odparł Hinks, umieszczając okulary o półokrągłych szklach na czubku nosa. - Przedstawiono nam do rozważenia kilka nazwisk, ale prawdę mówiąc, Young, szybko się okazało, że generał Bruce przerasta innych kandydatów o głowę.

- Mam nadzieję, Young, że to zadowalająca odpowiedź - rzucił sir Francis.

- Też mam taką nadzieję, panie przewodniczący - rzekł Young.

- Wobec tego może czas zaprosić generała, żeby do nas dołączył - zaproponował sir Francis.

Hinks zakaszłał.

- Tak, panie Hinks? Czyżbym o czymś zapomniał? - spytał sir Francis.

- Nie, panie przewodniczący. - Hinks spojrział sponad okularów.
- Ale może powinniśmy poddać ten wniosek pod głosowanie, zanim przyjmiemy generała na członka komitetu?

- Tak, oczywiście - przyznał sir Francis. - Proponuję, żeby mianować generała Bruce'a kierownikiem wyprawy i dokooptować do naszego komitetu. Czy ktoś popiera tę propozycję?

Hinks natychmiast wyrzucił rękę w górę.

- Kto za? - spytał sir Francis. Podniosły się cztery ręce.

- Kto przeciw? Nikt się nie poruszył.

- Kto się wstrzymał? Young podniósł rękę.

- Zanim pan Hinks odnotuje to w protokole... - rzekł Youngusband - ...Young, czy nie uważasz pan, że dobrze by było, gdybyśmy udzielili generałowi Bruce'owi jednogłośniego poparcia?

- W normalnych okolicznościach bym się z panem zgodził, panie przewodniczący - odparł Young.

Sir Francis się uśmiechnął.

- Jednak uważam, że byłoby nieodpowiedzialnością z mojej strony głosować na człowieka, którego nigdy nie widziałem, niezależnie od tego, jak doskonale wydają się jego kwalifikacje.

- No, dobrze - powiedział sir Francis. - Ogłaszam, że wniosek został przyjęty czterema głosami, przy jednym wstrzymującym się.

- Czy mogę poprosić generała Bruce'a? - spytał Hinks.

- Tak, proszę - zgodził się sir Francis.

Hinks wstał, a portier natychmiast się poderwał, otworzył drzwi na drugim końcu sali i usunął się na bok, żeby przepuścić sekretarza do przedpokoju, gdzie trzech mężczyzn czekało na wezwanie.

- Generale Bruce, czy zechciałby pan do nas dołączyć? - powiedział Hinks, nawet spojrzeniem nie zaszczycając tamtych dwóch.

- Dziękuję, panie Hinks. - Generał podniósł się z krzesła i wolno podążył za sekretarzem.

- Witam pana, generale - rzekł sir Francis. - Proszę do nas. - Wskazał Bruce'owi wolne krzesło. - Miło mi oznajmić - ciągnął przewodniczący, gdy generał usiadł - że komitet zagłosował, żeby powierzyć panu zadanie nadzoru nad tym wielkim przedsięwzięciem oraz zaprosić pana, żeby przyłączył się pan do nas jako członek zarządu.

- Dziękuję, panie przewodniczący, panu i komitetowi za zaufanie - rzekł generał. Przestał się bawić monoklem i nalał sobie dużą porcję whisky. - Bądźcie spokojni, że zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby na nie zasłużyć.

- Sądzę, generale, że poznał pan wszystkich członków komitetu z wyjątkiem wiceprzewodniczącego, pana Younga.

Young przyjrzał się generałowi i pomyślał, że ma co najmniej sześćdziesiąt lat. Jeśli się wybierze w mozolną podróż do pogórza Himalajów, potrzebne będzie bardzo krzepkie zwierzę, żeby go przetransportować.

- Panowie, naszym następnym zadaniem jest wybór kierownika zespołu wspinaczy, który przejmie obowiązki od generała Bruce'a, gdy przeprowadzi on ekspedycję przez granicę do Tybetu, gdzie założy obóz bazowy. Obowiązkiem człowieka, którego wybierzemy, będzie wytypowanie drogi, którą zespół szczytowy, możliwe że z jego udziałem, dokona pierwszego ataku na szczyt Everestu. - Sir Francis zawiesił głos. - Pomódlmy się, żeby temu, na kogo padnie nasz wybór, powiodło się to szlachetne przedsięwzięcie.

Young pochylił głowę i zadał sobie pytanie, czy też któryś z mężczyzn siedzących dookoła stołu ma choćby najmniejsze pojęcie, czego w imieniu Boga żądają od tych dzielnych młodych ludzi.

Po chwili milczenia sir Francis dodał:

- Klub Alpejski przedłożył nam dwie kandydatury. Chyba to odpowiedni moment, żeby poprosić wiceprzewodniczącego o kilka słów wprowadzenia.

- Dziękuję, panie przewodniczący - rzekł Young. - Mogę oznajmić komitetowi, że w opinii Klubu Alpejskiego ci dwaj kandydaci są niewątpliwie najznakomitszymi wspinaczami na Wyspach Brytyjskich. Jedynym człowiekiem tej klasy był Siegfried Herford, który niestety padł pod Ypres.

- Dziękuję - powiedział przewodniczący. - Wypada mi jeszcze raz podkreślić, że gdyby kapitan Young nie został ranny na Froncie Zachodnim, nie trzeba by odbywać tej rozmowy.

- To uprzejme z pańskiej strony, panie przewodniczący, ale mogę zapewnić komitet, że obaj młodzi ludzie są zdolni wykonać to zadanie.

- A którego z nich powinniśmy najpierw zobaczyć? - spytał sir Francis.

- Tego o nazwisku Leigh Mallory - wyrwał się Hinks, uprzedzając innych.

- W istocie nazywa się George Mallory - poprawił go Young.

- Bardzo dobrze, wobec tego poprośmy pana Mallory'ego - zaproponował przewodniczący.

I znowu Hinks wstał, a portier otworzył mu drzwi do przedpokoju. Hinks przyjrzał się dwóm mężczyznom siedzącym pod portretem królowej Marii i nie mając pojęcia, kto jest kim, powiedział:

- Panie Mallory, proszę za mną. George wstał.

- Życzę szczęścia, Mallory - rzucił Finch. - Nie zapominaj, że masz tam tylko jednego przyjaciela.

Hinks zatrzymał się w miejscu i przez moment wyglądało, że chce coś powiedzieć, ale widać zmienił zdanie i bez słowa wrócił do sali posiedzeń.

- Panie Mallory - powiedział sir Francis, gdy George wszedł do środka. - To uprzejme z pana strony, że poświęca pan nam czas. - Podniósł się i uścisnął dłoń kandydatowi. - Proszę wybaczyć, że kazałem panu czekać.

George się uśmiechnął.

- Wiem, że wiceprzewodniczący poinformował, dlaczego jest pan tutaj dzisiejszego wieczoru, więc może zechciałby pan zająć miejsce u szczytu stołu. Komitet chce panu zadać kilka pytań.

- Oczywiście, sir Francisie - rzekł trochę nerwowo George.

- Na początek spytam - zagaił sir Francis, kiedy George usiadł - czy ma pan wątpliwości co do tego, że odniesiemy sukces w tym olbrzymim przedsięwzięciu, jakim ma być zdobycie Everestu.

- Prawdopodobnie nikt nie może odpowiedzieć na to pytanie z przekonaniem - odparł George - ponieważ tylko garstka wspinaczy w ogóle dotarła powyżej sześciu tysięcy stu metrów. Mój brat Trafford, pilot RAF-u, mówi, że nawet samolot nie wzniósł się dotychczas na wysokość ośmiu tysięcy ośmiuset czterdziestu metrów, a tyle ma Everest*.

* Mount Everest został odkryty i zmierzony w 1852 roku przez hinduskiego kancelistę przy okazji obliczania pomiarów topograficznych. Tę najwyższą górę świata nazwano dla upamiętnienia sir George'a Everest, który był kierownikiem Survey of India w latach 1823-1843. Kilkakrotnie dokonywano jej pomiarów; w czasach Mallory'ego uważano, że wysokość Mount Everestu wynosi około 8840 m (29 002 stopy), po dokonaniu późniejszych pomiarów przyjęto, że wysokość szczytu wynosi 8848m (29 028 stóp). Wysokości gór w różnych źródłach czasem się różnią, a końcówki podawane w metrach biorą się z przeliczenia kot w stopach.

- Ale mimo to pan chce spróbować, prawda? - zauważył Raeburn, który wydmuchiwał kłęby dymu z cygara z taką miną, jakby miał na myśli wspinaczkę po schodach do swojego klubu.

- Jasne, że tak - powiedział entuzjastycznie George. - Ale ponieważ nikt jeszcze nie próbował wdrapać się na tę górę, nie możemy wiedzieć, jakie napotkamy trudności. Na przykład...

- Czy jest pan żonaty? - spytał George'a komandor Ashcroft, czytając z leżącej przed nim kartki.

- Tak, proszę pana.

- Ma pan dzieci?

- Dwie córki - odparł George, trochę zdziwiony pytaniem. Nie rozumiał, jak Clare i Beridge mogłyby mu pomóc wspiąć się na górę wysoką na osiem tysięcy osiemset czterdzieści metrów.

- Czy są jeszcze jakieś pytania do pana Mallory'ego? - spytał sir Francis, spojrzawszy na swój zegarek kieszonkowy.

Czy to wszystko? - pomyślał z niedowierzaniem George. Czy to grono starych przyków będzie wybierać między nim i Finchem na podstawie takich nieistotnych pytań? Wyglądało na to, że Finch miał rację co do Hinksa i jego kompanów.

- Chcę o coś zapytać pana Mallory'ego - odezwał się Hinks.

George się uśmiechnął. Może źle osądził faceta.

- Czy mogę potwierdzić - rzekł Hinks - że kształcił się pan w Winchester?

- Tak, owszem - odparł George, znów się dziwiąc, jakie to może mieć znaczenie.

- I potem wstąpił pan do Kolegium Magdaleny w Cambridge, żeby studiować historię?

- Tak - powtórzył George. O mało co nie dodał: Ale musiałem przeleźć przez mur kolegium, żeby mnie przyjęli, lecz ugryzł się w język.

- I skończył pan studia z dyplomem z wyróżnieniem, po czym przyjął pan posadę nauczyciela w Szkole Charterhouse?

- Zgadza się - przyznał George, wciąż niepewny, o co chodzi.

- I mimo że jako nauczyciel był pan zwolniony ze służby wojskowej, zgłosił się pan na ochotnika i służył pan w randze oficera w Artylerii Królewskiej, biorąc udział w walkach na Froncie Zachodnim?

- Tak - powiedział George. Spojrzał na Younga w nadziei na jakąś wskazówkę, ale zauważył, że tamten jest równie skonsternowany.

- A po wojnie wrócił pan do Charterhouse na stanowisko starszego nauczyciela historii?

George skinął głową, ale się nie odezwał.

- To wszystko, co chciałem wiedzieć. Dziękuję, panie przewodniczący.

George znów zerknął na Younga, ale ten tylko wzruszył ramionami.

- Czy są jeszcze jakieś pytania do pana Mallory'ego? - spytał sir Francis. - Czy też możemy go zwolnić?

Mężczyzna z cygarem podniósł rękę.

- Tak, panie Raeburn? - spytał sir Francis.

- Mallory, gdybyś został pan wybrany na kierownika wspinaczki podczas tej wyprawy, czy byłbyś skłonny zakupić sobie ekwipunek?

- Jestem pewien, że dałbym radę - odparł George po chwili wahania.

- A czy stać by pana było na opłacenie podróży do Indii? - zagadnął Ashcroft.

George zawahał się, bo nie był pewien, jak dalece teść zechce go wspomóc. W końcu powiedział:

- Mam nadzieję.

- Ładnie się pan spisał, Mallory - rzekł sir Francis. - Cóż, pozostaje mi tylko podziękować panu w imieniu...

Hinks pośpiesznie nagryzmołił coś na kartce, którą podsunął pod nos Youngusbandowi.

- Ach, tak - powiedział sir Francis. - Gdyby został pan wybrany, czy byłby pan gotów poddać się badaniu lekarskiemu?

- Oczywiście, sir Francisie - odparł George.

- Wyśmienicie - rzekł przewodniczący. - Komitet niedługo skontaktuje się z panem, żeby przekazać panu naszą decyzję.

George wstał, wciąż lekko zakłopotany, i bez słowa wyszedł z pokoju. Kiedy portier zamknął za nim drzwi, George powiedział:

- Było jeszcze gorzej, niż przewidywałeś.

- Ostrzegałem cię - rzekł Finch.

- Pamiętaj, George, nie mów nic, czego mógłbyś potem żałować.

Finch zawsze wiedział, że Mallory mówi poważnie, kiedy zwraca się do niego po imieniu.

- Co masz na myśli, stary? - zapytał.

- Ugłaskaj ich, nie trać panowania nad sobą. Staraj się pamiętać, że to ty i ja staniemy na wysokości ośmiu tysięcy dwustu trzydziestu metrów, szykując się do finałowego ataku, a ta zgraja będzie siedzieć rozparta w swoich klubach przed płonącym polaniem ze szklaneczką brandy w ręku.

- Świetny gość! - rzekł Hinks.

- Owszem - odezwał się Raeburn. - Właśnie takiego szukamy. Zgadza się pan, generale?

- Tak, przypadł mi do gustu - powiedział Bruce. - Ale uważam, że przed podjęciem decyzji powinniśmy zobaczyć tego drugiego.

Geoffrey Young pierwszy raz się uśmiechnął. - Teoretycznie ten drugi kandydat nie dorównuje Mallory'emu.

- Komandorze, góry nie istnieją teoretycznie - powiedział Young, usiłując ukryć irytację.

- To prawda - zauważył Hinks - ale uważam, że powinienem zwrócić uwagę komitetu na to, że pan Finch jest Australijczykiem.

- Jak zrozumiałem - wsparł go Raeburn - mamy brać pod uwagę tylko kandydatów z Wysp Brytyjskich.

- Myślę, że przyzna pan, panie przewodniczący - rzekł Young - że Australia wciąż stanowi część rozległego imperium Jego Królewskiej Mości.

- Właśnie - powiedział sir Francis. - Zobaczymy najpierw tego gościa, zanim wyciągniemy pochopne wnioski.

Hinks nawet się nie poruszył. Skinął tylko na portiera, który skłonił się z szacunkiem, otworzył drzwi i ogłosił:

- Pan Finch.

Rozdział 30

- Pan Finch - powtórzył portier, trochę bardziej zdecydowanie.

- Muszę cię zostawić, stary - rzekł Finch i dodał z szerokim uśmiechem: - Dokładnie to samo ci powiem, kiedy będziemy kilkadziesiąt metrów od szczytu.

Finch wszedł swobodnym krokiem do pokoju obrad i siadł na krześle na końcu stołu, zanim sir Francis zdążył go przywitać. Young mógł się tylko uśmiechnąć, gdy ujrzał, jak Finch się ustroił na tę okazję. Niemal jakby postanowił sprowokować komitet: był w sztruksowej sportowej marynarce, luźnych kremowych spodniach, koszuli rozpiętej pod szyją i bez krawata.

Gdy Young przygotowywał Mallory'ego i Fincha do tych rozmów, nie pomyślał o tym, żeby wspomnieć o obowiązującym stroju. Jednak dla członków tego komitetu wygląd kandydatów będzie równie ważny jak ich dokonania wspinaczkowe. Teraz z niedowierzaniem przyglądali się Finchowi. Ashcroft nawet otworzył usta. Young odchylił się do tyłu i czekał na rozpoczęcie przedstawienia.

- Hmm, panie Finch - przemówił sir Francis, gdy już przyszedł do siebie - pozwolę sobie pana powitać w imieniu komitetu i spytać, czy jest pan gotów odpowiedzieć na kilka pytań.

- Oczywiście - odparł Finch. - Po to tu jestem.

- Wyśmienicie - rzekł sir Francis. - Wobec tego na początek zapytam, czy ma pan jakieś wątpliwości, czy to olbrzymie przedsięwzięcie może się udać. To znaczy, czy pan uważa, że byłby pan zdolny poprowadzić zespół na szczyt Everestu?

- Tak, potrafię to zrobić - odparł Finch. - Ale nikt nie ma pojęcia, jak zareaguje ludzki organizm na takiej wysokości. Pewien naukowiec nawet sugerował, że możemy eksplodować, i chociaż uważam, że to głupawy pogląd, to jednak świadczy on o tym, że nie wiemy, z czym będziemy się musieli zmierzyć.

- Nie jestem pewien, czy to rozumiem, stary - odezwał się Raeburn.

- Więc pozwoli pan, panie Raeburn, że wyjaśnię. Starszy dżentelmen zdziwił się, że Finch zna jego nazwisko.

- Wiemy, że im wyżej się wspinamy, tym powietrze jest rzadsze, co oznacza, że każdy ruch wspinacza na dużej wysokości będzie trudniejszy od poprzedniego. W rezultacie ktoś może odpaść z konkurencji.

- Czy pan też? - zagadnął Hinks, nie patrząc na Fincha.

- Tak, oczywiście, panie Hinks - odparł Australijczyk, spojrzawszy na sekretarza.

- Ale mimo to - odezwał się Raeburn - chciałby pan podjąć tę próbę.

- Tak jest - powiedział zdecydowanie Finch. - Jednak chciałbym uprzedzić komitet, że sukces albo niepowodzenie tego planu może zależeć od użycia tlenu na ostatnich sześciuset metrach.

- Nie jestem pewien, czy rozumiem, do czego pan zmierza - zauważył sir Francis.

- Przewiduję, że powyżej siedmiu tysięcy trzystu metrów - odparł Finch - niemal nie będziemy w stanie oddychać. Przeprowadziłem pewne eksperymenty na wysokości czterech tysięcy pięciuset siedemdziesięciu metrów, które pokazały, że z pomocą tlenu zamkniętego w butli jest możliwe kontynuowanie wspinaczki prawie w tym samym tempie jak na dużo mniejszej wysokości.

- Ale czy nie byłoby to oszukaństwo, stary? - wtrącił się Ashcroft. - Zawsze stawialiśmy sobie za cel, żeby człowiek umiał się zmierzyć z żywiołami bez pomocy udogodnień technicznych.

- Ostatnio słyszałem podobną opinię wyrażoną publicznie podczas wykładu nieżyjącego kapitana Scotta w tym budynku. Jestem pewien, panowie, że nie muszę wam przypominać, jak się skończyło to żałosne przedsięwzięcie.

Wszyscy członkowie komitetu wlepili teraz oczy w Fincha, jakby był postacią z karykatury Batmana, ale on ciągnął dalej, niespieszony.

- Nie dość, że Scott nie dotarł pierwszy do bieguna południowego - przypomniał - ale jak wszyscy panowie dobrze

wiecie, i on, i reszta jego zespołu zginęła. Amundsen nie tylko był na biegunie przed Scottem, ale dalej prowadzi ekspedycje w niezbadane obszary globu. Tak, chciałbym być pierwszą osobą, która stanie w najwyższym punkcie świata, ale chciałbym też wrócić do Londynu, żeby wygłosić wykład na ten temat w Królewskim Towarzystwie Geograficznym.

Minęło trochę czasu, zanim zadano następne pytanie.

- Pozwoli pan, że zapytam - rzekł Hinks, starannie dobierając słowa - czy pan Mallory zgadza się z panem w sprawie użycia tlenu?

- Nie - przyznał Finch. - On myśli, że potrafi się wspiąć na Everest bez tlenu. Ale on jest historykiem, nie naukowcem.

- Czy jest więcej pytań do tego kandydata? - spytał sir Francis z taką miną, jakby już się zdecydował, kogo komitet powinien wytypować na kierownika wspinaczki.

- Tak, panie przewodniczący - oznajmił Hinks. - Mam jedną czy dwie sprawy, które chciałbym wyjaśnić, pan rozumie, do protokołu.

Sir Francis skinął głową.

- Panie Finch, czy mógłby pan powiedzieć komitetowi, gdzie się pan urodził i gdzie kształcił?

- Nie rozumiem, proszę pana, co to ma do rzeczy - odparł Finch.

- Nie mam pojęcia, gdzie się kształcił pan Alcock czy pan Brown, ale wiem, że to pierwsi ludzie, którzy przelecieli nad Atlantykiem, i że mogli to osiągnąć za pomocą udogodnienia technicznego zwanego samolotem.

Young powściągnął uśmiech, choć już nie miał wątpliwości, kogo wybierze komitet na kierownika wspinaczki.

- Tak czy inaczej - powiedział Hinks - my w Królewskim Towarzystwie...

- Proszę wybaczyć, że panu przerywam, ale miałem wrażenie, że zostałem zaproszony na rozmowę przez Komitet Everestowski - rzekł Finch. - Jako sekretarz Towarzystwa podpisał pan stosowny dokument w tej sprawie.

- Tak czy inaczej - powtórzył Hinks, usiłując się opanować - może zechce pan odpowiedzieć na moje pytanie.

Young zastanawiał się, czy nie interweniować, ale zachował milczenie, bo był pewien, że Finch poradzi sobie w pokoju obrad komitetu, tak samo jak sobie radził w górach.

- Urodziłem się w Australii, ale kształciłem się w Zurychu - powiedział Finch - i studiowałem na uniwersytecie w Genewie.

Ashcroft pochylił się nad stołem i szepnął do Raeburna:

- Nie miałem pojęcia, że w Genewie jest uniwersytet. Myślałem, że tam są tylko banki.

- I zegary z kukułką - dodał Raeburn.

- Jaki jest pański zawód? - pytał dalej Hinks.

- Jestem chemikiem - odparł Finch. - Stąd wiem, jak ważny jest tlen na dużej wysokości.

- Zawsze myślałem, że chemia to hobby - odezwał się Ashcroft, tym razem tak, żeby go usłyszano - a nie zawód.

- Tylko dla dzieci, komandorze Ashcroft - rzucił Finch, patrząc mu prosto w oczy.

- A czy jest pan żonaty? - zagadnął Raeburn, strząsając popiół z cygara.

- Jestem wdowcem - odparł Finch. Ta odpowiedź zaskoczyła Younga.

Hinks postawił znak zapytania w rubryce „stan cywilny.

- Ma pan dzieci?

- Tak, jednego syna, Petera.

- Niech mi pan powie - rzekł Raeburn, przycinając koniuszek kolejnego cygara - czy gdyby powierzono panu tę ważną rolę, byłby pan skłonny zapłacić za swój ekwipunek?

- Tylko gdybym musiał - odparł Finch. - Wiem, że komitet ogłosił apel o zbiórkę funduszy na ekspedycję, i założyłem, że część tych pieniędzy zostanie przeznaczona na wykwapowanie wspinaczy.

- A co z kosztami podróży? - naciskał Ashcroft. - Wykluczone - powiedział Finch. - Gdybym miał wziąć udział w tej wyprawie, byłbym bez pracy co najmniej pół roku i chociaż nie oczekuję finansowej rekompensaty za utratę zarobków, to nie widzę powodu, dlaczego miałbym jeszcze opłacać własne wydatki.

- Więc nazwałby pan siebie amatorem, stary? - zagadnął Ashcroft.

- Nie, proszę pana. Jestem profesjonalistą we wszystkim, co robię.

- Czy rzeczywiście? - rzucił Ashcroft.

- Nie sędę, panowie, żebyśmy musieli dłużej zatrzymywać pana Fincha - zasugerował sir Francis, rozejrzawszy się wokół stołu.

- Ja mam jeszcze pytania do pana Fincha - odezwał się Young, niezdolny zachować dłużej milczenia.

- Ależ z pewnością pan wie wszystko, co trzeba, o panu Finchu - zauważył Hinks. - Zna pan tego kandydata od wielu lat.

- Istotnie, ale pozostali członkowie go nie znają i przypuszczam, że odpowiedzi pana Fincha na moje pytania mogą być dla nich pouczające. Proszę pana - Young zwrócił się do kandydata - czy wspiął się pan kiedyś na Mont Blanc, najwyższą górę w Europie?

- Siedem razy - odparł Finch.

- A na Matterhorn?

- Trzy razy.

- A na inne główne szczyty w Alpach?

- Na wszystkie. Wspinam się w Alpach rokrocznie.

- A co z najwyższymi górami na Wyspach Brytyjskich?

- Przestałem się na nie wspinać, jeszcze jak nosiłem krótkie spodniki.

- Panie przewodniczący, to wszystko jest w dokumentach - wtrącił się Hinks.

- Dla tych, którzy zadali sobie trud i je przeczytali - odciął się Young, nieporuszony. - Panie Finch, czy mogę potwierdzić, że po ukończeniu nauki w Genewie wstąpił pan do Kolegium Imperialnego w Londynie?

- Tak, zgadza się.

- Na jaki kierunek?
- Na chemię - odpowiedział Finch, podchwytnjąc grę Younga.
- I jakim dyplomem nagrodziła pana ta szacowna instytucja?
- Dyplomem z najwyższym wyróżnieniem - rzekł Finch i pierwszy raz się uśmiechnął.
- Czy został pan na Uniwersytecie Londyńskim po ukończeniu studiów?
- Tak jest. Dołączyłem do grona profesorskiego jako wykładowca chemii.
- Czy pozostał pan na tym stanowisku, kiedy wybuchła wojna, czy też, jak pan Mallory, zaciągnął się pan do wojska?
- Zgłosiłem się do wojska w sierpniu tysiąc dziewięćset czternastego roku, kilka dni po wypowiedzeniu wojny.
- Gdzie pan służył?
- Jako chemik - mówiąc to, Finch patrzył prosto na Ashcrofta - uważałem, że moja wiedza może zostać spożytkowana, jeżeli się zgłoszę na ochotnika do oddziału saperów.
- Do oddziału saperów - powtórzył Young, akcentując te słowa.
- Czy może pan podać więcej szczegółów?
- Naturalnie, proszę pana. Ministerstwo Wojny poszukiwało ludzi do rozbijania niewybuchów. To niezła zabawa, naprawdę.
- Więc nigdy nie walczył pan na froncie? - zapytał Hinks.
- Nie, proszę pana. Jak się przekonałem, bomby niemieckie zwykle padają nie po ich, tylko po naszej stronie linii frontu.
- Czy został pan odznaczony? - zapytał Hinks, kartkując notatki.

Young się uśmiechnął. Hinks popełnił pierwszy błąd.

- Udekorowano mnie Orderem Imperium Brytyjskiego - rzeczowo stwierdził Finch.

- Dobrze się pan spisał - powiedział Bruce. - To nie jest coś, co wydają z racjami żywnościowymi.

- Nie widzę wzmianki o tym odznaczeniu w pańskich aktach - wybuchnął Hinks, usiłując ochłonać.

- Może dlatego, że nie uważałem, aby miejsce urodzenia, wykształcenie i stan cywilny miały jakiś związek z próbą wspięcia się na najwyższą górę świata.

Hinks zamilkł pierwszy raz.

- No cóż, jeżeli nie ma więcej pytań - stwierdził sir Francis - pozwolę sobie podziękować panu Finchowi za obecność na tym spotkaniu. - Po chwili wahania dodał: - Wkrótce ktoś się z panem skontaktuje.

Finch wstał, skinął głową Youngowi i skierował się do wyjścia, gdy nagle Hinks rzekł:

- Jeszcze tylko jedno pytanie. Czy tak jak Mallory zgodzi się pan poddać badaniu lekarskiemu?

- Oczywiście - rzucił Finch i wyszedł z pokoju.

- Dziwaczny jegomość, nie uważacie? - zauważył Raeburn, gdy tylko portier zamknął drzwi.

- Ale niewątpliwie sprawnie wspina się po górach - rzekł Young.

- Na pewno ma pan rację - powiedział z uśmiechem Hinks - ale my w Królewskim Towarzystwie Geograficznym nie ufamy tym, co nazbyt sprawnie wspinają się po drabinie społecznej.

- Hinks, czy nie myślisz, że to trochę niesprawiedliwe, zważywszy na wojenne zasługi tego człowieka? - zapytał sir Francis. Zwracając się do Bruce'a, rzekł: - Generale, pan prowadzi żołnierzy do walki. Co pan myśli o tym kandydacie?

- Wolałbym go mieć po swojej stronie niż po nieprzyjacielskiej, to pewne - odparł Bruce. - Myślę, że w sprzyjających okolicznościach udałoby mi się go obciosać.

- Co teraz mamy robić? - Sir Francis zwrócił się z tym pytaniem do Hinksa.

- Członkowie komitetu powinni teraz wybrać w głosowaniu kierownika wspinaczki. Dla udogodnienia przygotowałem karty, na których należy postawić krzyżyk obok nazwiska wybranego kandydata. - Hinks rozdał wszystkim świstki papieru. - Oddajcie je, kiedy dokonacie wyboru.

Po chwili wszystko było gotowe, a Hinks, licząc kolejne głosy, coraz szerzej się uśmiechał. W końcu przekazał wynik głosowania przewodniczącemu, żeby ten ogłosił go oficjalnie.

- Pięć głosów za Mallorym. Jedna osoba wstrzymała się od głosu - obwieścił Younghusband, nie kryjąc zaskoczenia.

- To znowu ja - rzekł Young.

- Przecież pan dobrze zna obu kandydatów - powiedział sir Francis. - W końcu to pan podał ich nazwiska komitetowi.

- Może znam ich za dobrze - odparł Young. - To świetni młodzi ludzie, każdy w innym stylu, ale po tych wszystkich latach wciąż nie umiem zdecydować, który z nich ma większe szanse na to, żeby dokonać tego wyczynu i jako pierwszy człowiek stanąć na szczycie świata.

- A ja nie mam wątpliwości, którego bym wolał, żeby reprezentował ten kraj - wtrącił Hinks.

- Racja, racja - rozległy się głosy, ale nie ze wszystkich stron.

- Jeszcze jakieś wnioski? - zapytał Youngusband.

- Powinniśmy potwierdzić formalnie - rzekł Hinks - że teraz, kiedy wyznaczyliśmy kierownika wspinaczki, chętnie przyjmujemy, nemine contradicente, zalecenia pana Younga dotyczące pozostałych ośmiu miejsc w zespole wspinaczkowym.

- Tak, oczywiście - powiedział sir Francis. - W końcu tak to uzgodniłem z Klubem Alpejskim przed powołaniem komitetu.

- Mam nadzieję, że nie za wielu z nich jest z tej samej gliny co Finch - zauważył Ashcroft.

- Nie ma obawy - uspokoił go Hinks, spojrzawszy na listę. - Oprócz Fincha wszyscy są po Oksfordzie albo Cambridge.

- Zatem możemy kończyć - powiedział sir Francis. Na obliczu Hinksa znowu pojawił się uśmiech.

- Panie przewodniczący - rzekł. - Jest jeszcze drobna sprawa badania lekarskiego, jakiemu wszyscy przyszli członkowie zespołu wspinaczkowego zgodzili się poddać. Zapewne wolałby pan, żeby to

było załatwione przed ponownym zebraniem komitetu w przyszłym miesiącu.

- To wydaje się sensowne - zgodził się sir Francis. - Nie wątpię, że pan się tym zajmie, panie Hinks.

- Oczywiście, panie przewodniczący.

Rozdział 31

Hinks siedział w klubie sam, sącząc brandy i czekając na swojego gościa. Wiedział, że doktor Lampton się nie spóźni, ale potrzebował trochę czasu, żeby zebrać myśli, zanim ten pocziwiec się pojawi.

W przeszłości Lampton wykonał dla Towarzystwa kilka delikatnych zleceń, ale to będzie wymagało szczególnej ostrożności, żeby nikt nie mógł podejrzewać, iż sekretarz maczał w tym palce. Hinks się uśmiechnął, przypominając sobie słowa Machiavellego: „Kiedy znasz (jakaś) ambicję człowieka i pomożesz spełnić ją, zobowiąziesz go”. Dobrze znał jedną z ambicji Lamptona.

Wstał, kiedy portier wprowadził doktora do biblioteki. Gdy usiedli w ustronnym kącie pokoju i wymienili zwykłe uprzejmości, Hinks wypowiedział dobrze przygotowaną kwestię:

- Widziałem pańskie nazwisko na liście oczekujących na przyjęcie do klubu - rzekł, kiedy kelner postawił przed nimi dwa kieliszki brandy.

- Rzeczywiście, panie Hinks - odparł Lampton, nerwowo podnosząc kieliszek i obracając go w rękę. - Ale kto by nie chciał być członkiem klubu Boodle'a.

- I będziesz nim, drogi chłopcze - rzekł Hinks. - Mogęci powiedzieć, że dodałem moje nazwisko do listy twoich zwolenników.

- Dziękuję, panie Hinks.

- Chyba powinniśmy sobie darować tego „pana”. W końcu wkrótce będziesz członkiem tego klubu, Lampton. Mów mi Hinks.

- Dziękuję, Hinks.

Hinks rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy ktoś nie może go usłyszeć.

- Jak wiesz, stary, jedna z zasad klubu mówi, że przy kolacji nie rozmawia się o interesach.

- Fantastyczna zasada - rzekł Lampton. - Żałuję, że nie obowiązuje u Świętego Tomasza. Nieraz chciałbym rzec moim kolegom, że nie mam ochoty rozmawiać przy lunchu o tym, co się dzieje w szpitalu.

- Właśnie - zgodził się Hinks. - Uważasz, ta zasada nie obowiązuje tutaj, w bibliotece, więc powiem ci w zaufaniu, że Towarzystwo pragnie ci powierzyć przeprowadzenie niesłychanie ważnych badań naukowych. Muszę podkreślić, że to absolutna tajemnica.

- Możesz na mnie polegać, Hinks.

- Doskonale, ale najpierw małe wprowadzenie. Zapewne czytałeś w „Timesie”, że Towarzystwo zamierza wysłać doborowy

zespół wspinaczy do Tybetu w celu dokonania próby wejścia na szczyt Mount Everest.

- Wielkie nieba!

- Jakże a propos - rzekł Hinks i obaj panowie się roześmiali. - W związku z tym chcielibyśmy, żebyś dla nas przeprowadził badania dwunastu mężczyzn, którzy pretendują do dziewięciu miejsc w tym zespole. Bez wątpienia, najważniejsza będzie twoja opinia jako profesjonalisty na temat tego, jak dobrze są przygotowani do przetrwania na wysokości około ośmiu tysięcy ośmiuset czterdziestu metrów. To jasne, że Królewskie Towarzystwo Geograficzne nie może ryzykować i wysyłać faceta na kraj świata, jeśli może on zapaść na zdrowiu, gdy znajdzie się na pewnej wysokości. To byłaby strata czasu i pieniędzy.

- Właśnie - zgodził się Lampton. - Ile miałbym czasu na przeprowadzenie tych prób?

- Za trzy tygodnie muszę złożyć komitetowi sprawozdanie - rzekł Hinks i wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki kartkę papieru.

- Tu jest dwanaście nazwisk kandydatów wysuniętych przez Klub Alpejski. Tylko dziewięciu będzie stanowiło grupę wspinaczkową, więc śmiało wyeliminuj trzech, którzy będą poniżej wymaganego poziomu.

Hinks podał kartkę swojemu gościowi, żeby się zapoznał z nazwiskami. Lampton spojrział na listę.

- Bez obawy, w ciągu dwóch tygodni będziesz miał na biurku moje sprawozdanie. Pod warunkiem, że ci wszyscy wspinacze będą osiągalni.

- Na pewno - rzekł Hinks. Umilkł i znów rozejrzał się po pokoju.

- Lampton, czy mogę poruszyć z tobą pewną poufną sprawę?

- Nie krępuj się, stary.

- Wiedz, że komitet nie byłby niezadowolony, gdyby się okazało, że jednemu z kandydatów brak tężyzny fizycznej niezbędnej do uczestniczenia w tak trudnej wyprawie.

- Doskonale rozumiem - rzekł Lampton.

Hinks pochylił się i wskazał palcem drugie nazwisko na liście.

Rozdział 32

- ...Sto dwanaście... sto trzynaście... sto czternaście. - Finch w końcu padł na podłogę.

George kontynuował ćwiczenie, ale zdołał zrobić jeszcze tylko siedem pompek i też się poddał; sto dwadzieścia jeden - rekord życiowy. Leżał na plecach na podłodze, ale uniósł głowę i szeroko się uśmiechnął do Fincha, który zawsze umiał wydobyć z niego to co najlepsze. A może najgorsze?

Doktor Lampton zapisał w notatniku wyniki osiągnięte przez dwunastu mężczyzn i spostrzegł, że Mallory i Finch w każdym teście plasują się w pierwszej piątce i minimalnie różnią się między sobą. Zaczynał się już zastanawiać, jaki mógłby znaleźć powód, żeby

zdyskwalifikować Fincha, który pod względem sprawności miał najwyraźniej tylko jednego rywala w grupie.

Lampton stanął na środku sali gimnastycznej i wezwał dwunastu mężczyzn, żeby się zgromadzili wokół niego.

- Gratuluję wam wszystkim - powiedział - bo cali i zdrowi przeszliście pierwszą część prób kondycyjnych, a to znaczy, że zakwalifikowaliście się do mojej izby tortur.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Lampton był ciekaw, ilu się będzie śmiało za godzinę.

- Proszę panów za mną - powiedział i poprowadził ich długim ceglany korytarzem do nieoznakowanych drzwi. Otworzył je i wszedł do wielkiego, kwadratowego pomieszczenia, jakiego George nigdy nie widział.

- Panowie - rzekł Lampton - stoicie teraz w komorze dekompresyjnej, która została zbudowana podczas wojny na zlecenie Rady Admiralicji w celu sprawdzenia wytrzymałości łodzi podwodnych podczas długich okresów w zanurzeniu. Komora została tak zmodyfikowana, aby odtworzyć warunki, jakie naszym zdaniem napotkacie podczas wspinaczki na Everest.

- Opowiem wam teraz - ciągnął Lampton - o niektórych urządzeniach, jakie tu widzicie. Schody ruchome na środku sali nie różnią się od tych, jakie znacie z londyńskiego metra.

Kilku z obecnych nie miało ochoty się przyznać, że nigdy nie podróżowali metrem, zachowali więc milczenie.

- Jest jednak pewna zasadnicza różnica. Nasze schody ruchome nie są tu po to, żeby wam pomóc. Przeciwnie, one będą stawiać wam opór. Podczas gdy będą sunęły w dół, wy macie iść w górę... opanujecie ten sposób poruszania się po kilku chwilach. Ważne, aby pamiętać, że to nie jest wyścig, tylko próba wytrzymałości. Schody będą się poruszały z prędkością pięciu mil na godzinę, a wy starajcie się na nich utrzymać przez sześćdziesiąt minut.

- Z min na twarzach kilku z was widzę, że nie rozumiecie, po co te korowody - mówił dalej Lampton. - W końcu dla mężczyzn z waszym doświadczeniem i umiejętnościami nie jest rzeczą niezwykłą wspinać się przez wiele godzin bez przerwy. Jednakże jest jeszcze parę innych trudności, z którymi będziecie się musieli borykać w trakcie następnej godziny. W komorze panuje obecnie temperatura pokojowa, a ciśnienie odpowiada normalnemu ciśnieniu na poziomie morza. Przed upływem godziny ci, którzy zdołają jeszcze poruszać się w tym tempie, doświadczą warunków, jakich mogą się spodziewać na wysokos'ci ośmiu tysięcy ośmuset czterdziestu metrów, ponieważ temperatura w pomieszczeniu spadnie do czterdziestu stopni poniżej zera. Dlatego prosiłem, żebyście się ubrali jak do wspinaczki. Spotka was jeszcze dodatkowe małe wyzwanie. Jeżeli popatrzyście na przeciwległą ścianę, ujrzyście tam dwie wielkie przemysłowe dmuchawy: moje wiatrownice. I zapewniam was, panowie, to nie będzie wiatr od rufy.

Kilku obecnych nerwowo się zaśmiało.

- Jak je uruchomię, będą wiać z całej mocy, żeby zdmuchnąć was ze schodów. Zwróćcie też uwagę na gumowe maty, koce i kubelki znajdujące się w pomieszczeniu. Jeśli odpadniecie z ruchomych schodów, będziecie mogli odpocząć i się rozgrzać. Z pewnością nie muszę tłumaczyć, dlaczego u dołu schodów stoją kubły.

Teraz nikt się nie śmiał.

- Na ścianie z lewej strony znajduje się zegar, miernik temperatury i altymetr wskazujący ciśnienie atmosferyczne. Dam wam teraz kilka chwil na zaznajomienie się z działaniem ruchomych schodów. Radzę, żebyście się ustawili co dwa stopnie od siebie. Gdybyście uznali, że macie trudności z utrzymaniem tempa, przesuniecie się na prawo i pozwólcie, żeby osoba z tyłu was wyprzedziła. Jakieś pytania?

- Co jest za tym oknem? - spytał Norton, jedyny kandydat, którego George nie znał; żołnierz polecony przez generała Bruce'a.

- Tam się znajduje pomieszczenie kontrolne. Stamtąd mój personel będzie obserwował wasze postępy. My was widzimy, ale wy nas nie. Po upływie godziny schody się zatrzymają, dmuchawy zostaną wyłączone, temperatura wróci do normalnej. „Wtedy pojawią się lekarze i pielęgniarki, żeby ocenić, jak prędko wasze organizmy wracają do normy. A teraz, panowie, zajmijcie, proszę, miejsca na schodach.

Finch natychmiast wbiegł na najwyższy stopień, George ulokował się dwa stopnie poniżej, a Somervell dwa stopnie za nim.

- Schody ruszą na sygnał brzęczyka - powiedział Lampton. - Sygnał się powtórzy dziesięć minut później, kiedy ciśnienie w komorze będzie odpowiadało temu, jakie panuje na wysokości tysiąca pięciuset metrów, a temperatura spadnie do zera. Brzęczyk będzie się włączał co dziesięć minut w czasie testu. Dmuchawy zostaną włączone po czterdziestu minutach. Jeżeli ktoś jeszcze będzie na nogach pod koniec godziny, doświadczy temperatury minus czterdziestu stopni i będzie oddychał powietrzem jak na wysokości ośmiu tysięcy ośmiuset czterdziestu metrów. Powodzenia, panowie.

Lampton wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Wszyscy usłyszeli zgrzyt klucza obracającego się w zamku.

Dwunastu mężczyzn stało niespokojnie na schodach, czekając na sygnał. George odetchnął przez nos, napełniając płuca powietrzem. Nie patrzył na Fincha dwa stopnie powyżej ani na Somervella dwa stopnie poniżej.

- Jesteście gotowi, panowie? - usłyszeli w głośniku doktora Lamptona.

Zabrział sygnał i schody ruszyły w tempie, które wydało się George'owi dość umiarkowane. Przez dziesięć minut wszyscy wspinacze utrzymywali się na swoich miejscach i George nie odczuł specjalnej zmiany, kiedy rozległ się drugi sygnał. Schody sunęły z taką samą prędkością, natomiast mierniki na ścianie wskazywały, że temperatura spadła do zera, a warunki atmosferyczne przypominają te, jakie panują na wysokości tysiąca pięciuset metrów.

Wszyscy byli nadal na swoich miejscach, gdy minęło dwadzieścia minut i sygnał brzęczyka zabrzmiał trzeci raz. W trzydziestej minucie osiągnęli wysokość ponad czterech tysięcy pięciuset metrów, a temperatura wynosiła dziesięć stopni poniżej zera. Mimo to nikt jeszcze nie odpadł. Pierwszy Kenwright zrobił krok w prawo i wolno sunął w dół obok mijających go kolegów, aż wylądował u stóp schodów. dzielnie dobrnął do najbliższej maty, na którą się zwałił jak kłoda. Upłynęło parę chwil, zanim zdobył się na wysiłek i naciągnął na siebie koc. Lampton skreślił jego nazwisko. Kenwright nie wejdzie do zespołu jadącego do Tybetu.

Finch i Mallory utrzymywali tempo u szczytu schodów, Somervell, Bullock i Odell deptali im po piętach. George przypomniał sobie o dmuchawach dopiero wtedy, gdy sygnał odezwał się piąty raz i podmuch zimnego powietrza uderzył go w twarz. Chciał potrzebować oczy, ale wiedział, że jeśliby zdjął okulary na prawdziwej górze na wysokości ośmiu tysięcy ośmiuset czterdziestu metrów, ryzykowałby ślepotę śnieżną. Wydawało mu się, że Finch się potknął, ale prędko odzyskał równowagę.

George nie widział biedaka kilka stopni poniżej, który zdjął okulary i zatoczył się do tyłu, gdy potężny zimny wiatr dmuchnął mu w twarz. Po chwili znalazł się na czworakach na podłodze i zakrywając oczy, zwymiotował. Lampton wykreślił następnego kandydata, który nie pojedzie do Indii.

Kiedy zabrzmiał sygnał w pięćdziesiątej minucie, osiągnęli wysokość tuż ponad siedem tysięcy trzysta metrów przy temperaturze

minus dwudziestu pięciu stopni. Tylko Mallory, Finch, Odell, Somervell, Bullock i Norton jeszcze się trzymali. Zanim wysokość wzrosła do siedmiu tysięcy sześciuset metrów, Bullock i Odell znaleźli się obok innych na matach i byli tak wykończeni, że nie byli w stanie śledzić postępów czterech najwytrwalszych. Doktor Lampton spojrzął na zegar i postawił znaczek przy nazwisku Odella i Bullocka.

Somervell wytrzymał pięćdziesiąt trzy minuty, nim spadł ze schodów i wylądował na dole na rękach i kolanach. Próbował dzielnie wrócić na schody, ale natychmiast został odrzucony. Norton klęczał koło niego po kilku chwilach. Lampton napisał przy ich nazwiskach kolejno „pięćdziesiąt trzy minuty” i „pięćdziesiąt cztery minuty”, po czym obdarzył uwagą dwóch mężczyzn, którzy wydawali się niewzruszeni.

Lampton obniżył temperaturę do minus czterdziestu stopni i ustawił ciśnienie atmosferyczne tak, żeby odpowiadało warunkom na wysokości ośmiu tysięcy ośmiuset czterdziestu metrów, ale dwaj najwytrwalsi ani myśleli się poddawać. Nastawił dmuchawę na szybkość wiatru sześćdziesięciu czterech kilometrów na godzinę. Finch się potknął, żałując, że zajął najwyższy stopień, bo teraz osłaniał George'a przed wiatrem. Ale kiedy już wyglądała to, że jest pokonany, zdołał przyjąć do siebie i znalazł dość sił, żeby wytrwać na nieustępliwie sunących ruchomych schodach.

Zegar wskazał obu wspinaczom, że zostały im do końca jeszcze trzy minuty. Właśnie wtedy George uznał, że musi się poddać. Miał nogi jak z galarety, był zmarznięty na kość, nie mógł złapać tchu i

zaczął się cofać. Pogodził się z tym, że wygra Finch. W tym momencie Australijczyk cofnął się o jeden stopień, potem drugi i trzeci, co ożywiło w George'u ducha walki i chęć przetrwania ostatnich dziewięćdziesięciu sekund. Kiedy zabrzmiał ostatni sygnał i schody stanęły, George z Finchem padli sobie w ramiona, jakby byli pijani.

Odell podźwignął się z maty i słaniając się, podszedł do nich i im pogratulował. Po chwili przywlekli się Somervell i Norton. Bullock przyczołgałby się, gdyby mógł, ale leżał na macie z rozrzuconymi rękami i nogami, łapiąc powietrze.

Gdy wyłączono dmuchawy, ciśnienie powietrza wróciło do panującego na poziomie morza, temperatura wzrosła do normalnej, otwarto drzwi komory i do środka spiesznie wkroczyła kilkunastoosobowa grupa lekarzy i pielęgniarek, żeby zbadać uczestników testu i określić, w jakim tempie wracają do normy. W niecałe pięć minut tętno George'a wróciło do czterdziestu ośmiu uderzeń na minutę, a tymczasem Finch obchodził pomieszczenie dokoła i gawędził z kolegami, którzy trzymali się na nogach.

Doktor Lampton został w pokoju kontrolnym. Wiedział, że będzie musiał powiedzieć Hinksowi, iż Mallory i Finch to zdecydowanie najwybitniejsi kandydaci i nie różnią się między sobą. Był przekonany, że jeśli ktoś dotrze na wysokość ośmiu tysięcy ośmiuset czterdziestu metrów i stanie na szczycie świata, to będzie to jeden z tych dwóch.

Rozdział 33

Ruth podniosła słuchawkę telefonu i od razu poznała głos rozmówcy.

- Dzień dobry, panie dyrektorze - powiedziała. - Tak, wyszedł przed chwilą... nie, on nigdy nie jeździ samochodem do szkoły, zawsze idzie na piechotę... tak, to prawie osiem kilometrów, i zwykle zajmuje mu to około pięćdziesięciu minut. Do widzenia panu.

George rozwinął swój stary parasol, kiedy poczuł na twarzy krople deszczu. Próbował skupić myśli na porannej lekcji z niższą piątą klasą - choć nie miał im nic nowego do powiedzenia o postaciach doby elżbietańskiej. Ciekawe, jak by Francis Drake rozwiązał problem, który nie dawał mu spokoju przez dziesięć ostatnich lat.

Nie miał jeszcze żadnej wiadomości od Komitetu Everestowskiego od czasu zeszytygodniowych testów medycznych. Może kiedy wróci wieczorem do domu, zastanie list. A może w „Timesie” będzie wzmianka o wyborze zespołu - wtedy Andrew O’Sullivan z pewnością mu ją pokaże na długiej przerwie. Jednak zważywszy na doskonały rezultat Fincha w teście medycznym, George nie miałby zastrzeżeń, gdyby komitet wybrał tamtego na kierownika akcji górskiej. George śmiał się w głos, kiedy Young powtórzył mu dosłownie wymianę zdań między Finchem i Hinksem na zebraniu komitetu. Żałował, że nie był świadkiem tego starcia.

Wprawdzie nie zgadzał się z Finchem w sprawie użycia tlenu na dużych wysokościach, ale przyznawał, że jeżeli ma im się udać, to muszą podejść do całego przedsięwzięcia bardziej profesjonalnie niż w przeszłości i wyciągnąć wnioski z błędów popełnionych podczas katastrofalnej wyprawy do bieguna południowego.

Pomyślał o Ruth i o tym, jak bardzo jest mu oddana. Zeszły rok był idyllą. Mieli dwie córki i mogli się cieszyć stylem życia, jakiego wielu mogłoby im pozazdrościć. Czy naprawdę chce jechać na kraj świata i patrzeć, jak jego dzieci dorastają, czytając jego listy i oglądając go na zdjęciach? Jednak to Ruth najdotkliwiej wyraziła jego najskrytszy dylemat, kiedy mimochodem zapytała, jak by się czuł, gdyby Andrew pokazał mu w „Timesie” fotografię George’a Fincha stojącego na szczycie świata, a on by wyszedł właśnie na przerwę po lekcji z niższą piątą klasą.

Mijając tablicę drogową, która informowała, że ma jeszcze do przejścia prawie pięć kilometrów, George spojrzął na zegarek i uśmiechnął się. Dla odmiany był dwie minuty przed czasem. Nie lubił się spóźniać na poranny apel i Ruth zawsze robiła, co mogła, żeby każdego ranka wychodził na czas. Dyrektor szkoły nieodmiennie wkraczał do auli z wybiciem dziewiątej i jeżeli George się spóźnił bodaj trzydzieści sekund, musiał się wśliznąć z tyłu podczas modłów, kiedy głowy wszystkich były pochylone. Problem polegał na tym, że dyrektor nigdy głowy nie pochylał - zresztą uczniowie niższej piątej też nie.

Kiedy George wkroczył na ulicę Szkolną, zdziwił się, że jest tu tak niewielu uczniów i nauczycieli. Gdy przechodził przez szkolną bramę, jeszcze bardziej go zaskoczyła kompletna pustka. Czy to ferie w połowie semestru? Czy może niedziela? Nie, Ruth by pamiętała i przypomniałaby mu, żeby włożył odświętne ubranie.

Przebiegł pusty dziedziniec, kierując się ku auli, ale ze środka nie dochodził żaden dźwięk. Nie było słyhać głosu dyrektora szkoły, muzyki, nawet kaszlu. Może modlili się w milczeniu? Powoli nacisnął wielką klamkę z kutego żelaza, cichutko uchylił drzwi i zerknął do środka. Sala była pełna, wszyscy uczniowie znajdowali się na swoim miejscu. Na podium stał dyrektor szkoły, za nim siedział cały personel. George wprost nie mógł wyjść ze zdumienia - wszak zegar jeszcze nie wybił dziewiątej.

I wtedy jeden z chłopców krzyknął:

- On już jest!

Wszyscy w sali wstali jak jeden mąż i zaczęli klaskać i wznosić okrzyki.

- Ale sukces!

- Co za triumf!

- Pan pierwszy stanie na szczycie! - zawołał ktoś, kiedy George szedł środkowym przejściem ku podium.

Dyrektor szkoły serdecznie uściskał George'owi rękę i powiedział:

- Wszyscy jesteśmy z pana dumni - po czym poczekał, aż chłopcy zajmą miejsca, i oznajmił: - Wzywam teraz Davida Ellingtona, żeby przemówił do zgromadzonych.

Przewodniczący samorządu szkolnego wstał z miejsca w pierwszym rzędzie i wszedł na podium. Rozwinął zwój i zaczął czytać:

- *Nos, scholae Carthusianae et pueri et magistri, te, Georgium Leigh Mallory, salutamus. Dilectus adducendum agmen Britannicum super Everest, tantos honores ad omnes Carthusianos iam tribuisti. Sine dubio, o vir optime, et maiorem gloriam et honorem in scholam tuam, in universitatem tuam et ad patriam des.*

- „My, chłopcy i nauczyciele Szkoły Kartuzjańskiej, pozdrawiamy George’a Leigha Mallory’ego. Wybrany, aby pokierować brytyjskim szturmem na Everest, przynosisz zaszczyt wszystkim Kartuzjanom. Nie wątpimy, panie, że przysporzysz mnogiej chwały i zaszczytu swojej szkole, uniwersytetowi i ojczyźnie”.

Przewodniczący samorządu szkolnego skłonił się, po czym wręczył zwój George’owi. I znowu cała szkoła powstała i okazała nauczycielowi historii swoje prawdziwe uczucia.

George schylił głowę. Wolał, żeby niższa piąta nie widziała jego łez.

Rozdział 34

- Pozwoli pan, że przywitam pana jako członka komitetu - zwrócił się serdecznie sir Francis do George'a. - I dodam, że wszyscy się cieszymy, iż przyjął pan funkcję kierownika wspinaczy.

- Racja, racja! Racja, racja!

- Dziękuję, sir Francisie - rzekł George. - To, że poproszono mnie, abym kierował tak świetnym zespołem kolegów, poczytuję sobie za wielki zaszczyt - dodał, usiadłszy między Geoffreyem Youngiem i generałem Bruce'em.

- Zapoznał się pan z raportem generała Bruce'a - powiedział Younghusband - w którym opisano, w jaki sposób zespół odbędzie podróż z Liverpoolu na przedgórza Everestu. Czy zechciałby pan poinformować komitet, jak pan widzi dalszy przebieg wyprawy, kiedy już założycie obóz bazowy?

- Panie przewodniczący - odparł George - przeczytałem raport generała Bruce'a z wielkim zainteresowaniem i zgadzam się z jego oceną, że gruntowne i precyzyjne przygotowanie zdecyduje o sukcesie albo porażce całej wyprawy. Nie wolno nam zapominać, że żaden Anglik nigdy nie był bliżej niż około sześćdziesięciu kilometrów od Everestu, nie mówiąc o zakładaniu obozu bazowego w jego niższych partiach.

- Słuszny argument - przyznał Bruce, któremu w tym momencie monokl spadł z oka - ale pragnę poinformować komitet, że już po napisaniu raportu widziałem się z lordem Curzonem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, który mnie zapewnił, że uczyni wszystko co w

jego mocy, żeby umożliwić nam bezpieczne i szybkie przekroczenie granicy i wjazd do Tybetu.

- Brawo, świetnie pan się spisał - odezwał się Raeburn, strzepując popiół z cygara.

- Ale nawet jeżeli uda się nam bez kłopotów przekroczyć granicę - ciągnął George - komitet powinien wiedzieć, że żaden człowiek nigdy się nie wspinał na wysokość większą niż siedem tysięcy sześćset metrów. Nie wiemy nawet, czy można przeżyć na takich wysokościach.

- Muszę powiedzieć, panie przewodniczący - odezwał się Ashcroft - że dla mnie to żadna wielka różnica, czy siedem tysięcy sześćset, czy osiem tysięcy osiemset czterdzieści metrów. Wie pan?

- Jeżeli chodzi o mnie, to nie wiem - rzekł George. - Nigdy nie stałem na wysokości siedmiu tysięcy sześciuset, a co dopiero ośmiu tysięcy osmiuset czterdziestu metrów. Ale jeżeli kiedyś to mi się uda, komandorze, to panu opowiem.

- A więc, Mallory - przemówił sir Francis - ponieważ nikt nie zna lepiej zespołu wspinaczy niż pan, chcielibyśmy usłyszeć, kto pana zdaniem będzie panu towarzyszył w końcowym ataku na szczyt.

- Panie przewodniczący, nie będę mógł odpowiedzieć na to pytanie, dopóki się nie dowiem, kto się najlepiej zaaklimatyzował. Ale przypuszczam, że wytypowałbym Odella i Somervella - twarz Hinksa rozjaśnił uśmiech - jako zespół wspierający. Zawsze jednak uważałem, że jest tylko jeden oczywisty kandydat na partnera do ataku szczytowego, a mianowicie Finch.

Nikt z siedzących wokół stołu się nie odezwał. Raeburn zapalił następne cygaro, Ashcroft wbił wzrok w kartkę z porządkiem obrad. Sir Francisowi wypadło przerwać kłopotliwe milczenie. Zwrócił się do Hinksa i rzekł:

- Ale ja myślałem...

- Tak, panie przewodniczący - powiedział Hinks. I spojrzawszy na George'a przez stół, rzucił: - Obawiam się, że to nie będzie możliwe.

- A to dlaczego? - spytał George.

- Ponieważ Finch nie wejdzie w skład zespołu wspinaczkowego. Dwóch kandydatów rekomendowanych przez Klub Alpejski nie zaliczyło testu medycznego. Jeden to Kenwright, drugi Finch.

- To jakaś pomyłka - rzekł George. - Rzadko mi się zdarzało spotkać kogoś sprawniejszego w ciągu wielu lat mojej wspinaczki.

- Mogę pana zapewnić, że to nie pomyłka - powiedział Hinks, wyciągając kartkę z teczki. - Mam tu sprawozdanie doktora Lamptona, z którego wynika, że Finch ma pękniętą błonę bębenkową, co w opinii doktora może wywołać zawroty głowy i wymioty i uniemożliwić mu długotrwałą wspinaczkę na bardzo dużych wysokościach.

- Szkoda, że doktor Lampton nie stał koło Fincha na szczycie Mont Blanc albo Matterhornu - odezwał się Young. - Gdyby tam był, mógłby zobaczyć, że Finchowi nawet krew nie pociekła z nosa.

- Możliwe - rzekł Hinks. - Jednakże...

- Panie Hinks, proszę nie zapominać - powiedział George - że Finch jest jedynym członkiem zespołu, który ma rozległą wiedzę na temat użycia tlenu.

- Ale... proszę mnie poprawić, jeśli się mylę... kiedy ostatnio się widzieliśmy, był pan przeciwny koncepcji użycia tlenu.

- Nie myli się pan, nadal jestem przeciwny - odparł George. - Ale gdybym się przekonał, że po dotarciu na wysokość ośmiu tysięcy dwustu metrów nikt z zespołu nie jest w stanie zrobić kroku, może byłbym skłonny zmienić stanowisko.

- Norton i Odell też oświadczyli, że nie wierzą, żeby tlen okazał się konieczny na czas ataku szczytowego.

- Norton i Odell nigdy nie byli wyżej niż cztery tysiące pięćset siedemdziesiąt metrów - wtrącił Young. - Niewykluczone, że też będą musieli zmienić zdanie.

- Może powinienem podkreślić - zwrócił się Hinks do George a - że stan zdrowia Fincha nie był jedynym powodem decyzji Towarzystwa.

- Ta decyzja nie należała do Towarzystwa - powiedział gniewnie Young. - Uzgodniliśmy z sir Francisem, że Klub Alpejski wysunie kandydatów do zespołu wspinaczkowego, a komitet nie będzie kwestionował rekomendacji klubu.

- Nie przeczę - rzekł Hinks. - Jednakże, jak się później wydało, Finch skłamał, kiedy komitet przeprowadzał z nim rozmowę jako kandydatem na kierownika wspinaczki.

Zarówno Mallory, jak i Young zamilkli, dzięki czemu Hinks mógł bez przeszkód kontynuować:

- Gdy pan Raeburn zapytał Fincha, czy jest żonaty, ten poinformował komitet, że jest wdowcem.

Young schylił głowę.

- Okazało się, że to nieprawda, o czym się przekonałem ku swej konsternacji, kiedy pani Finch napisała z zapewnieniem, że żyje i czuje się dobrze. - Hinks wyjął z teczki list. - Zapewne komitet zechce, żebym odnotował do protokołu ostatni ustęp jej listu - dodał z powagą.

Mallory zacisnął usta. Natomiast Young nie wglądał na zaskoczonego.

- „Rozwiedliśmy się z George’em przed dwoma laty - czytał Hinks - i z przykrością informuję Pański komitet, że w grę wchodziła osoba trzecia”.

- Kanalia - rzucił Ashcroft.

- Takiemu nie można ufać - dodał Raeburn.

- Jeśli mam być szczery - powiedział George, nie zwracając na nich obu uwagi - to gdy zdołamy dotrzeć na wysokość ośmiu tysięcy dwustu metrów, nie będzie miało specjalnego znaczenia, czy mój partner jest rozwodnikiem, wdowcem czy nawet bigamistą, bo zapewniam pana, panie Hinks, że nikt nie zauważy, czy ma na palcu obrączkę.

- Zaraz, niech spróbuję zrozumieć, co pan mówi. - Hinks aż poczerwieniał na twarzy. - Czy chce pan nam powiedzieć, że

wspinałby się pan na końcowych sześciuset metrach tej góry z każdym, byleby dotrzeć na szczyt?

- Z każdym - odparł bez wahania George.

- Nawet z Niemcem? - syknął Hinks.

- Nawet z diabłem - odrzekł George.

- No, stary - odezwał się Ashcroft - to było niewłaściwe.

- Nie tak niewłaściwe jak niepotrzebna śmierć osiem tysięcy kilometrów od domu z braku odpowiedniego partnera do wspinaczki - odciął się George.

- Cóż, Mallory, odnotuję pańskie zdecydowane opinie w protokole - oświadczył Hinks - ale nasza decyzja w sprawie Fincha jest ostateczna.

George chwilę milczał.

- Wobec tego może też pan odnotować w protokole moją rezygnację z funkcji kierownika wspinaczki i z członkostwa w tym Komitecie.

Kilka osób przy stole zaczęło mówić naraz, ale George zignorował ich i dopowiedział:

- Nie mam ochoty zostawić żony i dzieci na co najmniej sześć miesięcy, żeby uczestniczyć w przedsięwzięciu skazanym na fiasko, ponieważ pominięto najlepszego wspinacza.

Sir Francis musiał podnieść głos, żeby go słyszano mimo Wrzawy.

- Panowie, panowie - powiedział, stukając ołówkiem o kieliszek z brandy. - To jasne, że znaleźliśmy się w impasie, z którego możemy wyjść tylko w jeden sposób.

- Co pan ma na myśli, panie przewodniczący? - spytał podejrzliwie Hinks.

- Musimy głosować.

- Ale ja nie miałem czasu, żeby przygotować karty do głosowania - wybuchnął Hinks.

- Karty nie będą potrzebne - rzekł sir Francis. - Przecież to łatwa decyzja. Czy Fincha należy włączyć do zespołu wspinaczy czy nie.

Hinks rozparł się w krzesło, usiłując powściągnąć uśmiech.

- Bardzo dobrze - powiedział sir Francis. - Proszę, żeby członkowie komitetu, którzy są za uczestnictwem Fincha w zespole wspinaczy, podnieśli ręce.

Mallory i Young natychmiast podnieśli ręce w górę i, ku zdumieniu pozostałych, dołączył do nich generał Bruce.

- Kto jest przeciw? - spytał przewodniczący.

Hinks, Raeburn i Ashcroft bez wahania podnieśli ręce.

- Trzy głosy za i trzy przeciw - stwierdził Hinks, wpisując rezultat do protokołu. - Pański głos, sir Francisie, będzie decydujący.

Wszyscy wokół stołu zwrócili się ku przewodniczącemu. Chwilę się zastanawiał, po czym rzekł:

- Głosuję za Finchem.

Hinks zastygł z piórem uniesionym nad księgą protokołów, jakby nie był w stanie zapisać głosu przewodniczącego.

- Panie przewodniczący - powiedział. - Czy możemy się dowiedzieć, co sprawiło, że podjął pan taką decyzję?

- Proszę bardzo - odparł sir Francis. - To nie ode mnie będzie się oczekiwać, żebym ryzykował życie, gdy Mallory stanie na wysokości ośmiu tysięcy dwustu metrów.

Rozdział 35

Zadźwięczał mosiężny dzwoneczek nad drzwiami.

- Dzień dobry panu, panie Pink - powiedział George, wchodząc do sklepu Ede and Ravenscroft.

- Dzień dobry, panie Mallory. Czym mogę panu służyć tym razem?

George pochylił się nad kontuarem. - Właśnie wybrano mnie do zespołu wspinaczkowego wyruszającego na wyprawę na Everest - wyszeptał.

- Coś podobnego! - rzekł kierownik. - Nikt z innych naszych klientów nie planuje wakacji w tamtej stronie świata, ośmielę się więc zapytać, jakiej pogody się pan tam spodziewa?

- Hmm, nie jestem pewien - przyznał George. - Ale jak się domyślam, gdy się znajdziemy na ośmiu tysiącach dwustu metrach wysokości, możemy się spodziewać wściekłych wichrów, temperatury czterdziestu stopni poniżej zera i tak niewiele tlenu w powietrzu, że prawie niemożliwością będzie oddychać.

- Zatem na pewno będzie panu potrzebny wełniany szalik i ciepłe rękawiczki, nie mówiąc o odpowiednim nakryciu głowy - wyliczył pan Pink, wyłoniwszy się zza kontuaru.

Na początek kierownik sklepu zaproponował kaszmirowy szalik marki Burberry oraz parę skórkowych czarnych rękawiczek na misiu. George obszedł z panem Pinkiem sklep i wybrał trzy pary grubych szarych wełnianych skarpet, dwa granatowe pulowery, wiatrówkę, kilka jedwabnych koszul i najnowsze buty turystyczne na futrze.

- Jeśli wolno zapytać, czy spodziewa się pan śniegu podczas tej podróży?

- Podejrzewam, że prawie cały czas - rzekł George.

- Wobec tego będzie panu potrzebny parasol - zasugerował pan Pink. - A co z nakryciem głowy, proszę pana?

- Chyba wezmę skórzany kask lotniczy brata i gogle - powiedział George.

- Nie sądzę, żeby modny dżentelmen tak się nosił podczas wspinaczki w tym roku - rzekł pan Pink, podając mu najnowszy model czapki a la Sherlock Holmes.

- I dlatego to nie modny dżentelmen pierwszy postawi stopę na szczycie Everestu.

George się uśmiechnął, kiedy zobaczył, że do kontuaru zbliża się Finch obładowany towarami.

- My w Ede i Ravenscroft - zebrał się na odwagę pan Pink - uważamy, że jest ważne, jak wygląda dżentelmen, gdy zdobywa szczyt górski.

- Nie wyobrażam sobie dlaczego - powiedział Finch, kładąc sprawunki na ladzie. - Tam nie będą na nas czekać żadne dziewczyny.

- Czy będzie jeszcze coś poza tym? - zwrócił się kierownik do Fincha, starając się nie okazać dezaprobaty.

- Nie, nie przy tych cenach - rzekł George, sprawdzwszy rachunek.

Pan Pink grzecznie się skłonił i przystąpił do pakowania sprawunków klienta.

- Cieszę się, Finch, żeśmy się spotkali - powiedział George. - Jest coś, co chciałbym z tobą obgadać.

- Nie mów mi, że przejrzałeś na oczy - rzucił Finch - i w końcu myślisz o użyciu tlenu.

- Możliwe - przyznał George. - Ale nie jestem do końca przekonany.

- Zatem muszę mieć odpowiedni sprzęt pod ręką i co najmniej dwie godziny, żeby ci zademonstrować, dlaczego tlen odgrywa tak ważną rolę.

- Pogadajmy o tym, jak będziemy na statku w drodze do Bombaju, wtedy będziesz miał aż za dużo czasu, żeby mnie przekonywać.

- Zakładając, że ja będę na tym statku.

- Przecież już cię wytypowano do zespołu.

- Tylko dzięki twojej interwencji - rzekł Finch, pochmurniejąc. - I jestem wdzięczny, bo podejrzewam, że Hinks widział góry tylko na kartce z okazji Świąt Bożego Narodzenia.

- To będzie trzydzieści trzy funty i jedenaście szylingów, proszę pana - oznajmił Finchowi pan Pink. - Czy mogę spytać, jak tym razem zamierza pan uregulować płatność?

- Proszę to dopisać do mojego rachunku - odparł Finch, naśladowując ugrzeczniony akcent pana Pinka.

Kierownik chwilę się wahał, po czym lekko się skłonił.

- To do zobaczenia na statku - powiedział Finch, schwycił papierową torbę i opuścił sklep.

- Pański rachunek, panie Mallory, wynosi czterdzieści jeden funtów, cztery szylingi i sześć pensów - rzekł pan Pink.

George wypisał czek na tę sumę.

- Dziękuję panu. I chciałbym powiedzieć w imieniu nas wszystkich tutaj w Ede i Ravenscroft, że mamy nadzieję, że to pan będzie pierwszym człowiekiem, który dotrze na szczyt Everestu, a nie...

Pan Pink nie dokończył zdania. Obaj mężczyźni wyjrzeni przez okno i patrzyli, jak Finch oddala się ulicą.

KSIĘGA PIĄTA

WYCHODZĄC POZA MAPE

1922

Rozdział 36

Czwartek, 2 marca 1922

Wstąpiwszy na pokład statku parowego Caledonia w Tilbury, George zrozumiał, że rusza w podróż, do której się przygotowywał przez całe życie.

Podczas trwającej pięć tygodni podróży morskiej do Bombaju ekipa wspinaczy starała się nawzajem lepiej poznać, poprawić kondycję i nauczyć się funkcjonować jak jeden organizm. Co rano przez godzinę przed śniadaniem wszyscy biegali wokół pokładu, przy czym zawsze Finch nadawał tempo. Od czasu do czasu George'owi dokuczała kostka, ale nie przyznawał się nikomu, nawet sobie. Po śniadaniu kładł się na pokładzie i czytał Johna Maynarda Keynesa *The Economic Consequences of the Peace*, ale nie wcześniej, niż napisał jak co dnia list do Ruth.

Finch wygłosił dwa wykłady o zastosowaniu tlenu na dużych wysokościach. Zespół sumiennie demontował i na powrót składał ważące czternaście i pół kilograma aparaty tlenowe, jeden przytracał je drugiemu do pleców i nastawiał zawory regulujące dopływ gazu. Niewielu okazywało entuzjazm. George uważnie się przyglądał eksperymentowi. Bez wątpienia Finch wiedział, o czym mówi, chociaż większość zespołu była z zasady przeciwna idei użycia tlenu. Norton stwierdził, że sam ciężar butli z pewnością zniweczy korzyści, jakie może dać ich zawartość.

- Jaki masz dowód, Finch, że będziemy potrzebować tej piekielnej maszyny, żeby wejść na szczyt? - zapytał.

- Żadnego - przyznał Finch. - Ale jak dotrzesz na wysokość ośmiu tysięcy dwustu metrów i nie dasz rady iść dalej, wtedy może podziękujesz, że możesz z niego skorzystać.

- Wolałbym raczej wrócić - rzekł Somervell.

- I nie wejść na szczyt? - spytał Finch.

- Tak, jeśli za taką cenę - powiedział twardo Odell. Wprawdzie George też był przeciwny użyciu tlenu, ale się nie odzywał. Przecież nie będzie musiał podejmować decyzji, jeżeli się okaże, że Finch się myli. Z zamyślenia wyrwał go charakterystyczny krzyk Brucea:

- Chłopcy, czas na gimnastykę!

Wspinacze wstali i uformowali trzy równe szeregi przed generałem, który stał z rękoma na biodrach i ze stopami mocno rozstawionymi na podłodze, wyraźnie nie mając zamiaru świecić przykładem.

Po godzinie ostrych ćwiczeń generał udał się pod pokład na przedpołudniowy kieliszeczek, zostawiając zespół samemu sobie. Norton i Somervell zaczęli grać w ringo, a Odell zabrał się do czytania najnowszej powieści E. F. Bensona. George i Guy siedzieli po turecku na pokładzie i zastanawiali się, czy zawodnik z Cambridge ma szansę wygrać bieg na sto metrów na olimpiadzie w Paryżu.

- Oglądałem Abrahamsa na bieżni Fenners - powiedział George.

- Jest dobry, cholernie dobry, ale Somervell mi mówi, że jest jakiś Szkot o nazwisku Liddell, który w swoim życiu nie przegrał biegu, więc ciekawe, co się stanie, jak obaj staną do walki.

- Zdażymy na czas, żeby się dowiedzieć, który z nich zdobędzie złoto. Właściwie - dodał Guy z szerokim uśmiechem - to będzie dobry powód, żeby wrócić do... o Boże! - Guy spoglądał w górę ponad ramieniem George'a. - Co on kombinuje?

George się odwrócił i zobaczył, że Finch stoi ze złożonymi ramionami i wpatruje się w kominy statku wyrzucające czarny dym.

- Chyba on nie myśli...

- Wcale bym się nie zdziwił - rzekł George. - On zrobi wszystko, żeby być pierwszy przed zespołem.

- Myślę, że on ma gdzieś zespół - powiedział Guy. - On tylko ciebie chce pokonać.

- Wobec tego - rzucił George - lepiej zamienię słówko z kapitanem.

George pisał Ruth w jednym z codziennych listów, że są z Finchem jak dwoje dzieci, zawsze usiłujące się prześcignąć, żeby ściągnąć na siebie uwagę nauczyciela. W tym wypadku nauczycielem był generał Bruce, który, jak George przyznał: „może i jest starym piernikiem, ale to nie głupiec i wszyscy chętnie zaakceptowali go jako kierownika wyprawy”. Odłożył pióro i spojrział na fotografię Ruth, o której tym razem pamiętał, chociaż zapomniał wziąć brzytwę i wyjechał z domu tylko z jedną parą skarpetek. Pisał dalej:

Nieustannie się zastanawiam, czy słusznie postąpiłem, decydując się na ten wyjazd. Kiedy znalazłeś Ginewrę, to po co się wybierać na poszukiwanie świętego Graala? Zacząłem zdawać sobie sprawę, że każdy dzień bez Ciebie jest zmarnowanym dniem. Bóg

jeden wie, że mam w sercu nadzieję, że raz na zawsze uwolnię się od tego demona i wrócę do The Holt, aby spędzić resztę życia z Tobą i dziećmi. Wiem, jak trudno Ci przychodzi wyrazić prawdziwe uczucia słowami, ale proszę, napisz, co naprawdę czujesz.

Twój kochający mąż George

Ruth po raz drugi przeczytała list George'a. Wciąż nie była pewna, czy słusznie uczyniła, nie mówiąc mu, zanim wyjechał, że po raz kolejny jest w ciąży. Wstała z fotela przy oknie, podeszła do swojego biurka i zaczęła pisać, zamierzając szczerze odpowiedzieć na jego ostatnie pytanie.

Kochany,

Nigdy nie umiałam właściwie wyrazić, co czuję, kiedy wyjeżdżasz z domu. Tym razem nie jest inaczej niż wtedy, gdy wyruszałeś na Front Zachodni czy w Alpy, kiedy godzina za godziną trwożyłam się, czy jesteś bezpieczny i czy Cię jeszcze zobaczę. Teraz jest tak samo. Czasem zazdroszczę innym żonom, które miały szczęście ujrzeć swoich mężów powracających całych i zdrowych z tej, tak niewłaściwie nazwanej, Wielkiej Wojny i uwierzyły, że nigdy w życiu nie będą musiały więcej doznawać tego lęku.

Ja też, podobnie jak Ty, z całego serca pragnę, żeby ta wyprawa zakończyła się sukcesem, ale wyłącznie z egoistycznego powodu: po prostu nie mam ochoty znów przeżywać takiej męki. Nie masz pojęcia, jak bardzo brakuje mi Ciebie, Twojego towarzystwa,

Twojego subtelnego humoru, Twej dobroci, Twoich rad, ale nade wszystko Twojej miłości i czułości, zwłaszcza kiedy jesteśmy tylko we dwoje. W każdej godzinie zastanawiam się, czy wrócisz, czy nasze dzieci będą musiały dorastać bez ojca, od którego by się nauczyły tolerancji, współczucia i mądrości, i czy się zestarzeję, utraciwszy jedynego mężczyznę, jakiego kiedykolwiek kochałam.

Twoja oddana żona Ruth

Ruth wróciła na fotel i przeczytała list, a potem wsunęła go do koperty. Spojrzała przez okno na otwartą bramę na końcu podjazdu, rozmyślając, jak w czasie wojny, czy kiedyś jeszcze zobaczy męża kroczącego dróżką.

Kiedy generał zagwizdał ostatni raz, większość członków zespołu została, leżąc na plecach i usiłując przyjść do siebie po porannych ćwiczeniach. George usiadł i rozejrzał się, żeby się upewnić, czy nikt z kolegów nie zwraca na niego uwagi, po czym wstał i powoli skierował się do swojej kajuty.

Zbiegł na pokład pasażerski, minął schodnię, obejrzał się za siebie i otworzył drzwi z napisem „Tylko dla załogi”, po czym zbiegł jeszcze trzy poziomy w dół, aż wreszcie stanął przed maszynownią. Uderzył pięścią w drzwi i po chwili pojawił się pierwszy mechanik, który skinął głową, ale nie próbował przekrzyczeć hałasu silników. Poprowadził George’a wąskim korytarzem i zatrzymał się przed masywnymi stalowymi drzwiami, na których widniał napis: „Uwaga! Niebezpieczeństwo! Wstęp wzbroniony”.

Wydobył wielki klucz z kieszeni kombinezonu, otworzył zamek i pchnął drzwi.

- Kapitan dał mi wyraźny rozkaz, proszę pana! - krzyknął. - Ma pan pięć minut, nie więcej.

George skinął głową i zniknął w środku.

Guy Bullock zaczął klaskać, gdy ujrzał George'a na szczycie środkowego komina. Norton i Somervell przestali grać, ciekawi, co to za zamieszanie. Odell podniósł głowę, zamknął książkę i też klaskał. Tylko Finch, który stał na rozstawionych nogach z rękoma w kieszeniach, nie reagował.

- Jak on tego dokonał? - zdziwił się Norton. - Wystarczy, że się otrzesz o jeden z tych kominów, a wyskoczy ci pęcherz wielki jak jabłko.

- Pominąwszy wysoką temperaturę - zauważył Somervell, równie skonsternowany - to żeby się wspiąć po tej powierzchni, trzeba by się do niej przyssać jak skałoczep.

Finch wpatrywał się w Mallory'ego. Spostrzegł, że akurat czarny dym nie bucha ze środkowego komina, i spojrzał z ukosa na Bullocka, który nie przestawał się śmiać. Gdy Finch znów popatrzył w górę, Mallory znikł.

Kiedy George zszedł z powrotem na dół po szczeblach wewnątrz komina, nie mógł się zdecydować, czy powiedzieć Finchowi, że co czwartek rano jeden z kominów na krótko wyłączano, żeby umożliwić mechanikom przeprowadzenie kompletnego przeglądu.

Po chwili pióropusz czarnego dymu buchnął ze środkowego komina, a zespół zaczął spontanicznie bić brawo.

- Dalej nie wiem, jak on to zrobił - rzekł Norton.

- Jedyne, co mi przychodzi do głowy - powiedział Odell - to to, że Mallory przeszmurował Houdiniego na pokład.

Wszyscy poza Finchem wybuchnęli śmiechem.

- A poza tym on chyba wlażył na ten komin bez pomocy tlenu - dodał Somervell.

- Ciekawe, jak tego dokonał? - rzekł Guy, któremu uśmiech nie schodził z ust. - Bez wątpienia nasz naukowiec wysnuje jakąś' teorię.

- Nie, nie mam żadnej teorii - oświadczył Finch. - Ale jedno wam powiem. Otóż Mallory nie wdrapie się na Everest od środka.

Ruth siedziała przy oknie z listem w ręku, niepewna, czy jej szczerść nie wpędzi Georgea w rozterkę. Po kilku minutach podarła list na małe kawałeczki i rzuciła je w trzaskający ogień. Wróciła do biurka i zaczęła pisać drugi list.

Ukochany,

Wiosna do nas zawitała, kwitną żonkile. Ogród nigdy jeszcze nie był taki piękny. Wszystko jest tak, jakbyś sobie życzył. Dzieci chowają się dobrze, a Clare napisała dla Ciebie wiersz, który załączam...

Rozdział 37

Kiedy parowiec Caledonia przybił do portu w Bombaju, pierwszą osobą, która wysiadła na ląd, był generał Bruce. Miał na sobie świeżo wyprasowaną koszulę z krótkimi rękawami w kolorze khaki i nienaganne szorty w tym samym kolorze - przepisowy strój żołnierzy brytyjskich odbywających służbę w gorącym klimacie. Stale przypominał zespołowi wspinaczy, że to lord Baden-Powell wzorował się na nim przy wyborze munduru dla ruchu skautów, a nie na odwrót.

George podążył tuż za generałem. Pierwsze, co go uderzyło, gdy stanął na chwiejnej schodni, to zapach - Kipling określał go jako ostry, pikantny, orientalny, niepodobny do żadnego innego na świecie. Drugie, co go uderzyło, i to wręcz dosłownie, to wielki upał i wilgotność powietrza. Bładolicemu chłopcu z Cheshire wydało się to piecem ognistym. A trzecie, to myśl, że generał cieszy się w tym dalekim kraju dużym poważaniem.

Dwie grupy mężczyzn czekały u stóp schodni, żeby powitać szefa ekspedycji. Nie dość, że stały daleko jedna od drugiej, to jeszcze bardzo się różniły. Pierwsza, składająca się z trzech mężczyzn, była uosobieniem „Brytyjczyków za granicą”. Panowie ci nie próbowali się mieszać z rdzenną ludnością, ubrani byli jak na garden party w Tunbridge Wells i nie zwracali uwagi na nieprzyjazny klimat, żeby przypadkiem ktoś nie pomyślał, iż oni i krajowcy są sobie równi.

Gdy generał stanął na nabrzeżu, powitał go jeden z nich, wysoki młody człowiek w granatowym garniturze, białej koszuli z usztywnionym kołnierzykiem i krawacie w barwach Harrow School.

- Nazywam się Russell - oznajmił, wystąpiwszy do przodu.

- Dzień dobry panu - rzekł generał.

Panowie uścisnęli sobie dłonie, jakby się znali od lat, podczas gdy jedynym, co ich łączyło, był szkolny krawat.

- Cieszymy się, generale, że pan znowu zawitał do Indii - powiedział Russell. - Jestem osobistym sekretarzem gubernatora generalnego. A to kapitan Berkeley, adiutant gubernatora.

Młodszy od Russella mężczyzna w mundurze galowym, który stał wyprężony na baczność, od kiedy generał wyszedł na ląd, zasalutował. Generał odpowiedział mu tym samym. Trzeci z mężczyzn, w uniformie szofera, stał obok błyszczącego rolls-royce'a i nie został przedstawiony.

- Gubernator generalny ma nadzieję - ciągnął Russell - że pan i pański zespół zechcą mu towarzyszyć przy kolacji dziś wieczorem.

- Będzie nam bardzo miło - rzekł Bruce. - O której godzinie mamy się stawić przed obliczem sir Petera?

- Gubernator generalny powita gości na galowym przyjęciu w swej rezydencji o godzinie siódmej - poinformował Russell - a o ósmej zasiądziemy do kolacji.

- Jaki strój? - zagadnął generał.

- Galowy, z medalami. Bruce z aprobatą skinął głową.

- Zgodnie z pańskim życzeniem - ciągnął Russell - zarezerwowaliśmy czternaście pokoi w Pałace Hotel, oddaję również kilka pojazdów do pańskiej dyspozycji w czasie pobytu pana i pańskich ludzi w Bombaju.

- To nadzwyczaj gościnnie - rzekł generał. - A tymczasem, czy mógłby pan zarządzić, żeby moich ludzi przetransportowano do hotelu, zakwaterowano i nakarmiono?

- Oczywiście, generale - powiedział Russell. - I gubernator generalny prosił, żebym to panu wręczył. - Podał Bruce'owi pękata kopertę, a ten ją przekazał George'owi niby swojemu sekretarzowi osobistemu.

George się uśmiechnął i wsadził kopertę pod pachę. Zauważył, że wszyscy członkowie zespołu z Finchem włącznie przysłuchują się całej konwersacji w nabożnym milczeniu.

- Mallory - odezwał się generał - chcę, żeby poszedł pan ze mną, natomiast reszta zespołu zostanie zaprowadzona do hotelu. Dziękuję panu - Bruce się zwrócił do osobistego sekretarza gubernatora generalnego. - Do zobaczenia wieczorem na przyjęciu.

Russell się skłonił i cofnął o krok, jakby generał był dalekim kuzynem króla.

Generał zwrócił teraz uwagę na drugą grupę, również trzyosobową - to jedyne, co miały wspólnego.

Trzech miejscowych w długich, lekkich białych szatach i białych pantoflach cierpliwie czekało, gdy Russell witał gości w imieniu gubernatora generalnego. Teraz ich przywódca wystąpił do przodu.

- Namaste, sahibie generale - powiedział i zgiął się w ukłonie.

Generał ani nie wymienił uścisku ręki z sirdarem, ani nie zasalutował. Bez wstępów zapytał:

- Dostałeś mój telegram, Kumar?

- Tak, sahibie generale, i wszystkie pańskie polecenia zostały ściśle wykonane. Mogę powiedzieć z przekonaniem, że będzie pan zadowolony.

- Sam to osądzę, Kumar, i to dopiero wtedy, jak obejrzę towar.

- Oczywiście, generale - powiedział Hindus i znów nisko się skłonił. - Zechce pan pójść za mną.

Kumar i dwaj jego rodacy poprowadzili generała zatłoczonym traktem, gdzie roiło się od ludzi, rikszy i setek starych rowerów Raleigh i Herkules, a od czasu do czasu widziało się krowy, z zadowoleniem przeżuwające na środku szosy. Generał kroczył wśród rojnego, hałaśliwego tłumu, który rozstępował się przed nim jak Morze Czerwone przed Mojżeszem. George postępował za swym przewodnikiem, ciekaw, co ujrzy za chwilę, wsłuchując się w dźwięki obcej mowy ulicznych przekupniów zachwalających swoje egzotyczne towary: nieustannie podsuwano mu pod nos fasolkę Heinza, papierosy Players, zapalki Swan Vesta, butelki Tizera i baterie Everready. Grzecznie za każdym razem odmawiał, oszołomiony energią i żywiołowością tutejszych ludzi, lecz zaszokowany nędzą panującą wokół - żebraków było o wiele więcej niż handlarzy. Pojął, dlaczego ci ludzie uważają Gandhiego za proroka, natomiast Brytyjczycy nadal go traktują jak przestępcę. Kiedy wróci, będzie miał dużo do powiedzenia swoim uczniom.

Generał kroczył energicznie, nie zwracając uwagi na wyciągające się ku niemu zapyłone ręce i powtarzające się prośby o miedziaki: „Pie, pie, pie”. Sirdar zaprowadził go na plac, na którym

kłębił się taki tłum, jak na jakimś wiecu na Speakers Corner w Londynie, z tą różnicą, że wszyscy mówili, a nikt nie słuchał. Plac otaczały niewykończone budynki z betonu. Ciekawscy i ci, którzy nie mieli nic lepszego do roboty, wyglądali z górnych okien, obserwując z lotu ptaka, co się dzieje w dole. I wtedy George pierwszy raz ujrzał to, co generał nazwał „towarem”.

Na zakurzone, spalonym słońcem poletku sto mułów czekało na oględziny. Z tyłu stała duża grupa tragarzy.

George usunął się na bok i przyglądał, jak generał przeprowadza inspekcję pod wzrokiem tłumu obserwującego każdy jego ruch. Najpierw obejrzał mułom nogi i zęby, a nawet dosiadł kilka, żeby ocenić ich siły. Dwa upadły pod jego ciężarem. Wybór siedemdziesięciu sztuk zwierząt, które według niego zdały egzamin, zajął mu ponad godzinę.

Z kolei generał poddał takimże oględzinom szereg za szeregiem milczących tragarzy. Wpierw obejrzał im nogi, potem zęby, a kilku, ku zdumieniu George’a, wskoczył na plecy. I znów, podobnie jak to się działo z mułami, jeden czy dwóch upadło pod jego ciężarem. Jednakże nie minęły dwie godziny, a generał dołączył sześćdziesięciu dwóch tragarzy do siedemdziesięciu sztuk wybranych zwierząt.

Chociaż George nic nie robił, tylko się przyglądał, obficie się pocił, natomiast na generale nawet upał nie robił żadnego wrażenia.

Po zakończeniu inspekcji Kumar wystąpił do przodu i zaprezentował wybrednemu klientowi dwóch kucharzy i dwie praczki.

George się ucieszył, że generał nie wskakuje im na plecy. Za to skontrolował im nogi i zęby.

Na koniec generał zwrócił się do Kumara ze słowami:

- Dopilnuj, żeby wszyscy, kulisi i muły, jutro o szóstej rano czekali na nabrzeżu. Jeżeli wszyscy stawią się punktualnie na apel, dostaniesz pięćdziesiąt rupii.

Kumar uklonił się i uśmiechnął. Generał odwrócił się do George'a i wyciągnął rękę. Mallory domyślił się, że chodzi o kopertę. Generał ją otworzył, wyjął pięćdziesiąt rupii i wręczył sirdarowi na potwierdzenie, że umowa stoi.

- I powiedz im - rzekł, wskazując tragarzy - że będę im płacił dziesięć rupii tygodniowo. Ci, którzy będą jeszcze z nami, kiedy za trzy miesiące będziemy wsiadać na statek, dostaną dwadzieścia rupii premii.

- To wielka hojność, sahibie generale, wielka hojność - powiedział Kumar i jeszcze niżej się uklonił.

- Czy spełniłeś też moje drugie życzenie? - zapytał generał, oddając kopertę George'owi.

- Tak, sahibie generale - odparł sirdar i jeszcze szerzej się uśmiechnął. Jeden z dwóch mężczyzn stojących za Kumarem wystąpił do przodu, wyprężył się na baczność przed generałem i zdjął pantofle. George nawet nie próbował zgadywać, co teraz nastąpi. Generał wyjął z kieszeni szortów taśmę i zmierzył młodego człowieka od czubka głowy do gołych pięt.

- Myślę, że pan się przekona - rzekł Kumar z zadowoleniem - że chłopiec ma dokładnie metr osiemdziesiąt wzrostu.

- Tak, ale czy on rozumie, czego od niego oczekuję?

- Tak, sahibie generale. Od miesiąca się przygotowywał.

- Cieszę się, że to słyszę - rzekł Bruce. - Jak się będzie dobrze spisywał, zarobi dwadzieścia rupii tygodniowo, a po przybyciu do obozu bazowego dostanie dodatkowo jeszcze pięćdziesiąt.

I znowu sirdar się skłonił.

George już chciał pytać, po co ekspedycji potrzebny młodzieniec mierzący dokładnie metr osiemdziesiąt, kiedy generał wskazał niskiego, krępego mężczyznę o azjatyckich rysach, który stał za tą trójką i do tej pory nie otworzył ust.

- A to kto?

Młody mężczyzna wystąpił do przodu, nim Kumar zdążył go przedstawić, i powiedział:

- Jestem Szerpą, panie generale, nazywam się Nyima i będę pańskim tłumaczem i przywódcą Szerpów, kiedy się znajdziemy w Himalajach.

- Dwadzieścia rupii tygodniowo - rzucił generał i bez słowa, załatwiwszy, co miał do załatwienia, odwrócił się i wymaszerował z placu.

George'a nieodmiennie śmieszyło, że kiedy generałowie ruszają przed siebie, zawsze zakładają, że wszyscy za nimi pójdą. Doszedł do wniosku, że to między innymi dlatego Brytyjczycy więcej bitew wygrali, niż przegrali. George dogonił Bruce'a po kilku minutach,

gdyż przez cały czas oblegał go tłum, licząc na jego hojność. Kiedy w końcu się z nim zrównał, Bruce powiedział:

- Nigdy nie należy się przyjaźnić z krajowcami. Na dalszą metę człowiek tego pożałuje.

Generał nie odezwał się już słowem aż do chwili, gdy dwadzieścia minut później wkroczyli na podjazd hotelu, zostawiwszy za sobą tłum deptający im po piętach. Gdy generał maszerował dróżką przez wypielegnowany ogród, George zauważył trzecią grupę powitalną, czekającą u szczytu schodów hotelu.

Generał nagle się zatrzymał przed piękną młodą kobietą w purpurowo-złotym sari. W lewej ręce dzierżyła miseczkę słodko pachnących, sproszkowanych ziół i zanurzwszy w nich palec prawej ręki, delikatnie dotknęła opuszką czoła generała, zostawiając charakterystyczny czerwony znak szacunku. Cofnęła się o krok, a druga młoda kobieta, też w tradycyjnym stroju, włożyła generałowi na szyję girlandę kwiatów. Bruce złożył ukłon i podziękował.

Po skończonej ceremonii wysunął się do przodu szykowny mężczyzna w czarnym surducie i spodniach w prążki.

- Witamy ponownie w naszym hotelu, panie generale - rzekł. - Umieściłem pański zespół w południowym skrzydle z widokiem na ocean i przygotowałem pański apartament. - Mężczyzna usunął się na bok, dając przejście gościowi.

- Dziękuję panu, panie Khan - odpowiedział generał i przeszedł obok recepcji w stronę windy, której drzwi, jak uznał, trzymano otwarte specjalnie dla niego.

George podążył za nim, a gdy się znaleźli na najwyższym piętrze, na końcu korytarza zobaczył Nortona i Somervella w szlafrokach. Uśmiechnął się i zamachał do nich, dając znak, że za chwilę do nich dołączy.

- Przypuszczam, generale - powiedział - że to będzie nasza ostatnia szansa na kąpiel w ciągu tych trzech miesięcy.

- Niech pan mówi za siebie, Mallory - rzekł Bruce, gdy Khan otworzył mu drzwi apartamentu królowej Wiktorii.

George już pojmował, dlaczego Królewskie Towarzystwo Geograficzne uznało, że ten niski, pulchny żołnierz w stanie spoczynku przerasta innych o głowę.

Rozdział 38

- Chciałbym wysłać listy - powiedział George.

- Oczywiście, proszę pana - rzekł portier. - Ile?

- Siedemnaście - odparł George. Wysłał już osiemnaście listów, kiedy statek przybił na kilka godzin do Durbanu po paliwo i świeżą żywność.

- Wszystkie do tego samego kraju? - zapytał portier od niechcienia, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem.

- Tak, a nawet pod ten sam adres. Teraz portier ze zdziwieniem uniósł brwi.

- Do mojej żony - wyjaśnił George. - Pisuję do niej codziennie, a dopiero co wyszedłem na ląd, więc...

- Proszę to mnie zostawić - rzekł portier. - Wybierasz się na jubel do gubernatora generalnego,

George? - zapytał ktoś z tyłu.

George się odwrócił i zobaczył, że to Guy.

- Tak - odparł.

- To weźmy razem taksówkę - zaproponował Guy, kierując się ku drzwiom. - Mam zamiar najeść się tego wieczoru jak wieprz - mówił, kiedy riksza kluczyła między przeszkodami po zatłoczonych ulicach. - Czuję, że to będzie najlepsza wyżerka, jaka się nam trafi przed powrotem do Anglii. Chyba że gubernator generalny zaprosi nas znowu, jak będziemy wracać.

- To może zależeć od tego, czy wrócimy jako zwycięscy bohaterowie czy jako podmrażane niedorajdy - rzekł George.

- Tak czy owak nie będę ryzykował - oznajmił Guy. - Zwłaszcza że Bruce twierdzi, iż sir Peter ma najlepiej zaopatrzoną piwnicę w Indiach.

Dwaj żołnierze w paradnych mundurach stanęli na baczność i zasalutowali, kiedy riksza wjechała przez bramę rezydencji gubernatora generalnego. Mallory i Bullock wyskoczyli i przeszli pod wysokim drewnianym sklepieniem do długiej, bogato zdobionej marmurowej sali, gdzie ustawili się w kolejce gości. Generał stał obok gubernatora generalnego i przedstawiał mu każdego członka zespołu.

- Guy, skoro jesteś tak dobrze poinformowany - szepnął George - to może wiesz, kto to jest ta młoda dama, co stoi przy gubernatorze generalnym?

- Jego druga żona - odparł Bullock. - Pierwsza umarła dwa lata temu, a ta...

- A to jest Guy Bullock, sir Peterze - rzekł generał. - Wziął urlop bezpłatny w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, żeby z nami pojechać.

- Dobry wieczór panu - przywitał Guya sir Peter.

- A to George Mallory, kierownik zespołu wspinaczy.

- A więc człowiek, który pierwszy stanie na szczycie Everestu - powiedział gubernator generalny i mocno uściskał George'owi dłoń.

- On ma rywala - rzucił Guy, uśmiechnąwszy się od ucha do ucha.

- A, tak - rzekł sir Peter. - To pan Finch, o ile dobrze pamiętam. Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę. I pragnę przedstawić moją żonę.

Ukloniwszy się młodej damie, George i Guy przeszli do sali pełnej gości, gdzie tylko służący roznoszący napitki byli Hindusami. George wybrał sherry i skierował się do jedynej osoby, którą rozpoznał.

- Dobry wieczór - przywitał go Russell.

- Dobry wieczór - rzekł George. - Czy jest pan zadowolony, że pana tu oddelegowano? - Nie czuł się swobodnie, prowadząc konwersację towarzyską.

- Tak, bardzo, cieszę się każdą chwilą - odparł Russell. - Gdyby tylko nie ci tubylcy!

- Tubylcy? - powtórzył George, myśląc, że Russell żartuje.

- Oni nas nie lubią - szepnął Russell. - Właściwie to nas nienawidzą. Zanosi się na kłopoty.

- Kłopoty? - zachęcił go Bullock, który podszedł do nich.

- Tak, od kiedy wsadziliśmy tego całego Gandhiego za wywoływanie niepokojów...

Nagle Russell przerwał w połowie zdania, wybałuszył oczy i otworzył usta. Mallory i Bullock odwrócili się, żeby zobaczyć, co mu odebrało mowę.

- To jeden z waszych? - spytał Russell, niezdolny ukryć zakłopotania.

- Obawiam się, że tak - odparł George, powściągając uśmiech na widok Fincha gawędzącego z żoną gubernatora generalnego.

Australijczyk był w rozpiętej pod szyją koszuli koloru khaki, zielonych sztruksowych spodniach i brązowych zamszowych butach, bez skarpetek.

- Powinno wam to schlebiać - wtrącił Guy. - Zwykle tak się nie stara.

Sekretarzowi gubernatora generalnego wcale nie było do śmiechu.

- To kawał hukają - wykrztusił, kiedy Finch objął lady Davidson w pasie.

George się nie poruszył, spostrzegł bowiem generała, który zbliżał się do niego pędem.

- Mallory - rzucił generał, któremu twarz nabiegła krwią - zabierz pan stąd tego typu, i to już!

- Zrobię, co będę mógł - powiedział George - ale nie ręczę...

- Jak nie wyrzucisz go pan natychmiast - rzekł generał - ja to zrobię. I zapewniam, to nie będzie miły widok.

George oddał pusty kieliszek przechodzącemu kelnerowi, przemierzył pokój i zbliżył się do Fincha i żony gubernatora generalnego.

- Czy poznałaś Mallory'ego, Soniu? - zapytał Finch. - To mój jedyny prawdziwy rywal.

- Tak, zostaliśmy sobie przedstawieni - odparła żona gubernatora generalnego, udając, że nie zauważa opasującego jej talię ramienia Fincha.

- Przepraszam, że przeszkadzam, lady Davidson - rzekł George - ale muszę zamienić na osobności słowo z panem Finchem, bo mamy mały problem.

Co powiedziawszy, mocno chwycił Fincha za łokieć i szybko wyprowadził z pokoju. Guy podszedł do lady Davidson i zagadnął ją, czy zamierza wybrać się na sezon do Londynu.

- Co to za mały problem? - zapytał Finch, kiedy znaleźli się w holu.

- To ty nim jesteś - odparł George. - Myślę, że w tym momencie generał zbiera ochotników do plutonu egzekucyjnego.

Wyprowadził Fincha przez drzwi na podjazd.

- Dokąd idziemy? - spytał Australijczyk.

- Wracamy do hotelu.

- Ale ja nie jadłem jeszcze kolacji.

- To twój najmniejszy problem.

- Rozkazano ci, żebyś mnie stamtąd zabrał, tak? - domyślił się Finch, gdy George wepchnął go do rikszy.

- Coś w tym rodzaju - przyznał George. - Mam wrażenie, że to ostatni raz, kiedy zaproszono nas na wieczorek towarzyski u gubernatora generalnego.

- To twoja opinia, Mallory. Jeżeli obaj staniemy na czubku tej góry, to na pewno będziesz jadł kolację z gubernatorem generalnym.

- To nie znaczy, że ty też - rzekł George.

- Nie, ja nie. Ja będę na piętrze w pokoju jego żony.

George'owi się wydało, że słyszy pukanie do drzwi, ale może to był sen. Za drugim razem pukanie było głośniejsze.

- Wejść - powiedział, na pół śpiący. Otworzył jedno oko i zobaczył, że spogląda na niego z góry generał, nadal w mundurze.

- Mallory, pan zawsze śpi na podłodze przy oknie otwartym na oścież? - zapytał.

George otworzył drugie oko.

- Miałem do wyboru: albo tak, albo na werandzie. I zapewniam pana, generale - dodał, wstając - że to luksus w porównaniu z tym, co mnie czeka na wysokości ośmiu tysięcy dwustu metrów, gdzie będę się kulił w malutkim namiocie, z Finchem jako jedynym towarzyszem.

- Właśnie o tym chcę z panem pomówić - rzekł generał. -
Uznałem, że powinien pan pierwszy się dowiedzieć, że postanowiłem
wsadzić Fincha na pierwszy statek odpływający do kraju.

George narzucił jedwabny szlafrok i usiadł na jedynym
wygodnym krześle, jakie było w pokoju. Powoli napełnił fajkę
tytoniem i niespiesznie ją zapalił.

- Zachowanie Fincha dzisiejszego wieczoru było niewybaczalne
- ciągnął generał. - Teraz rozumiem, że nigdy nie powinienem się
zgodzić na włączenie go do zespołu.

George pyknął kilka razy z fajki i dopiero po chwili otworzył
usta.

- Panie generale - spokojnie powiedział - pan nie ma prawa
odsyłać członka mojego zespołu do Anglii bez uzgodnienia ze mną.

- Właśnie uzgadniam to z panem. - Z każdym słowem generał
coraz bardziej podnosił głos.

- Nie, nic podobnego. Wtargnął pan do mojego pokoju w środku
nocy, żeby mnie poinformować, że zdecydował pan odesłać Fincha do
Anglii pierwszym statkiem. Według mnie nie na tym polega
uzgadnianie.

- Mallory - przerwał George'owi generał - nie muszę panu
przypominać, że jestem głównym szefem tej ekspedycji. To ja
podejmuję ostateczną decyzję co do losów każdego członka mojego
zespołu.

- Wobec tego, panie generale, podejmie ją pan na własny
rachunek, bo jeżeli wsadzi pan Fincha na ten statek, wtedy ja i reszta

mojego zespołu wsiądzie razem z nim. Jestem pewien, że Królewskie Towarzystwo Geograficzne chętnie usłyszy, dlaczego, inaczej niż księżę Yorku, nie doprowadził pan nas nawet na szczyt góry, nie mówiąc o sprowadzeniu w dół*.

* Księżę Yorku (1763-1827). Późniejszy dowódca naczelny armii brytyjskiej i założyciel znanej akademii wojskowej Sandhurst jako młody niedoświadczony oficer nie poradził sobie na polu walki i naraził się na śmieszność. A. L. Morton w *Dziejach ludu angielskiego* (PIW, 1948) tak pisze o nim: „Pierwsza koalicja (budowana przez Williama Pitta) upadła w roku 1795 po okupacji Flandrii i Holandii oraz pobiciu księcia Yorku przez Francuzów pod Dunkierką. Księżę Yorku był prawdopodobnie najbardziej niekompetentnym generałem, jaki kiedykolwiek dowodził armią brytyjską”.

- Ale, ale... - wyjąkał generał. - Na pewno pan przyzna, że tak nie można traktować damy, a już szczególnie żony gubernatora generalnego.

- Nikt nie wie lepiej niż ja - rzekł George - że Finch potrafi być irytujący, i zaręczam, że nie będzie uczył żadnej debutantki etykiety w przyszłym sezonie towarzyskim. Ale jeśli nie ma pan, panie generale, ochoty go zastąpić, to proponuję, żeby poszedł pan spać i cieszył się, że Finch nie będzie brał udziału w żadnych przyjęciach przynajmniej w ciągu najbliższych trzech miesięcy. Jest też mało prawdopodobne, żeby spotkał jeszcze jakieś damy w drodze do Himalajów.

- Muszę to przemyśleć, Mallory - rzekł generał i odwrócił się do wyjścia. - Rano powiadomię pana o swojej decyzji.

- Panie generale, ja nie jestem jednym z pańskich kulisów, którzy rozpaczliwie potrzebują królewskiego szylinga*, więc proszę mnie poinformować teraz, czy mam obudzić moich ludzi i powiedzieć im, że wrócą pierwszym statkiem do Anglii, czy pozwolić im odpocząć, zanim wyruszą w najbardziej uciążliwą podróż ich życia.

* Królewski szyling - dawniej szyling wręczany rekrutowi, który zaciągał się do wojska za panowania króla.

Generał jeszcze bardziej poczerwieniał.

- Na pańską odpowiedzialność, Mallory! - rzucił i wypadł jak burza z pokoju.

- Panie Boże - westchnął George, zdejmując szlafrok i kładąc się z powrotem na podłozie. - Co ja takiego zrobiłem, że mnie pokarałeś Finchem?

Rozdział 39

15 kwietnia 1922

Najdroższa Ruth,

„wyruszyliśmy w ponadtysiąc kilometrową podróż do granicy tybetańskiej. Wsiedliśmy do pociągu jadącego do Siliguri u podnóża Himalajów, co według rozkładu jazdy miało trwać sześć godzin, ale zajęło prawie szesnaście. Nieraz się zastanawiałem, co się dzieje z

wysłużonymi pociągami, kiedy przechodzą w stan spoczynku - teraz już wiem. Wysyłane są do Indii, gdzie rozpoczynają drugie życie.

A więc wszyscy wladowaliśmy się do pociągu ciągniętego przez starą lokomotywę Castle Class, a ściśle mówiąc Warwick Castle, spółki kolejowej Great Northern. Siedzenia w pierwszej klasie są teraz dość tandetne i wytarte, natomiast trzecia klasa wciąż ma ławki z drewnianych listewek i żadnej ubikacji, co znaczyło, że musieliśmy wyskakiwać z pociągu, kiedy stawał na stacjach, i pędzić w krzaki. Są też wagony bydłące, gdzie Bruce umieścił muły i tragarzy. I zwierzęta, i ludzie narzekali.

Jest jedna wielka różnica między komfortową jazdą z Birkenhead do Londynu a podróżowaniem z Bombaju do Siliguri: zwykle jadąc z północy Anglii, zamykaliśmy okna i włączaliśmy ogrzewania, ale tutaj, mimo że towarzystwo kolejowe pozbyło się okien, człowiek się czuje, jakby jechał w piecu na kołach.

- Gdzie jest tatuś? - chciała się dowiedzieć Clare. - Gdzie on jest teraz?

Ruth odłożyła list i uklękła obok córek na podłodze, żeby razem z nimi prześledzić mapę, którą naszkicował im ojciec, i sprawdzić trasę, jaką podąża. Przejechała palcem przez ocean od Tilbury do Bombaju, a potem wzdłuż linii kolejowej, która docierała do Siliguri. Wzięła do ręki list i dalej głośno czytała dzieciom.

Wyobraźcie sobie nasze zaskoczenie, kiedy wysiedliśmy w Siliguri i naszym oczom przedstawił się widok miniaturowego cudu świata Towarzystwa Darjeeling Himalayan Railway. Tutaj kończą się

tory szerokości metra i zastępują je inne, jedyne w swoim rodzaju, o rozstawie około sześćdziesięciu centymetrów, i dlatego miejscowa ludność nazywa pociągi, które nimi jeżdżą, dziecinnymi kolejkami.

Wsiada się do uroczego wagoniku, który byłby idealny dla Beridge i Clare, ale ja się w nim czułem jak Guliwer, gdy się obudził w krainie liliputów. Z hałasem nieproporcjonalnym do rozmiarów pociągu mała parowa lokomotywa zaczyna się piąć w górę z pogórza Siliguri na wysokości dziewięćdziesięciu metrów nad poziomem morza do Dardżiling, ponad osiemdziesiąt kilometrów dalej, osiągając wysokość ponad dwóch tysięcy metrów.

Dzieci będą zafascynowane, gdy się dowiedzą, że pochyłość jest tak stroma, iż ktoś z miejscowych musi siedzieć na przednim buforze lokomotywy i sypać piasek na tory, żeby koła się nie ślizgały na szynach, kiedy wspinamy się coraz wyżej i wyżej w głąb gór.

Nie powiem Wam, jak długo trwała jazda, bo każda chwila była tak zachwycająca, że nie mogłem oderwać wzroku od widoków, z obawy że przeoczę jakiś nowy cud. A naszego nieustraszonego operatora, kapitana Noela, tak to wszystko zafascynowało, że gdy stanęliśmy w Tung, żeby napić wodą i lokomotywę, i pasażerów, wszedł na dach wagonu, skąd filmował całą podróż, gdy my, zwykli śmiertelnicy, musieliśmy się zadowolić wyglądaniem przez okna.

Gdy w końcu zajęliśmy na stację Dardżiling po siedmiu godzinach podróży, nurtowała mnie myśl: jakże ułatwiłoby nam życie, gdyby ten klejnocik mógł nas dowieźć do obozu bazowego. Ale nic z tego, ledwo wysiedliśmy z pociągu, usłyszeliśmy znajomy głos

generała Bruce'a, wywrzaskującego komendy, kiedy ustawiał muły i tragarzy do czekającej nas długiej drogi w głąb dżungli i na wyżynę Tybetu.

Każdemu z nas przydzielono zwierzę do dźwigania rzeczy osobistych i ekwipunku i, z wyjątkiem generała, mamy przejść na piechotę co najmniej trzydzieści kilometrów dziennie. Wieczorami staramy się rozbić obóz, jeżeli możliwe, blisko rzeki albo jeziora, bo wtedy możemy popływać i na kilka cudownych chwil uwolnić się od much, komarów i pijawek, które, jak się wydaje, mają większe upodobanie do białych niż do miejscowych.

Generał wiezie własną wannę przytroczoną do dwóch mułów i każdego wieczoru koło siódmej kilku tragarzy napełnia ją wodą, którą grzeją na ognisku. Mam zdjęcie naszego szefa, jak siedzi w tej wannie, z cygarem w jednej ręce i kieliszkiem brandy w drugiej. Najwyraźniej nie ma ochoty zmieniać przyzwyczajeń całego życia dla kilku tygodni spędzonych w dżungli Indii.

Wszyscy wieczorem jemy kolację przy stole na kozłach - generał siedzi u szczytu, przycupnięty na swoim stołku myśliwskim. Najczęstszą potrawą jest duszone mięso z kluskami, ale kiedy zakładamy obóz pod koniec dnia, jesteśmy zbyt wygłodniali, żeby się interesować, jakie zwierzę wrzucono do garnka.

Generał zabrał tuzin skrzynek najznakomitszego cha-teauneuf-du-pape oraz pół tuzina skrzynek szampana Pol Roger, co dźwigają dwa najbardziej krzepkie muły. Generał tylko narzeka, że nie może trzymać wina w pokojowej temperaturze. Jednakże temperatura co

dzień trochę się obniża i już niedługo będzie mógł chłodzić szampana w wannie pełnej lodu.

Wszyscy trzymają się dobrze - zdarza się niewielka gorączka albo nudności, chociaż mnie jak do tej pory nic nie dolega oprócz ukąszeń komarów i dość przykrej wysypki.

Zbiegło już trzech tragarzy, dwa muły padły z utrudzenia - tylko nie mów Clare. Poza tym reszta, jak się wydaje, jest w dobrej formie. Zwerbowałem już naszego głównego Szerpę. Nazywa się Nyima i nie dość, że mówi poprawnie po angielsku, to jeszcze świetnie się wspina - na bosaka.

Somervell to równy gość, jak zwykle. Nie tylko znosi te wszystkie trudy co my, ale pełni obowiązki rezerwowego medyka i nigdy nie narzeka na dodatkową robotę. Odell jest w swoim żywiole, co dzień odkrywa nowe gatunki skał. Bez wątpienia, gdy wróci do Cambridge, na półkach pojawi się kilka nowych tomów, nie mówiąc o licznych cieszących się powodzeniem wykładach, jakie będzie wygłaszał.

Norton, biedaczysko, ma ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, więc musi mieć największego muła, a i tak stopami dotyka ziemi. Finch zawsze zamyka konwój - to jego i nasz wybór - gdzie ma oko na swoje cenne butle z tlenem, które wedle jego przekonania zdecydują o wyniku wyprawy. Ja nadal jestem sceptyczny.

W miarę jak wznosimy się coraz wyżej, obserwuję, jak koledzy reagują na warunki atmosferyczne, i zaczynam obmyślać skład zespołów wspinaczkowych. Finch przypuszcza, że zostanie

wyznaczony do ataku szczytowego na Everest, i prawdę mówiąc, nikt nie będzie zaskoczony, jeżeli tak się stanie. Od kiedy wyjechaliśmy z Bombaju, Finch z generałem prawie nie zamienili uprzejmego słowa. Jednak z każdym dniem „afery z Sonią”, jak mówią na to chłopaki, zaciera się w pamięci.

Jeden z członków naszego zespołu sprawił nam wielką niespodziankę. Zawsze wiedziałem, że Noel jest pierwszorzędnym alpinistą, ale nie miałem pojęcia, jaki z niego znakomity fotograf i filmowiec. Nie było wyprawy, która zostałaby lepiej udokumentowana od naszej, a ponadto Noel to jeden z nielicznych członków ekipy, który mówi miejscowym językiem.

Jedną z codziennych czynności filmowaną przez Noela jest tak niezwykła, że nikt by nie uwierzył, gdyby on jej nie uwiecznił. Morshead, którego chyba nie poznałaś, jest kartografem i jako członek zespołu Królewskiego Towarzystwa Geograficznego zajmuje się wykreślaniem szczegółowych map tego rejonu, przy czym bardzo dba o precyzyjne rejestrowanie odległości. Żeby mu w tym pomóc, generał zatrudnił za dwadzieścia rupii dziennie młodego Hindusa, który ma dokładnie metr osiemdziesiąt wzrostu. Opiszę Ci, co on robi, choć będziesz mogła obejrzeć to na filmie po naszym powrocie. Otóż chłopak kładzie się na plecach, a inny Szerpa robi znak na ziemi przy czubku jego głowy. Chłopak wstaje, za tym znakiem układa palce stóp (jest bosy) i powtarza całą operację od nowa, godzina za godziną. Tym sposobem Morshead może dokładnie zmierzyć odległość, jaką pokonujemy każdego dnia - około dwudziestu mil - co wedle moich

obliczeń oznacza, że młodzieniec kładzie się i wstaje blisko osiemnaście tysięcy razy dziennie. Bóg świadkiem, że chłopaczyna zasługuje na swoje dwadzieścia rupii.

Kochanie, muszę kończyć i gasić świecę. Dzielę mój mały namiot z Guyem. To wspaniałe mieć przy sobie podczas tej wyprawy starego przyjaciela, ale to nie to samo, co być z Tobą...

- Dokąd tatuś doszedł? - zapytała Clare, patrząc na mapę.

Ruth złożyła list i ponownie przyklękła koło Clare i Beridge na podłodze. Przez chwilę wpatrywała się w mapę, a potem wskazała wioskę Chumbi. Ponieważ list George'a szedł do domu sześć albo siedem tygodni, Ruth nigdy nie była pewna, gdzie w tym momencie przebywa jej mąż. Otworzyła jego ostatni list.

Dzisiaj znów przemierzaliśmy ponad trzydzieści kilometrów i straciliśmy następnego muła, więc teraz ich liczba stopniała do sześćdziesięciu jeden. Ciekaw jestem, jaką strategię wybierze generał, gdy zabraknie mułów i będzie musiał zdecydować, czy rozstać się z winem czy z wanną.

Codziennie o szóstej rano tragarze stawiają się na apel, prężąc się na baczność przed generałem. Tego ranka było ich trzydziestu siedmiu, czyli znowu jeden zbiegł. Generał mówi o nich „dezerterzy”.

W trakcie wczorajszego marszu natknęliśmy się na buddyjski klasztor wysoko wśród wzgórz. Zatrzymaliśmy się, żeby Noel mógł filmować, ale generał przestrzegł nas, żebyśmy nie zakłócili mnichom modlitewnej ciszy. Ten człowiek dziwnie w sobie łączy mądrość i bombastyczność.

Nyima mi powiedział, że gdy dobrniemy do Dzelepla, powinniśmy założyć obóz na wysokości około czterech tysięcy dwustu sześćdziesięciu metrów, poniżej wierzchołka góry, z której, gdybym na nią wszedł, zobaczyłbym wyraźnie Everest. Jutro jest niedziela, którą generał wyznaczył na dzień odpoczynku, żeby tragarzom i mułom dać możliwość odzyskania sił; my natomiast czytamy bądź piszemy listy do najbliższych. Ja w tej chwili z przyjemnością czytam Eliota Jałową ziemię, chociaż wyznam, że zamierzam wspiąć się jutro na tę górę, jeżeli jest choć cień szansy, żeby pierwszy raz ujrzeć Everest. Muszę wcześniej wstać, bo według obliczeń Nyimy góra może mieć sześć tysięcy czterysta metrów wysokości. Nie powiedziałem przywódcy Szerpów, że nigdy jeszcze nie wspiąłem się tak wysoko.

- Co się stanie, jak tatusiowi nie pozwolą przekroczyć granicy? - zapytała Clare, wodząc palcem po cienkiej czerwonej linii oddzielającej Indie od Tybetu.

- Po prostu będzie musiał zawrócić i przyjechać do domu - odparła matka.

- Oj, to dobrze - powiedziała Clare.

Rozdział 40

George wyśliznął się z obozu tuż przed wschodem słońca; niósł plecak, w jednej ręce miał kompas, w drugiej czekan. Czuł się jak uczeń, który się wymyka na papierosa za szopę z rowerami.

W porannej mgle widział tylko zarysy wznoszącej się wysoko nad nim góry bez nazwy. Oceniał, że dotarcie do jej podnóża zajmie mu co najmniej dwie godziny. Nagle usłyszał nieznajomy dźwięk. Przystanął i rozejrzał się dokoła, ale nie zauważył niczego niezwykłego.

Kiedy dotarł do niższych partii góry, zaczął się zastanawiać nad kilkoma różnymi trasami na szczyt. Każdy wspinacz przeżywa pierwszy dreszcz emocji, kiedy decyduje się na wybór drogi. Zły wybór może się skończyć katastrofą - albo przynajmniej koniecznością powrotu następnego dnia. George nie miał dnia na straty.

Właśnie się zdecydował pójść drogą, która wydała mu się najlepsza, kiedy znowu usłyszał dziwny dźwięk. Obejrzał się za siebie w dolinę, którą przemierzył, żeby dotrzeć do góry. W połowie była skąpana w porannym świetle słonecznym, a druga połowa, na którą kładł się cień góry, wyglądała, jakby jeszcze się nie przebudziła ze snu, ale George nie ujrzał tam niczego nadzwyczajnego.

Ponownie sprawdził wybrany szlak, a potem zaatakował skalisty, nierówny teren u stóp góry. W ciągu godziny posunął się sporo do przodu, mimo że musiał kilkakrotnie zmieniać kierunek, kiedy drogę zagradzała mu przeszkoda.

Widział już szczyt przed sobą i szacował, że dotrze tam za godzinę. Wtedy popełnił pierwszy błąd. Stał przed skałą, która nie dość, że blokowała drogę, to w dodatku wydawała się nie do pokonania bez pomocy partnera. George wiedział z gorzkiego

doświadczenia, że często wspinaczka górską kończy się niepowodzeniem i że nie ma innego wyjścia, jak się wycofać i szukać innej możliwości. Wiedział też, że jeżeli ma wrócić do obozu przed zachodem słońca, nadejdzie taki moment, kiedy nie będzie mógł dłużej się ścigać ze słońcem, gdy skryje się za nieznanym horyzontem.

I wtedy znów usłyszał ten dźwięk, teraz bliżej. Odwrócił się i zobaczył zbliżającego się Nyimę. George się uśmiechnął; pochlebiało mu, że szef Szerpów podążył jego śladem.

- Musimy wrócić - powiedział - i znaleźć inną drogę.

- To nie będzie konieczne - rzekł Nyima.

Po prostu skoczył na skałę i bez wysiłku zaczął się na nią wdrapywać; jego ręce i nogi pracowały zgodnie, kiedy pisał się po nierównej powierzchni. George obserwował, jak Szerpa wspina się drogą, którą widać szedł wcześniej, i ogarnęła go ciekawość, czy już widział Everest. Wkrótce Nyima stanął na szczycie skały i widać było tylko jego rękę, zachęcającą George'a do wspinaczki.

Podążając za Szerpą, George uchwycił niezauważony wcześniej występ, który otworzył mu drogę na wierzchołek. Ten prosty manewr zaoszczędził mu godzinę, może dwie, a tymczasem Nyima został jego przewodnikiem. Wkrótce George go dogonił, a gdy pięli się w górę, zrozumiał, że Nyima zna ten teren, bo narzucił takie tempo, że George z trudem nadążał.

Gdy weszli na szczyt, usiedli i skierowali wzrok na północ, ale wszystko spowijały gęste chmury. George chcąc niechcąc pogodził się

z myślą, że nie zostanie dzisiaj przedstawiony Czomolungmie. Otworzył plecak, wyjął baton Kendal Mint Cake, przełamał na pół i podał kawałek Nyimie. Przywódca Szerpów nie wziął go do ust, dopóki George nie ugryzł kęsa.

Kiedy tak siedzieli, wpatrując się w nieruchome chmury, George doszedł do wniosku, że Nyima jest idealnym partnerem do wspinaczki - doświadczony, zaradny, odważny i milczący. Spojrzał na zegarek i uświadomił sobie, że powinni szybko zbierać się do powrotu, jeżeli mają być w obozie przed zachodem słońca. Wstał, stuknął w zegarek i wskazał ręką w dół.

Nyima potrząsnął głową.

- Jeszcze tylko kilka minut - powiedział.

Skoro Szerpa wybrał właściwą drogę w górę, George postanowił usiąść i poczekać jeszcze kilka minut. Jednakże nadchodzi taki moment, kiedy każdy wspinacz musi zdecydować, czy opłaca się skórka za wyprawkę. Według niego ten moment minął.

George wstał i nie czekając na Nyimę, zaczął schodzić. Zszedł pewno jakieś cztery metry w dół, kiedy poczuł, że zrywa się wiatr. Obrócił się i zobaczył, że chmury wolno odpływają. Szybko wspiał się z powrotem i usiadł obok milczącego Szerpy na szczycie, gdzie ujrzał, że Czomolungma, niczym Salome, zrzuciła już cztery z siedmiu swoich zasłon.

Kiedy wiatr powiał silniej, Czomolungma pozbyła się jeszcze jednej zasłony, ukazując niewielkie pasmo gór na pierwszym planie, które George'owi przypominało francuskie Alpy, a potem zrzuciła

następną. Nie wyobrażał sobie, żeby coś mogło przewyższyć piękno, jakiego był świadkiem, ale wtem nagły poryw wiatru zerwał ostatni woal i okazało się, że się mylił.

George oniemiał. Wzniósł oczy na najwyższą górę świata. Olśniewający szczyt Everestu królował na linii nieba, przy nim pozostałe wierzchołki potężnych Himalajów wyglądały jak plac zabaw w przedszkolu.

Po raz pierwszy George mógł się przyjrzeć bliżej swojej nemezys. Pod zmarszczonym czołem sterczał spiczasty tybetański nos wyrzeźbiony z poszarpanych grani i niedostępnych urwisk, a poniżej szerokie nozdrza wyrzucały wicher tak porywisty, że nawet na równym gruncie nie mógłbyś zrobić kroku. Ale gorzej, dużo gorzej, że ta bogini miała dwa oblicza.

Na zachodnim obliczu kość policzkowa uformowana była z wieżycy skalnej, która strzelała wysoko w niebo, o wiele wyżej, niż George kiedykolwiek śmiał sięgnąć wyobraźnią, natomiast oblicze wschodnie szczyliło się długim na półtora kilometra polem lodu, który nigdy nie topniał, nawet podczas najdłuższego dnia w roku. Wspaniała głowa spoczywała na smukłej szyi wtulonej w ramiona z granitu. Z olbrzymiego torsu opadały dwie gibkie ręce z dwiema wielkimi płaskimi dłońmi, które nie budziły nadziei, dopóki nie ujrzałeś dziesięciu cienkich lodowych palców; na jednym z paznokci wspinacze mieli nadzieję założyć obóz bazowy.

George się obrócił i zobaczył, że Nyima wpatruje się w Czomolungmę z takim samym lękiem, respektem i podziwem jak on.

George wątpił, czy samotnie któryś z nich zdołałby się wspiąć choćby na ramiona giganta, nie mówiąc już o granitowo-lodowym obliczu - ale może razem...

Rozdział 41

George się ucieszył, kiedy generał - mimo nocnej scysji w Bombaju - zaprosił go do misji dyplomatycznej, która miała przedstawić stosowne upoważnienia na granicy.

Trzynastu członków ekspedycji, trzydziestu pięciu tragarzy i czterdzieści osiem mułów ułożyło się do snu na noc na splechietku ziemi nad wartką rzeką na granicy indyjsko-tybetańskiej. George i reszta zespołu spędzili przyjemny wieczór, popijając przy kolacji doskonałe wino i paląc cygara z zapasów generała.

Nazajutrz za piętnaście szósta rano generał w paradnym mundurze stał przed namiotem George'a z czarną skórzaną dyplomatką w ręku. Szerpa Nyima stał o krok za nim, odziany w tradycyjne wełniane bakhu, dzierżąc wielkie czarne pudło z napisem „LOCK'S of London” na pokrywie. Po chwili George wyczołgał się z namiotu w ubraniu, które miał na sobie na przyjęciu u gubernatora generalnego, i w starym szkolnym krawacie. Razem z Bruce'em opuścili obóz i powędrowali w stronę posterunku granicznego.

- Nie przewiduję żadnych kłopotów, Mallory - rzekł generał - ale gdyby wynikły jakieś nieporozumienia, zostaw to mnie. Miałem w

przeszłości do czynienia z miejscowymi i wiem, czego się po nich spodziewać.

George wiedział, że generał ma wiele mocnych stron, ale lękał się, że będzie świadkiem jednej z jego słabości.

George się zdziwił na widok posterunku granicznego. Mała bambusowa chata była dobrze ukryta w gęstych zaroślach i nie wyglądało na to, żeby obcy byli tu mile widziani. Zbliżywszy się na kilka kroków, George spostrzegł żołnierza, potem następnego, z wycelowanymi w nich przedpotopowymi karabinami. Ten przejaw wrogości nie spowolnił tempa generała - raczej je przyspieszył. Po zastanowieniu George uznał, że wolałby umrzeć na szczycie góry, a nie u jej podnóża. Kilka kroków dalej George mógł zobaczyć z bliska granicę Tybetu. W jedynej luce w bambusowej barierze zagrządzającej wąską dróżkę, w ziemiance ufortyfikowanej workami z piaskiem, siedziało kolejnych dwóch żołnierzy, też z karabinami wymierzonymi w nadciągające siły brytyjskie. Wciąż niezrażony generał wmaszerował pewnie po drewnianych schodach do chaty przez otwarte drzwi, jakby posterunek graniczny był pod jego komendą. George ostrożnie podążał jego śladem, a Nyima krok z tyłu.

W środku generał się zatrzymał przed drewnianym kontuarem, za którym siedział młody kapral. Z niedowierzaniem wlepił wzrok w trzech obcokrajowców i choć otworzył usta, nic nie powiedział.

- Chcę rozmawiać z waszym dowódcą - warknął generał.

Szerpa Nyima przetłumaczył cicho jego słowa.

Kapral szybko znikł w sąsiedniej izdebce i zamknął za sobą drzwi. Minęło trochę czasu, nim drzwi się otworzyły i pojawił się niski, drobny mężczyzna o zapadniętych policzkach i twarzy człowieka zaprawionego w boju. Spiorunował wzrokiem generała, jakby ten wtargnął na jego prywatne terytorium. Generał się uśmiechnął, kiedy zobaczył, że dowódca ma tylko stopień kapitana. Zasalutował, ale Tybetańczyk nie zareagował. Spojrzał wprost na Nyimę wskazując na generała, powiedział w ojczystym języku:

- Ja jestem Dzungpen okręgu Phari. A co to za jeden? Gdy Szerpa Nyima przetłumaczył to zdanie, dodając tylko na końcu słowo „dzentelmen”, generał odparł:

- Ja jestem generał Bruce. - Otworzył teczkę i wyjął z niej papiery, które zdecydowanym ruchem położył na kontuarze. - To są oficjalne pozwolenia, które uprawniają moją ekipę do wejścia na teren Phari Dzong.

Gdy Nyima przetłumaczył słowa generała, Dzungpen rzucił pobieżnie okiem na dokumenty i wzruszył ramionami.

- Jak widać - rzekł generał - zostały podpisane przez lorda Curzona, brytyjskiego ministra spraw zagranicznych.

Generał czekał, aż Nyima skończy tłumaczyć, gdy Dzungpen spytał:

- Dzungpen chce wiedzieć, czy pan jest lordem Curzonem.

- Skądże - rzucił generał. - Powiedz temu głupcowi, że jeśli nam nie pozwoli natychmiast przekroczyć granicy, to nie będę miał wyboru, tylko...

Było jasne, że tybetańskiemu dowódcy nie trzeba było tłumaczyć słów generała, bo błyskawicznie sięgnął do kabury pistoletu.

- Dzongpen mówi, że pozwoli lordowi Curzonowi przekroczyć granicę, ale nikomu innemu - przetłumaczył Nyima.

Bruce rąbnął pięścią w kontuar i wrzasnął:

- Czy ten kretyń nie zdaje sobie sprawy z tego, kim ja jestem?

George opuścił głowę i czekając na reakcję Tybetańczyka, myślał o długiej podróży do kraju. Mógł tylko liczyć na to, że słowa generała nie zostaną dosłownie przetłumaczone, ale Dzongpen wyjął pistolet z kabury i wycelował w czoło generała, zanim Szerpa Nyima skończył tłumaczyć.

- Powiedz generałowi, żeby wracał do domu - powiedział spokojnie dowódca posterunku granicznego. - Wydam moim ludziom rozkaz, żeby strzelali bez ostrzeżenia, jeżeli jeszcze kiedy tu się pokaże. Czy to jasne?

Generał ani drgnął, nawet kiedy Nyima przetłumaczył słowa dowódcy. Chociaż George porzucił nadzieję, że uzyskają pozwolenie na przekroczenie granicy, jednak wciąż liczył na to, że ujdą z życiem.

- Czy mógłbym coś powiedzieć, panie generale? - szepnął.

- Tak, Mallory. Mów - odparł Bruce.

George pomyślał, że może lepiej byłoby trzymać język za zębami, bo dowódca celował teraz w jego czoło. Spojrzał mu prosto w oczy.

- Przynoszę dary przyjaźni z mojego kraju - powiedział. Sherpa Nyima przetłumaczył i Dzungpen wolno opuścił pistolet i schował do kabury, a potem wsparł obie ręce na biodrach.

- Obejrzę te dary.

George podniósł wieko pudła i wyjął czarny męski kapelusz, który wręczył Dzungpenowi. Dowódca wsadził go sobie na głowę, przejrzał się w lustrze wiszącym na ścianie i pierwszy raz się uśmiechnął.

- Powiedz, proszę, Dzungpenowi, że lord Curzon chodzi w takim kapeluszu codziennie rano do pracy - rzekł George - tak jak wszyscy dżentelmeni w Anglii.

Gdy dowódca usłyszał te słowa, przechylił się przez kontuar i zajrzał do pudła. Generał Bruce wyjął drugi kapelusz i podał go dowódcy, a ten wsadził go na głowę stojącemu przy nim młodemu kapralowi. Teraz Dzungpen wybuchnął śmiechem, porwał pudło, opuścił chatę i rozdał dziesięć pozostałych kapeluszy żołnierzom.

Wróciwszy do chaty, dowódca uważniej przejrzał dokumenty generała. Już chciał postawić pieczęć na ostatniej stronie, ale spojrzał w górę, uśmiechnął się do generała i pokazał na jego kopertowy złoty zegarek. Generał chciał wytłumaczyć, że odziedziczył zegarek po swoim ojcu, lordzie Aberdare, ale poszedł po rozum do głowy i bez słowa wręczył go dowódcy. George się ucieszył, że w porannym pośpiechu zapomniał założyć zegarek, który Ruth ofiarowała mu na urodziny.

Dzongpen przyglądał się teraz grubemu skórzanemu pasowi generała - potem jego brązowym skórzanym butom - w końcu jego wełnianym podkolanówkom. Gdy rozebrał generała, zainteresował się Georgeem i przywłaszczył sobie jego buty, skarpetki i krawat. George mógł się tylko zastanawiać, kiedy i gdzie Dzongpen włoży jego stary krawat w barwach szkoły Winchester.

Na koniec Dzongpen się uśmiechnął, przybił pieczęć na ostatniej stronie zezwolenia i oddał papiery generałowi. Bruce chciał je umieścić w swojej aktówce, ale Dzongpen pokręcił głową. Generał zostawił aktówkę na kontuarze i wepchnął dokumenty do kieszeni spodni.

Bosy Bruce, podtrzymując spodnie jedną ręką, zsalutował drugą. Tym razem Dzongpen odpowiedział tym samym. Sherpa Nyima jako jedyna osoba opuścił chatę kompletnie ubrany.

Godzinę później ekspedycja pod wodzą generała Bruce'a zbliżyła się do granicy i podniesiono szlaban, pozwalając wszystkim wejść na teren Phari Dzong.

Sprawdziwszy godzinę na złotym kopertowym zegarku, Dzongpen uśmiechnął się do generała, uniósł kapelusz i rzekł:

- Witamy w Tybecie, lordzie Curzonie. Nyima nie przetłumaczył jego słów.

Rozdział 42

4 maja 1922

Najdroższa Ruth,

Przekroczyliśmy granicę Tybetu i teraz zbliżamy się do Himalajów - łańcucha tysiąca gór, które otaczają i chronią swoją władczynię jak zbrojna straż, nie uznają władzy lokalnego Dzungpena i nigdy nie słyszały o lordzie Curzonie. Pomimo oziębłego przyjęcia i lodowatej postawy nie dajemy za wygraną.

Kiedyśmy dotarli na wysokość około pięciu tysięcy dwustu metrów nad poziomem morza i założyliśmy obóz-bazę, generał pokazał swoją klasę. W ciągu kilku godzin tragarze - ich liczba zmalała do trzydziestu dwóch - wzniesli namiot dla zespołu, mniej więcej wielkości naszego salonu, dzięki czemu mogliśmy zasiąść do kolacji. Do chwili gdy podano kawę i brandy, stało już piętnaście innych namiotów, co znaczyło, że wszyscy mogliśmy się ułożyć do snu. Kiedy mówię „wszyscy”, powinienem podkreślić, że tragarze, z Nyimą włącznie, wciąż sypiają na świeżym powietrzu. Zwijają się w kłębek na gołej ziemi i kamienie służą im za poduszki. Czasem się zastanawiam, czy - jeżeli mam mieć jakąś szansę zdobycia tej piekielnej góry - nie powinienem do nich dołączyć.

Szerpa Nyima jest nieoceniony, kiedy chodzi o organizowanie miejscowych, i generał się zgodził podnieść mu płacę do trzydziestu rupii tygodniowo (około sześciu pensów). Jak dotrzemy na zbocza Everestu, będzie fascynujące ujrzeć, jak doskonale potrafi się wspinać. Finch jest przekonany, że dorówna każdemu z nas. Napiszę Ci o tym.

Dziś wieczór generał formalnie przekaze mi dowodzenie do chwili, kiedy zaczniemy powrót do Anglii...

- Za Jego Królewską Mość! - generał wzniosł kieliszek.

- Za króla! - odpowiedział chórem zespół.

- Panowie, można palić - rzekł generał, siadając i obcinając koniuszek cygara.

George nadal stał, pozostali członkowie zespołu również. Ponownie wzniosł kieliszek.

- Panowie - powiedział. - Za Czomolungmę, Boginię Matkę Ziemi!

Generał porwał się na nogi i wraz ze wszystkimi wzniosł toast, Szerpowie zaś padli na ziemię twarzami w stronę góry.

Po chwili George stuknął w kieliszek i poprosił o ciszę. Dowodzenie przeszło w jego ręce.

- Panowie - rzekł - chciałbym zacząć od podziękowania generałowi Bruce'owi za to, żeśmy wszyscy przybyli tu cali i zdrowi. Żeby pana zacytować - zwrócił się do generała - zwarci i gotowi.

- Racja, racja - przytaknął chórem zespół i nawet Finch przyłączył się do wszystkich.

George rozwinął pergaminową mapę, zrobił wolne miejsce na stole i na nim ją rozpostarł.

- Panowie - zaczął - obecnie jesteśmy tutaj. - Wskazał trzonkiem łyżeczki wysokość pięciu tysięcy trzystu metrów. - Naszym najbliższym zadaniem jest podejść tu - przesunął łyżeczkę w górę i zatrzymał ją na wysokości sześciu tysięcy czterystu metrów - gdzie

mam nadzieję założyć obóz trzeci. Jeżeli mamy zdobyć Czomolungmę, to będziemy musieli postawić trzy obozy na dużej wysokości. Obóz czwarty powinno się założyć na Przełęczy Północnej na około siedmiu tysiącach metrów, obóz piąty na siedmiu tysiącach sześciuset, a szósty na ponad ośmiu tysiącach dwustu, tylko sześćset metrów od szczytu. Koniecznie musimy znaleźć drogę żebrem albo Północno-Wschodnią Granią, która doprowadzi nas na szczyt. Ale na razie musimy pamiętać, że nie mamy pojęcia, co jest przed nami. Nie ma żadnych książek, do których można by zajrzeć, żadnych map, nad którymi można by ślęczeć, ani żadnych starych pryków przesiadujących w barze Klubu Alpejskiego, którzy mogliby nas uraczyć anegdotami o swoich dawnych triumfach, prawdziwych albo wyimaginowanych.

Kilku członków zespołu uśmiechnęło się i pokiwało głowami.

- Wobec tego to my musimy wytyczyć drogę i pewnego dnia od nas, kiedy będziemy starymi prykami, będzie się uczyło następne pokolenie wspinaczy. - Obrzucił spojrzeniem zespół. - Czy są jakieś pytania?

- Tak - odezwał się Somervell. - Jak myślisz, ile potrwa, zanim założymy obóz trzeci? W pełni zaopatrzony i przysposobiony do zamieszkania?

- Jak zwykle praktyczny - zauważył z uśmiechem George. - Prawdę mówiąc, nie jestem pewien. Chciałbym, żebyśmy przemierzali sześćset metrów dziennie, więc mam nadzieję jutro wieczór założyć obóz drugi na pięciu tysiącach ośmiuset metrach i wrócić do obozu

bazowego przed zachodem słońca. Następnego dnia spróbujemy się wspiąć na wysokość sześciu tysięcy czterystu metrów i postawić tam obóz trzeci, a potem wrócić na noc do drugiego. Aklimatyzacja na wysokości, na której nikt z nas nigdy nie był, zajmie nam co najmniej dwa tygodnie. Nigdy nie zapominajcie: wspinamy się wysoko, śpimy nisko.

- Czy podzielisz nas na zespoły szturmowe, zanim wyruszymy?

- zagadnął Odell.

- Nie, jeszcze nie - odparł George. - Dopóki się nie przekonam, którzy z was najlepiej się aklimatyzują, będziemy tworzyć całość. Przypuszczam jednak, że to nie ja zadecyduję o ostatecznym składzie zespołów, ale sama góra.

- Jak najbardziej się zgadzam - odezwał się Finch. - A czyś się jeszcze zastanawiał nad użyciem tlenu powyżej siedmiu tysięcy sześciuset metrów?

- Też myślę, że nie ja, ale góra podyktuje tę decyzję. - George odczekał chwilę i zapytał: - Jeszcze jakieś pytania?

- Tak, kapitanie - rzekł Norton. - O której godzinie mamy się stawić jutro do apelu?

- O szóstej rano - odparł George. - To znaczy w pełnym ekwipunku i gotowi do drogi. Pamiętajcie, jutro musimy mieć odwagę, żeby myśleć jak Kolumb i wyjść poza mapę.

George nie był pewien, czy to poczucie odpowiedzialności jako przywódcy, czy podniecenie faktem, że od tej chwili z każdym

krokiem znajdzie się wyżej niż kiedykolwiek do tej pory, sprawiło, że następnego ranka wyszedł z namiotu wcześniej niż reszta zespołu.

Kilka minut przed szóstą, w bezchmurny, prawie bezwietrzny poranek, przy słońcu wolno się wznoszącym ponad najwyższym szczytem, George z zadowoleniem ujrzał wszystkich ośmiu wspinaczy czekających cierpliwie przed swoimi namiotami. Ubrani byli rozmaicie: w wełniane kamizelki, zapewne wydziergane przez ich żony albo dziewczyny, jaegerowskie spodnie, wiatrówki, jedwabne koszule, bawełniane bluzy, buty wspinaczkowe, szaliki Burberryego i kanadyjskie mokasyny - niektórzy wyglądali, jakby się wybierali na narty do Davos.

Z tyłu za wspinaczami stali miejscowi Szerpowie, których zwerbował Nyima. Każdy miał przytroczony do pleców ekwipunek wagi do czterdziestu kilogramów: namioty, koce, łopaty, naczynia kuchenne, prymusy i żywność, jak również kilkanaście butli z tlenem.

Punktualnie o szóstej George wskazał ręką w górę i ludzie wyruszyli w pierwszy etap podróży, której wyniku nikt z nich nie mógł przewidzieć. George obejrzał się na swój zespół i uśmiechnął na myśl o generale, który siedzi w gorącej kąpieli w obozie bazowym i czyta niekończące się telegramy od Hinksa, który domaga się wiadomości o tym, jakie poczyniono postępy, i pyta, czy Finch sprawuje się należycie.

Przez pierwszą godzinę George szedł równym tempem, przemierzając jałowy teren ciągnący się wzdłuż skraju doliny nad obozem bazowym, co chwilę napotykał święte nachury, kozice z

doliny Rongbuk, których, choćby panował głód, ludzie tutejszych plemion nie zabijają. George dobrze wiedział, że prawdziwe trudności zaczną się dopiero wtedy, kiedy obejdą północną grań, na wysokości około siedmiu tysięcy metrów, gdzie nie tylko powietrze będzie rzadsze, a temperatura tak niska, jak niewielu z nich doświadczyło, ale - co o wiele gorsze - nie będą wiedzieć, jaką drogę wybrać, żeby posuwać się naprzód.

W trakcie wędrówki George podziwiał niespotykane kolory - bladoniebieskie światło, które przeszło w głęboką żółć i zawzięcie paliło ich bladą angielską skórę. W oddali widział ścianę Kangszung - olbrzymie lodospady pocięte szczelinami i mroczne, nieprzeniknione żleby wiecznie grożące nieproszoną lawiną.

George mógł się tylko zastanawiać, ile dni, gdy już założą obóz drugi i trzeci, będą musieli szukać bezpiecznej drogi na Przełęcz Północną, po to tylko, żeby na końcu każdego złudnego szlaku ujrzeć znak: „Przejścia nie ma. Ślepy zaułek”. Zaczynał już wątpić, czy w ogóle szczyt okaże się osiągalny dla człowieka. Ci członkowie Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, którzy przewidywali, że Czomolungma to będzie taki drugi, tyle że trochę wyższy Mont Blanc, już wyszli na głupców.

Pod koniec drugiej godziny George zarządził postój, żeby wszyscy mogli skorzystać z zasłużonego odpoczynku. Kiedy obchodził zespół, zauważył, że Morshead i Hingston ciężko oddychają. Nyima mu zakomunikował, że trzech Szerpów rzuciło swoje ładunki w śnieg i zeszło z góry z powrotem do swoich wiosek.

George pomyślał, ilu też Szerpów znajdzie się na nabrzeżu w Bombaju, czekając na dwadzieścia rupii premii od generała. Bruce go przestrzegał, że da się ich policzyć na palcach jednej ręki, chociaż i on nie mógł przewidzieć, że jeden z jego kolegów nawet tego nie będzie w stanie zrobić.

Pół godziny później grupa wyruszyła w dalszą wędrówkę i zatrzymała się na następny odpoczynek dopiero wtedy, gdy słońce stało w zenicie. Podczas przerwy na lunch pogryzali baton miętowy, herbatniki imbirowe i suszone morele oraz pili rozpuszczone mleko w proszku, a potem wyruszyli dalej.

Po kolejnej godzinie wspinaczki musieli się przeprawić przez potok okolony kępami zielonej trawy. Na brzegu rosła wierzba, na której kłębiły się roje olbrzymich motyli: wzbiły się w powietrze, kiedy się zbliżyli. Prawdziwa oaza, jej wspomnienie, kiedy się będą pięć wyżej i wyżej, niedługo zamieni się w miraż.

George uznał, że pora się rozejrzeć za odpowiednim miejscem na rozbicie obozu drugiego. Ostatecznie wybrał płaskie, skaliste poletko na środku lodowca Rongbuk Wschodni, pośród gigantycznych turni lodowych, które miało tę zaletę, że było osłonięte przed wiatrem. Sprawdził wysokościomierz - prawie pięć tysięcy osiemset metrów. Pod czujnym okiem Nyimy Szerpowie złożyli ładunki na śniegu i wyrównali rumowisko skalne, zanim mogli postawić pierwszy namiot. Po wyładowaniu ekwipunku i prowiantu przeznaczonego dla obozu trzeciego, który miał wystarczyć na co najmniej miesiąc, rozbili namiot zespołowy.

Przy kolacji, którą spożyli po powrocie do obozu bazowego - znowu duszone koźle mięso z kluskami, i obeszło się bez karty dań, bo wiadomo było, że potem będą sucharki i ser - George powiedział wspinaczom, że jego zdaniem pierwszy dzień nie mógł się udać lepiej. Dodał, że wciąż nie wie, ile czasu im zajmie wyszukanie drogi za lodowcem Rongbuk, i że muszą być przygotowani na niejedno rozczarowanie.

Zanim George tej nocy zdmuchnął świecę, przeczytał kilka stron Iliady, a przedtem skończył długi list do Ruth. Ona przeczyta go dwa miesiące później, jakiś czas po tym, jak rozegrała się tragedia.

Często „Times” relacjonował z wyprzedzeniem wiadomości, które przynosiły listy George’a pojawiające się w The Holt kilka tygodni później. Ruth wiedziała, że w końcu dostanie list, w którym George przedstawi jej ze swojej strony przebieg wydarzeń tego feralnego czerwcowego ranka, jednak do tej pory mogła tylko śledzić ten dramat w odcinkach, jakby czytała powieść Dickensa.

8 maja 1922

Najdroższa Ruth,

Siedzę w moim małym namiocie i piszę do Ciebie przy świetle świecy. Pierwszy dzień wspinaczki nam się udał, znaleźliśmy idealne miejsce, gdzie wzniesiemy nasz tymczasowy dom. Jest jednak tak zimno, że kiedy kładę się spać, nakładam te rękawiczki, które mi

zrobiłaś na drutach na Boże Narodzenie, oraz wełniane kalesony Twego ojca.

Ta góra już mi uświadomiła, że nie jesteśmy odpowiednio przygotowani do tak trudnego przedsięwzięcia. Prawdę mówiąc, wielu członków ekipy jest za starych i tylko nieliczni są na ryle sprawni, żeby iść dalej. Muszą żałować, jak ja, że nie mieli szans podjąć tej próby w 1915 roku, kiedyśmy wszyscy byli o tyle młodszy. Przekleć Niemcy.

Kochanie, tak bardzo tęsknię za Tobą, że...Ruth przestała czytać i uklękła przy Clare i Beridge, żeby studiować mapę, która na stałe zagościła na podłodze salonu. Kiedy narysowała figurkę mężczyzny w goglach wspartego na czekaniu, stojącego na wysokości pięciu tysięcy dziewięciuset metrów, Clare zaczęła klaskać.

Rozdział 43

16 czerwca 1922

Najdroższa Ruth,

Ponad miesiąc strawiliśmy na poszukiwaniach szlaku, który by nas zaprowadził poza Wschodni Lodowiec Rongbuk, i gdy Szerpa Nyima przypomniał mi, że wkrótce nadejdzie pora monsunu i będziemy musieli wrócić do obozu-bazy i wyruszyć w daleką podróż powrotną do Anglii, zaczęło mnie ogarniać przygnębienie.

Wczoraj jednak nastąpił przełom, gdy Morshead wypatrzył drogę poza lodowiec Rongbuk, która okrążyła Czangtse i wiedzie na drugą stronę Przełęczy Północnej. Jutro więc Norton, Somervell i Morshead wrócą i jeżeli znajdą wystarczająco dużą płasienkę i wiatr im na to pozwoli - a Morshead przestrzegł mnie, że szaleją tam wichury - to spróbują postawić namiot i sprawdzić, czy można pod jego osłoną spędzić noc na Przełęczy Północnej, jakieś tysiąc dwieście metrów poniżej szczytu.

Jeżeli okaże się, że tak, to następnego dnia Norton i Somervell dokonają pierwszej próby wejścia na szczyt. Wiem, że tysiąc dwieście metrów to wcale nie wydaje się dużo - nawet już słyszę, jak Hinks mówi komitetowi, że to niewiele wyżej niż Ben Nevis. Ale tamtej góry nie tworzą niedostępne turnie lodu czarnego, temperatura nie spada tam do minus czterdziestu stopni i nie dmie wiatr, pod którego naporem na cztery kroki tylko o jeden posuwasz się do przodu. W dodatku oddychamy powietrzem, w którym jest tylko jedna trzecia tlenu w porównaniu z tym w Surrey. I ponieważ powrót na dół będzie bez wątpienia jeszcze bardziej niebezpieczny, nie możemy niepotrzebnie ryzykować tylko po to, żeby Hinks mógł poinformować członków komitetu, że jeden z nas wspiał się na wysokość, na jaką jeszcze nikt wcześniej nie dotarł.

Kilka osób z naszej ekipy cierpi na chorobę wysokościową, ślepotę śnieżną i - co najgorsze - na odmrożenia. Morshead stracił dwa palce u ręki i palec u nogi. Może warto by było je stracić, gdyby osiągnął szczyt, ale po to, żeby dojść na Przełęcz Północną? Jeśli

Nortonowi i Somervellowi nie uda się pojutrze wejść na szczyt, to Finch, Odell i ja podejmiemy próbę następnego dnia. Jeśli im się powiedzie, to będziemy wracać do domu na długo przedtem, zanim otworzysz ten list. A może nawet zjawię się przed nim - miejmy nadzieję.

Czuję, że być może w końcu to ja z Finchem przenocujemy w tym maleńkim namiocie na poziomie około ośmiu tysięcy dwustu trzydziestu metrów nad poziomem morza, chociaż jest jeden członek naszego zespołu, który dorównuje nam pod każdym względem.

Ukochana, piszę ten list, patrząc na twoją fotografię, i...

Znowu Ruth przyłączyła się do córek klęczących na dywanie i zobaczyła, że Clare postawiła już palec na Przełęczy Północnej.

- Powinni być z powrotem ponad godzinę temu.

Odell się nie odezwał, choć wiedział, że George ma rację. Stali przed namiotem zespołu i spoglądali w górę, nakłaniając w duchu Nortona, Somervella i Morsheada do powrotu.

Gdyby Norton i Somervell weszli na szczyt, to George mógłby tylko żałować - chociaż nigdy nikomu oprócz Ruth by się do tego nie przyznał - że nie wytypował siebie do zespołu szturmowego.

George znów spojrzął na zegarek i uznał, że nie mogą dłużej zwlekać. Odwrócił się do swoich ludzi, którzy z niepokojem wpatrywali się w górę, i powiedział:

- Dobra, czas zorganizować ekipę poszukiwawczą. Kto pójdzie ze mną?

Podniosło się kilka rąk.

Kilka minut później George, Finch, Odell i Szerpa Nyima byli w pełnym rynsztunku i gotowi do drogi. George bez słowa zaczął się pisać w górę. Przeszywający zimny wiatr hulał na przełęczy i smagał twarze, oprószając je cienką warstwą śniegu, który natychmiast zamarzał na wysuszonych policzkach.

George nigdy nie miał do czynienia z bardziej zawziętym wrogiem i zdawał sobie sprawę, że nikt nie przeżyje nocy w takich warunkach. Muszą ich znaleźć.

- Szaleństwo, to czyste szaleństwo! - krzyknął w smaganą wichurą przestrzeń, ale Boreasz nie zważał na niego i dmuchał dalej.

Po dwóch godzinach wspinaczki w najgorszych warunkach, jakich kiedykolwiek doświadczył, George z trudem stawiał stopy. Już miał nakazać powrót do obozu, gdy usłyszał krzyk Fincha:

- Widzę trzy zabłąkane owieczki, bee, bee, bee!

Przed nimi, niemal niewidoczne na tle skał, zarysowały się trzy sylwetki zbłąkanych wspinaczy, którzy wlekli się w dół zboczem. Ekipa ratunkowa najszybciej jak się dało ruszyła im na spotkanie. Choć wszystkich rozpieęła ciekawość, czy Norton i Somervell dotarli na szczyt, wyglądali oni na tak wyczerpanych, że nikt nie próbował pytać. Norton osłaniał ręką prawe ucho, więc George schwycił biedaka za łokieć i powoli sprowadzał w dół. Spojrzał przez ramię i zobaczył kilka kroków z tyłu Somervella. Z jego twarzy nie sposób

było wyczytać, czy misja się powiodła. Na koniec George zerknął na Morsheada, ale jego twarz była bez wyrazu.

Minęła godzina, nim ujrzeli obóz. Zmierzchało, gdy George wprowadził trójkę wspinaczy do namiotu, gdzie czekały na nich kubki z letnią herbatą. Wchodząc do środka, Norton osunął się na kolana. Prędko podszedł do niego Guy Bullock i zaczął oglądać jego odmrożone ucho, sine i pokryte pęcherzami.

Podczas gdy Morshead i Somervell ukłękli przy prymusie, próbując odtajać przy jego płomieniu, pozostali członkowie zespołu stali dokoła w milczeniu, czekając, aż któryś z nich otworzy usta. Pierwszy odezwał się Somervell, ale dopiero jak się napił herbaty z dodatkiem brandy.

- Jak najlepiej zaczęliśmy dziś rano, udało się nam rozstawić namiot i założyć obóz piąty - zaczął - ale trzysta metrów wyżej dopadła nas śnieżycy - dodał, zatrzymując się, żeby złapać oddech. - Gardło miałem tak zaczopowane, że prawie nie mogłem oddychać. - Znowu przerwał. - Norton walił mnie w plecy, dopóki nie zwymiotowałem, co chwilowo pomogło, ale tak opadłem z sił, że nie mogłem zrobić kroku. Norton poczekał, aż przyjdę do siebie, i potem ruszyliśmy przez Ścianę Północną.

Norton podjął opowieść, a tymczasem Somervell napił się herbaty.

- To było beznadziejne. Posunęliśmy się trochę do przodu, ale zamieć nie ustawała, więc nie było wyjścia, musieliśmy zawrócić.

- Na jaką wyszliście wysokość? - zapytał George. Norton podał wysokościomierz kierownikowi akcji górskiej.

- Osiem tysięcy sto osiemdziesiąt cztery metry* - George aż krzyknął. - To wysokość, jakiej żaden człowiek dotąd nie osiągnął.

* Te dane u różnych autorów się różnią. Według niektórych polskich źródeł: 8225 m.

Reszta zespołu zaczęła spontanicznie bić brawo.

- Gdybyście zabrali tlen - rzekł Finch - moglibyście wejść na szczyt.

Nikt się nie odezwał.

- To będzie bolało, stary - powiedział Bullock. Wziął do ręki nożyce i rozgrzał je nad prymusem. Pochylił się i starannie obcinał fragmenty prawego ucha Nortona.

Nazajutrz George wstał o szóstej rano. Wysunął głowę z namiotu i zobaczył czyste niebo bez śladu wiatru. Finch i Odell siedzieli po turecku na ziemi i pochłaniali solidne śniadanie.

- Dzień dobry, panowie - powiedział George.

Tak mu się spieszyło do wspinaczki, że śniadanie zjadł na stojąco i był gotów po dziesięciu minutach. Bullock, Morshead i Somervell wyczołgali się z namiotów i życzyli im powodzenia. Norton się nie poruszył.

George wybrał szlak wskazany przez Nortona i powoli poprowadził Fincha i Odella ku Północnej Grani. Mimo bezchmurnej, bezwietrznej pogody każdy następny ruch wydawał się trudniejszy,

ponieważ jeden krok do przodu wymagał trzech oddechów. Finch się uparł i niósł na plecach dwie butle z tlenem. Czy dowiedzie, że ma rację, i jedynie on da radę pnąć się dalej?

Godzina za godziną wspinali się w milczeniu. Dopiero późnym popołudniem poczuli pierwsze tchnienie lodowatego wiatru, który się pojawił jak nieproszony gość. W ciągu kilku minut zamienił się w wichurę. Gdyby wysokościomierz nie pokazał, że dzieli ich niespełna sto metrów od obozu piątego na wysokości około siedmiu tysięcy sześciuset metrów, George by zawrócił.

Pokonanie tych stu metrów zajęło im godzinę, gdyż szli w porywach nieustępliwego wiatru niosącego śnieg, bezlitośnie wdzierającego się w ubrania, jakby chciał dopaść ich nagich ciał i zdmuchnąć ich tam, skąd przyszli. Kiedy wreszcie dobrnęli do namiotu, George mógł jedynie wznieść modły, żeby do rana się rozpogodziło, bo inaczej musieliby wracać, gdyż w takich warunkach nie przeżyliby dwu nocy z rzędu; George się nawet bał, że gdy zasną, wszyscy trzej zamarzną na śmierć.

Trzech mężczyzn usiłowało ułożyć się do snu. George spostrzegł, że ich skondensowane oddechy zamarzają i przeistaczają się w sople lodu zwisające u góry namiotu jak żyrandole na sali balowej. Finch sprawdzał w kółko wskazania mierników swych cennych butli z tlenem, a George zaczął pisać do Ruth.

19 czerwca 1922

Najdroższa Ruth,

Wczoraj trzech dzielnych mężczyzn wyruszyło do ataku na szczyt Everestu i jeden z nich, Norton, dotarł na wysokość ośmiu tysięcy stu osiemdziesięciu czterech metrów, zanim obezwładniło ich całkowite wyczerpanie. Ostatecznie musieli zawrócić, a Norton stracił część prawego ucha, która uległa odmrożeniu. Tej nocy śpi ze świadomością, że wspinał się wyżej niż ktokolwiek na świecie.

Jutro rusza ich śladem nasza następna trójka i może jednemu z nas uda się nawet...

- Po tym, cośmy dziś przeszli, chyba pomyślisz o tym, żeby jutro skorzystać z tlenu?

- Nie - powiedział George, odkładając pióro. - Jestem zdecydowany podjąć tę próbę bez żadnych sztucznych ułatwień.

- Ale twoje ręcznie robione buty są sztucznym ułatwieniem - rzekł Finch. - Rękawiczki, które zrobiła ci na drutach żona, tak samo. I nawet cukier w twojej herbacie.

Właściwie tylko twój partner nie jest ułatwieniem - dodał Finch, obrzucając spojrzeniem śpiącego Odella.

- A kogo byś wybrał zamiast niego? Nortona czy Somervella?

- Ani jednego, ani drugiego - odparł Finch - chociaż obydwaj to świetni wspinacze. Ale sam od początku powtarzasz, że zaatakować szczyt powinien ten, kto się najlepiej zaaklimatyzował, a obaj wiemy, kto to taki.

- Nyima - powiedział cicho George.

- Jest jeszcze jeden powód, dlaczego powinieneś poprosić Nyime, żeby do nas dołączył, i ja na pewno bym to zrobił, gdybym był szefem akcji górskiej.

- Cóż to za powód?

- Przyjemność zobaczenia twarzy Hinksa, kiedy musiałby poinformować Komitet Everestowski, że pierwszymi ludźmi, których stopa stanęła na szczycie Everestu, byli Australijczyk i Szerpa.

- Nigdy do tego nie dojdzie - rzekł George.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ Hinks informuje Komitet Everestowski, że Anglik był pierwszym człowiekiem, który zdobył szczyt. - George lekko się uśmiechnął. - Ale nie widzę powodu, żeby Australijczyk i Szerpa nie dokonali tego w przyszłości. - Wziął do ręki pióro. - Idź spać. Muszę dokończyć list.

George zaczął wodzić piórem po papierze, ale bez skutku - atrament zamarzł.

Nazajutrz o piątej rano trzech mężczyźni wygramolili się ze śpiworów. George pierwszy wyłonił się z namiotu. Powitało go bezchmurne błękitne niebo o odcieniu, który by zachwycił J. M. W. Turnera, chociaż wielki artysta musiałby się wspiąć na wysokość ponad siedmiu tysięcy sześciuset metrów, żeby to oddać na płótnie. Wiał tylko lekki wiaterek i George odetchnął zimnym porannym powietrzem, spoglądając na szczyt, rysujący się zaledwie jakieś tysiąc dwieście metrów powyżej.

- Tak blisko... - powiedział, gdy Finch wyczołgał się z namiotu z przytroczonymi do pleców butlami z tlenem o wadze prawie piętnastu kilogramów.

Finch też spojrział na szczyt, a potem uderzył się w pierś.

- Cii! - upomniał go George. - Lepiej jej nie budzić. Niech śpi, weźmiemy ją z zaskoczenia.

- Tak się nie traktuje damy - rzekł Finch, szczerząc zęby.

George zaczął chodzić tam i z powrotem, zirytowany, że trzeba czekać na Odella.

- Przepraszam, że musieliście na mnie czekać - powiedział z zakłopotaniem Odell, kiedy w końcu wyszedł z namiotu. - Zapodziała mi się rękawiczka i musiałem jej szukać.

Żaden z dwóch jego towarzyszy nie okazał najmniejszego współczucia.

Związali się liną, George szedł jako prowadzący, za nim Finch, a na końcu Odell.

- No to w drogę, panowie - powiedział George. - Teraz nasza kolej uderzyć w konkury.

- Miejmy nadzieję, że nie dostaniemy kosza - mruknął Finch, odkręcając zawór jednej butli i dopasowując ustnik.

George już po kilku krokach zdał sobie sprawę, że ta wspinaczka nie będzie podobna do żadnej dotychczasowej. Ilekroć w przeszłości podchodził pod szczyt jakiejś góry, zawsze były takie miejsca, gdzie można się było zatrzymać i odpocząć. Ale tu nie było szansy na

wytchnienie. Najmniejszy ruch tak go wyczerpywał jak sprint na sto metrów, choć posuwał się w żółtym tempie.

Starął się nie myśleć o Finchu, który szedł kilka kroków z tyłu i z zadowoleniem wdychał swój tlen. Czy udowodni, że oni wszyscy nie mają racji? George się nie poddawał, lecz z każdym następnym krokiem oddychał z coraz większym trudem. Przez ostatnich siedem miesięcy codziennie ćwiczył specjalną technikę głębokiego oddychania - cztery sekundy wdech przez nos, nabrać w płuca powietrza, cztery sekundy wydech przez usta, ale teraz pierwszy raz mógł wypróbować tę technikę na wysokości powyżej siedmiu tysięcy sześciuset metrów. Zerknął do tyłu i zobaczył, że Finch mimo dodatkowych prawie piętnastu kilogramów na plecach wydaje się niezmęczony. Jeśli jednak obaj dotrą na szczyt, nie będzie wątpliwości, który z nich będzie uznany za zwycięzcę.

George mozolnie posuwał się krok za krokiem, ale stanął dopiero wtedy, gdy się natknął na szalik Nortona, pozostawiony jako znak oznajmiający nowy - teraz już stary - światowy rekord wysokości osiągnięty przez wspinacza. Obejrzał się i stwierdził, że Finch wciąż sprawnie się wspina, natomiast Odell idzie z trudem i jest już kilka metrów z tyłu. Czy Finch miał rację? Czy George powinien wybrać najlepszego wspinacza, żeby im towarzyszył?

George spojrzął na zegarek. Dwanaście po dziesiątej. Co prawda posuwali się wolniej, niż oczekiwał, ale wciąż wierzył, że gdyby dotarli na szczyt do południa, mieliby dość czasu, by wrócić na Przełęcz Północną przed zachodem słońca. Liczył wolno do

sześćdziesięciu - robił to przy każdej wspinaczce od czasów szkolnych - nim sprawdził na wysokościomierzu, ile przeszli. Nie potrzebował wysokościomierza, żeby wiedzieć, iż pokonywany przez nich dystans zmniejsza się z każdą minutą, ale nadal był pewien, że gdyby dziewięć przed jedenastą stanęli na ośmiu tysiącach czterystu metrach, mogliby osiągnąć szczyt. Nagle usłyszał krzyk jakby ranionego zwierzęcia. Wiedział, że to nie Finch.

Obejrzał się. Odell klęczał, wstrząsany kaszlem, obok niego w śniegu leżał czekan. Widać było, że Odell nie zrobi więcej kroku. George niechętnie ześliznął się w dół, tracąc sześć z trudem zdobytych metrów wysokości.

- Tak mi przykro - wykrztusił Odell. - Nie mogę iść dalej. Powinienem pozwolić wam ruszyć beze mnie.

- Nawet o tym nie myśl, stary - wysapał George. Otoczył Odella ramieniem. - Przecież jutro mogę znów spróbować. I tak zrobiłeś, co mogłeś.

Finch nie tracił chwili na słowa współczucia. Wyjął ustnik i rzekł:

- Jeśli chcesz tu tkwić i niańczyć Odella, to może chociaż ja pójdę dalej?

George chciał powiedzieć „nie”, ale wiedział, że nie może tego zrobić. Sprawdził godzinę - za siedem jedenasta - i skinął głową.

- Powodzenia - powiedział. - Ale musisz zawrócić najpóźniej w południe.

- To powinno całkowicie wystarczyć - rzekł Finch, po czym dopasował ustnik i odwiązał linę, którą byli złączeni.

Kiedy przechodził obok Mallory'ego i Odella, żaden z nich nie widział jego uśmiechu. George odprowadzał wzrokiem swojego rywala, jak powoli piał się w górę, torując sobie drogę do szczytu.

Nie minęła jednak jeszcze godzina, kiedy nogi odmówiły Finchowi posłuszeństwa. Stanął i odkręcił zawór drugiej butli z tlenem, ale mimo to zdołał zrobić tylko kilka kroków. Zaklął na myśl, jak blisko mu do nieśmiertelności. Spojrzał na wysokościomierz: osiem tysięcy czterysta osiemdziesiąt dziewięć metrów*, brak tylko trzystu pięćdziesięciu jeden metrów, żeby przywitać się z Bogiem.

Finch wlepił wzrok w błyszczący szczyt, zdjął ustnik i zawołał:

- To na Mallory'ego czekałaś, prawda? Ale ja wrócę tu jutro.

Według niektórych polskich źródeł: 8326 m.

Rozdział 44

28 czerwca 1922

Najdroższa Ruth,

Byliśmy bardzo blisko zwycięstwa, ale w kilka godzin po powrocie na Przełęcz Północną znowu popsuła się pogoda. Nie wiem, czy bogowie się pogniewali, że nie udało się nam wejść na szczyt, czy też podeszliśmy zbyt blisko i dlatego postanowili zatrzęsnać nam drzwi przed nosem.

Następnego dnia pogoda była tak fatalna, że z trudem zdołaliśmy wrócić do obozu drugiego i musieliśmy siedzieć beczynnie cały ubiegły tydzień i czekać na roz pogodzenie. Wciąż jestem zdecydowany spróbować jeszcze raz.

Norton musiał wrócić do obozu bazowego i przypuszczam, że generał postanowi odesłać go do Anglii. Jeden Bóg wie, że wywiązał się ze swojej roli.

Finch zapadł na dyzenterię i też wrócił na dół, ale czuje się na tyle dobrze, żeby przypominać każdemu, kto chce słuchać, że to on jest człowiekiem, który wspiał się wyżej niż ktokolwiek inny na świecie (8489 metrów) - ze mną włącznie. Morshead musiał do niego dołączyć ze względu na fatalny stan odmrożeń. Odell przyszedł całkiem do siebie po naszej pierwszej próbie ataku szczytowego, gdy tak mocno ucierpiał, i chce, żeby mu dać drugą szansę. Jeżeli jednak podejmiemy jeszcze jedną próbę, nie zaryzykujęz nim wspinaczki. A więc skoro Finch, Norton i Morshead nie mogą ze mną zaatakować szczytu i tylko Somervell spośród uznanych wspinaczy trzyma się na nogach, to on ma prawo do drugiej szansy.

Jeżeli pogoda się poprawi, choćby na dwa dni, jestem zdecydowany jeszcze raz spróbować, zanim nastanie pora monsunu. Nie mam ochoty wrócić do Anglii jako ten drugi, zwłaszcza że jestem przekonany, że gdyby Odell mnie nie zatrzymał, to doszedłbym dużo wyżej niż osiem tysięcy czterysta osiemdziesiąt dziewięć metrów, szczególnie przy Finchu depczącym mi po piętach - a może nawet na sam szczyt. Teraz, kiedy złożyła go choroba, mogę nawet

poeksperymentować z tymi jego okropnymi butłami z tlenem, ale nic mu nie powiem, póki nie wrócę jako zwycięzca.

Jednak tak naprawdę moja determinacja, żeby położyć kres tej życiowej obsesji, wynika z tego, że nie mam ochoty wracać do tego odludnego miejsca, a bardzo pragnę spędzić resztę mojego życia z Tobą i dziewczynkami - tęsknię nawet za uczniami z niższej piątej.

Mam nadzieję, że dużo wcześniej, niż otworzysz ten list, przeczytasz w „Timesie”, że Twój mąż stanął na szczycie świata i że jest w drodze do domu.

Tak bardzo pragnę Cię znów trzymać w ramionach.

Twój kochający mąż George

George zaklejał kopertę, kiedy stanął przy nim Nyima z dwoma kubkami bovrilu.

- Ucieszy się pan - powiedział - bo spodziewamy się trzech bezchmurnych dni z rzędu. Ale nie więcej. Czyli będzie to pana ostatnia szansa, bo zaraz potem nadciągnie monsun.

- Jak możesz być tego taki pewien? - spytał George, ogrzewając palce na kubku przed wypiciem pierwszego łyku.

- Jestem jak krowa w waszym kraju - odparł Nyima która wie, kiedy się skryć pod drzewem, bo zaraz spadnie deszcz.

George się roześmiał.

- Dużo wiesz o moim kraju.

- O Anglii napisano więcej książek niż o innych krajach - Nyima wahał się chwilę, po czym rzekł: - Może gdybym się urodził

Anglikiem, zechciałby mnie pan włączyć do swojej ekipy wspinaczkowej.

- Proszę, obudź mnie o szóstej - powiedział George, składając list. - Jeżeli się okaże, że masz rację z tą pogodą, to chciałbym przed zachodem słońca dojść do Północnej Przełęczy, żeby następnego dnia ostatni raz zaatakować szczyt.

- Czy chce pan, żebym zaniósł list do obozu bazowego, aby go natychmiast wysłano?

- Nie, dziękuję - powiedział George. - Ktoś inny może to zrobić. Mam dla ciebie ważniejszą rolę od roli listonosza.

Kiedy następnego ranka Nyima go obudził, George był w doskonałym humorze. Dzień Wniebowstąpienia. Dzień, żeby się zapisać w historii. Zjadł solidne śniadanie, wiedząc, że przez następne dwa dni będzie mógł tylko pogryzać miętowy baton.

Wyszedł z namiotu i ucieszył się, widząc czekających Somervella i Odella oraz dziewięciu Szerpów z Nyimą, wszystkich gotowych do drogi.

- Dzień dobry, panowie - powiedział George. - Czas zostawić nasz bilet wizytowy na szczycie świata. - I bez zbędnych słów ruszył w górę.

Pogoda była idealna do wspinaczki: czyste, bezchmurne niebo, ani jednego powiewu wiatru, tylko dywan śniegu, który napadał w nocy, przywodzący na myśl szwajcarskie Alpy. Jeśli przepowiednia Nyimy się sprawdzi, to jedynym problemem George'a będzie

dobranie partnera do finałowego ataku. Ale George już zdecydował, że posłucha rady Fincha i poprosi wspinacza o najlepszych kwalifikacjach, żeby mu jutro towarzyszył.

W pierwszej godzinie George posunął się do przodu dalej, niż wydawało mu się to możliwe i kiedy się odwrócił, aby sprawdzić, jak sprawuje się jego zespół, z zadowoleniem stwierdził, że nikt nie zostaje z tyłu. Postanowił nie zarządzać postojem, skoro tak dobrze szli; ta decyzja miała mu ocalić życie.

Nikt nie opadł z sił w drugiej godzinie, pod której koniec George ogłosił przerwę. Z zadowoleniem ujrzał, że nawet Szerpowie, mimo że każdy dźwigał ładunek wagi trzydziestu sześciu kilogramów, wciąż się uśmiechali.

Kiedy znów wyruszyli, nieco zwolnili tempo, bo stromizna była większa. Śnieg był głęboki, często sięgał powyżej kolan, ale George a nie opuszczał dobrego humoru. Cieszył się, że Somervell i Odell dotrzymują mu kroku, z pewnością przypuszczając, że jutro będą mu partnerować. Już postanowił, że tym razem wybierze tylko jednego z nich. Trochę niżej w dole Szerpowie powoli podchodzili w górę, mały pochód zamykał Nyima. Uśmiech zadowolenia nie schodził z twarzy George'a, bo teraz wierzył, że pokona zarówno Fincha, jak i Hinksa.

Od Przełęczycy Północnej dzieliło ich około stu osiemdziesięciu metrów, gdy George usłyszał odgłos brzęczący, jakby gdzieś powyżej strzelił gaźnik samochodu. Z miejsca sobie uświadomił, gdzie ostatnio słyszał ten charakterystyczny, dobrze pamiętany dźwięk.

- O, Boże! Nie! - zawołał.

Fala głazów, śniegu i okruchów skalnych zsunęła się z łoskotem ze ściany skalnej około sześćdziesięciu metrów nad nim. W ciągu kilku sekund George, Somervell i Odell zostali zasypani. George zapamiętale walczył, żeby wydostać się na powierzchnię, i gdy mu się to udało, zobaczył, że lawina dalej się toczy w bezlitosnym pędzie w dół zbocza, zagarniając wszystko, co jest na drodze. Wciąż zakopany po ramiona w śniegu mógł tylko bezsilnie patrzeć, jak najpierw jego koledzy, a potem Szerpowie, jeden po drugim, znikają pod powierzchnią. Ostatni pogrążył się Nyima i ten obraz George zachowa przed oczami do końca życia.

Zapadła upiorna cisza, a potem George krzyknął. Modlił się, żeby nie był jedynym członkiem zespołu, który przeżył. Na jego wołanie odpowiedział Odell, a po chwili na powierzchnię wyłonił się Somervell. Cała trójka odkopała się ze śniegu i popędziła w dół zbocza, na przekór wszystkiemu wierząc, że uratują Szerpów, którzy im tak wiernie służyli.

George dostrzegł sterczącą rękawiczkę i ruszył ku niej biegiem, ale z każdym krokiem zapadał się coraz bardziej w głęboki śnieg. Kiedy wreszcie dopadł rękawiczki, zaczął gołymi rękami odgarniać śnieg dokoła. Już tracił nadzieję, gdy ukazała się sina dłoń, potem ręka, ramię, w końcu twarz łowiąca łapczywie powietrze. Z tyłu George usłyszał okrzyk ulgi, gdy Odell ocalił innego Szerpę, nie spodziewającego się więcej ujrzeć światła dnia. George brnął w dół zbocza przez gęsty, sypki śnieg, usiłując dojrzeć plecak, but, czekan,

cokolwiek, co mogłoby doprowadzić go do Nyimy. Kopał rozpaczliwie wszędzie tam, gdzie dostrzegł choćby najmniejszy ślad życia, i wydawało mu się, że trwa to długie godziny. Nie znalazł nic. W końcu padł, wyczerpany, zmuszony uznać, że nic więcej nie można zrobić.

Kiedy godzinę później zachodziło słońce, z dziewięciu Szerpów było uratowanych tylko dwóch. Siedmiu innych wraz z Nyimą zostało pogrzebanych w górskich grobach. George ukląkł na śniegu i zapłakał. Czomolungma się śmiała z zuchwalstwa śmiertelników. Upłynie wiele dni, zanim strata siedmiu Szerpów przestanie wciąż, nawet we śnie, dręczyć George'a. Chociaż koledzy z wszystkich sił próbowali go pocieszać, nie mogli go przekonać, że to nie jego ambicja była przyczyną śmierci Szerpów. Generał Bruce zarządził wzniesienie upamiętniającego ich kamiennego kopca na morenie w pobliżu tybetańskiego klasztoru. Gdy wspinacze stali wokół kopca z opuszczonymi głowami, Somervell cicho powiedział:

- Byłoby lepiej, gdyby jeden z nas został pogrzebany razem z nimi.

Bruce poprowadził grupę załamanych mężczyzn na powrót do Bombaju. Przebywali na pokładzie statku płynącego do Anglii kilka dni, zanim któryś się uśmiechnął; minęły tygodnie, zanim ktoś się zaśmiał w głos. George się zastanawiał, co ich czeka, kiedy przybiją do portu w Liverpoolu.

Każdy z członków załogi poprzysiągł, że nie powróci na Everest - żeby zacytować ich przywódcę - za całe złoto Arabii.

KSIĘGA SZÓSTA

Z POWROTEM NA ZIEMIĘ

Rozdział 45

Poniedziałek, 4 września 1922

George przechylił się przez poręcz nadburcia Caledonii i tak jak pozostali członkowie załogi z niedowierzaniem spoglądał na nabrzeże. Zdawało im się, że śnią. Jak daleko sięgał wzrok, nabrzeże wypełniał tłum ludzi, którzy klaskali, wznosili okrzyki i powiewali chorągiewkami.

- Komu oni urządzają owację? - zdziwił się George, zastanawiając się, czy na pokładzie jest może jakaś amerykańska gwiazda filmowa.

- Myślę, że to ciebie witają, George - rzekł Somervell. - Uroili sobie, że dotarłeś na szczyt.

George dalej się wpatrywał w zgietkliwy tłum, lecz szukał tylko jednej osoby. Dopiero gdy przybili do portu, w końcu mignęła mu przed oczami jej samotna postać, to pojawiająca się, to znikająca pośród natłoku wzniesionych kapeluszy, machających rąk i powiewających flag brytyjskich.

George by pierwszy zbiegł ze schodni, gdyby nie uprzedził go Finch. Z chwilą, gdy stanął na nabrzeżu, otoczyło go mnóstwo

wyciągających się ku niemu rąk, co żywo przypominało mu Bombaj - tyle że teraz ludzie próbowali klepać go po plecach, a nie żebrać czy oferować używane towary.

- Panie Mallory, czy wciąż ma pan nadzieję, że będzie pan pierwszym zdobywcą Everestu? - krzyknął jakiś dziennikarz z notesem w ręku i ołówkiem w pogotowiu.

George nawet nie próbował odpowiedzieć, tylko przeciskał się przez tłum w tę stronę, gdzie ostatnio ją widział.

- Ja na pewno tam wrócę - wołał Finch, którego otoczyli dziennikarze. - W końcu zabrakło mi tylko jakichś trzystu metrów do szczytu.

Dziennikarz trzymający ołówek zapisywał każde jego słowo.

- Panie Mallory, czy sądzi pan, że to pan dotrze na szczyt następnym razem? - prześladował George'a dziennikarz.

- Nie będzie następnego razu - wymamrotał pod nosem George.

I nagle ją zobaczył, tuż przed sobą.

- Ruth! Ruth! - zawołał, ale ona go nie usłyszała w hałaśliwym tłumie.

Na koniec ich oczy się spotkały i George ujrzał uśmiech, jakim darzyła tylko tych, którzy ją naprawdę obchodzili. Wyciągnął rękę i kilku nieznajomych usiłowało ją uścisnąć. Wreszcie rzucił się do przodu i pochwycił Ruth w ramiona.

- Jakim sposobem stąd zwiejemy? - krzyknął jej do ucha.

- Tam jest samochód - powiedziała, uczepliwszy się jego ręki i usiłując wyciągnąć go z tłumu, ale nowi przyjaciele nie chcieli dać za wygraną.

- Czy przyjął pan stanowisko kierownika akcji górskiej w przyszłorocznej wyprawie? - zawołał inny dziennikarz.

- W przyszłorocznej wyprawie? - zdziwił się George. Ale Ruth już dopadła samochodu, otworzyła drzwi i wepchnęła go na miejsce dla pasażera. George nie umiał ukryć zdumienia, kiedy usiadła za kierownicą.

- Kiedy? - zapytał.

- Dziewczyna musi sobie czymś zapełnić czas, kiedy mąż wyjeżdża na spotkanie z inną kobietą - odparła Ruth z uśmiechem.

Znowu wziął ją w ramiona i delikatnie pocałował w ust

- George, już ci kiedyś mówiłam o całowaniu nieznajomej kobiety przy ludziach - powiedziała, tuląc się do niego.

- Pamiętam - rzekł George i znowu ją pocałował.

- Ruszajmy - powiedziała z ociąganiem Ruth - zanim to się zamieni w finałową scenę z filmu z Lillian Gish.

Włączyła silnik, wrzuciła pierwszy bieg i zaczęła wolno przebijać się przez tłum, ale dopiero po dwudziestu minutach mogła wrzucić dwójkę i zostawić z tyłu hałaśliwą tłuszcę, a nawet wtedy ostatni admirator walnął w maskę samochodu i wrzasnął:

- Dobra robota, sir!

- O co w tym wszystkim chodzi? - spytał George, patrząc przez tylną szybę na biegnących za nimi ludzi.

- Nie możesz tego wiedzieć, ale prasa relacjonowała twoje postępy, od kiedy wyjechałeś, i przez ostatnie sześć miesięcy wykreowała cię na bohatera narodowego.

- Ale przecież poniosłem porażkę - upierał się George. - Czy nikt tego nie bierze pod uwagę?

- Chyba to dla nich nieistotne. Ludziom przemówiło do wyobraźni, że zostałeś przy Odellu, kiedy zasłabł, i pozwoliłeś Finchowi iść dalej.

- Ale to nazwisko Fincha trafi do księgi rekordów. Wspiął się co najmniej dziewięćdziesiąt metrów wyżej, niż mnie się udało.

- Ale tylko z pomocą tlenu - rzekła Ruth. - W każdym razie dziennikarze uważają, że gdybyś miał możliwość, byłbyś się wspiął o wiele wyżej niż Finch, przypuszczalnie nawet dotarłbyś na szczyt.

- Nie, nie dałbym rady tego dnia podejść dużo dalej niż Finch - powiedział George, kręcąc głową. - I to dlatego, że chciałem udowodnić, że jestem od niego lepszy, siedmiu pocziwców straciło życie. Jeden z nich mógłby śmiało stanąć obok mnie na szczycie.

- Ale chyba wszyscy z zespołu przeżyli?

- On nie był członkiem zespołu wspinaczkowego - rzekł George.

- Ale ja już powziąłem decyzję, że to on i Somervell razem ze mną zaatakują szczyt.

- Szerpa? - spytała Ruth, nie potrafiąc ukryć zdziwienia.

- Tak. Szerpa Nyima. Nigdy nie poznałem jego nazwiska. - George zamilkł i po chwili dodał: - Ale wiem, że jestem odpowiedzialny za jego śmierć.

- Nikt cię nie obwinia za to, co się stało - rzekła Ruth, ujmując jego rękę. - Przecież z pewnością byś nie wyruszył tego ranka, gdybyś choć przez chwilę pomyślał, że może się oberwać lawina.

- „Właśnie o to chodzi - rzucił George. - Nie myślałem. Pozwoliłem, żeby osobista ambicja przyćmiła zdrowy sąd.

- Twój ostatni list przyszedł dopiero dziś rano - powiedziała Ruth, zmieniając temat.

- I gdzie wtedy byłem?

- W małym namiocie na wysokości siedmiu tysięcy sześciuset metrów nad poziomem morza. Tłumaczyłeś Finchowi, dlaczego nie weźmiesz pod uwagę użycia tlenu.

- Gdybym posłuchał jego rady - rzekł George - to może bym osiągnął szczyt.

- Nic cię nie powstrzyma przed następną próbą - zauważyła Ruth.

- Nigdy więcej.

- Cóż, znam kogoś, kto będzie zachwycony, gdy to usłyszy - rzuciła, nie chcąc zdradzić własnych uczuć.

- Mówisz o sobie, kochanie?

- Nie, o panu Fletcherze. Zatelefonował dziś rano i zapytał, czy mógłbyś wpaść i zamienić z nim kilka słów jutro o dziesiątej.

- Tak, pewno, że wpadnę - rzekł George. - Nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do pracy. Wiem, że mi nie uwierzysz, ale brak mi nawet mojej niższej piątej i, co ważniejsze, muszę znowu zacząć

zarabiać. Bóg wie, że nie możemy bez końca korzystać z hojności twego ojca.

- Nigdy nie słyszałam, żeby się skarżył - powiedziała Ruth. - W istocie jest bardzo dumny z twoich osiągnięć. Nie przestaje opowiadać wszystkim przyjaciołom w klubie golfowym, że jesteś jego zięciem.

- Nie o to chodzi, kochanie. Muszę znów usiąść za swoim biurkiem w pierwszym dniu trymestru.

- To niemożliwe - rzekła Ruth.

- Ale dlaczego?

- Bo pierwszy dzień trymestru był w zeszły poniedziałek - odparła Ruth. - I pewno dlatego dyrektorowi szkoły tak zależy, żeby cię zobaczyć.

- Teraz opowiedz mi o naszym synu - powiedział George.

Kiedy wreszcie wjechali w bramę posiadłości The Holt sześć godzin później, George poprosił:

- Zwolnij, kochanie. Myślałem o tej chwili od dwóch miesięcy.

Byli w połowie podjazdu, kiedy George ujrzał córeczki machające do niego ze schodów. Nie mógł wprost uwierzyć, że tak bardzo wyrosły. Clare trzymała w ramionach małe zawiniątko.

- Czy dobrze się domyślam? - rzekł George, zwracając się z uśmiechem do Ruth.

- Tak. Nareszcie poznasz swego syna i następcę, panicza Johna Mallory'ego.

- Tylko kompletny idiota mógłby rozstać się z tobą na jeden dzień, a co dopiero na sześć miesięcy - powiedział George, gdy samochód zatrzymał się przed domem.

- To mi przypomina - odezwała się Ruth - że jeszcze ktoś telefonował i prosił, żebyś mu pilnie oddzwonił.

- Kto taki? - zapytał George.

- Pan Hinks.

Rozdział 46

Ruth pomogła George'owi włożyć tokę, następnie podała mu biret i parasol. Było tak, jakby nigdy nie wyjeżdżał.

Pocałował żonę, pożegnał się z dziećmi, wyszedł frontowymi drzwiami i kroczył dróżką ku głównej drodze. Beridge spytała:

- Czy tatuś znów odjeżdża?

George spojrzał na zegarek, ciekaw, ile czasu zajmie mu teraz marsz do szkolnej bramy. Ruth dopilnowała, żeby wyszedł na tyle wcześnie, by zdążyć na spotkanie z dyrektorem szkoły.

Tego dnia „Times” był wyjątkowo wielkoduszny, bo obszernie zrelacjonował „triumfalny powrót do domu” zespołu everestowskiego. Wydawało się, że korespondenta gazety nie obchodzi, iż nikt nie dotarł na szczyt, chociaż przytoczył słowa Fincha, że ma zamiar tam wrócić w przyszłym roku właśnie w tym celu. Na koniec dziennikarz zacytował ostrożną wypowiedź Hinksa, który napomknął, że kandydatem numer jeden Komitetu Everestowskiego na kierownika

akcji górskiej w następnej ekspedycji będzie Mallory, o czym bez wątpienia sekretarz chciał z nim tak pilnie rozmawiać. Jednak George zamierzał powiedzieć Hinksowi to samo, co za kilka minut oznajmi dyrektorowi szkoły: że nie będzie się już więcej wspinał. Cieszył się na życie w domowym zaciszu i zarazem nie mógł doczekać, kiedy nadal będzie uczył urwisów z niższej piątej o wyczynach Elżbiety, Raleigha, hrabiego Essex i...

George się uśmiechnął na myśl o dylemacie, przed jakim stanie Hinks, kiedy trzeba będzie wybrać kogoś, kto zajmie jego miejsce jako kierownik akcji górskiej. Najlepszym kandydatem był Finch - bez wątpienia był najbardziej sprawnym i doświadczonym wspinaczem i to on wszedł najwyżej podczas ostatniej wyprawy. Ale George był przekonany, że Hinks wynajdzie jakiś nadzwyczaj ważny powód, żeby sprzeciwić się takiej sugestii, i że komitet powierzy tę funkcję Nortonowi albo Somervellowi. Jednak nawet Hinks nie przeszkodzi Finchowi dotrzeć na szczyt przed tamtymi dwoma, zwłaszcza jeśli skorzysta z pomocy swych wiernych butli z tlenem.

Kiedy oczom George'a ukazała się szkolna kaplica, znowu spojrzął na zegarek. Co prawda miał trzydzieści sześć lat, ale nic nie stracił ze swej szybkości. Może nie ustanowił nowego rekordu, gdy wkraczał w bramę szkolną, ale dużo nie brakowało.

George przeciął główny dziedziniec, kierując się do gabinetu dyrektora. Uśmiechnął się do dwóch chłopców, których nie poznał. Sądząc z ich reakcji, nie mieli pojęcia, kim jest, co mu przypomniało

pierwsze dni w Charterhouse i to, jaki był wtedy speszony, gdy stanął twarzą w twarz z jakimś uczniem, nie mówiąc o dyrektorze.

Pan Fletcher miał bzika na punkcie punktualności i na pewno będzie zadowolony, a może nawet zaskoczony, gdy akurat on zjawi się pięć minut wcześniej. George poprawił togę i zdjął biret, a potem zapukał do sekretariatu.

- Proszę - usłyszał.

Wszedł do pokoju, gdzie za biurkiem siedziała sekretarka Fletchera, panna Sharpe. Nic się nie zmieniło, pomyślał.

- Miło pana znowu widzieć - powiedziała. -
Czekaliśmy niecierpliwie, żeby pana znów zobaczyć po rym, jak święcił pan triumf na Evereście.

Na Evereście, pomyślał George, ale nie na jego szczycie.

- Powiem dyrektorowi, że pan już jest.

George podziękował, a panna Sharpe znikła w sąsiednim pokoju. Chwilę później otworzyły się drzwi.

- Pan dyrektor prosi - oznajmiła sekretarka.

- Dziękuję - rzekł George i przestąpił próg gabinetu dyrektora.

Panna Sharpe zamknęła drzwi.

- Dzień dobry, Mallory - powiedział dyrektor, podnosząc się zza biurka. - Miło, że jest pan taki punktualny.

- To drobiazg, panie dyrektorze - rzekł George. - Chciałbym powiedzieć, że cieszę się, że znowu tu jestem.

- Najpierw - rzekł dyrektor - chciałbym panu pogratulować sukcesów, jakie pan odniósł podczas ostatnich sześciu miesięcy.

Nawet jeżeli uwzględnić tendencję prasy do przesady, i tak wszyscy uważamy, że przy odrobinie szczęścia na pewno stanąłby pan na szczycie.

- Dziękuję, panie dyrektorze.

- I jestem pewien, że wyrażę opinię wszystkich w naszej szkole, jeżeli powiem, że nie wątpię, iż osiągnie pan swój cel następnym razem.

- Nie będzie następnego razu - oznajmił George. - Zapewniam pana, że nie będę się więcej wspinał.

- Jednakże, jak pan na pewno zrozumie - ciągnął dyrektor, jakby go nie słyszał - przy kierowaniu taką szkołą jak Charterhouse jest bezwzględnie konieczne, żeby w każdej chwili móc liczyć na wszystkich członków personelu.

- Tak, oczywiście, panie dyrektorze, ale...

- W wyniku pańskiej decyzji, skądinąd chwalebnej, żeby zgłosić się do wojska, mimo że był pan zwolniony z tego obowiązku, plan lekcji uległ poważnemu zakłóceniu, co wyraźnie wtedy podkreśliłem.

- Rzeczywiście, panie dyrektorze, jednakże...

- A potem pańska decyzja, słuszna w moim pojęciu, żeby przyjąć zaproszenie Komitetu Everestowskiego, jeszcze bardziej utrudniła kierowanie szkołą, tym bardziej że niedawno został pan mianowany starszym nauczycielem historii.

- Bardzo przepraszam, panie dyrektorze, ale...

- Jak pan wie, musiałem wyznaczyć Atkinsa na zastępstwo na pana miejsce, i muszę powiedzieć, że pełni on swoje obowiązki z

godną podziwu starannością i kompetencjami oraz wykazuje się bezgranicznym oddaniem szkole.

- Miło mi to słyszeć, panie dyrektorze, jednakże...

- Muszę też powiedzieć, że kiedy nie stawił się pan pierwszego dnia trimestru, z pewnością nie z własnej winy, nie miałem innego wyboru, jak zaproponować Atkinsowi stałe zatrudnienie jako pełnoprawnemu członkowi personelu, co ipso facto oznacza, niestety, że obecnie nie ma dla pana żadnego stanowiska w Charterhouse.

- Ale... - wyjął George, próbując nie okazać desperacji.

- Nie wątpię, że wiele najlepszych szkół z entuzjazmem skorzysta z okazji, żeby powiększyć swoje grono o Mallory'ego z Everestu. Doprawdy, gdybym został bez nauczyciela historii, pan byłby jednym z pierwszych kandydatów, jakich zaprosiłbym na rozmowę.

George już nie przerywał dyrektorowi. Czuł się tak, jakby zjadły wschodni wiatr, który wiał na Evereście, znów siekł go w twarz.

- Zapewniam pana, Mallory, że odchodzi pan z Charterhouse jako człowiek darzony szacunkiem i sympatią zarówno nauczycieli, jak i uczniów. Rozumie się samo przez się, że z radością wydam panu opinię potwierdzającą, że był pan cenionym członkiem naszego grona nauczycielskiego.

George milczał.

- Przykro mi, że tak to się kończy, ale pragnę dodać w imieniu własnym, zarządu i nas wszystkich w Charterhouse, że życzymy panu

powodzenia we wszystkim, co pan postanowi zrobić w przyszłości. Jeżeli to będzie jeszcze jedna próba zaatakowania Everestu, nasze myśli i modlitwy będą panu towarzyszyć.

Pan Fletcher podniósł się z za biurka. George wstał, grzecznie podał dyrektorowi rękę, uchylił biretu i bez słowa opuścił gabinet.

Ruth czytała o mężu w „Timesie”, kiedy zadzwonił telefon. Tylko jej ojciec dzwonił o tej porze.

- Hallo - powiedziała radośnie, podnosząc słuchawkę. - Czy to ty, tatusiu?

- Nie, proszę pani. Mówi Hinks z Królewskiego Towarzystwa Geograficznego.

- Dzień dobry panu. - Ton głosu Ruth natychmiast się zmienił. - Męża nie ma w domu i nie oczekuję go przed wieczorem.

- Cieszę się, że to słyszę, bo chciałem zamienić słówko tylko z panią.

Ruth wysłuchiwała uważnie tego, co miał do powiedzenia Hinks, i zapewniła, że się zastanowi i powiadomi go o swojej decyzji. Wróciła do gazety, gdy usłyszała, że otwierają się drzwi domu. Udała zaskoczenie, kiedy George wszedł do salonu i opadł na sofę naprzeciw.

- Tak źle? - odważyła się.

- Chyba nie mogło być gorzej - powiedział. - Ten cholerny typ wylał mnie z pracy. Okazuje się, że jestem taki niesolidny, że zaproponował moje stanowisko Atkinsowi, który wedle jego

zapewnień jest sumienny, skrupulatny i, co ważniejsze, niezawodny. Możesz w to uwierzyć?

- Tak - przyznała Ruth. - Prawdę mówiąc, nie mogę udawać, że to wielka niespodzianka - dodała, odkładając gazetę na stolik.

- Z czego wysnułaś taki wniosek, kochanie? - George spojrzał na nią uważnie.

- Zaniepokoiło mnie, że dyrektor chciał cię zobaczyć o dziesiątej.

- Dlaczego to było takie ważne?

- Bo całe życie tego człowieka przebiega według planu godzinnego. Gdyby wszystko było w porządku, kochanie, to zaprosiłby nas oboje na drinka o szóstej wieczorem. Albo by zaaranżował wasze spotkanie o ósmej rano, tak żebyś mu triumfalnie asystował, kiedy będzie prowadził apel.

- To dlaczego umówił się ze mną o dziesiątej?

- Bo wiedział, że o tej porze wszyscy chłopcy i nauczyciele będą tkwić w klasach i nikt nie będzie miał okazji z tobą porozmawiać, kiedy będziesz wchodził do szkoły, a potem z niej wychodził. Musiał zaplanować całą operację co do minuty.

- Moje uznanie - rzekł George. - Byłabyś pierwszorzędnym detektywem. Czy masz może pojęcie, co teraz mi się przydarzy?

- Nie - przyznała Ruth. - Ale kiedy cię nie było, zatelefonował Hinks.

- Mam nadzieję, że mu wyraźnie powiedziałaś, że nie zamierzam uczestniczyć w przyszłorocznej ekspedycji.

- On nie dzwonił w tej sprawie - powiedziała Ruth. - Wydaje się, że Amerykańskie Towarzystwo Geograficzne chce, żebyś wygłosił cykl wykładów na Wschodnim Wybrzeżu... w Waszyngtonie, Nowym Jorku, Bostonie...

- Nic z tego - uciął George. - Dopiero co wróciłem do domu. Dlaczego miałbym znów wyruszyć w świat?

- Może dlatego, że oni chcą ci zapłacić tysiąc funtów za kilka wykładów o twojej wspinaczce na Everest.

- Tysiąc funtów? Ależ to jest więcej niż moje trzyletnie zarobki w Charterhouse.

- Ściśle mówiąc - rzekła Ruth - w Towarzystwie myślą, że wykłady mogłyby przynieść nawet dwa tysiące funtów, i są skłonni podzielić się z tobą zyskami pół na pół.

- To niezwykle hojne jak na Hinksa - zauważył George.

- To też chyba mogę wytłumaczyć - rzuciła Ruth. - Zdaje się, że gdybyś odrzucił tę propozycję, to Amerykanie chcieliby zaprosić na twoje miejsce tylko jednego człowieka.

- A Hinks nigdy by się na to nie zgodził - dokończył George. - Więc co mu powiedziałaś?

- Ze przedyskutuję to z tobą i wtedy dam mu znać, co zdecydowałeś.

- Ale dlaczego przede wszystkim do ciebie zadzwonił? Dlaczego nie chciał rozmawiać ze mną?

- Chciał wiedzieć, czy nie miałabym ochoty wybrać się tam razem z tobą.

- A to szczwany lis - powiedział George. - On wie, że to jedyna rzecz, która może mnie skłonić do zgody.

- Ale nie mnie - oznajmiła Ruth.

- Dlaczego, kochanie? Zawsze chciałaś odwiedzić Stany Zjednoczone i moglibyśmy potraktować to jako drugi miesiąc miodowy.

- Wiedziałam, że znajdziesz jakiś powód, żebym zaakceptowała ten pomysł, i tak samo myślał Hinks. Ale chyba zapomniałeś, że mamy troje dzieci.

- Czy niania nie może się nimi zająć, jak wyjedziemy?

- George, dziewczynki nie widziały cię sześć miesięcy, a John nawet nie wiedział, kim jesteś. I ledwo ojciec wrócił, ulatnia się razem z matką na następne sześć tygodni. Nie, George, tak nie można wychowywać dzieci.

- To możesz powiedzieć Hinksowi, że nie jestem zainteresowany.

- Dobrze - rzekła Ruth. - Bóg wie, że nie chcę, żebyś znów opuszczał dom, kiedy dopiero co wróciłeś. - Zawahała się, po czym dodała: - Tak czy owak, zawsze możemy pojechać do Ameryki innym razem.

George spojrział jej w oczy.

- Jest coś, czego mi nie powiedziałaś.

- Tylko to - przemówiła Ruth po chwili milczenia - że Hinks mówił, iż zanim odrzucisz tak korzystną ofertę, powinieneś pamiętać, że... cytując Amerykanów... teraz jesteś atrakcyjnym towarem, a oni

są narodem, którego entuzjazm szybko gaśnie. I szczerze mówiąc, wątpię, czy znajdziesz łatwiejszy sposób na zarobienie tysiąca funtów.

- A jeśli nie pojedę - powiedział cicho George - to pewno będę musiał umówić się znów z twoim ojcem i jeszcze bardziej się u niego zadłużyć.

Ruth się nie odezwała.

- Zgodzę się pod jednym warunkiem - oznajmił George.

- Ciekawe jakim? - spytała podejrzliwie Ruth.

- Ze pozwolisz, żebym cię zabrał do Wenecji na kilka dni. I tym razem tylko my dwoje.

1923

Rozdział 47

Czwartek, 1 marca 1923

Kiedy parowiec SS Olympic wpływał do nowojorskiego portu, George już od godziny stał na pokładzie. Podczas trwającej pięć dni podróży przez Atlantyk myślał bezustannie o Ruth.

Zawiozła go samochodem do Southampton i gdy z żalem ją zostawił, żeby wsiąść na statek, stała na nabrzeżu, dopóki Olympic nie wypłynął z portu i nie zamienił się w maleńki punkcik na horyzoncie.

Państwo Mallory spędzili kilka dni w Wenecji i ten pobyt bardzo się różnił od ostatniej wizyty George'a w tym mieście, gdyż tym razem zamówił apartament w hotelu Cipriani.

- Czy możemy sobie na to pozwolić? - spytała Ruth, wyglądając przez okno apartamentu od strony laguny, który zwykle zajmował jej ojciec.

- Chyba nie - odparł George. - Ale postanowiłem wydać sto funtów z tego tysiąca, który zarobię w Ameryce, i chcę, żeby to były niezapomniane wakacje.

- Kiedy ostatnim razem przyjechałeś do Wenecji, George, też były niezapomniane.

Nowożeńcy - jak uważała większość gości hotelowych, bo zawsze późno przychodzili na śniadanie, zawsze trzymali się za ręce i bezustannie patrzyli sobie w oczy - robiliwszystko, tylko nie wspinali się na dzwonnice s'w. Marka - wewnątrz czy zewnątrz. Po tak długim rozstaniu tych kilka dni rzeczywiście wydawało się podróżą poślubną, gdyż poznawali się nawzajem na nowo. Kiedy tydzień później Orient Express wtoczył się na Victoria Station, ostatnią rzeczą, jakiej pragnął George, było ponowne rozstanie z Ruth i odpłynięcie do Stanów.

Gdyby nie to, że w korespondencji, którą po powrocie zastali w domu, znajdowała się koperta z wyciągiem z banku, George by się zastanawiał, czy nie odwołać wykładów i nie zostać w domu.

Był jeszcze inny list, którego George się nie spodziewał, i zastanawiał się, czy powinien przyjąć pochlebające mu zaproszenie,

zważywszy na sytuację. Zobaczy, jak udadzą się wykłady, i wtedy zdecyduje.

Gdy statek wpłynął do portu i George ujrzał Nowy Jork, pierwsze, największe wrażenie zrobił na nim sam ogrom budynków. Czytał o drapaczach chmur, nawet oglądał ich fotografie w nowych kolorowych czasopismach, ale ujrzyć je stojące jeden przy drugim - to przekraczało wyobraźnię. Najwyższa budowla w Londynie wydawałaby się karłem pośród tego plemienia olbrzymów.

George przechylił się przez poręcz nadburcia i spojrzał w dół, na nabrzeże, gdzie rozkrzyczany tłum śmiał się i machał, czekając, aż bliscy i przyjaciele wyjdą na ląd. George próbowałby wypatrzeć w ciżbie nowego przyjaciela, gdyby miał choć najmniejsze pojęcie, jak wygląda ów Lee Keedick. Wtem spostrzegł wysokiego, eleganckiego mężczyznę w czarnym surducie, trzymającego tabliczkę z napisem „Mallory”.

George zszedł ze statku z walizkami w obu rękach i utorował sobie drogę do mężczyzny o imponującej posturze. Gdy zbliżył się o krok, wskazał tabliczkę i oznajmił:

- To ja.

Wtedy pierwszy raz go zobaczył. Niski, pulchny mężczyzna, który nigdy nie zdołałby dojść do obozu bazowego, wystąpił do przodu, żeby go powitać. Keedick miał na sobie beżowy garnitur, żółtą koszulę z otwartym kołnierzykiem, a na szyi łańcuch z dyndającym srebrnym krzyżem. George pierwszy raz w życiu zobaczył mężczyznę, który nosił biżuterię. Keedick musiał mieć

niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, i to tylko dlatego, że jego buty z krokodylowej skóry miały wyższe obcasy niż pantofle, jakie zazwyczaj nosiła Ruth.

- Jestem Lee Keedick - obwieścił, wyjmując z ust ogryzek niezapalonego cygara. - A ty musisz być George. Czy mogę ci mówić po imieniu?

- Zdaje się, że właśnie to zrobiłeś - odparł George i serdecznie się uśmiechnął.

- A to jest Harry. - Keedick wskazał wysokiego mężczyznę. - On będzie szoferem podczas twojego pobytu w Stanach.

Harry przytknął wskazujący palec prawej ręki do kapelusza, po czym otworzył tylne drzwi pojazdu, który George wziął za mały omnibus.

- Coś nie tak? - spytał Keedick, bo George dalej stał na chodniku.

- Nie - odparł George i wszedł do środka. - Tylko że to jest największy samochód, jaki w życiu widziałem.

- Najnowszy caddie - poinformował go Lee.

George pomyślał, że w Anglii to słowo oznacza kogoś, kto nosi za graczem kije golfowe, ale nagle sobie przypomniał, co kiedyś mu powiedział Bernard Shaw: „Anglia i Ameryka to dwa narody rozdzielone wspólnym językiem”.

- Niech mnie skręci, jak to nie jest najlepszy wózek w Ameryce - dodał Keedick, gdy Harry ruszył i włączył się w poranny ruch.

- Czy zabieramy jeszcze kogoś po drodze? - spytał George.

- Ja wprost przepadam za tym waszym angielskim poczuciem humoru - rzucił Keedick. - Nieee, cały jest twój. Kapujesz, George, ważne, żeby ludzie myśleli, żeś gruba ryba. Musisz trzymać fason, bo inaczej nigdy do niczego nie dojdiesz w tym mieście.

- Czy bilety na moje wykłady dobrze się sprzedają? - spytał z niepokojem George.

- Ludzie się pchają na twoją jutrzejszą premierę w Broadhurst Theater. - Keedick zamilkł, zapalając cygaro. - Jak w „New York Timesie” dobrze o tobie napiszą, to damy sobie radę z resztą wykładów. A jak wpadną w szal, co wieczór będzie komplet.

George nie rozumiał, dlaczego akurat mają wpaść w szal, więc zadzierał głowę, przyglądając się drapaczom chmur, gdy samochód wolno się przebijał przez ruch uliczny.

- To Woolworth Building - objaśnił Keedick, opuszczając szybę. - Ma prawie dwieście pięćdziesiąt metrów wysokości. Najwyższy budynek na świecie. Ale planują taki, który będzie miał ponad trzysta.

- Mniej więcej tyle mi zabrakło - powiedział George, kiedy limuzyna zatrzymała się przed hotelem Waldorf.

Boy hotelowy podbiegł, żeby otworzyć drzwi samochodu, tuż za nim szedł kierownik hotelu. Uśmiechnął się, gdy Keedick stanął na chodniku.

- Cześć, Bill - rzekł Keedick. - To jest George Mallory, ten gość, co zdobył Everest.

- Hmm, niezupełnie - zauważył George. - Jest faktem...

- Daj spokój faktom, George - rzekł Keedick. - Nikt w Nowym Jorku nie zwraca sobie głowy faktami.

- Gratuluję panu - powiedział kierownik hotelu, wyciągając rękę. George'owi nie zdarzyło się jeszcze wymienić uścisku ręki z kierownikiem hotelu.

- Aby pana uhonorować, umieściliśmy pana w apartamencie prezydenckim na siedemnastym piętrze. Proszę za mną - dodał, kiedy szli przez hol.

- Czy mogę zapytać, gdzie są schody pożarowe? - zagadnął George, zanim dotarli do windy.

- Tam - odparł zdziwiony kierownik, wskazując na drugą stronę holu.

- Siedemnaste piętro, mówi pan?

- Tak - potwierdził kierownik, jeszcze bardziej zdziwiony.

- To do zobaczenia - rzekł George.

- Czy w angielskich hotelach nie ma wind? - spytał kierownik hotelu Keedicka, kiedy George przeciął hol i zniknął za drzwiami z napisem: „Wyjście ewakuacyjne”. - A może to wariat?

- Nie - odparł Keedick. - Po prostu Anglik.

Winda błyskawicznie zawiozła ich na siedemnaste piętro. Kierownik hotelu wpadł w jeszcze większe zdumienie, kiedy George pojawił się na korytarzu tylko kilka minut później i wcale nie był zdyszany.

Kierownik hotelu przekręcił klucz w drzwiach apartamentu prezydenckiego i usunął się na bok, żeby gość mógł wejść do środka.

W pierwszej chwili George pomyślał, że to pomyłka. Apartament był większy od kortu tenisowego w The Holt.

- Myślałeś, że zabiorę z sobą żonę i dzieci? - zapytał.

- Nie - odpowiedział ze śmiechem Keedick. - Cały jest twój. Nie zapominaj, że prasa może chcieć przeprowadzać z tobą wywiady i ważne, żeby myśleli, że tak cię traktują w Anglii.

- Ale czy możemy sobie na to pozwolić?

- Nawet o tym nie myśl - powiedział Keedick. - To płaci firma.

- Jak miło, Geoffrey, że cię słyszę - powiedziała Ruth, kiedy poznała w telefonie znajomy głos. - Tak dawno się nie widzieliśmy.

- To moja wina - rzekł Geoffrey Young. - Od kiedy objąłem nowe stanowisko w Kolegium Imperialnym, nie wychylałem nosa z miasta w trakcie trymestru.

- Cóż, George'a nie ma w tej chwili w domu. Jest w Ameryce, wygłasza cykl wykładów.

- Tak, wiem - rzekł Young. - Napisał do mnie parę słów w zeszłym tygodniu i wspomniał, że szuka pracy i żebym dał mu znać, gdyby coś się trafiło. Akurat w Cambridge jest wolna posada, która moim zdaniem będzie dla niego idealna, ale pomyślałem, że najpierw omówię to z tobą.

- To bardzo uprzejme z twojej strony, Geoffrey. Może byśmy się spotkali, kiedy przyjadę do Londynu?

- Nie, nie - odparł Young. - Zawsze mogę wpaść do Godalming.

- Kiedy byś chciał?

- Czy najbliższy czwartek by ci odpowiadał?

- Oczywiście. Będziesz mógł zostać na noc?
- Dziękuję, chętnie, jeżeli to nie sprawi kłopotu.
- Choćbyś został przez miesiąc, nie sprawiłoby to żadnego kłopotu.

George nie mógł zasnąć pierwszej nocy w Nowym Jorku i to nie z powodu różnicy czasu, bo uporał się z nią pięciodniowy rejs przez Atlantyk. Po prostu nigdy jeszcze nie spędzał nocy w mieście, gdzie nie ustawał ruch uliczny i bezustannie wyły syreny samochodów policyjnych i karetek. Przypomnił mu się front zachodni.

W końcu się poddał, wstał z łóżka i usiadł przy olbrzymim biurku obok okna wychodzącego na Central Park. Przejrzał jeszcze raz tekst swojego wykładu, a potem sprawdził duże szklane przezroczka. Ucieszył się, że żadne nie pękło w czasie podróży z Anglii.

Wpadał w coraz większy niepokój, gdy myślał o swoim występie, który Keedick nazwał „premierą”. Wolał nie myśleć o konsekwencjach, jeżeli to będzie kłapa - inne z wyrażen Keedicka - chociaż agent zapewniał go, że tylko kilka miejsc nie zostało sprzedanych i że teraz ważne jest tylko to, jak „New York Times” oceni wykład. George pomyślał, że woli góry. One się nie martwią opinią „New York Timesa”.

Wśliznął się do łóżka dwie godziny później i wreszcie zasnął około czwartej nad ranem.

Ruth siedziała w swoim fotelu przy oknie i odczytywała pierwszy list Georgea z Ameryki. Roześmiała się, kiedy doszła do opisu samochodu i apartamentu prezydenckiego z centralnym ogrzewaniem, bo wiedziała, że George zadowoliliby się namiotem na dachu, ale wątpiła, żeby to było możliwe w hotelu Waldorf. Odwróciła stroniczkę i zmarszczyła brwi. Zmartwiło ją, że George tak bardzo przejmuje się swoim pierwszym wykładem. Zakończył list zapewnieniem, że napisze, jak go przyjęto, gdy wróci wieczorem do hotelu. Jakżeby Ruth pragnęła przeczytać tę recenzję w „New York Timesie”, zanim zobaczy ją George!

Ktoś zapukał do drzwi. George otworzył i ujrzał stojącego na korytarzu uśmiechniętego Lee Keedicka. Był jak zwykle w koszuli rozpiętej pod szyją, tym razem zielonej, za to w jasnoniebieskim garniturze, bardziej odpowiednim dla jakiegoś modnisia w Cambridge. Łańcuch na szyi nie był srebrny, lecz złoty, a buty z krokodylej skóry Lee zmienił na białe lakierki. George się uśmiechnął. Przy Lee Keedicku George Finch uchodziłby za eleganta.

- Wszystko dobrze, bracie? - zagadnął Keedick, wchodząc do pokoju.

- Niepokoję się - przyznał George.

- Nie trzeba - rzekł Lee. - Oni cię pokochają. Ciekawe spostrzeżenie, pomyślał George, zważywszy, że Keedick zna go zaledwie od kilku godzin i nigdy nie słyszał, jak przemawia. Ale już

zauważył, że Lee Keedick ma na podorędziu szablonowe odzywki i posługuje się nimi niezależnie od tego, kto jest jego klientem.

Przed hotelem stał Harry przy samochodzie. Otworzył drzwi z tyłu i George wskoczył do środka, o wiele bardziej zdenerwowany niż przed trudną wspinaczką. Nic nie mówił w trakcie jazdy i był wdzięczny, że Keedick milczy, chociaż dymem z cygara wypełnił wnętrze samochodu.

Gdy zajechali pod Broadhurst Theater, George zobaczył plakat zapowiadający jego wykład. Wybuchnął śmiechem.

Zarezerwuj teraz!

GEORGE MALLORY

Człowiek, który zdobył Everest w pojedynkę.

W przyszłym tygodniu Jack Benny

Uśmiechnął się, widząc zdjęcie grającego na skrzypcach młodego mężczyzny, zadowolony, że po nim wystąpi muzyk.

George stanął na chodniku; nogi mu się trzęsły i łomotało serce, jakby był o kilka metrów od szczytu. Keedick poprowadził swojego klienta boczną uliczką do wejścia na scenę, gdzie czekający pomocnik poszedł wraz z nimi kamiennymi schodami i zatrzymał się przed drzwiami oznaczonymi srebrną gwiazdą. Keedick odszedł, ale powiedział George'owi, że przyjdzie go zobaczyć, kiedy będzie miał wejść na scenę. George siedział sam w zimnej, z lekka cuchnącej stęchlizną garderobie oświetlonej kilkoma gołymi żarówkami

okalającymi wielkie lustro. Po raz ostatni powtórzył sobie wykład. Pierwszy raz w życiu miał ochotę wrócić przed osiągnięciem celu. Ktoś zastukał w drzwi.

- Jeszcze piętnaście minut - powiedział czyjś głos. George głęboko odetchnął. Parę chwil później do pokoju wszedł Keedick.

- Przedstawienie czas zacząć, kolego - rzekł.

Poprowadził George'a w dół kamiennymi schodami, potem ceglany korytarzem do kulis za sceną i zostawił tam, mówiąc:

- Powodzenia, bracie. Usiądę z przodu i będę ci kibicował.

George chodził tam i z powrotem, coraz bardziej zdenerwowany. Wprawdzie słyszał gwar dochodzący spoza kurtyny, ale nie miał pojęcia, jak wielu ludzi jest na widowni. Czy Keedick przesadzał, kiedy mówił, że nie sprzedano tylko kilku biletów?

Za pięć ósma przy George'u stanął mężczyzna w białym smokingu.

- Cześć, jestem Vince, konferansjer - powiedział. - Zapowiem cię. Czy twoje nazwisko jakoś specjalnie się wymawia?

Nikt przedtem nie zadał George'owi takiego pytania.

- Nie - odparł.

George rozejrzał się za kimś, kimkolwiek, do kogo mógłby się odezwać, gdy niespokojnie czekał, aż podniesie się kurtyna. Ucieszyłby się nawet na widok Keedicka. Pierwszy raz zrozumiał, co musiał przeżywać Raleigh, kiedy czekał na ścięcie. I nagle, bez ostrzeżenia, kurtyna poszła w górę, mężczyzna w białym smokingu wyszedł na scenę, postukał w mikrofon i obwieścił:

- Panie i panowie, mam przyjemność przedstawić George'a Mallory'ego, człowieka, który zdobył Everest. Przynajmniej nie powiedział „w pojedynkę”, pomyślał George, wchodząc na scenę z uczuciem, że brak mu powietrza. Ale burza oklasków prędko przywróciła go do życia.

George rozpoczął wykład niepewnie, po części dlatego, że nie widział publiczności, która zapewne gdzieś tam była, ale przy skierowanych na siebie reflektorach widział tylko pierwszy rząd. Jednak już po kilku minutach oswoił się z dziwną rolą, jaką mu narzucano - bardziej aktora niż prelegenta. Dodawały mu odwagi sporadycznie wybuchające oklaski, a nawet zrywający się od czasu do czasu śmiech. Po niezbyt gładkim początku mówił blisko godzinę. Dopiero kiedy poprosił o pytania i zapaliły się światła, zobaczył, jaka masa ludzi go słuchała.

Parter był niemal pełen, natomiast pierwszy balkon spowijał cień. George się cieszył, że tylu ludzi było chętnych do zadawania pytań i prędko się okazało, że wśród publiczności są wytrawni alpiniści i prawdziwi entuzjaści, których spostrzeżenia były wnikliwe i ważne. Jednak został niemal wyeliminowany - nie żeby sprawczyni, szczupła blondynka z trzeciego rzędu znała ten termin z krykieta.

- Czy mógłby pan nam powiedzieć, ile kosztuje przygotowanie takiej ekspedycji? - zapytała.

Minęło trochę czasu, zanim George udzielił odpowiedzi, i to nie dlatego, że jej nie znał.

- Nie mam pojęcia, proszę pani - wybąkał w końcu. - Sprawy finansowe są w gestii Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. Wiem jednak, że Towarzystwo ogłosi wkrótce zbiórkę, żeby zgromadzić fundusz na następną wyprawę, która wyruszy w Himalaje na początku przyszłego roku. Jej wyłącznym celem będzie zapewnienie, żeby członek zespołu - powstrzymał się w porę, by nie powiedzieć „Anglik” - stanął na szczycie.

- Czy ci z nas, którzy chcieliby wspomóc ten fundusz - dopytywała się młoda kobieta - mogą uznać za pewnik, że będzie pan członkiem zespołu, a w istocie jego kierownikiem?

George nie zwlekał z odpowiedzią.

- Nie, proszę pani. Obiecałem już żonie, że Towarzystwo będzie musiało poszukać kogoś innego, kto następnym razem pokieruje akcją górską.

Zdziwił się, gdy z widowni odezwały się pomruki rozczarowania, a nawet kilka stłumionych okrzyków: Wielka szkoda!

Po kolejnych dwóch pytaniach George nabrał animuszu i był nawet trochę zawiedziony, kiedy usłyszał zza kulis sceniczny szept Lee:

- Czas się zwijać, George.

George natychmiast się uklonił i szybko opuścił scenę. Zerwały się oklaski.

- Nie tak prędko - rzekł Keedick, wypychając go z powrotem na scenę, na co publiczność zareagowała śmiechem i jeszcze

głośniejszymi brawami. Keedick musiał wysyłać go na scenę jeszcze trzykrotnie, zanim ostatecznie opadła kurtyna.

- Świetnie ci poszło - powiedział Lee, kiedy usiedli z tyłu limuzyny. - Byłeś fantastyczny.

- Naprawdę tak myślisz? - spytał George.

- Nie mogło być lepiej - rzekł Lee. - Teraz musimy się tylko modlić, żebyś przypadł do gustu krytykom, tak jak publiczności. Przy okazji, czy kiedyś spotkałeś Estelle Harrington?

- Estelle Harrington? - zdziwił się George.

- To ta pani, która pytała, czy poprowadzisz następną wyprawę.

- Nie, nigdy w życiu jej nie widziałem - odparł George. - Dlaczego pytasz?

- Mówi się na nią kartonowa wdówka - rzekł Lee. - Jej zmarły mąż Jake Harrington, wynalazca tekturowego pudełka, zostawił jej tyle pieniędzy, że nie potrafi ich policzyć. - Lee głęboko się zaciągnął i wydmuchnął chmurę dymu. - Czytałem o niej kupę bredni w rubrykach plotkarskich, ale do głowy by mi nie przyszło, że ona interesuje się wspinaczką. Gdyby miała ochotę sponsorować twój cykl wykładów, nie musielibyśmy się martwić o to, co napisze „New York Times”.

- Czy to takie ważne? - spytał George.

- Ważniejsze niż wszystkie inne gazety do kupy.

- To kiedy ogłoszą werdykt?

- Za kilka godzin - odparł Lee, wypuszczając następny kłęb dymu.

Rozdział 48

- Stowarzyszenie Oświaty Robotniczej - powiedział Geoffrey Young, kiedy spacerowali w ogrodzie.

- Pierwsze słyszę - zauważyła Ruth.

- Zostało założone w zaraniu ruchu związkowego i jego celem jest pomoc ludziom, którzy nie mieli szans przyzwoitego wykształcenia w młodości, ale mogą je uzupełnić w późniejszych latach.

- To by się zgadzało z „fabiańskimi” ideami George’a.

- Według mnie - rzekł Geoffrey - to praca jak dla niego stworzona. Dzięki niej mógłby połączyć swoje doświadczenie pedagogiczne z poglądami na politykę i oświatę.

- Ale czy to by oznaczało konieczność przeprowadzki do Cambridge?

- Obawiam się, że tak. Ale to nie jest najgorsze miejsce do życia - odpowiedział Geoffrey. - I nie zapominaj, że George wciąż ma tam mnóstwo przyjaciół.

- Chyba powinnam cię uprzedzić, że George coraz bardziej się martwi swoją trudną sytuacją finansową, jak to zwie. W swoim ostatnim liście napomknął, że w Ameryce nie wie mu się tak dobrze, jak na to liczył.

- Przykro mi to słyszeć - rzekł Young. - Ale wiem, że podstawowa pensja na tym stanowisku wynosi trzysta pięćdziesiąt

funtów rocznie z możliwością zarobienia stu pięćdziesięciu funtów za dodatkowe lekcje, co razem wyniosłoby około pięciuset.

- W takim razie - powiedziała Ruth - George na pewno skorzysta z tej okazji. Kiedy miałyby zacząć?

- Nie wcześniej niż we wrześniu przyszłego roku - rzekł Young.

- Co by znaczyło, jeżeli mogę o tym wspomnieć, że George mógłby nawet rozważyć...

- Nie teraz, Geoffrey - powiedziała Ruth, kiedy zawrócili w stronę domu. - Porozmawiajmy o tej szczególnej sprawie przy kolacji. Teraz się rozpakuj, a potem przyjdź do mnie do salonu około siódmej.

- Nie musimy o tym mówić, Ruth.

- O, tak, musimy - odparła, kiedy zbliżali się do domu.

- Taxi! - zawołał Keedick, a gdy samochód zahamował z piskiem opon, otworzył drzwi swojemu klientowi. Harry'ego ani jego limuzyny nie było widać na horyzoncie.

- A więc, jest źle? - zagadnął George, opadając na siedzenie z tyłu.

- Nie najlepiej - przyznał Lee. - Mimo że „New York Times” dobrze o tobie napisał, rezerwacje poza miastem są - wyjrzał przez okno - nazwijmy to, rozczarowujące, ale za to zdobyłeś przynajmniej jedną ważną, entuzjastycznie nastawioną osobę.

- O kim mówisz?

- Daj spokój, George, chyba zauważyłeś, że Estelle Harrington pojawiała się na każdym twoim wykładzie. Mogę się założyć o dużą forszę, że dziś też się stawi.

- Hmm, przynajmniej na dzisiejszy wykład bilety są wyprzedane - powiedział George, nie chcąc się rozwodzić na temat zawsze obecnej pani Harrington.

- Wyprzedane to niewłaściwe określenie - zauważył Lee. - Nie chcieli podpisać umowy, jeżeli się nie zgodzimy wpuścić studentów gratis... mierzi mnie to słowo.

- A co z Baltimore i Filadelfią? - spytał George, gdy taksówka skręciła z głównej drogi na campus uczelni, którą George zawsze chciał odwiedzić, ale nigdy sobie nie wyobrażał, że będzie tam wygłaszał wykład.

- Żałuję, bracie - odparł Lee, wydmuchnąwszy dym z cygara - ale musiałem odwołać te wykłady, bobyśmy stracili te trochę forsy, cośmy uciuli.

- To aż tak źle? - dopytywał się George.

- Nawet gorzej. Niestety, musieliśmy skrócić cykl wykładów. Już ci zarezerwowałem bilet na parowiec Saxonia, który odpływa z Nowego Jorku w poniedziałek.

- Ale to znaczy...

- George, to będzie twój ostatni wykład, więc postaraj się dobrze wypaść.

- To ile zarobiliśmy? - spytał cicho George.

- Nie potrafię ci w tej chwili podać dokładnej sumy - rzekł Lee, kiedy taksówka zajęła pod prywatne mieszkanie rektora Harvardu.
- Są jeszcze pewne drobne wydatki, które muszę wziąć pod uwagę.

George pomyślał o liście, który nadszedł do The Holt dzień przed jego wyjazdem. Gdy Hinks się dowie, że wykłady nie przyniosły przewidywanego dochodu, to czy zaproszenie Towarzystwa, żeby George wygłosił doroczny wykład, nie zostanie odwołane? Może lepiej nie przyjąć zaproszenia i nie stawiać Towarzystwa w kłopotliwej sytuacji?

- Przez cały wieczór unikasz tego tematu - powiedziała Ruth, prowadząc Younga do salonu.

- Ale kolacja była taka znakomita - bronił się Geoffrey, usiadłszy na sofie. - A z ciebie tak wspaniała gospodyni.

- A ty jesteś starym pochlebcą, Geoffrey - rzekła Ruth, podając mu filiżankę kawy. Usiadła na fotelu naprzeciwko gościa. - A więc, masz nadzieję, że przekonasz mnie, że George powinien ponownie rozważyć sprawę pokierowania zespołem wspinaczy w następnej wyprawie w Himalaje? Bo ja wcale nie jestem przekonana, że on tego naprawdę pragnie.

- Czy jesteśmy oboje wobec siebie szczerzy? - spytał Geoffrey.

- Tak, oczywiście - odparła Ruth, trochę zaskoczona.

- Kiedy George do mnie napisał tuż przed odpłynięciem do Stanów, wyraźnie zaznaczył, że chciałby jeszcze raz spróbować spełnić swoje szalone marzenie.

- Ale... - zaczęła Ruth.

- Napisał też, że nawet nie pomyśli o tym, żeby się znów z tobą rozstać, jeżeli nie będzie miał twojego całkowitego poparcia.

- Ale on mi już powiedział, że w żadnym wypadku tam nie wróci.

- Zaklinał mnie, żebym ci nie mówił, co naprawdę czuje. A ja zawiódłem jego zaufanie.

- Czy podał ci jeden dobry powód, dlaczego chciałby znów to wszystko przeżyć? - spytała Ruth.

- Poza tym oczywistym? Pomyśl o dodatkowych pieniądzach, jakie by zyskał w razie sukcesu.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że on nie robi tego dla pieniędzy.

- Sama mi przypomniałaś, że niepokoi się swoją obecną sytuacją finansową.

Ruth przez pewien czas milczała.

- Jeślibym się zgodziła skłamać George'owi o tym, co naprawdę czuję - odezwała się w końcu - a to by było kłamstwo, to musisz mi obiecać, że to będzie ostatni raz.

- Musi być - rzekł Geoffrey. - Gdyby George podjął pracę dyrektora Stowarzyszenia Oświaty Robotniczej, zarząd by się nie zgodził, żeby zniknął na sześć miesięcy. I szczerze mówiąc, będzie za stary, kiedy Towarzystwo zdecyduje się zorganizować jeszcze jedną wyprawę.

- Gdybym mogła się kogoś poradzić!

- Czemu nie zasięgniesz opinii jedynej osoby, która doskonale zrozumie, co przeżywasz?

- O kim myślisz?

Kiedy Young jej powiedział, Ruth tylko spytała:

- Myślisz, że zgodziłaby się ze mną zobaczyć?

- O, tak. Ona się spotka z żoną Mallory'ego z Everestu.

George od razu poznał atrakcyjną kobietę, która gawędziła z Keedickiem na drugim końcu sali. Trudno byłoby o niej zapomnieć.

- Gratuluję panu, to było nadzwyczaj inspirujące - zwrócił się do George'a rektor Harvardu. - Nadzwyczaj. Czy mogę dodać, że mam nadzieję, iż odniesie pan sukces następnym razem?

- Dziękuję, panie rektorze - odpowiedział Lowellowi George, nie siląc się na powtarzanie, że nie wybiera się na następną wyprawę.
- I pozwolę sobie podziękować panu za to przyjęcie.

- Cała przyjemność po mojej stronie - zapewnił go rektor. - Tylko mi przykro, że z powodu prohibicji nie mogę panu zaproponować nic poza sokiem pomarańczowym i coca-colą.

- Wystarczy sok pomarańczowy, dziękuję.

- Wiem, że wielu studentów nie może się doczekać, żeby zadać panu pytanie - rzekł rektor - więc nie będę pana absorbował. - Odwrócił się i podszedł do kobiety, z którą rozmawiał Keedick.

George'a natychmiast otoczyli studenci o młodych, przejętych twarzach, co mu przypomniało jego czasy w Cambridge.

- Czy ma pan jeszcze wszystkie palce u nóg? - zapytał młody człowiek, spoglądając na stopy George'a.

- Były tam, kiedy kąpałem się dziś rano - odparł George ze śmiechem. - Ale mój przyjaciel Morshead stracił dwa palce u rąk i jeden u nóg, a biednemu kapitanowi Nortonowi trzeba było odciąć nożyczkami pół ucha, kiedy ustanowił nowy rekord wysokości.

- Proszę pana - spytał ktoś z tyłu - czy są w Ameryce góry, które mogłyby być dla pana wyzwaniem?

- Oczywiście - powiedział George. - Mogę pana zapewnić, że McKinley stanowi równie trudne wyzwanie jak góry w Himalajach, a w Yosemite Valley jest kilka szczytów, których zdobycie byłoby sprawdzianem dla najbardziej doświadczonego wspinacza. Jeżeli interesuje pana wspinaczka skalna, nie musi pan szukać dalej niż w Utah i Colorado, jeżeli chce się pan przekonać, na co pana stać.

- Panie Mallory, jest coś, co zawsze mnie intrygowało - odezwał się poważnie wyglądający młody człowiek. - Po co drapać się na tę górę?

Rektor, który właśnie stanął przy George'u, kaszlnął, usiłując ukryć zakłopotanie.

- Odpowiedź jest prosta - rzekł George. - Bo tam jest. - Ale...

- Przepraszam, że przerywam - wtrącił się Lowell - lecz wiem, że pani Harrington zależy, żeby z panem porozmawiać. Jej nieżyjący mąż był absolwentem tego uniwersytetu i jego nader hojnym dobroczyńcą.

George się uśmiechnął, witając się z młodą kobietą, która w Nowym Jorku spytała go o fundusze ekspedycji i od tej pory była obecna na każdym jego wykładzie. Nie wyglądała na o wiele starszą od niektórych studentek i George uznał, że musiała być co najmniej trzecią z kolei panią Harrington, chyba że kartonowy król, jak mówił o nim Keedick, ożenił się pod koniec życia.

- Przyznaję, Estelle - rzekł rektor - że nie miałem pojęcia, że interesujesz się wspinaniem.

- Kto by się oparł charyzmatowi pana Mallory'ego? George pierwszy raz usłyszał to słowo tak użyte i postanowił, że zajrzy do słownika i sprawdzi, czy ma drugie znaczenie.

- I naturalnie wszyscy mamy nadzieję - ciągnęła Estelle - że będzie pierwszym człowiekiem, który stanie na szczycie swojej góry, a potem wróci i opowie nam, jak było.

George się uśmiechnął i lekko się skłonił.

- Jak już wyjaśniłem w Nowym Jorku, nie będę...

- Czy to prawda - ciągnęła pani Harrington, widać niezwykajna, żeby jej przerywano - że to był ostatni wykład przed pańskim powrotem do Anglii?

- Obawiam się, że tak - odrzekł George. - Jutro po południu jadę pociągiem do Nowego Jorku, a następnego dnia rano odpływam do Southampton.

- A zatem, skoro będzie pan w Nowym Jorku, to może zechciałby pan jutro wieczorem wpaść do mnie na drinka?

- To ogromnie miło z pani strony, ale niestety...

- Widzi pan, mój mąż był bardzo hojnym dobroczyńcą i jestem pewna, że życzyłby sobie, abym ofiarowała pokaźną sumę na pański cel.

- Pokażną? - powtórzył George.

- Myślałam - zawiesiła głos - o dziesięciu tysiącach dolarów.

Dopiero po dłuższej chwili George powiedział:

- Ale ja nie będę w Nowym Jorku przed siódmą wieczór.

- Wobec tego przyślę samochód, żeby zabrał pana z hotelu o ósmej. I, George, mów mi Estelle.

Kiedy sprzątnięto po śniadaniu i niania zabrała dzieci na poranny spacer, Ruth przeszła do salonu. Usiadła przy oknie w swoim ulubionym dwustronnie osłoniętym fotelu i otworzyła ostatni list George'a.

22 marca 1923

Najdroższa Ruth,

Siedzę w pociągu jadącym z Bostonu do Nowego Jorku. Dla odmiany trochę dobrych wiadomości. Harvard spełnił wszystkie moje nadzieje. Nie dość, że Aula Tafta była wypełniona po brzegi - pękała w szwach, jak powiedział Keedick - to studenci i wykładowcy powitali mnie bardzo serdecznie.

Po przyjęciu u rektora wyszedłem w doskonałym nastroju, chociaż nie piłem nic prócz soku pomarańczowego ze względu na prohibicję. Ale kiedy się zbudziłem dziś rano, rzeczywistość znów mnie dopadła. Mój cykl wykładów został skrócony i wrócę do Anglii dużo wcześniej, niż się spodziewano. Szkoda, że Cię nie namówiłem,

żebyś tu ze mną przyjechała, bo cała wycieczka trwała krócej niż miesiąc. Weź pod uwagę, że nasze krótkie wakacje w Wenecji były niezapomniane, chociaż obeszło się bez wspinaczki na dzwonnice świętego Marka. Piszę, żeby Cię uprzedzić, że wracam w przyszłym tygodniu. Zadepeszuję ze statku i podam szczegółowo, kiedy przyplniemy do Southampton.

Druga dobra wiadomość jest taka, że dziś wieczór w Nowym Jorku będę miał jeszcze ostatnią szansę powiększenia funduszy Towarzystwa.

Skrócenie mojej podróży ma jedną dobrą stronę, tę mianowicie, że zobaczę Ciebie i dzieci wcześniej, niż się spodziewałem. Ale wracajmy do rzeczywistości. Pierwsze, co muszę zrobić, kiedy wrócę, to zacząć rozglądać się za pracą.

Do rychłego zobaczenia, najdroższa.

Twój kochający mąż George

Ruth się uśmiechnęła, wsunęła list z powrotem do koperty i włożyła do górnej szuflady biurka, razem z wszystkimi listami, które George pisał do niej w ciągu wielu lat. Spojrzała na zegar na kominku. Do odjazdu pociągu do Londynu miała jeszcze godzinę, ale czuła, że powinna wcześniej wyruszyć na stację w Godalming, gdyż na to spotkanie nie wolno się jej spóźnić.

Rozdział 49

George zastukał do drzwi domu o fasadzie z brunatnego piaskowca na Sześćdziesiątej Czwartej Zachodniej Ulicy kilka minut przed dziewiątą. Kamedyner w czarnym fraku i białej muszce otworzył drzwi.

- Dobry wieczór panu. Pani Harrington pana oczekuje. George'a zaprowadzono do salonu, gdzie ujrzał panią Harrington stojącą przy kominku, nad którym wisiał obraz olejny Bonnarda przedstawiający nagą kobietę wychodzącą z kąpieli. Pani domu miała na sobie jaskrawoczerwoną jedwabną sukienkę, ledwo sięgającą kolan. Na jej palcach nie było śladu zaręczynowego pierścionka czy obrączki, za to na szyi miała brylantowy naszyjnik, a na przegubie taką samą bransoletkę.

- Dziękuję, Dawkins - rzuciła pani Harrington. - To wszystko. - Zanim kamedyner zbliżył się do drzwi, dodała: - Nie będę cię więcej potrzebowała dziś wieczór.

- Jak pani sobie życzy - rzekł kamedyner, uklonił się i zamknął drzwi.

George by przysiągł, że słyszał klucz obracający się w zamku.

- Siadaj, proszę, George - powiedziała pani Harrington, wskazując mu sofę. - I pozwól, że naleję ci czegoś do picia. Na co masz ochotę?

- Przypuszczam, że to musi być sok pomarańczowy - rzekł George.

- Ależ skąd - zaprzeczyła pani Harrington.

Podążyła na drugą stronę salonu, dotknęła oprawnego w skórę tomu Ciężkie czasy i szafa na książki natychmiast się obróciła i zamieniła w barek.

- Whisky z sodą? - podsunęła.

- Czy jest coś, czego pani o mnie nie wie? - zapytał George z uśmiechem.

- Jednej albo dwóch rzeczy - odrzekła pani Harrington, usiadłszy koło niego na sofie, przy czym sukienka uniosła się jej sporo powyżej kolan. - Ale raz-dwa mogę to nadrobić.

George nerwowo dotknął krawata.

- A teraz powiedz mi, George, jak moja skromna darowizna może pomóc w waszej następnej wyprawie?

- Prawdę mówiąc - rzekł George, pociągnąwszy łyk szkockiej whisky (to był nawet jego ulubiony gatunek) - potrzebujemy każdego pensa, który wpadnie nam w ręce. Z ostatniej wyprawy wyciągnęliśmy nauczkę, że nie byliśmy odpowiednio przygotowani. Z takim samym problemem spotkał się kapitan Scott podczas ekspedycji na biegun południowy i w rezultacie stracił życie i on, i reszta zespołu polarnego. Ja nie chcę narażać moich kolegów na takie ryzyko.

- George, jesteś taki poważny - powiedziała pani Harrington, przechylając się i klepiąc go po udzie.

- Bo to poważne przedsięwzięcie, proszę pani.

- Mów mi Estelle - poprosiła. Założyła nogę na nogę, odsłaniając górę czarnych pończoch. - Czy myślisz, że tym razem wejdiesz na szczyt?

- Możliwe, ale zawsze potrzebny jest łut szczęścia - odparł George. - I dobra pogoda. Jeśli zdarzą się trzy, a choćby i dwa bezchmurne, bezwietrzne dni, wtedy można liczyć na sukces. Akurat kiedy myślałem, że mam szansę, niestety spotkała mnie katastrofa.

- Mam nadzieję, że jak mnie trafi się szansa - rzekła pani Harrington - to nie spotka mnie katastrofa.

Jej ręka spoczywała teraz na udzie George'a. Jego twarz oblał rumieniec koloru sukienki pani Harrington i George uznał, że czas rozejrzeć się za drogą ucieczki.

- Nie trzeba się denerwować, George. To tylko mała przygoda, o której nikt nie powinien się dowiedzieć. I z pewnością nie musi się skończyć katastrofą.

George chciał wstać i wyjść, kiedy dodała:

- A kiedy staniesz na szczycie swojej góry... a jestem pewna, że ci się to uda... wtedy pomyśl o mnie.

Wyciągnęła z rękawa świstek papieru, rozwinęła i położyła na stoliku. George spojrział na czek i przeczytał: „Wypłacić: Królewskiemu Towarzystwu Geograficznemu 10 000 dolarów”. Pomyślał o Hinksie i nie wstał.

- Teraz, George, przemyśl to przez chwilę, a ja narzucę na siebie coś swobodniejszego. Zrób sobie drinka w tym czasie. Ja piję dzin z tonikiem.

George schwycił czek i miał go włożyć do portfela, kiedy zobaczył rozek małej fotografii, wystający spomiędzy dwóch banknotów dolarowych. Wyciągnął zdjęcie Ruth, które zrobił jej w

czasie podróży poślubnej i zawsze miał ze sobą, gdy wyjeżdżał. Uśmiechnął się, wsadził zdjęcie z powrotem do portfela i przedarł czek na pół. Podeszedł do drzwi i powoli przekręcił klamkę, ale okazało się, że drzwi są zamknięte na klucz. Jaka szkoda, pomyślał, że Towarzystwo nie wysłało Fincha z wykładami do Ameryki, bo wtedy fundusze powiększyłyby się o dziesięć tysięcy dolarów, a pani Harrington z pewnością uznałaby to za udaną inwestycję.

George przeciął pokój, odsunął zasuwkę i cicho otworzył okno. Wystawił głowę na zewnątrz i poszukał możliwie najlepszej drogi. Z zadowoleniem stwierdził, że fasadę budynku tworzą duże, chropowate kamienne płyty, równomiernie rozmieszczone. Postawił stopę na gzymsie i wolno opuszczał się w dół, a gdy był półtora metra nad ziemią, zeskoczył i szybko przeszedł na drugą stronę ulicy. Wiedział, że wspinacz nigdy nie powinien oglądać się do tyłu, ale nie mógł się oprzeć pokusie. W otwartym oknie na wysokim piętrze stała piękna kobieta w przejrzystym peniuarze nie pozostawiającym pola dla wyobraźni.

- Psiakrew - zaklął George, przypominając sobie, że nie kupił prezentu dla Ruth.

Ruth delikatnie zapukała do frontowych drzwi budynku numer 37 na Tite Street; po chwili otworzyła je pokojówka, która dygnęła i powiedziała:

- Dzień dobry pani. Zechce pani pójść za mną.

Kiedy Ruth weszła do salonu, zastała panią domu przy kominku, nad którym wisiał obraz olejny przedstawiający jej nieżyjącego męża w drodze do bieguna południowego. Była w prostej, długiej czarnej sukni, nieumalowana i bez biżuterii, nie licząc pierścionka zaręczynowego i obrączki.

- Jakże miło panią widzieć, pani Mallory - powiedziała Kathleen Scott, gdy uściśniły sobie ręce. - Proszę usiąść tu koło mnie, przy kominku - dodała, wskazując Ruth wygodny fotel.

- To bardzo uprzejme z pani strony, że zgodziła się pani ze mną zobaczyć - rzekła Ruth.

Gdy usiadła, pojawiła się znowu pokojówka z herbatą i ciasteczkami na srebrnej tacy, którą postawiła na stoliku obok gospodyni.

- Zostaw nas, Millie - poleciła wdowa po kapitanie Scotcie. - I proszę, żeby mi nie przeszkadzano.

- Tak, oczywiście, milady - rzekła pokojówka, wyszła z pokoju i cicho zamknęła za sobą drzwi.

- Woli pani indyjską czy chińską herbatę?

- Proszę indyjską.

- Mleko i cukier?

- Dziękuję, tylko mleko - powiedziała Ruth.

Pani Scott dopełniła małego obrzędu i podała gościowi filiżankę herbaty.

- Zaintrygował mnie pani list - oznajmiła. - Nadmieniła pani, że pragnie pomówić ze mną o sprawie osobistej.

- Tak - powiedziała niepewnie Ruth. - Potrzebuję pani rady.

Pani domu skinęła głową i serdecznie się do niej uśmiechnęła.

- Mój mąż - zaczęła Ruth - obecnie objeżdża Stany Zjednoczone z cyklem wykładów i lada chwila wróci do kraju. Wprawdzie kilka razy mi mówił, że nie chce prowadzić następnej wyprawy na Everest, lecz nie wątpię, że w rzeczywistości tego pragnie.

- A co pani sądzi o jego powrocie w Himalaje?

- Najpierw długo był nieobecny podczas wojny, potem wyjechał z wyprawą na Everest, a teraz wybrał się w podróż do Ameryki i naprawdę nie chcę, żeby znowu opuścił nas na sześć miesięcy.

- Rozumiem to, moja droga. Con był taki sam... całkiem jak dziecko, nigdy nie mógł usiedzieć w jednym miejscu dłużej niż kilka miesięcy.

- Czy kiedy pytał, co pani czuje?

- Nieustannie, ale ja wiedziałam, że pragnie tylko, aby mu dodać otuchy, więc mu mówiłam, co chciał usłyszeć, mianowicie, że uważam, że postępuje słusznie.

- I tak pani uważała?

- Nie zawsze - przyznała starsza kobieta z westchnieniem. - Ale chociaż bardzo pragnęłam, żeby został w domu i wiódł zwyczajne życie, to nie było możliwe, bo tak jak pani mąż, Con nie był zwyczajnym mężczyzną.

- Z pewnością teraz pani żałuje, że nie mówiła mu pani, co naprawdę myśli.

- Nie, nie żałuję. Uważam, że lepiej było spędzić dwa lata z jednym z najbardziej fascynujących mężczyzn na ziemi niż czterdzieści z kimś, kto myślałby, że nie pozwoliłam mu spełnić jego marzenia. Ruth usiłowała zebrać myśli.

- Mogę znieść myśl, że rozstanę się z George'em na sześć miesięcy. - Milczała chwilę. - Ale nie do końca życia.

- Nikt tego lepiej nie rozumie niż ja. Ale pani mąż nie jest tuzinkowym człowiekiem i jestem pewna, że pani wiedziała o jego nadrzędnej ambicji na długo przedtem, nim zgodziła się zostać jego żoną.

- Tak, wiedziałam, lecz...

- Więc nie może pani, a nawet pani nie wolno, stanąć na drodze jego przeznaczenia. Gdyby miał ujrzeć, że jakiś człowiek mniejszego formatu osiąga jego wymarzony cel, żałowałyby pani tego do końca życia.

- Ale czy moim przeznaczeniem musi być spędzenie reszty życia bez niego? - spytała Ruth. - Gdyby tylko wiedział, jak go ubóstwiam...

- Zapewniam panią, że wie, bo w przeciwnym wypadku nie poprosiłaby pani o spotkanie ze mną. I ponieważ wie, musi go pani przekonać, że pani zdaniem poprowadzenie wyprawy jest jego obowiązkiem. A potem, moja droga, może się pani tylko modlić o jego szczęśliwy powrót.

Ruth podniosła głowę, twarz miała zalaną łzami.

- Ale pani mąż nie powrócił.

- Gdybym mogła cofnąć czas - padła cicha odpowiedź - i Con by mnie spytał: Czy masz coś przeciwko temu, żebym znowu pojechał, staruszko? odpowiedziałabym tak jak trzynaście lat, jeden miesiąc i sześć dni wcześniej: Nie, kochanie, oczywiście, że nie. Ale pamiętaj wziąć tym razem grube wełniane skarpety.

Nazajutrz przed szóstą rano George był już na nogach, spakowany i gotów do wyjścia. Przy wymeldowywaniu z hotelu nie zdziwił się, że Keedick nie uregulował rachunku. Na szczęście George spędził ostatnią noc w pojedynczym pokoju w pensjonacie na Lower East Side, a nie w apartamencie prezydenckim w hotelu Waldorf.

Kiedy znalazł się na ulicy, nie zatrzymał taksówki, nie tylko z jednego powodu. Przemierzał marszem czterdzieści przecznic, z walizką w każdej ręce, klucząc między nowojorczykami, przedzierając się przez tętniącą życiem dżunglę Manhattanu.

Gdy dotarł na nabrzeże godzinę później, zobaczył Keedicka stojącego przy schodni statku z cygarem w ustach, uśmiechem przyklejonym do twarzy i gotową stosowną odzywką:

- George, jak się wdrapiesz na szczyt tej twojej góry, przekreśl do mnie, to dopiero będzie bomba.

- Dziękuję, Lee - powiedział George i po chwili wahania dodał: - za niezapomniane wrażenia.

- Cała przyjemność po mojej stronie - rzekł Keedick i wyciągnął rękę. - Cieszę się, że mogłem pomóc.

George uściskał mu dłoń i już wspiał się na schodnię, kiedy Keedick zawołał:

- Hej, nie odchodź bez tego! - W ręku trzymał kopertę. George się odwrócił i zszedł na dół, za czym wcale nie przepadał.

- To twoja część zysków, stary - powiedział Lee, próbując naśladować angielski akcent George'a. - Pięćdziesiąt procent, jak było uzgodnione.

- Dziękuję - rzekł George i wsadził kopertę do kieszeni. Nie zamierzał otwierać jej w obecności Keedicka.

Gdy George wybrał się na poszukiwania swojej koi, z zaskoczeniem odkrył, że umieszczono go w trzeciej klasie, cztery poziomy poniżej głównego pokładu, i że wraz z innymi trzema pasażerami dzieli kabinę niewiele większą od jego namiotu na Przełęczy Północnej. Przestał się rozpakowywać, gdy usłyszał pierwszy dźwięk syreny mgłowej obwieszczającej, że odpływają, i wybiegł na pokład, żeby obserwować, jak statek powoli wychodzi z portu. I znów wsparł się o poręcz nadburcia i omiół wzrokiem nabrzeże; teraz przyjaciele i rodziny machały odpływającym na pożegnanie. Nie zadał sobie trudu, żeby wypatrywać Keedicka, który na pewno dawno temu odszedł. George obserwował, jak gigantyczne drapacze chmur stają się coraz mniejsze, a gdy Statua Wolności była już niewidoczna, uznał, że pora zmierzyć się z rzeczywistością.

Wyjął z kieszeni kopertę, rozdarł ją i wyciągnął czek.
„Wypłacić: Królewskiemu Towarzystwu Geograficznemu 48

dolarów”. Uśmiechnął się i przez chwilę pomyślał o Estelle, ale tylko przez chwilę.

KSIĘGA SIÓDMA PRZYWILEJ KOBIECY

Rozdział 50

Spacerowali Kings Parade, trzymając się za ręce, i wyglądali jak para studencka.

- Powiedz wreszcie - poprosiła Ruth - jak ci poszła rozmowa?

- Chyba nie mogło być lepiej - rzekł George. - Wydawało się, że się zgadzają z moimi poglądami na temat szkolnictwa wyższego, i nie protestowali, kiedy wspomniałem, że czas przyznawać stopnie naukowe kobietom, które studiują na tych samych kierunkach co mężczyźni.

- Najwyższy czas - zgodziła się Ruth. - Nawet Oksford zdołał się uporać z tym problemem.

- Może potrzebna będzie następna wojna światowa, zanim Cambridge się ugnie - zauważył George, gdy minęło ich dwóch stetryczalnych nauczycieli akademickich.

- Więc myślisz, że masz szansę na tę pracę? Czy są jeszcze inni kandydaci czekający na rozmowę?

- Nie sędzę - rzekł George. - W gruncie rzeczy Young mnie przekonał, że jestem jedynym liczącym się kandydatem, a

przewodniczący komisji kwalifikacyjnej zdradził się, gdy spytał, czy mogę przystąpić do pracy we wrześniu przyszłego roku.

- To cudownie - ucieszyła się Ruth. - Gratuluję, kochanie.

- A czy rozstanie się z dotychczasowym miejscem i przeprowadzka nie będzie dla ciebie utrapieniem?

- Ależ skąd - odparła Ruth. - Nie wyobrażam sobie lepszego miejsca pod kątem wychowania dzieci, a poza tym wciąż masz tutaj tylu przyjaciół. Cieszymy się, że cię potrzebują dopiero od września przyszłego roku, bo dzięki temu będę miała dość czasu, żeby rozejrzeć się za nowym domem i zaplanować przeprowadzkę, kiedy ciebie nie będzie.

- Kiedy mnie nie będzie? - powiedział George ze zdziwieniem.

- Tak, bo jeżeli masz zacząć pracować dopiero w przyszłym roku, to nie widzę przeszkód, żebyś pojechał i wspiał się na tę swoją górę.

George spojrział na nią, jakby nie wierzył własnym uszom.

- Czy mówisz mi, kochanie - w końcu wybąkał - że nie miałabyś nic przeciwko temu, gdybym się zgłosił na następną wyprawę?

- Wręcz przeciwnie, ucieszyłabym się - powiedziała Ruth. - Wolałabym, żebyś się nie kręcił miesiącami po domu zły jak osa i na pewno nie chciałabym być koło ciebie, gdyby to w końcu Finch stanął na szczycie twojej góry, a ty mógłbyś mu tylko wysłać telegram z gratulacjami. Oczywiście - ciągnęła - możliwe, że nie zechcą ci zaproponować miejsca w zespole wspinaczy.

- A to dlaczego? - zdziwił się George.

- Cóż, ciągle wyglądasz na studenta, kochanie, czasem nawet tak się zachowujesz, ale jeżeli zajrzą do twojego życiorysu, prędko się połapią, że nie jesteś złotodziobem. Więc lepiej się pośpiesz i powiadom ich, że jesteś do wzięcia, bo to niewątpliwie będzie twoja ostatnia szansa.

- Ach, ty zuchwała mała kokietko - powiedział George. - Nie wiem, czy cię pocałować, czy ci przyłożyć. Chyba jednak cię pocałuję.

Kiedy wypuścił ją z objęć, powiedziała tylko:

- Już panu kiedyś mówiłam, panie Mallory, co myślę o całowaniu przy ludziach.

Nie pamiętała, kiedy ostatnio widziała go tak uradowanego.

- Dziękuję ci, kochanie - powiedział. - Co za ulga, że wiem, co naprawdę myślisz o rym, żebym ostatni raz spróbował wejść na Everest.

Ruth była zadowolona, że George znów ją objął, bo się bała, że mógłby jej spojrzeć w oczy i odkryć, co naprawdę czuje.

Nikt się nie zdziwił, gdy George się spóźnił na przyjęcie urodzinowe brata, ale jego siostra Mary zmyła mu głowę, gdy się wydało, że prezent dla Trafforda zostawił w domu.

- Co to takiego? - zapytała Mary. - Czy tego też nie pamiętasz?

- Zegarek - odparł George. - Kupiłem go, kiedy ostatnio byłem w Szwajcarii.

- To zaskakujący wybór, skoro wiadomo, że jest to przedmiot, którym się specjalnie nie interesowałeś przez minione trzydzieści siedem lat - powiedziała, akurat kiedy podszedł do nich Trafford.

- Mogę go sobie zabrać w Boże Narodzenie - rzekł Trafford. - Tak samo jak w zeszłym roku - dodał z uśmiechem. - Ale mam ważniejszą sprawę. Muszę rozstrzygnąć spór między Cottie i mamą na temat tego, jaki najwyższy punkt osiągnął George na Evereście.

George spojrział na drugą stronę pokoju i zobaczył Cottie gawędzącą z mężczyzną, którego nie znał. Nie widział jej od czasu, kiedy byli na wystawie Moneta w Królewskiej Akademii rok albo dwa lata wcześniej. Obdarzyła go znajomym uśmiechem, który pamiętał z czasów wspólnej wspinaczki, i poczuł się winny, że nie odezwał się do niej od czasu bankructwa jej ojca. Co prawda nie mógłby jej pomóc finansowo, lecz...

- Osiem tysięcy trzysta dziewięćdziesiąt siedem metrów z naddatkiem - stwierdziła Mary - o czym wie każde dziecko.

- Tak wysoko jeszcze nigdy nie doleciał żaden pilot - rzekł Trafford. - Bo inaczej spróbowałbym wylądować na szczycie tej piekielnej góry.

- To by nam oszczędziło masę kłopotów - powiedział, obracając się, George. - A na razie ktoś wciąż będzie musiał piąć się w górę w pocie czoła.

Trafford się roześmiał.

- Jak się wiedzie Cottie? - zagadnął George. - Czy nadal musi pracować, żeby się utrzymać?

- Tak - powiedziała Mary. - Ale na szczęście już nie za ladą u Woolwortha.

- Dlaczego? - zainteresował się Trafford. - Zrobili ją kierowniczką?

- Nie - odparła Mary, śmiejąc się. - Właśnie wydała swoją pierwszą książkę i zebrała bardzo dobre recenzje.

George'a ogarnęło jeszcze większe poczucie winy.

- Muszę wziąć egzemplarz na następną wyprawę - rzucił bez zastanowienia.

- Na następną wyprawę? - zdziwił się Trafford. - Myślałem, że postanowiłeś nie brać udziału w następnej wyprawie na Everest.

- Czy Cottie może się utrzymać z pisania? - zapytał George, unikając odpowiedzi na pytanie brata. - Ja dostałem tylko marne trzydzieści dwa funty za moją książkę o Boswellu.

- Cottie napisała romans, a nie nudną biografię - zauważyła Mary. - Co więcej, wydawcy zaproponowali jej umowę na trzy książki, więc ktoś musi w nią wierzyć.

- Może jeszcze ktoś poza tym - rzucił Trafford, przyglądając się mężczyźnie, z którym rozmawiała Cottie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał George.

- Cottie właśnie wyszła za mąż - poinformowała go Mary. - Za dyplomatę z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Nie wiedziałeś?

- Nie, nie wiedziałem - przyznał George. - Nie zaproszono mnie na ślub.

- Trudno się dziwić - rzekła Mary. - Gdybyś czytał Peking Pienie, to byś zrozumiał dlaczego.

- Co to za aluzja?

- Bohater powieści to młody nauczyciel, który kształcił się w Cambridge, a w wolnych chwilach uprawia górską wspinaczkę.

Trafford wybuchnął śmiechem.

- Co? I ani słowa o jego chwackim młodszym bracie, nieustraszonym asie lotnictwa, który pogoniwszy Niemców, wraca do ojczyzny i zostaje najmłodszym dowódcą eskadry w RAF-ie?

- Tylko jeden akapit - rzekła Mary. - Ale Cottie sugeruje, że on, tak jak jego przystojniejszy starszy brat, też jest przeznaczony do wyższych celów.

- To może zależeć od tego, który z nas pierwszy osiągnie wysokość ośmiu tysięcy ośmiuset trzydziestu dziewięciu metrów.

- Z okładem - dopowiedział George.

1924

Rozdział 51

Członkowie komitetu oglądali najnowszą mapę Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, tymczasem generał Bruce zaczął wygłaszać sprawozdanie.

- Większa część zespołu wspierającego powinna do tej pory dotrzeć na wysokość pięciu tysięcy stu osiemdziesięciu metrów -

powiedział generał, stuknąwszy w mapę monoklem, żeby wskazać to miejsce. - Będą mieli za zadanie dopilnować, żeby wszystko było gotowe dla Mallory'ego i jego wspinaczy, kiedy przybędą do obozu bazowego dwanaście tygodni później.

- Dobrze - rzekł George. - A ponieważ już wytypowałem drogę, którą zamierzam iść, będziemy mieć ponad miesiąc na to, żeby się zagospodarować i zaatakować szczyt przed nastaniem pory monsunu.

- Czy możemy uznać, że rozwiązaliśmy większość problemów, które pana niepokoiły w związku z poprzednią wyprawą? - spytał George'a sir Francis.

- Niewątpliwie tak, panie przewodniczący - odparł George. - Ale zważywszy na wynik moich chaotycznych starań w Ameryce, muszę zapytać, skąd napłynęły fundusze, żeby to wszystko stało się możliwe?

- Mieliliśmy nieoczekiwany przyływ pieniędzy - wyjaśnił Hinks. - Co prawda nie wszystko w Ameryce poszło panu zgodnie z planem, ale za to film Noela Epopeja Everestu odniósł tutaj olbrzymi sukces. Tak wielki, że Noel zaproponował Towarzystwu osiem tysięcy funtów za wyłączność, chyba tak to się nazywa, „praw kinematograficznych” do następnej wyprawy, pod jednym tylko warunkiem.

- Jakim? - zapytał Raeburn.

- Że Mallory zostanie kierownikiem akcji wspinaczkowej - rzekł Hinks.

- A ponieważ już się zgodziłem - powiedział Mallory - pozostaje mi tylko ustalić skład zespołu wspinaczy.

- Szczerze mówiąc, panie przewodniczący - wtrącił Young - ten wybór dokonuje się samorzutnie.

George skinął głową i wyjął kartkę z kieszeni marynarki.

- Czy mogę przedstawić listę nazwisk komitetowi do akceptacji, panie przewodniczący?

- Tak, oczywiście, stary - rzekł sir Francis. - Do pioruna, przecież to pańska drużyna.

George odczytał nazwiska wspinaczy uzgodnione z Youngiem na poprzednim spotkaniu Klubu Alpejskiego.

- Norton, Somervell, Morshead, Odell, Finch, Bullock, Kingston, Noel i ja.

Podniósł wzrok, spodziewając się jednomyślnej zgody komitetu.

Zapadło długie milczenie, po czym odezwał się przewodniczący:

- Przykro mi, ale muszę panu powiedzieć, że nie dalej jak dziś rano dostałem list od pana Fincha, w którym pisze, że zważywszy na okoliczności, będzie zmuszony wycofać swoje nazwisko z listy członków ekspedycji w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku.

- Okoliczności? - spytał George. - Jakie okoliczności? Sir Francis dał znak Hinksowi, a ten otworzył jedną z leżących przed nim teczek, wyjął list i podał George'owi. George dwa razy przeczytał list, a potem powiedział:

- Ale on nie podaje konkretnego powodu, dlaczego musi się wycofać. - George dał list Geoffreyowi Youngowi i spytał: - Czy przypadkiem nie jest chory?

- Nic nam o tym nie wiadomo - rzekł ostrożnie sir Francis.

- I to nie mogą być kłopoty finansowe - powiedział Young, zwracając list Hinksowi - bo dzięki Noelowi mamy aż nadto pieniędzy, żeby opłacić koszty ekwipunku i podróży Fincha.

- Obawiam się, Mallory, że w istocie sytuacja jest bardziej delikatna - odezwał się Hinks, zamykając księgę protokołów i nakładając zakrętkę na wieczne pióro.

- Z pewnością nie może to mieć nic wspólnego z tą historią z żoną generalnego gubernatora - powiedział George.

- Nie, boję się, że to coś znacznie gorszego od tamtego zenującego incydentu - stwierdził Hinks, zdejmując z nosa półokrągłe szkła i odkładając je na stół.

George niecierpliwie czekał na dalsze jego słowa.

- Bez wiedzy Towarzystwa - powiedział w końcu Hinks - Finch zgodził się na kilka wystąpień w różnych miejscach kraju. W rezultacie zarobił znaczną sumę pieniędzy, z czego Towarzystwo nie dostało ani pensa.

- A czy Towarzystwu należał się ten pens? - spytał Young.

- Ależ oczywiście - rzekł Hinks. - Finch podpisał umowę, tak jak Mallory, że przekaze pięćdziesiąt procent wszelkich zarobków, jakie otrzyma w związku z wyprawą na Everest.

- O jaką kwotę chodzi? - spytał Young.

- Nie mamy pojęcia - przyznał Hinks. - Finch nie chce przedstawić żadnych rozliczeń, mimo że kilkakrotnie go o to

prosiliśmy. Towarzystwo nie miało wyboru i w końcu musieliśmy wystąpić do sądu z żądaniem zwrotu tego, co się nam należy.

- Zawsze mówiłem, że to kawał drania - wtrącił się Ashcroft. - Ten ostatni przypadek świadczy o tym, że miałem rację.

- Czy pan myśli, że to się skończy rozprawą sądową? - spytał Young.

- Mam nadzieję, że nie - odparł Hinks. - Ale jeżeli tak, to sprawa trafi na wokandę, kiedy ekspedycja będzie już w Tybecie.

- Jestem pewien, że Szerpowie będą niepokieszeni - zauważył George.

- To wcale nie jest śmieszne - powiedział surowo sir Francis.

- Czy ktoś przy tym stole uważa, że ten ostatni występek w jakimś stopniu wpłynie na umiejętności wspinaczkowe Fincha? - rzucił pytanie Young.

- Nie w tym problem - rzekł Hinks - i pan o tym wie. - Ale to będzie problem - powiedział George - kiedy stanę na wysokości ośmiu tysięcy dwustu metrów i będę musiał zdecydować, kogo wybrać na partnera do ataku szczytowego.

- Przecież będzie mógł pan wybierać między Nortonem i Somervellem - przypomniał mu Hinks.

- A oni pierwsi przyznają, że nie dorównują klasą Finchowi.

- Chyba się pan zgodzi, że Królewskie Towarzystwo Geograficzne nie mogło inaczej postąpić w świetle tego ostatniego incydentu.

- To nie Towarzystwu przysługuje dane przez Boga prawo decydowania o tym, kto ma być, a kto nie w zespole wspinaczy - powiedział Mallory. - Jeżeli pan zapomniał, panie Hinks, to przypominam, że to jest Komitet Everestowski.

- Uważam, Mallory - wtrącił Ashcroft - że to było dość grubiańskie.

- Wobec tego pozwoli pan, komandorze, że zapytam odgryzł się George - kogo by pan, z pańskim olbrzymim doświadczeniem przebywania powyżej poziomu morza, uważał za właściwego kandydata na miejsce Fincha?

- Cieszę się, że pan poruszył tę kwestię - wtrącił się Hinks - bo uważam, że mamy odpowiedniego kandydata.

- Co za jeden? - spytał Mallory.

- Młody człowiek o nazwisku Sandy Irvine. Należy do reprezentacji wioślarskiej Oksfordu i zgodził się kandydować mimo krótkiego terminu.

- Proszę pana, ponieważ nie zamierzam płynąć na Everest, to może by pan nam uświadomił, jakie pan Irvine ma doświadczenie w górskiej wspinaczce, bo nigdy o nim nie słyszałem.

Pierwszy raz na twarzy Hinksa pojawił się uśmiech.

- Wydaje się, że ten chłopak bardzo zaimponował pańskiemu przyjacielowi Odellowi, kiedy w zeszłym roku razem się wspinali w rejonie północnego koła podbiegunowego, i Irvine pierwszy wszedł na najwyższy szczyt na Spitsbergenie - oznajmił Hinks z wielce zadowoloną miną.

- Spitsbergen - wtrącił Young - jest dla obiecujących nowicjuszy i, jeśli pan tego nie wie, najwyższy szczyt ma tam około tysiąca siedmiuset metrów.

- Zatem kiedy następnym razem będę szukał kogoś do towarzystwa do wspinaczki na pierwsze tysiąc siedemset metrów, zapewniam pana, panie Hinks, że pomyślę najpierw o tym chłopcu.

- Powinienem też zwrócić pana uwagę, Mallory - rzekł Hinks - że Irvine studiuje chemię w Oksfordzie i jest dobrze obeznany z aparatem tlenowym, z którym Finch eksperymentował podczas ostatniej wyprawy. Mam nawet wiarygodne informacje, że jest w stałym kontakcie z producentami w sprawie doskonalenia systemu.

- Finch jest również specjalistą, gdy chodzi o zastosowanie tlenu, i na dowód tego posiada dyplom pierwszej klasy z wyróżnieniem - przypomniał Hinksowi George. - A na wypadek, gdyby komitet nie pamiętał, przypominam, że prowadził już doświadczenia na wysokości ponad ośmiu tysięcy dwustu metrów, wobec czego był pan, panie Hinks, w najwyższym stopniu krytyczny. Może jeszcze ważniejsze jest to, że Finch ustanowił światowy rekord wysokości, docierając na osiem tysięcy czterysta osiemdziesiąt dziewięć metrów, o czym się przekonałem na własnej skórze.

- Panowie, panowie - łagodził sir Francis - spróbujmy uzgodnić stanowiska, nie zapominając o dobrych manierach.

- Co pan ma na myśli, panie przewodniczący? - zapytał George.
- Bo jest oczywiste, że nigdy się nie zgodzimy z panem Hinksem w tej konkretnej sprawie.

- Że powinniśmy posłuchać głosu większości, jak to mamy w zwyczaju w Towarzystwie.

Zanim George mógł coś powiedzieć, sir Francis dodał: - I jak z pewnością dzieje się też w Klubie Alpejskim. Young zachował swoje zdanie dla siebie, a ponieważ nikt inny nie wyraził opinii, sir Francis mówił dalej:

- Czy zatem mogę zaproponować, choć niezbyt chętnie, żebyśmy poddali tę kwestię pod głosowanie? - Czekał, czy ktoś nie wyrazi sprzeciwu, ale członkowie komitetu milczeli. - Panie sekretarzu, czy może pan kontynuować?

- Oczywiście, panie przewodniczący - odparł. - Ci, którzy są za tym, żeby przywrócić pana Fincha jako członka zespołu wspinaczy, proszeni są o podniesienie ręki.

Mallory, Young i, ku zdziwieniu wszystkich, generał Bruce podnieśli ręce. Hinks, zanim odnotował głos generała w protokole, spojrzał na niego i powiedział:

- Myślałem, że pan nie cierpi tego człowieka.

- Tak, zgadza się, stary - rzekł Bruce. - Ale podczas ostatniej wyprawy zdołałem dojść na pięć tysięcy trzysta metrów najwyżej i zapewniam pana, Hinks, że nie mam ochoty wysuwać swojej kandydatury, żeby towarzyszyć Mallory'emu, kiedy dotrze na wysokość ośmiu tysięcy dwustu metrów i będzie musiał wybrać partnera do ataku szczytowego.

Hinks niechętnie odnotował głos generała.

- Kto przeciw?

Raeburn i Ashcroft podnieśli ręce w górę, idąc za przykładem sekretarza.

- Obawiam się, że mamy trzy do trzech, więc znów pan, panie prezesie, ma głos rozstrzygający.

- Tym razem - powiedział bez wahania sir Francis - głosuję przeciwko przywróceniu Fincha.

Hinks natychmiast zapisał wynik w protokole i, zanim jeszcze wysychł atrament, obwieścił:

- Komitet Everestowski zdecydował, stosunkiem czterech głosów do trzech, że Gregory Finch nie zostanie przywrócony na członka zespołu wspinaczkowego. - Zamknął księgę protokołów.

- Panie przewodniczący, czy mogę zapytać, co skłoniło pana do zmiany zdania? - zapytał spokojnie George.

- Niedotrzymanie umowy z Królewskim Towarzystwem Geograficznym dopełniło miary - odparł sir Francis, wzniosłszy wzrok na portret prezesa Towarzystwa. - Przypuszczam też, że Jego Królewska Mość nie byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że pierwszym człowiekiem, który stanął na szczycie świata, jest rozwodnik.

- Jaka szkoda, że Henryk Ósmy nie był pańskim prezesem, kiedy zastanawiano się nad pierwszą próbą zdobycia Everestu - powiedział cicho George. Powoli zebrał swoje papiery i podniósł się z miejsca. - Proszę wybaczyć, panie przewodniczący, ale nie zostawiliście mi wyboru, zatem muszę zrezygnować z członkostwa tego komitetu i z

funkcji kierownika zespołu wspinaczy. Naturalnie życzę mojemu następcy powodzenia. Do widzenia, panowie.

- Panie Mallory - rzucił Hinks, nim George doszedł do drzwi. - Mam nadzieję, że ta decyzja nie powstrzyma pana przed wygłoszeniem dorocznego wykładu upamiętniającego w Królewskim Towarzystwie Geograficznym dziś wieczór. Bilety zostały wyprzedane wiele tygodni temu i doprawdy...

- Oczywiście dotrzymam umowy - rzekł George. - Ale jeżeli ktoś mnie zapyta, dlaczego zrezygnowałem z tego komitetu i nie będę kierował zespołem wspinaczy w ekspedycji na Everest, nie będę się wahał i powiem, że zlekceważono moją decyzję, kiedy przyszło do wyboru wspinaczy.

- Trudno - skwitował Hinks.

Mallory wyszedł z sali i zamknął za sobą cicho drzwi.

- I diabli wzięli osiem tysięcy funtów Noela - wyrwał się Raeburn, gasząc cygaro. - Co nie zostawia nam innego wyboru, jak tylko odwołać całą przekłętą awanturę.

- Niekoniecznie - cicho powiedział Hinks. - Zważcie, panowie, że nie odnotowałem rezygnacji Malloryego w protokole. Mam jeszcze dwie karty w rękawie i zanim minie wieczór, zamierzam rzucić je na stół.

George szybko opuścił salę i poszedł korytarzem do pokoju prelegentów. Nie zatrzymywał się, żeby nie rozmawiać z nikim po drodze z obawy, że ktoś mógłby mu zadać pytanie, na które nie chciał odpowiadać przed wygłoszeniem wykładu. Potrzebował też tych

czterdziestu minut, żeby zebrać myśli, wiedział bowiem, że ma wygłosić najważniejszą mowę w swoim życiu.

Kiedy wszedł do pokoju, zdziwił się na widok Ruth, która na niego czekała.

- Co się stało? - zapytała, widząc jego chmurną twarz. Przemierzając pokój tam i z powrotem, George zdał jej szczegółową relację z przebiegu wydarzeń podczas spotkania komitetu. Na koniec zatrzymał się przed nią i zapytał:

- Postąpiłem słusznie, prawda, kochanie?

Ruth przewidziała to pytanie i wiedziała, co ma do powiedzenia: Tak, kochany, pewno, że miałeś rację, że zrezygnowałeś. Hinks się zachował haniebnie i jeżeli Finch nie zostanie przywrócony, podejmiesz o wiele za duże ryzyko. I nie zapominaj, że to twoje życie, nie jego będzie zagrożone.

George stał i czekał na jej odpowiedź.

- Miejmy nadzieję, że nie będziesz żałował swojej decyzji - tylko tyle powiedziała. Poderwała się z krzesła, zanim George mógł dalej pytać. - Zostawiam cię teraz, kochanie. Wpadłam tylko, żeby życzyć ci powodzenia. Wiem, że potrzebujesz tych paru chwil, żeby się przygotować do tak ważnego wystąpienia.

Cmoknęła go w policzek i wyszła.

George usiadł przy niewielkim biurczku i usiłował przejrzeć notatki, ale myślami wciąż wracał do spotkania komitetu i do niejasnej odpowiedzi Ruth na jego pytanie.

Ktoś delikatnie zapukał do drzwi. George'a zastanowiło, kto to jest. Jedna ze złotych zasad Towarzystwa głosiła, że mówcy nie wolno przeszkadzać w trakcie jego przygotowań. Kiedy zobaczył Hinksa w drzwiach, chętnie by przyłożył przekłębemu typowi w nos, ale nagle spostrzegł, kto jest za nim. George poderwał się i złożył ukłon.

- Wasza Wysokość - powiedział Hinks. - Mam zaszczyt przedstawić pana Georgea Mallory'ego, który, jak Waszej Wysokości wiadomo, wygłosi dziś wykład.

- Tak, istotnie - rzekł książę Walii. - Przepraszam pana za to wtargnięcie, ale Jego Królewska Mość zlecił mi, bym osobiście przekazał panu jego słowa.

- Sir, to nadzwyczaj uprzejmie z pana strony, że pan się fatyguje.

- Żaden kłopot, mój drogi. Król pragnie pana zawiadomić, jak bardzo się cieszy, że zgodził się pan pokierować następną wyprawą na Everest, i pragnie pana zobaczyć po pańskim powrocie.

Hinks leciutko się uśmiechnął.

- I pozwolę sobie dodać, że podzielam jego radość i że czekam niecierpliwie na pański wykład.

- Dziękuję, sir - rzekł George.

- Teraz zostawię pana w spokoju - powiedział książę - bo inaczej ten wykład nigdy się nie zacznie.

George ponownie się skłonił, kiedy książę Walii wraz z Hinksem wyszli z pokoju.

- Ty draniu - mruknął George pod adresem Hinksa, kiedy zamknęły się drzwi. - Nawet przez chwilę nie myśl, że twój podstęp wpłynie na zmianę mojej decyzji.

Rozdział 52

- Wasza Wysokość, milordowie, panie i panowie, jako prezes Królewskiego Towarzystwa Geograficznego i Komitetu Everestowskiego mam zaszczyt przedstawić naszego specjalnie zaproszonego mówcę, pana George'a Mallory'ego - obwieścił sir Francis Younghusband. - Pan Mallory kierował akcją górską podczas ostatniej ekspedycji, kiedy to osiągnął wysokość ośmiu tysięcy trzystu dziewięćdziesięciu siedmiu metrów, zaledwie czterysta czterdzieści trzy metry od szczytu. Dzisiejszego wieczoru pan Mallory opowie nam o swoich przeżyciach podczas tego historycznego przedsięwzięcia w wykładzie zatytułowanym „Wychodząc poza mapę”. Panie i panowie, oto George Mallory.

George nie mógł się odezwać przez kilka minut, ponieważ publiczność wstała jak jeden mąż i tak długo go oklaskiwała, póki w końcu nie uciszył jej ruchem ręki. Spojrzał na pierwszy rząd i uśmiechnął się do człowieka, który powinien wygłaszać wykład dzisiejszego wieczoru, gdyby nie rana, jaką odniósł podczas wojny. Young odpowiedział mu uśmiechem, wyraźnie dumny z tego, że reprezentuje go jego uczeń. Obok niego siedzieli Norton, Somervell i Odell.

George odczekał, aż publiczność ucichnie, po czym wygłosił pierwsze zdanie.

- Kiedy byłem niedawno w Nowym Jorku - zaczął - przedstawiono mnie jako człowieka, który zdobył Everest w pojedynkę. - Poczekał, aż ucichnie śmiech, po czym kontynuował. - Jedno i drugie to nieprawda. Chociaż jeden człowiek może w końcu stanąć na szczycie tej wielkiej góry, ale nie dokona takiego wyczynu bez wsparcia pierwszorzędnego zespołu. I przez to rozumiem wszystko, od siedemdziesięciu hinduskich mułów po generała Bruce'a, jeżeli chce się dotrzeć bodaj do obozu bazowego.

Na te słowa, jak było umówione, zgasły światła i na ekranie za George'em wyświetlono pierwsze przezrocze.

Czterdzieści minut później George powrócił w swojej opowieści do obozu bazowego i znów otrzymał entuzjastyczną owację. Czuł, że wykład był udany, ale jeszcze musiał odpowiadać na pytania i bał się, żeby przez niewłaściwą odpowiedź nie trafić znów do obozu bazowego.

Kiedy poprosił o pytania, był zdziwiony, że Hinks nie wstaje z miejsca, ponieważ zgodnie z tradycją sekretarz Towarzystwa ma prawo zadać pierwsze pytanie. Tymczasem Hinks tkwił nieporuszony, ze skrzyżowanymi ramionami, na swoim miejscu w pierwszym rzędzie. George wskazał starszego pana z drugiego rzędu.

- Kiedy został pan pozostawiony własnemu losowi na wysokości ośmiu tysięcy trzystu dziewięćdziesięciu siedmiu metrów i widział

pan, jak Finch się oddala, czy nie zrobiło się panu żal, że nie wziął pan dwu butli z tlenem?

- Kiedy pierwszy raz wyruszyliśmy, to nie - odparł Mallory. - Ale później, kiedy nie mogłem zrobić kilku kroków bez odpoczynku, doszedłem do wniosku, że byłoby niemal niemożliwe dotrzeć na szczyt o własnych siłach.

Wskazał na inną podniesioną rękę.

- Ale czy nie sądziłby pan, że użycie tlenu to oszukaństwo?

- Tak uważałem - rzekł George. - Do czasu, kiedy kolega, z którym przebywaliśmy w namiocie na wysokości ośmiu tysięcy dwustu metrów, nie zwrócił mi uwagi, że można dowodzić, iż oszustwem jest też noszenie skórzanych butów do wspinania czy wełnianych rękawiczek, a nawet wrzucenie kostki cukru do letniej herbaty, bo niewątpliwie to wszystko daje człowiekowi większe szanse na sukces. I bądźmy szczerzy, po co przemierzać kilka tysięcy kilometrów, jeżeli nie ma nadziei na przejście kilkuset ostatnich metrów? Wybrał inną osobę, która podniosła rękę.

- Czy myśli pan, że gdyby się pan nie zatrzymał, żeby pomóc panu Odellowi, to sięgnąłby pan szczytu?

- W każdym razie mogłem go podziwiać - odparł George - gdyż Finch, który był sto metrów przede mną, nie zasłaniał mi go. - Jego słowa wzbudziły śmiech. - Przyznaję, że szczyt wydawał się wtedy tuż-tuż, ale to mogło być zwodnicze. Nie należy zapominać, że na górze sto pięćdziesiąt metrów to nie jest sto pięćdziesiąt metrów, ale raczej kilometr z okładem. Jednak to doświadczenie mnie przekonało,

że gdyby się miało dość czasu i sprzyjające warunki atmosferyczne, dotarcie na szczyt byłoby możliwe.

George odpowiedział jeszcze na kilka pytań podczas następnych dwudziestu minut, nie zdradziwszy się, że właśnie zrezygnował z funkcji szefa zespołu wspinaczy.

- Proszę o ostatnie pytanie - powiedział w końcu, uśmiechając się z ulgą. Wskazał młodego człowieka blisko środka sali, który stał i wymachiwał ręką, chcąc, żeby go zauważono. Chłopiec zapytał głosem, który świadczył o tym, że jeszcze nie przeszedł mutacji:

- Gdy pan zdobędzie Everest, to co zostanie dla takich jak ja?

Wszyscy na sali wybuchnęli śmiechem i Mallory sobie przypomniał, jaki był zdenerwowany, kiedy zadał kapitanowi Scottowi niemal takie samo pytanie. Wzniósł wzrok na galerię i ucieszył się, widząc wdowę po Scotcie na jej zwykłym miejscu w przednim rzędzie. Dzięki Bogu decyzja, jaką podjął wcześniej tego wieczoru, oznacza, że Ruth nie będzie się musiała dłużej martwić, że ją spotka taki sam los. Mallory przeniósł wzrok na chłopca i uśmiechnął się.

- Powinieneś czytać Wellsa, mój chłopcze. On wierzy, że z czasem ludzkość będzie w stanie, jak Puk, okrążyć ziemię w ciągu czterdziestu minut, że ktoś pewnego dnia przekroczy barierę dźwięku, co pociągnie za sobą konsekwencje, których jeszcze nie pojmujemy, i że za twojego życia, choć przypuszczalnie nie za mojego, człowiek przespaceruje się po Księżycu. - George się uśmiechnął do

młodzieńca. - Może będziesz pierwszym Anglikiem, który zostanie wystrzelony w przestrzeń kosmiczną.

Publiczność zareagowała huraganem śmiechu i znów entuzjastycznie klaskała, kiedy George na koniec się uklonił. Był przekonany, że wyjdzie cało z opresji i że nikt nie będzie podejrzewał, co się wydarzyło podczas spotkania komitetu dziś wieczorem. Uśmiechnął się do Ruth, która siedziała w pierwszym rzędzie, z dwiema jego siostrami, Avie i Mary, po bokach; jeszcze jedno małe zwycięstwo.

Kiedy George podniósł głowę, ujrzał swojego najstarszego przyjaciela, który stał i klaskał jak szalony. W ciągu kilku chwil cała publiczność dołączyła do Guya Bullocka i nie kwapiła się, żeby zająć z powrotem miejsca, choć nakazywał im to gestami rąk.

Już miał zejść ze sceny, ale kiedy się obrócił, ujrzał, że Hinks, z teczką pod pachą, zmierza ku niemu po schodach. Ciepło się uśmiechnął do Mallory'ego, podszedł do mikrofonu, obniżył go o kilkanaście centymetrów i czekał, aż umilkną oklaski i wszyscy usiądą, po czym przemówił.

- Wasza Wysokość, milordowie, panie i panowie. Ci z was, którym znane są tradycje tego historycznego Towarzystwa, wiedzą, że jest przywilejem sekretarza przy takich okazjach zadawać prelegentowi pierwsze pytanie. Nie zrobiłem tego dzisiaj wieczór, dokonując odstępstwa od tradycji, ale tylko dlatego, że prezes, sir Francis Younghusband, obdarzył mnie nawet większą nagrodą, mianowicie polecił mi złożyć podziękowanie naszemu występującemu

gościnnie mówcy i mojemu drogiemu przyjacielowi George'owi Malloryemu.

George nigdy przedtem nie słyszał, żeby Hinks zwracał się do niego po imieniu.

- Ale najpierw pozwólcie, że powiem o rezolucji, jaką przyjęliśmy dziś wieczorem pod nieobecność pana Mallory'ego. Uważamy, że jest to wiadomość, którą powinniśmy się podzielić ze wszystkimi członkami tego towarzystwa. - Hinks otworzył teczkę, wyjął z niej kartkę, poprawił okulary i zaczął czytać. - Jednomyślnie uzgodniono, że należy zaprosić pana George'a Leigha Mallory'ego na szefa zespołu wspinaczy w ekspedycji na Everest w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku.

Zerwały się burzliwe oklaski, ale Hinks podniósł rękę, uciszając publiczność, gdyż widocznie miał więcej do powiedzenia.

George stał krok za nim, gotując się z oburzenia.

- Jednakże komitet ma pełną świadomość, że są powody, dlaczego pan Mallory nie byłby w stanie ponownie się podjąć tego uciążliwego obowiązku.

Z miejsc dla publiczności dały się słyszeć okrzyki „Nie!”, co skłoniło Hinksa do ponownego podniesienia ręki.

- Powody, z których może nie zdajecie sobie sprawy, ale kiedy wam o nich powiem, zrozumiecie jego rozterkę. Pan Mallory ma żonę i troje małych dzieci, których może nie zechce opuścić na następne sześć miesięcy. Nie dość tego, dzisiaj się dowiedziałem, że ma zająć najważniejsze stanowisko w Stowarzyszeniu Oświaty Robotniczej, co

mu pozwoli zastosować w praktyce przekonania, które żarliwie wyznaje od wielu lat. Jakby to nie było dość, jest jeszcze trzeci powód. Muszę to wyrazić bardzo oględnie, gdyż zdaję sobie sprawę, że jest tu wśród nas kilku panów z prasy. Towarzystwo dziś się dowiedziało, że pan Finch, kolega pana Mallory'ego podczas ostatniej wyprawy na Everest, musiał się wycofać z zespołu wspinaczy z powodów osobistych, które, jak się obawiam, jutrzejsze gazety zrelacjonują bardziej szczegółowo.

Na sali panowało teraz milczenie.

- Mając to na uwadze, komitet postanowił, że gdyby pan Mallory uznał, co byłoby zrozumiałe, że nie jest w stanie pełnić funkcji kierownika ekspedycji w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku, nie mielibyśmy innego wyboru, jak przełożyć... nie zrezygnować, tylko przełożyć... tę ekspedycję do czasu, aż znajdziemy odpowiedniego kandydata na szefa zespołu wspinaczy.

George nagle sobie uświadomił, że zagrywka z królem i księciem Walii była tylko wstępem i że za chwilę Hinks wymierzy cios nokautujący.

- Pozwolę sobie zakończyć stwierdzeniem - rzekł Hinks, obróciwszy się ku George'owi - że niezależnie od tego, jaką decyzję pan podejmie, nasza społeczność będzie dozgonnie wdzięczna za pańskie bezgraniczne oddanie jej sprawie i, co ważniejsze, za pańską służbę temu krajowi. Oczywiście mamy nadzieję, że przyjmie pan naszą propozycję stanowiska kierownika zespołu wspinaczy i że tym razem powiedzie pan naszą drużynę ku jeszcze większej chwale.

Panie i panowie, proszę was wszystkich, żebyście się przyłączyli do mnie w podziękowaniu naszemu specjalnie zaproszonemu mówcy, Mallory emu z Everestu.

Publiczność jednomyślnie powstała. Ludzie, którzy zwykle nagrodziliby gościnnie występującego mówcę uprzejmym i pełnym szacunku aplauzem, poderwali się z miejsc, jedni wiwatowali, inni błagali, wszyscy z nadzieją, że Mallory przyjmie to wyzwanie. George spojrział na Ruth, która też stała i wraz z innymi entuzjastycznie klaskała. Kiedy Hinks cofnął się o krok, żeby przy nim stanąć, George drugi raz tego wieczoru powiedział:

- Ty draniu!

- Możliwe - odparł Hinks. - Jednakże, kiedy jeszcze tego wieczoru uaktualnię zapisy w księdze protokołów, sądzę, że będę mógł odnotować, iż przyjmuje pan stanowisko kierownika zespołu wspinaczy.

- Mallory z Everestu! Mallory z Everestu! - skandowała publiczność unisono.

- Ty draniu! - powtórzył George.

Rozdział 53

George wychylił się przez reling Kalifornii, szukając wzrokiem żony. Uśmiechnął się, kiedy spostrzegł ją między wiwatującym tłumem. W chwili, gdy sobie uświadomiła, że ją zauważył, zaczęła do

niego machać. Była zadowolona, że nie może dostrzec łez strumieniem płynących jej po twarzy.

Zanim załoga ściągnęła trap, odwiązała cumy i statek zaczął się oddalać od nabrzeża, George już tęsknił do Ruth. Dlaczego zawsze musi odjeżdżać, żeby sobie uświadomić, jak ją kocha? Przez następne sześć miesięcy tylko wystrzępiona sepiowa fotografia, którą zrobił Ruth w pierwszym tygodniu miesiąca miodowego, będzie mu przypominać o jej urodzie. Gdyby nie obstawała tak stanowczo, że powinien pojechać, zostałby w domu, zadowolając się relacjami „Times’a” o postępach wyprawy. Wiedział, że Hinks wcale nie zamierzał odkładać ekspedycji na później, ale ponieważ jego mowa słowo w słowo została przytoczona nazajutrz przez „Thunderer”, zdał sobie również sprawę, że zmuszono go do odsłonięcia kart. Hinks okazał się o wiele lepszym graczem pokerowym.

I teraz wracał do Indii bez Fincha, który by rywalizował z nim na każdym kroku. A Szerpa Nyima nie będzie stał na nabrzeżu, żeby go przywitać, kiedy zejdzie ze statku na drugim końcu świata.

Nagle George spostrzegł go; stał za tłumem, trochę z boku, jak przystoi samotnikowi. W pierwszej chwili go nie poznał, dopiero wtedy, kiedy mężczyzna uchylił kapelusza i odsłonił tę swoją gęstą, falistą blond czuprynę, która urzekła tak wiele kobiet. George odpowiedział na pozdrowienie, zdziwiony, że Finch nie przemycił się na statek. Ale Hinks dopilnował, żeby nie pokazywał się publicznie, dopóki nie ucichnie skandal, nie mówiąc już o solowym występie na najwyższej scenie świata.

George znów zaczął wypatrywać Ruth, a kiedy ją znalazł, ani na chwilę nie spuszczał z niej oka, do chwili kiedy już nie można było jej dostrzec w tłumie sympatyków machających na pożegnanie z nabrzeża.

Kiedy w końcu na horyzoncie widać było tylko słup czarnego, kłębiącego się dymu, Ruth z ociąganiem wróciła do samochodu. Ruszyła z nabrzeża w długą podróż do The Holt. Tym razem nie było pełnych uwielbienia tłumów, uniemożliwiających ucieczkę.

Ruth nigdy nie zależało na wielbiących tłumach. Pragnęła jedynie, żeby jej mąż wrócił żywy. Ale odegrała swoją rolę tak dobrze, że wszyscy byli przekonani, że chce, aby George otrzymał jeszcze jedną, ostatnią szansę na spełnienie swego marzenia. W gruncie rzeczy było jej wszystko jedno, czy odniesie sukces, czy porażkę, żeby tylko mogli razem dożyć starości i żeby dzień dzisiejszy stał się tylko wyblakłym wspomnieniem.

Kiedy George nie mógł już dojrzeć ojczyściego lądu, wycofał się do swojej małej kabiny. Usiadł przy stoliku pod iluminatorem i zaczął pisać list do jedynej kobiety, którą w życiu kochał.

„Najdroższa Ruth...”

KSIĘGA ÓSMA

WSTĄPIENIE W NIEBO

Rozdział 54

12 marca 1924

Najdroższa Ruth,

Długa podróż morską okazała się o tyle przydatna, że przypomniła mi, jak świetnym facetem mam przywilej przewodzić. Zbyt często myślę o wyrzeczeniach, na jakie musiałem się zdobyć, a zbyt mało o tych wspaniałych mężczyznach, którzy zechcieli wraz ze mną puścić się na tę niepewną przygodę, i o tym, jakich zgryzot oni i ich rodziny oraz przyjaciele musieli doświadczyć w ciągu ostatnich dwóch lat.

Wbrew moim początkowym obawom Sandy Irvine okazał się naprawdę wyjątkowym gościem. Wprawdzie ma tylko dwadzieścia dwa lata, ale za to ma bystry północnoangielski łeb mocno osadzony na szerokich ramionach, a zbieg okoliczności, że obaj wywodzimy się z Birkenhead, byłby nie do przyjęcia na stronicach powieści.

Oczywiście nadal niepokoi mnie, że nigdy się nie wspiał wyżej niż tysiąc sześćset siedemdziesiąt metrów, ale muszę przyznać, że jest w o wiele lepszej formie niż każdy z nas, o czym mogli się przekonać pasażerowie, obserwujący nasze poranne ćwiczenia fizyczne, które prowadzi budzący respekt generał Bruce. Generał z przyjemnością odgrywarolę naszego dyrygenta, ale nadal nie ma ochoty wystąpić w orkiestrze.

Muszę też przyznać, że Hinks nie przesadził, wychwalając talenty chemiczne Irvine'a. Ten chłopak całkiem dorównuje Finchowi w tej dziedzinie, chociaż Norton i Odell nadal nie aprobują samej idei użycia tlenu, nie mówiąc o dźwiganiu tych nieporęcznych butli na grzbiecie. Czy w końcu pogodzą się z tym, że nie możemy mieć nadziei na zdobycie szczytu, nie uciekając się do pomocy tej piekielnej herezji, czy też pozostaną, jak mówi Finch, świętoszkowatymi amatorami, skazanymi na porażkę? Tylko przyszłość nam powie.

Nasz statek przyplłynął do Bombaju dwudziestego marca i od razu wsiedliśmy do pociągu do Dardżiling, gdzie wybraliśmy kuce i tragarzy. I znowu generał Bruce dokonał cudów, a nazajutrz wyruszyliśmy w długą wędrówkę do Tybetu z sześćdziesięcioma kucami i ponad setką tragarzy. Przed odjazdem miniaturową kolejką z Dardżiling byliśmy na kolacji u lorda Lyttona, nowego gubernatora generalnego, ale ponieważ zabrakło Fincha, nie wydarzyło się nic ciekawego poza tym, że ten smarkacz Irvine zainteresował się poważnie córką gubernatora generalnego, Lyndą. Lady Lytton zdawała się mu sprzyjać.

W ambasadzie czekał na mnie list od Mary, mojej siostry. Tak się szczęśliwie złożyło, że jej mąż został wysłany na Cejlon, więc będzie mogła nas ostrzec, kiedy się zacznie u nas pora monsunowa, ponieważ na Cejlon monsun nadciąga dziesięć dni wcześniej.

Następnego ranka wyruszyliśmy. Do granicy mieliśmy sto trzydzieści kilometrów, podróż jednak przebiegła bez żadnych incydentów. Niestety, generał Bruce zachorował na malarię i musiał powrócić do Dardżiling. Obawiam się, że go więcej nie zobaczymy. Zabrał ze sobą swoją wannę, tuzin pudełek cygar i połowę skrzynek z winem i szampanem - ale był tak miły, że zostawił nam drugą połowę, nie wspominając o pieczołowicie wybranych przez niego podarunkach dla Dzungpena, które wręczymy, kiedy będziemy okazywać dokumenty na granicy.

Zastępca generała, podpułkownik Norton, przejął jego obowiązki. Pewno przypominasz sobie Nortona, człowieka, który przez dwadzieścia cztery godziny dzierżył światowy rekord wysokości, dopóki Finch tak bezceremonialnie mu go nie odebrał. Chociaż on nigdy nie poruszył tego tematu, wiem, że aż się pali, żeby to naprawić, i muszę przyznać, że gdyby tylko zgodził się użyć tlenu, kiedy staniemy na wysokości ośmiu tysięcy dwustu metrów, najbardziej by się nadawał na partnera do ataku na szczyt. Jednakże Somervell waha się w sprawie tlenu, więc równie dobrze może się okazać drugim kandydatem, bo nie brałbym pod uwagę próby przejścia ostatnich sześciuset metrów ponownie z Odellem.

Tym razem bez trudu przekroczyliśmy granicę, chociaż wszyscy mieliśmy na nogach najstarsze buty, a na rękach zegarki nabyte za bezcen w Bombaju. Ale i tak obsypaliśmy Dzungpena podarkami od Harrodsa, Fortnuma, Davidoffa i Locka, łącznie z czarną laseczką

ozdobioną srebrną głową króla, co, jak go zapewnilem, było osobistym prezentem od Jego Królewskiej Mości.

Wszyscy byliśmy zaskoczeni, kiedy Dzongpen oznajmił, że jest bardzo zawiedziony, iż generał Bruce zachorował, bo nie mógł się doczekać, kiedy znowu ujrzy starego przyjaciela. Nie mogłem nie zauważyć, że nosi zegarek generała, chociaż nie było śladu mojego krawata z barwami Kolegium Winchester.

Dziś rano, gdy przechodziliśmy przez Pang La, chmury nagle pierzchły i zobaczyliśmy przed sobą zawrotne szczyty Czomolungmy górujące na tle nieba. I znów jej piękność zaparła mi dech w piersi. Mądry człowiek na pewno oparłby się jej wdziękom i natychmiast by zawrócił, ale ona, jak syreny Eurypidesa, wabi na swoje skalne, zdradliwe włości. Gdy pieliśmy się wciąż wyżej i wyżej, bacznie obserwowałem Irvine'a, który zdaje się aklimatyzować w tych warunkach atmosferycznych równie dobrze jak każdy z nas. Ale czasem zapominam, że on jest szesnaście lat młodszy ode mnie.

Dziś rano, z Everestem w tle, odprawiliśmy nabożeństwo dla upamiętnienia Nyimy i innych sześciu Szerpów, którzy stracili życie podczas ostatniej ekspedycji. Tym razem musimy dotrzeć na szczyt, jeżeli nie z innego powodu, to po to, żeby uczcić ich pamięć.

Tak bym chciał, żeby teraz stał przy mnie Nyima, bo bez wahania bym mu zaproponował, żeby razem ze mną zaatakował szczyt, gdyż to Szerpa powinien pierwszy stanąć na wierzchołku

własnej góry. Nie mówiąc o tym, że byłaby to słodka zemsta na Hinksie po jego makiawelicznym zachowaniu w wieczór wykładu. Niestety, tym razem Szerpa nie wejdzie na szczyt, bo chociaż rozglądałem się między jego rodakami, nie znalazłem nikogo, kto by mu dorównywał.

Dwudziestego dziewiątego kwietnia doszliśmy w końcu do obozu bazowego i muszę oddać Hinksowi sprawiedliwość - a to nie przychodzi mi łatwo - i powiedzieć, że wszystko, o co prosiłem, było gotowe. Teraz nie będziemy tracili cennych dni na zakładanie i likwidowanie obozów i nieustanne przenoszenie ekwipunku w górę i w dół. Pan Hazard (niefortunne nazwisko dla kogoś, kto zajmuje się organizacją naszego codziennego życia) zapewnił mnie, że obóz trzeci został już wzniesiony na wysokości sześciu tysięcy czterystu metrów i że czeka tam na nas jedenastu najlepszych Szerpów pod wodzą Guya Bullocka.

Nie należy zapominać, że wszystko to stało się możliwe dzięki ośmiu tysiącom funtów od Noela, który filmuje wszystko, co się rusza. Film dokumentujący tę ekspedycję na pewno będzie mógł konkurować z Narodzinami narodu.

Piszę ten list w moim małym namiocie w obozie bazowym. Za kilka minut zasiądę z kolegami do kolacji i Norton przekaże mi obowiązki kierownika. Potem poinformuję zespół o moich planach wspinaczki na Everest. I tak, najdroższa, znów zaczyna się wielka przygoda. Jestem o wiele bardziej pewny naszych szans tym razem. Ale jak tylko odniosę zwycięstwo nad tą moją wspaniałą obsesją,

nacisnę guzik i po kilku chwilach znajdę się przy Tobie. Z tego możesz poznać, że w tej chwili ponownie czytam Wehikuł czasu Wellsa. Jeżeli nawet nie mogę nacisnąć owego mitycznego guzika, to jednak wrócę tak szybko, jak to będzie w ludzkiej mocy, bo nie chcę być daleko od Ciebie ani chwili dłużej niż to konieczne. Jak obiecałem, zamierzam zostawić Twoją fotografię na szczycie...

Rozdział 55

Czwartek, 1 maja 1924 roku

I zostało ich ośmiu.

- Panowie, za Jego Królewską Mość - rzekł podpułkownik Norton, podnosząc się ze swego miejsca u szczytu stołu i wznosząc blaszany kubek.

Pozostali członkowie zespołu natychmiast się poderwali i powiedzieli chórem:

- Za Jego Królewską Mość.

- Proszę, dalej stójcie - polecił George. - Panowie, za Czomolungmę, Królową Matkę Ziemi.

Zespół ponownie uniósł kubki. Na zewnątrz namiotu Szerpowie padli na ziemię, zwróceniami twarzami ku górze.

- Panowie - rzekł George. - Możecie zapalić.

Członkowie zespołu zajęli swoje miejsca, zapalali cygara i podawali wokół stołu karafkę z winem. Po upływie kilku minut George znów wstał i stuknął łyżeczką w kieliszek.

- Panowie, pozwólcie, że na początek powiem, jak bardzo załujemy, że generał Bruce tym razem nie może być z nami.

- Racja! Racja!

- I jak jesteśmy mu wdzięczni za pozostawione doskonałe wino, którym się raczymy dzisiejszego wieczoru. Miejmy nadzieję, że jeśli Bóg pozwoli, będziemy mieć dobry powód, żeby odkorkować również jego szampana.

- Racja! Racja!

- Dzięki przezorności i dbałości generała Bruce'a pozostało nam tylko jedno zadanie, mianowicie musimy poskromić to monstrum, abyśmy mogli wszyscy wrócić do kraju i wieść normalne życie. Pozwolę sobie na początku wyraźnie stwierdzić, że jeszcze nie zdecydowałem, jaki będzie skład dwóch zespołów, które wraz ze mną wezmą udział w ataku szczytowym. Pod jednym względem ta wyprawa nie będzie się różniła od poprzedniej: będę bacznie obserwował każdego z was, żeby stwierdzić, kto się najlepiej zaaklimatyzował. Mając to na uwadze, oczekuję, że wszyscy będziecie gotowi wyruszyć jutro przed szóstą rano, tak abyśmy do południa doszli na pięć tysięcy osiemset metrów i przed zachodem słońca zdążyli wrócić do obozu bazowego.

- Po co wracać - zapytał Irvine - skoro chcemy jak najszybciej wejść na szczyt?

- Nie jak najszybciej - odparł George, uśmiechając się na myśl, jak niedoświadczony jest młody Sandy. - Nawet tobie aklimatyzacja na nowych wysokościach zajmie trochę czasu. Złota zasada brzmi: wspinaj się wysoko, śpij nisko. Kiedy się już w pełni zaaklimatyzujemy - ciągnął George - zamierzam podejść na wysokość siedmiu tysięcy metrów i założyć obóz czwarty na Przełęczy Północnej. Kiedy tam się usadowimy, pójdziemy wyżej i wzniesiemy obóz piąty na wysokości siedmiu tysięcy sześciuset metrów i obóz szósty na wysokości około ośmiu tysięcy dwustu metrów, skąd wyruszymy do ataku na szczyt. - George zamilkł i dopiero po chwili wypowiedział następne zdanie. - Chcę, żebyście wiedzieli, że ten z was, który dołączy do mnie, będzie w zespole dokonującym drugiej próby wejścia na szczyt, ponieważ zamierzam dwóm spośród moich kolegów dać pierwszą szansę zapisania się w historii. Gdyby pierwszemu zespołowi się nie powiodło, wtedy ja z moim partnerem spróbuję następnego dnia. Jestem pewien, że każdy z nas pragnie tego samego: być pierwszym, którego stopa stanie na szczycie Czomolungmy. Jednak uczciwie powiem, panowie, że to będę ja.

Cały zespół zareagował na to śmiechem i uderzaniem kubkami w stół. Gdy ucichł hałas, George poprosił o pytania.

- Czy zamierzasz użyć tlenu podczas drugiej próby zdobycia szczytu? - zapytał Norton.

- Tak jest - odparł George. - Z oporami, ale uznałem, że Finch ma rację i że nie możemy liczyć na pokonanie ostatnich sześciuset metrów bez pomocy tlenu.

- Wobec tego muszę się postarać, żeby być w pierwszym zespole
- rzekł Norton - i udowodnić, że nie masz racji. Wielka szkoda, Mallory, bo to oznacza, że ja pierwszy stanę na szczycie Everestu.

Zespół zareagował na te słowa jeszcze donośniejszym śmiechem i tłuczeniem kubkami w stół.

- Jeżeli to ci się uda - odparował George - to następnego dnia zrezygnuję z tlenu i wejdę na szczyt boso.

- To nie będzie miało znaczenia - powiedział Norton, podnosząc kubek do George'a - bo nikt nie zapamięta nazwiska drugiego faceta, który się wspiał na Everest.

- Jak to uznać?

- Zostaje w grze.

Mallory nie był pewien, czy śni, czy rzeczywiście słyszy odgłos uderzenia piłki o kij z wierzbiny. Wystawił głowę z namiotu i zobaczył, że kwadrat pola śnieżnego w Himalajach został zamieniony na wioskowe boisko do krykieta.

Dwa czekany wetknięte w śnieg w odległości około dwudziestu metrów służyły jako paliki bramek. Odell miał piłkę w ręku i rzucał do Irvine'a. Malloryemu wystarczyło zobaczyć kilka zagrywek, żeby się zorientować, że pałkarz jest lepszy od miotacza. Rozbawił go widok Szerpów stojących wokół w małych grupkach, rozmawiających między sobą, najwyraźniej zdziwionych widokiem grających Anglików, a tymczasem Noel filmował rozgrywkę, jakby to był mecz reprezentacji narodowych.

Mallory wyczołgał się z namiotu, podszedł do Nortona, który stał za bramką, i zajął jego pozycję.

- Irvine nie jest taki zły - rzucił Norton. - Chłopakowi brak tylko kilku punktów do pół setki.

- Jak długo stoi na linii? - spytał Mallory.

- Prawie trzydzieści minut.

- I ciągle może biegać między bramkami?

- Chyba bez problemu. Musi mieć płuca jak miechy. Ale pamiętaj, on ma nad nami przewagę co najmniej piętnastu lat.

- Obudź się, kapitanie! - krzyknął Odell, kiedy piłka śmignęła koło prawej ręki George'a.

- Przepraszam, zgapiłem się - rzekł Mallory.

Irvine za uderzeniem następnej piłki zdobył cztery punkty i zaliczył pół setki, co nagrodzono brawami.

- Już nie mogę patrzeć na tego cholernego oksfordczyka - oznajmił Guy Bullock, przejmując od Odella serwowanie.

Pierwsza piłka Guya była trochę za krótka i Irvine odesłał ją na linię, zarabiając następne cztery punkty. Ale za drugim uderzeniem piłka ze świstem odbiła się od lodowej powierzchni, natrafiła w krawędź kija Irvine'a, George rzucił się w prawo i złapał ją jedną ręką.

- Brawo, kapitanie - rzekł Guy. - Szkoda, żeś się nie zjawił trochę wcześniej.

- Dobra, chłopaki, ruszajmy się - powiedział Mallory - Za pół godziny ma nas tu nie być.

Nagle boisko opustoszało, a wioskowi krykieści zamienili się z powrotem w wytrawnych wspinaczy.

Pół godziny później dziewięciu wspinaczy i dwudziestu trzech Szerpów było gotowych do drogi. Mallory machnął prawą ręką jak policjant kierujący ruchem i ruszył w tempie, które wkrótce odsieje tych, co prawdopodobnie nie przetrwają na większej wysokości.

Dwaj Szerpowie odpadli, rzucili ładunki w śnieg i zeszli na dół. Jednak po nikim z zespołu wspinaczy nie było widać zmęczenia, a Irvine cały czas deptał po piętach prowadzącemu, chociaż dźwigał na plecach dwie wielkie butle z tlenem.

Mallory dziwił się, bo wydawało mu się, że Irvine nie założył ustnika. Przywołał młodzieńca skinieniem.

- Irvine, nie będziesz potrzebował tlenu, zanim dotrzemy przynajmniej na siedem tysięcy szes'ćset metrów.

- Liczę na to, że nie zużyję ani jednego cennego grama tego gazu, dopóki się nie wdrapiemy na osiem tysięcy dwieście metrów, ale na wypadek gdyby mi dopisało szczęście i razem z tobą miałbym podjąć szturm na szczyt, chcę przywyknąć do dodatkowego ciężaru. Widzisz, zamierzam usiąść sobie na górze - pokazał ręką szczyt - i czekać tam na ciebie. W końcu to obowiązek człowieka z Oksfordu wyryć swój znak, kiedy tylko to możliwe.

George lekko się skłonił.

- Przygotuj mi na jutro dwie twoje butle - powiedział. - Nie tylko przyzwyczajenie się do dodatkowego obciążenia jest ważne, ale kiedy

trzeba forsować pionowe ściany skalne i pola lodowe, nawet najmniejsze przesunięcie ciężaru może być fatalne w skutkach.

Dwie godziny później George pozwolił wspinaczom na krótką przerwę, żeby przegryźli po herbatniku i napili się herbaty przed dalszą drogą. Trudno było sobie wyobrazić pogodę bardziej sprzyjającą wspinaczce, nie licząc przelotnego opadu śniegu, który nie przeszkodziłby dziecku dalej lepić bałwana, szli więc miarowym tempem. George był ciekaw, jak długo jeszcze pogoda będzie tak łagodna.

Modlił się. Jego modły nie zostały wysłuchane.

Rozdział 56

17 maja 1924 roku

Najdroższa Ruth,

Katastrofa. Od ostatnich dwóch tygodni nic nie idzie tak jak trzeba. Pogoda jest tak okropna, że są dni, kiedy nieustannie padający śnieg ogranicza widoczność do kilku kroków.

Norton, zawsze odważny jak lew, jakimś sposobem zdołał dojść na wysokość siedmiu tysięcy stu trzydziestu dwóch metrów, gdzie razem z Somerwellem założyli obóz czwarty i spędzili noc. Jednak następnego dnia ledwo im się udało przed nocą wrócić do obozu trzeciego. Ponad siedem godzin zajęło im pokonanie siedmiuset trzydziestu metrów w dół zbocza pod zacinającym śniegiem. Pomyśl -

to przeciętna szybkość sto jardów na godzinę, dystans, jaki Harold Abrahams przebiegł w 9,6 sekundy.

Następnego dnia Odell, Bullock i ja dotarliśmy na wysokość siedmiu tysięcy siedmiuset jedenastu metrów i zdołaliśmy założyć obóz piąty na lodowej półce. Spędziliśmy tam noc, ale rano pogoda nas zmusiła do powrotu tutaj, do obozu trzeciego. Ledwo przybyliśmy, doktor Hingston przywitał mnie nowiną, że jeden z Szerpów złamał nogę, a u drugiego podejrzewa zapalenie płuc. Nie chciałem mu mówić, że kostka znowu mi dokucza. Guy i Odell zgłosili się na ochotnika, żeby zejść z chorymi do obozu bazowego, skąd odprowadzono ich do wioski.

Kiedy Guy nazajutrz wrócił, doniósł, że nasz szewc umarł z powodu odmrożeń, podoficer Gurkha dorobił się skrzepu krwi w mózgu i dodatkowo dwunastu Szerpów uciekło; przy zapłacie niecałego szylinga tygodniowo kto może ich potępiać? Widać morale w obozie bazowym jest bardzo niskie. A jakie może być tutaj?

Norton i Somervell w końcu dotarli na Przełęcz Północną po trzech dalszych próbach i nawet udało im się założyć obóz, mimo temperatury minus dwadzieścia cztery stopnie. Ale kiedy schodzili w dół, czterech Szerpów wpadło w panikę i ze strachu przed lawiną zawróciło, żeby spędzić drugą noc na North Col.

Następnego ranka Norton, Somervell i ja utworzyliśmy ekipę ratowniczą i udało się nam dotrzeć do Szerpów i sprowadzić ich do

stosunkowo bezpiecznego obozu trzeciego. Założę się, że więcej ich nie ujrzymy.

Jakby tego nie było dość, dziś przy śniadaniu nasz meteorolog mnie poinformował, że według niego wkrótce nadciągnie monsun. Jednak przypomniał mi, że ostatnim razem nadejście monsunu poprzedziły trzy dni bezchmurnej pogody. Trudno na tym polegać, niemniej będę zanosił gorące modły do bóstwa, które zarządza pogodą.

George powinien był to przewidzieć, ale tak bardzo pragnął, aby los dał mu jeszcze jedną szansę, że nie zauważył, co się dzieje wokół niego. Aż Norton zwołał naradę wojenną.

- Uważam, panowie, że w tych okolicznościach byłoby mądrze zaczął Norton - wycofać się w porę, zanim znowu kogoś stracimy.

- Nie zgadzam się - zareagował natychmiast George. -

Gdybyśmy mieli to zrobić, poświęcenie sześciu miesięcy naszego życia poszłoby na marne.

- Przynajmniej byśmy przeżyli, żeby jeszcze kiedyś spróbować - rzekł Somervell.

- Żaden z nas nie będzie miał okazji jeszcze kiedyś spróbować - odpowiedział krótko George. - To jest nasza ostatnia szansa, dobrze wiesz.

Somervell oniemiał pod wpływem gwałtowności słów Mallory'ego i dopiero po dłuższej chwili zdobył się na odpowiedź.

- Ale przynajmniej wyszlibyśmy z tego żywi - wybąkał.

- Nie interesuje mnie takie życie - odparł George. Zanim ktoś mógł wyrazić swoją opinię, zwrócił się do swego najstarszego przyjaciela i zapytał: - Co myślisz o powrocie, Guy?

Bullock nie od razu odpowiedział, chociaż reszta zespołu czekała na jego słowa.

- Ja nadal jestem skłonny poprzeć twoje zdanie, George - przemówił w końcu - i pozostać tu jeszcze przez kilka dni, żeby zobaczyć, czy pogoda się nie poprawi.

- Ja też - włączył się Irvine. - Ale nie mam żadnych oporów, żeby się wycofać. W końcu ja jeden jestem tu na tyle młody, żeby jeszcze kiedyś zawalczyć.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, co rozładowało napięcie.

- Może poczekajmy jeszcze tydzień i dopiero potem zwiniemy manatki? - zaproponował Odell. - Jeżeli pogoda nie poprawi się do tej pory, powinniśmy się przyznać do porażki i wrócić do domu.

George obrzucił grupę wzrokiem i zobaczył, że koledzy potakują. Przypomniał sobie mądrą radę Bensaona: kiedy wiesz, że cię pokonano, poddaj się z godnością.

- Więc dobrze - powiedział. - Wytrwamy tu jeszcze przez siedem dni, a jeżeli pogoda się nie poprawi, Norton przejmie znowu komendę i wrócimy do Anglii.

George czuł, że wygrał, a właściwie, że zarobił cały tydzień. Ale czy to wystarczy?

29 maja 1924

A zatem, jeżeli pogoda nie zrobi nam niespodzianki w najbliższych dniach, możesz się mnie spodziewać w Anglii pod koniec sierpnia albo najpóźniej z początkiem września.

Proszę, podziękuj Clare za jej cudowny wiersz - Rupert Brooke byłby z niej dumny - i Beridge za rysunek kota, a może to pies? - nie mówiąc o życzeniach Johna, krótkich, ale wdzięcznie przyjętych.

Cieszę się, że znalazłaś czas, żeby odwiedzić Cambridge i rozejrzeć się za domem, i dzięki za sygnał, że w regionie błot The Fens jest bardzo zimno o tej porze roku.

Moja ukochana, nie mogę się doczekać, kiedy rozpocznę nową pracę i kiedy będę spał w łóżku z kobietą, którą pragnę trzymać w ramionach, a nie z mężczyzną, do którego muszę się przytulić, po prostu żeby przeżyć. Kiedy teraz wrócę do domu, na nabrzeżu nie będzie tłumów witających Mallory'ego z Everestu, będzie tylko młoda kobieta czekająca na mężczyznę w średnim wieku, który marzy o tym, żeby spędzić resztę życia ze swoją ukochaną.

Twój kochający mąż George

Rozdział 57

Poniedziałek, 2 czerwca 1924 roku

I zostało ich pięciu. George jadł śniadanie w pogodny, bezwietrzny poranek, kiedy z obozu bazowego przyszedł Szerpa i

przyniósł telegram. George rozerwał kopertę, wolno przeczytał wiadomość i uśmiechnął się na myśl o jej następstwach. Spojrzał na Nortona, który siedział po turecku na ziemi.

- Możemy zamienić słówko, stary?

- Jasne - rzekł Norton, odłożywszy na bok krojoną szynkę z ozorem.

- Zapytam ostatni raz - powiedział George. - Gdybym ci dał szansę zaatakowania wraz ze mną szczytu, czy byłbyś skłonny rozważyć użycie tlenu?

- Nie, to nie wchodzi w grę - stanowczo odparł Norton.

- Trudno - powiedział cicho George, godząc się z tym, że żadne argumenty nie przekonają Nortona i nie nakłonią go do zmiany zdania. - Wobec tego poprowadzisz pierwszy szturm, bez tlenu. Jeżeli ci się powiedzie...

- Panowie - przemówił George, zwoławszy cały zespół. - Wybaczcie, że przeszkodziłem wam w śniadaniu, ale przedchwila dostałem wiadomość od mojej siostry z Kolombo. - Spojrzał na telegram od Mary. - „Tydzień, może dziesięć dni dobrej pogody, zanim zacznie się u was pora monsunu. Powodzenia”. - Podniósł głowę. - Nie mamy chwili do stracenia. Miałem dużo czasu, żeby rozważyć możliwości, i teraz powiem wam, co wykoncypowałem. Wytypowałem dwa zespoły do końcowego ataku na szczyt. Pierwsi pójda Norton i Somervell. Wyruszą za godzinę i postarają się dojść przed zmrokiem do obozu piątego na wysokości siedmiu tysięcy siedmiuset jedenastu metrów. Jutro muszą wstać wcześnie, jeżeli chcą

obejść Północno-Wschodnią Grań, założyć obóz szósty na poziomie około ośmiu tysięcy dwustu metrów i ułożyć się do snu przed zachodem słońca. Powinni złapać tyle godzin snu, ile się da, bo rano następnego dnia muszą zaatakować szczyt. Czy są jakieś pytania, panowie?

Norton i Somervell pokręcili przecząco głowami. Przez cały ostatni miesiąc bez końca dyskutowali nad każdym możliwym scenariuszem. Teraz chcieli tylko wyruszyć.

- Tymczasem reszta zespołu - ciągnął Mallory - będzie musiała siedzieć z założonymi rękami i czekać na triumfalny powrót zdobywców.

- A jak im się nie uda? - zapytał z szerokim uśmiechem Irvine.

- Wtedy ty, Sandy, i ja dokonamy drugiej próby z tlenem.

- A jak nam się uda? - zagadnął Norton. Mallory cierpko się uśmiechnął do starego żołnierza. - To Odell i ja podejmiemy drugą próbę bez tlenu.

- I boso, pamiętaj - dodał Somervell.

Kiedy reszta zespołu się zaśmiewała, Mallory lekko skinął głową swoim dwóm kolegom. Odczekał chwilę i znów przemówił:

- Panowie, to nie jest właściwy moment, żeby wygłaszać mowę o tym, co by dla naszych rodaków w całym Imperium Brytyjskim znaczyło, gdyby pierwszy człowiek stanął na szczycie tej góry, ani rozvodzić się o zaszczytach, jakimi by wieńczono nasze skronie. Będzie dość czasu, żeby przesiadywać w barze Klubu Alpejskiego i zanudzać młodych adeptów wspinaczki opowieściami o naszej

minionej świetności, ale teraz, jeżeli ma się nam powieść, nie możemy sobie pozwolić na stratę jednej cennej chwili. A zatem powodzenia, panowie, i z Bogiem!

Trzydzieści minut później Norton i Somervell byli w pełni wyekwipowani i gotowi do drogi. Mallory, Odell, Irvine, Bullock, Morshead i Hingston ustawili się w kolejce, żeby ich pożegnać, podczas gdy Noel filmował ich, póki nie znikli z oczu. Nie widział, jak Mallory wznosi wzrok w niebo i mówi:

- Daj mi jeszcze tylko jeden tydzień, a o nic więcej nigdy nie poproszę.

George towarzyszył myślami Nortonowi i Somervellowi w ich wspinaczce, siedząc samotnie w namiocie. Regularnie spoglądał na zegarek, wyobrażając sobie, na jakiej wysokości są teraz jego koledzy.

Po przedłużającym się lunchu składającym się z makaronu i suszonych śliwek, który spożył razem z resztą zespołu, George wrócił do namiotu. Napisał jak co dzień list do Ruth i drugi do Trafforda - podpułkownika lotnictwa Mallory'ego, człowieka, który też chciał docierać jak najwyżej. Potem przetłumaczył kilka wersów Iliady, a później rozegrał kilka partii brydża, mając za partnera Guya, a za przeciwników Odella i Irvine'a. Po ostatnim robrze Odell wydobył z zapasów puszkę z konserwą wołową i gdy się rozmroziła nad płomieniem świecy, podzielił zawartość na cztery porcje. A potem członkowie zespołu wspinaczkowego siedzieli i obserwowali, jak wschodzi księżyc i zachodzi słońce przebłyskujące przez śnieg w tym

dniu, który się okazał idealny dla wspinaczki. Wszyscy myśleli o jednym: gdzie oni są?

George wgramolił się - jedyny wysiłek, na jaki się zdobył tego dnia - do śpiwora tuż przed jedenastą, zmęczony wielogodzinną beczynnością. Zasnął mocnym snem, zastanawiając się, czy nie będzie żałował, że pozwolił Nortonowi i Somervellowi na pierwszą próbę zdobycia szczytu. Czy za tydzień będzie wracał do Anglii jako kapitan zwycięskiej ekipy, żeby do końca życia wspominać słowa Nortona: „Nikt nie będzie pamiętał nazwiska drugiego człowieka, który wszedł na Everest”?

Irvine zerwał się pierwszy następnego ranka i natychmiast zaczął szykować śniadanie dla kolegów. George przysiągł, że kiedy wróci do kraju, nigdy w życiu nie weźmie do ust sardynki.

Sprzątnięto po śniadaniu. Irvine ustawił w rzędzie butle z tlenem i, podobnie jak jego szef, wybrał najlepsze dwie do ataku szczytowego. George obserwował, jak powoli, metodycznie montuje zawory i reguluje pokręta, zastanawiając się, czy będą kiedyś użyte, czy po prostu zostaną tutaj, na Przełęczy Północnej, wraz z ich właścicielem. Odell wybrał się na poszukiwanie rzadkich okazów kamieni i skamielin, szczęśliwy, że umyka do własnego świata.

Po południu zgromadzili się wszyscy trzej, żeby oglądać zrobione przez Noela fotografie wyższych partii i szukać wskazówek, które mogłyby pomóc w osiągnięciu szczytu. Poważnie dyskutowali o tym, czy powinni pójść żebrem i śmiało zaatakować Drugi Uskok

grani, czy po prostu ruszyć na Północną Ścianę przez wapienne płyty Żółtego Pasa Skał i go obejść. W istocie wszyscy trzej wiedzieli, że nie można podjąć ostatecznej decyzji, dopóki nie wrócą Somervell i Norton i nie podzielą się wiadomościami z pierwszej ręki, co pozwoli wypełnić tak wiele pustych miejsc na mapie i tak liczne luki w ich wiedzy.

Po kolacji George wrócił do swojego namiotu, z kubkiem z rozpuszczonym mlekiem w proszku w jednej ręce i Ulissesem w drugiej. Zasnął przy 172 stronie, obiecując sobie, że skończy arcydzieło Joycea na statku w drodze powrotnej do Anglii.

Następnego ranka Odell wczesnie wstał i ku zdziwieniu kolegów, założył plecak, rękawice i okulary ochronne.

- Idę do obozu piątego sprawdzić, czy namiot dalej stoi - wyjaśnił, gdy George wygramolił się ze śpiwora. - I zostawię im trochę żywności, bo na pewno będą wygłodnieli.

George miał ochotę się roześmiać, słysząc taką uwagę rzuconą mimochodem na wysokości siedmiu tysięcy sześciuset metrów, ale to było typowe dla Odella, że myślał o niedoli innych, a nie o niebezpieczeństwach, jakie on może napotkać. Patrzył, jak geolog w towarzystwie dwóch Szerpów podąża w górę, jakby się wybierał na popołudniową przechadzkę w Cotswolds. George zaczął rozważać, czy nie byłby dla niego najlepszym partnerem w końcowym ataku, gdyż tym razem zaaklimatyzował się do tutejszych warunków o wiele lepiej niż inni, łącznie z nim samym.

Odell wrócił akurat na lunch, żeby zjeść dwie sardynki i całego sucharka - a był to cały jego posiłek - i nawet nie był zdyszany.

- Widziałeś ich? - spytał George, zanim Odell zdążył zrzucić plecak.

- Nie, kapitanie - odparł Odell. - Ale jeżeli do południa doszli na szczyt i na noc wrócili do obozu szóstego, tobym się ich nie spodziewał przed drugą w obozie piątym, a w takim razie powinni tu być gdzieś koło czwartej.

- Akurat na podwieczorek.

Po lunchu, który zajął mu sześć minut, George znów się zabrał do Ulissesa, ale zamiast czytać, nieustannie spoglądał w górę, czekając, aż na tle pustki Północnej Ściany pojawią się dwa punkciki. Spojrzał na zegarek: kilka minut po drugiej. Jeżeli się pokażą teraz, to nie mogli wejść na szczyt; jeżeli przybędą około czwartej, to im przypadnie wygrana. Jeżeli nie powrócą do szóstej... usiłował o tym nie myśleć.

Minęła trzecia, nastąpiła czwarta, potem piąta, a wtedy swobodna rozmowa przeszła w poważną dyskusję. Nikt nie wspominał o kolacji. O szóstej księżyc zajął miejsce słońca i wszystkich ogarnął niepokój. O ósmej zaczęli się bać najgorszego.

- Myślę, że pójdę w górę Północną Granią - rzucił od niechcenia Odell - i zobaczę, czy zdecydowali się przenocować.

- Idę z tobą - powiedział George i poderwał się z miejsca. - Ruch mi dobrze robi.

Starał się mówić takim tonem, jakby nic niepokojącego się nie działo, ale wszyscy wiedzieli, że tak naprawdę montuje ekipę poszukiwawczą.

- Ja też - odezwał się Irvine, rzuciwszy na śnieg butle z tlenem.

George się cieszył, że jest pełnia księżyca i cicha noc bez wiatru i śniegu. Dwadzieścia minut później Odell i Irvine stali w pełnym rynsztunku i gotowi ruszyć z nim na poszukiwanie kolegów.

Pięli się w górę, w górę, w górę. Z każdym krokiem George'a ogarniało coraz większe przygnębienie. Ale nie myślał o tym, żeby zawrócić, bo mogli być o kilka metrów od...

Irvine pierwszy ich spostrzegł, ale przecież on miał najmłodsze oczy.

- Są tam! - krzyknął, pokazując ku górze.

George'owi serce zabiło mocniej na ich widok, chociaż przypominali dwóch żołnierzy, którzy utykając, schodzą z pola bitwy. Norton, wyższy z nich dwóch, jedną rękę miał wspartą na ramieniu Somervella, a drugą zasłaniał oczy.

George ruszył jak najszybciej ku nim w górę zbocza, tuż za nim szedł Irvine. Obydwaj podjęli Somervella pod pachy i prawie go nieśli przez cały czas. Norton objął jedną ręką Odella, drugiej nie odrywał od oczu.

Mallory i Irvine doprowadzili Somervella do zespołowego namiotu, delikatnie opuścili go na ziemię i okryli kocem. Po chwili zjawił się Norton i z miejsca osunął się na kolana. Bullock już zdążył przygotować dwa kubki letniego bovrilu. Jeden podał Somervellowi,

tymczasem Norton zwałił się na materac i leżał na wznak. Nikt się nie odzywał, wszyscy czekali, aż obaj mężczyźni przyjdą do siebie.

George rozwiązał Somervellowi sznurówki i delikatnie ściągnął buty, po czym zaczął rozcierać mu stopy, żeby przywrócić krążenie. Bullock przytknął kubek z bovrilem Nortonowi do ust, ale biedak nie był w stanie przełknąć ani jednego łyku. Chociaż George nigdy nie uważał, że cierpliwość jest cnotą, zdołał jednak zachować milczenie, mimo że nie posiadał się z ciekawości, czy któryś z nich dotarł na szczyt.

Ku zdziwieniu wszystkich pierwszy przemówił Somervell.

- Na długo przedtem, zanim dotarliśmy do Drugiego Uskoku - zaczął - zdecydowaliśmy, że nie pójdziemy tamtędy, tylko zrobimy obejście przez żółte płyty. Dłuższa droga, ale bezpieczniejsza - dodał, z trudem łapiąc oddech. - Przetrawersowaliśmy je, aż dotarliśmy do olbrzymiego kuluaru. Pomyślałem, że jeśli będziemy w stanie go przeciąć, to zdołamy przejść aż do końcowej piramidy, gdzie nastromienie jest mniejsze. Posuwaliśmy się powoli, ale wciąż wierzyłem, że mamy dość czasu, żeby dotrzeć na sam szczyt.

Ale czyście tam dotarli? - chciał zapytać George, kiedy Somervell usiadł i pociągnął następny łyk już zimnego bovrilu.

- Tak myślałem aż do chwili, gdyśmy doszli na wysokość ośmiu tysięcy trzystu pięćdziesięciu metrów, kiedy znowu odezwało się moje gardło. Plułem flegmą, a kiedy Norton walnął mnie z całej siły w plecy, omal nie wykaszałem wnętrzości. Próbowałem iść dalej, ale gdy dotarliśmy na osiem tysięcy pięćset trzydzieści metrów, nie

mogłem zrobić ani kroku do przodu. Musiałem stanąć i odpocząć, ale widziałem przed sobą szczyt, więc nalegałem, żeby Norton szedł dalej. Usiadłem i patrzyłem, jak się pnie ku szczytowi, aż zniknął mi z oczu.

George odwrócił się do Nortona i cicho zapytał:

- Wszedłeś' na szczyt?

- Nie - odparł Norton. - Bo jak się zatrzymałem, żeby odpocząć, popełniłem klasyczny błąd.

- Nie mów mi, że zdjąłeś gogle - powiedział niedowierzająco George.

- Ile razy nas ostrzegałeś, żeby nigdy, w żadnej sytuacji, tego nie robić... - rzucił Norton, odejmując rękę od oczu. - Kiedy je znowu założyłem, powieki niemal mi przymarzły jedna do drugiej i nic nie widziałem przed sobą. Krzykiem zaalarmowałem Somervella, a ten zaczął jodłować, żeby dać mi znać, gdzie jest, i wtedy powoli do niego wróciłem.

- Niczego sobie kółko śpiewacze - skomentował Somervell, próbując się uśmiechnąć. - Z pomocą latarki jakoś szliśmy z powrotem, choć dość wolno.

- Bogu dziękuję za Somervella - rzekł Norton, a tymczasem Odell przyłożył mu do oczu chusteczkę zmoczoną w ciepłej wodzie.

Minęło trochę czasu, zanim ktoś się odezwał. Norton głęboko odetchnął.

- Chyba nigdy nie było lepszej ilustracji przysłowia o tym, jak ślepy wiódł kulawego.

George się nie roześmiał.

- To na jaką wysokość doszliście? - zapytał.

- Nie mam pojęcia, stary - odparł Norton i podał Malloryemu swój altymetr.

George przez chwilę wpatrywał się w wysokościomierz, po czym obwieścił:

- Osiem tysięcy pięćset siedemdziesiąt dwa metry. Gratuluję, stary.

- Tego, że nie udało mi się wspiąć na ostatnie dwieście sześćdziesiąt parę metrów? - rzucił z goryczą Norton.

- Nie. Tego, że wszedłeś do historii - rzekł George. - Bo odzyskałeś rekord wysokości. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę minę Fincha, jak mu o tym powiem.

- Miło, że tak mówisz - zareagował Norton - ale Finch nie omieszka mi przypomnieć, że powinienem go posłuchać i użyć tlenu.

- Umilkł, a po chwili dodał: - Jeżeli ta pogoda się utrzyma, to przypuszczam, że zasłużę co najwyżej na wzmiankę, bo ty, stary, wybacz banał, wejdiesz do historii spacerkiem.

George się uśmiechnął, ale nic nie powiedział. Somervell dodał, zwracając się do Mallory ego, Odella i Irvine'a:

- Zgadzam się z Nortonem. Naprawdę, najlepsze, co teraz możecie zrobić, chłopaki, to dobrze się wyspać tej nocy.

George potakująco skinął głową i chociaż przebywali wszyscy razem od ponad trzech miesięcy, uścisnął ręce obu kolegom, a potem wrócił do swojego namiotu i próbował się wyspać.

Może nawet by mu się to udało, gdyby bez przerwy nie brzęczały mu w głowie słowa Nortona: „Jeżeli ta pogoda się utrzyma”...

Rozdział 58

Piątek, 6 czerwca 1924 roku

I zostało ich trzech.

George wstał na długo przed świtem. Księżyc w pełni rzucał blask na śnieg, który wyglądał jak brylantowa polana. Mimo że temperatura sięgała minus trzydziestu stopni, George poczuł przypływ ciepła i pewność, że im się powiedzie, chociaż jeszcze nie postanowił, kto będzie tym drugim.

Czy naprawdę musi sobie zawracać głowę tlenem, skoro Norton i Somervell podeszli tak blisko szczytu? I czy Odell nie zaaklimatyzował się lepiej od innych? A może Odell znów zawiedzie, gdy zwycięstwo będzie w zasięgu ręki? Czy niedoświadczenie Irvine’a może się okazać kulą u nogi, gdy wejdą na nieznany teren? A może jedynie jego entuzjazm plus te cholerne butle z tlenem zagwarantują sukces?

- Dzień dobry, szefie - powiedział ktoś za plecami George’a.

Mallory się odwrócił. Powitał go zaraźliwy uśmiech Irvine’a.

- Dzień dobry, Sandy - odparł. - Zjemy śniadanie? - Ale jest dopiero piąta - rzekł Irvine, spojrzawszy na zegarek. - Zresztą Odell jeszcze śpi.

- To go zbudź - rzucił George. - Powinniśmy ruszyć o szóstej.

- O szóstej? - zdziwił się Irvine. - Ale na ostatniej odprawie wczoraj wieczorem mówiłeś, żebyśmy zdążyli na śniadanie o ósmej i byli gotowi wyruszyć o dziewiątej, bo nie chciałbyś tkwić dłużej niż to konieczne przycupnięty na półce na wysokości ośmiu tysięcy dwustu metrów.

- Więc o wpół do siódmej - przystał George. - Jeżeli Odell nie wstanie do tej pory, pójdziemy bez niego. A skoro o tym mowa, młody człowieku, to dlaczego dla odmiany nie zrobisz czegoś pożytecznego?

- A mianowicie?

- Idź i przygotuj śniadanie.

Na twarz Irvine'a powrócił zaraźliwy uśmiech.

- Proponuję sardynki na sucharze, lekko podpieczone, sardynki bez ości z rodzynkami, albo specjalność naszego namiotu, sardynki...

- To do roboty - rzekł George.

Mallory, Odell i Irvine wraz z pięcioma Szerpami niosącymi namioty, ekwipunek i żywność wyruszyli z Przełęczy Północnej szóstego czerwca tuż po wpół do ósmej rano. Odell nie zdążył zjeść śniadania, ale nie narzekał. Guy Bullock ostatni uścisnął rękę George'owi przed jego odejściem.

- Do zobaczenia za dwa dni, stary przyjacielu - powiedział.

- Tak. Czekał z gorącą herbatą.

Jak mawiał dawny dyrektor szkoły George'a, pan Irving - George nie był pewien, czy jeszcze żyje - nigdy nie można wyruszyć za wcześnie, tylko za późno. George gnał jak opętany, Odell i Irvine ledwo za nim nadążali.

Spozierał podejrzliwie w górę na bezchmurne błękitne niebo, usiłując wyczuć najłżejszy powiew wiatru, wypatrzeć pojedynczą chmurkę lub pierwszy płatek śniegu, co by mogło zburzyć wszystkie jego najlepiej ułożone plany, ale niebo było wciąż zdecydowanie spokojne i czyste. George jednak wiedział z bolesnego doświadczenia, że ta szczególna dama może w mgnieniu oka zmienić zdanie. Obserwował też bacznie swoich dwóch towarzyszy, żeby się przekonać, czy któryś z nich nie zdradza objawów zmęczenia, niemal licząc na to, że jeden zostanie z tyłu i uwolni go od podjęcia ostatecznej decyzji. Ale godzina płynęła za godziną i w końcu niechętnie uznał, że nic nie przemawia na korzyść któregoś z nich.

Grupa dotarła do obozu piątego kilka minut po trzeciej po południu, dużo wcześniej, niż planowano. George spojrzął na zegarek i spróbował dokonać oceny. Gdy Hannibal przekraczał Alpy, zawsze pozwalał, żeby słońce podejmowało za niego takie decyzje. Czy więc powinien iść dalej do obozu szóstego i zaoszczędzić jeden dzień? Czy też będą wtedy tak wyczerpani, że nie zdołają podjąć ważniejszego wyzwania? Wybrał ostrożność i zdecydował, że wcześniej położą się spać, tak aby ruszyć do obozu szóstego z samego rana. Ale z kim

wyruszy? Kto będzie mu towarzyszył w drodze na szczyt, a kto sprowadzi Szerpów z powrotem na Przełęcz Północną?

Wcześniejsze ułożenie się do snu nie zapewniło George'owi przespanej nocy. Budził się co godzinę, wystawiał głowę z namiotu i sprawdzał, czy nadal ujrzy gwiazdy, które niewiele przed nim prezentowały się tak wyraziście. Nadal były widoczne. Irvine spał jak dziecko, a Odell miał nawet chęć chrapać. George spoglądał na nich i wciąż nie mógł się zdecydować, który powinien razem z nim szturmować szczyt. Czy Odell, który po latach poświęceń zasłużył na taką szansę - prawdopodobnie swoją ostatnią? Czy też Irvine? W końcu to normalne, że młody człowiek marzy o swoim miejscu pod słońcem, ale gdyby nie został wybrany, i tak miałby przed sobą wiele lat na ponowną próbę.

George tylko jednego był pewien. To jest jego ostatnia szansa.

Tuż po czwartej rano następnego dnia, gdy księżyc wciąż świecił sielankowo, trzech mężczyzn ruszyło w dalszą drogę. Z każdą godziną ich tempo słabło, w końcu ledwo powłóczyli nogami. Jeśli Odell albo Irvine dotkliwie odczuli skutki wspinaczki, w żaden sposób tego nie okazywali, tylko podążali uparcie za swoim przewodnikiem.

Słońce skłaniało się już ku zachodowi, kiedy ukazało się Ramię Północno-Wschodnie. George spojrzął na altymetr: osiem tysięcy dwieście sześćdziesiąt metrów. Pół godziny później, pokonawszy jeszcze siedemdziesiąt metrów, cała trójka padła wyczerpana, konstatając z ulgą, że namiocik Nortona i Somervella stoi na miejscu. George nie mógł dłużej odkładać ostatecznej decyzji, ponieważ w

trójkę nie mogliby przenocować w tak małym namiocie, a na grani na pewno nie było dość miejsca na drugi namiot.

Usiadł na ziemi i napisał kilka słów do Nortona, informując go, gdzie doszli i że rano następnego dnia ruszą do ataku na szczyt. Wstał, spojrzął na obu milczących mężczyzn, a potem wręczył kartkę Odellowi.

- Mógłbyś, stary, zejść na Przełęcz Północną i doręczyć to Nortonowi?

Odell nie okazał śladu emocji. Po prostu skinął głową.

- Przykro mi, stary - dodał George. Już miał podać powody swojej decyzji, kiedy Odell powiedział:

- Podjąłeś słuszną decyzję, kapitanie.

Wymienił uścisk ręki z Georgeem, a potem z młodym człowiekiem, którego zarekomendował Królewskiemu Towarzystwu Geograficznemu na miejsce Fincha.

- Powodzenia - powiedział, odwrócił się i wyruszył samotnie w drogę do obozu piątego, gdzie spędzi noc, a następnego dnia wróci na Przełęcz Północną.

I zostało ich dwóch.

Rozdział 59

7 czerwca 1924 roku

Ukochana,

Siedzę w maleńkim namiocie jakieś osiem tysięcy trzysta dwadzieścia metrów nad poziomem morza i blisko osiem tysięcy kilometrów od rodzinnego kraju, w poszukiwaniu ścieżek chwały...

- Czy ty nigdy nie śpisz? - zapytał Irvine, siadając i przecierając oczy.

- Tylko kiedy schodzę w dół - odparł George. - Więc jutro o tej porze będę mocno spał.

- Jutro o tej porze obwołają cię nowym świętym Jerzym, kiedy w końcu zgładzisz swojego osobistego smoka - powiedział Irvine, regulując wskaźnik na jednej z butli z tlenem.

- Nie przypominam sobie, żeby święty Jerzy musiał się uciekać do pomocy tlenu, kiedy zabił smoka.

- Gdyby to wtedy zależało od Hinksa - rzekł Irvine - święty Jerzy nie mógłby nawet użyć miecza. „To, stary, sprzeczne z duchem kodeksu amatorskiego” - dodał Irvine, udając, że dotyka wąsika. - „Musisz udusić tę wstrętną bestię gołymi rękoma”.

Irvine tak dobrze naśladował sekretarza Towarzystwa, że George wybuchnął śmiechem.

- No cóż, jeżeli mam postąpić wbrew duchowi amatorskiemu - powiedział - muszę wiedzieć, czy te cholerne butle z tlenem będą na chodzie jutro o czwartej rano. Bo jak nie, to cię wyślę na Przełęcz Północną i poproszę Odella, żeby zajął twoje miejsce.

- Nic z tego - rzekł Irvine. - Wszystkie cztery działają idealnie, dzięki czemu powinniśmy mieć aż nadto tlenu, zakładając, że nie

planujesz przejść tych raptem sześciuset metrów na szczyt i z powrotem w czasie dłuższym niż osiem godzin.

- Młody człowieku, już wkrótce na własnej skórze odczujesz te „raptem” sześćset metrów. A ja będę miał o wiele większą szansę ich przejścia, jeśli zaśniesz, żebym mógł skończyć list do żony.

- Codziennie pisujesz do pani Mallory, tak?

- Tak - odparł George. - A gdybyś miał szczęście i znalazł kogoś równie niezwykłego, czułbyś to samo.

- Chyba znalazłem - mruknął Irvine i położył się z powrotem. - Tyle tylko, że zapomniałem jej to powiedzieć przed wyjazdem, więc nie jestem przekonany, czy ona wie, co do niej czuję.

- Będzie wiedziała - rzekł George - wierz mi. Ale jeżeli masz wątpliwości, możesz jej napisać parę słów, oczywiście o ile pisanie jest nadal formą komunikowania się w Oksfordzie.

George czekał na ciętą ripostę, ale żadna nie padła, bo chłopak głęboko zasnął. George uśmiechnął się i dalej pisał list do Ruth.

Gdy drżącą ręką nakreślił słowa: „Twój kochający mąż, George” i zakleił kopertę, przeczytał jeszcze Elegię pisaną na cmentarzu wiejskim Graya i na koniec zdmuchnął świecę i położył się spać.

Niedziela, 8 czerwca 1924 roku

- Czy chcesz, żebym zabrał tę chustkę, stary? - spytał Odell.

- Tak, proszę - rzekł Norton.

Odell delikatnie zdjął jedwabną chustkę z twarzy Nortona.

- Chryste, dalej nic nie widzę - powiedział Norton.

- Nie wpadaj w panikę - uspokoił go Somervell. - Nierzadko się zdarza, że po ataku śniegowej ślepoty trzeba dwóch do trzech dni, żeby odzyskać wzrok. Zresztą nigdzie się nie wybieramy, dopóki Mallory nie wróci na dół.

- Nie martwię się o zejście - odburknął Norton - tylko o to, co w górze. Odell, chcę, żebyś wrócił do obozu szóstego i wziął z sobą słoik bovrilu i zapas kendal mint cake, bo możesz być pewien, że Mallory zapomniał choć cokolwiek zapakować.

- Już idę - powiedział Odell. Wyjrzał z namiotu. - Nigdy nie widziałem lepszych warunków do wspinaczki.

George się obudził kilka minut po czwartej i zobaczył, że Irvine przygotowuje śniadanie.

- Co mamy w menu w dniu wstąpienia w niebo? - zagadnął, wystawiając głowę z namiotu, żeby sprawdzić, jaka jest pogoda. Wprawdzie uderzyło go w twarz zimne powietrze i aż zaszczypały go uszy, ale uśmiechnął się na widok tego, co ujrzał.

- Makaron i sardynki - odparł Irvine.

- Ciekawy zestaw - rzekł George. - Ale mam wrażenie, że nie znajdzie się w nowym wydaniu książki kucharskiej pani Beeton.

- Mógłbym ci zaproponować coś bardziej urozmaiconego - rzucił Irvine z szerokim uśmiechem - gdybyś nie zapomniał zapakować swojego prowiantu.

- Przepraszam, stary - rzekł George. - Mea culpa.

- Mnie to nie przeszkadza - powiedział Irvine - bo szczerze mówiąc, jestem zbyt zdenerwowany, żeby myśleć o jedzeniu.

Wdział starą kurtkę lotniczą, podobną do tej, jaką miał na sobie brat Georgea, Trafford, kiedy ostatnio na przepustce odwiedził The Holt. George był ciekaw, jak Irvine ją zdobył, bo był o wiele za młody na to, by walczyć na wojnie.

- To od mojego nauczyciela - wyjaśnił Irvine, zapiawszy guziki, w odpowiedzi na milczące pytanie George'a.

- Dajesz mi odczuć, jaki jestem stary - powiedział George.

Irvine się roześmiał.

- Przyszykuję ci butle z tlenem, kiedy będziesz jadł śniadanie.

- Połknę dwie sardynki, skrobnę kilka słów do Odella i będę gotów.

Blask porannego słońca świecącego na bezchmurnym błękitnym niebie omal nie oślepił Irvine'a, kiedy wyszedł z namiotu.

Kiedy George zjadł resztkę sardynek, nie tknąwszy makaronu, napisał krótką wiadomość dla Odella i zostawił ją na swoim śpiworze. Mógłby się założyć, że Odell wróci tego dnia do obozu szóstego.

George spał w czterech warstwach ubrania, a teraz dodatkowo włożył gruby wełniany podkoszulek, grubą jedwabną koszulę, na to flanelową i jeszcze jedną jedwabną. Na to wszystko wdział bawełnianą kurtkę firmy Burberry zwaną bluzą Shackletona, a potem naciągnął luźne gabardynowe spodnie. Okręcił kaszmirowe owijacze dookoła kostek, wciągnął buty i włożył wełniane rękawice z jednym palcem, które Ruth zrobiła mu na drutach. Na koniec nasunął na

głową skórzaną pilotkę lotniczą brata i chwycił najnowszy model gogli ofiarowanych przez Fincha. Był zadowolony, że nie widzi się w lustrze, chociaż Czomolungma pewno by uznała, że jest odpowiednio wystrojony na audiencję u Jej Wysokos'ci.

George wyczołgał się z namiotu i dołączył do Irvine'a, który pomógł mu założyć butle tlenowe. Kiedy przypasał je do pleców, przez głowę przemknęła mu myśl, czy przypadkiem dodatkowe obciążenie nie okaże się większą wadą niż niemożność regularnego oddychania. Ale taką podjął decyzję, kiedy odesłał Odella. Na koniec jeden drugiemu posmarował nieosłonięte partie twarzy maścią cynkową. Zanim ruszyli w górę, spojrzeli jeszcze na szczyt, który wydawał się tak bliski.

- Uprzedzam cię - rzekł George - to Jezabel. Im bardziej do niej się zbliżasz, tym silniej cię wabi, a dziś rano kusi nas idealną pogodą. Ale jest zmienna jak każda kobieta.

- Spojrzał na zegarek: siedem po piątej. Wolałby wyruszyć trochę wcześniej. - Chodźmy, młodzieńcze - powiedział. - Jak mówi mój kochany ojciec, czas się pokazać z najlepszej strony.

Dopasował ustnik i włączył dopływ tlenu.

Gdyby tylko Hinks mnie teraz widział, myślał Odell, pokonując ostatnie metry w wędrówce do obozu szóstego. Kiedy dotarł do namiotu, ukląkł, odsunął klapę i ujrzał bałagan, jaki mógłby być dziełem dwójki dzieci pozostawionych na noc w domku na drzewie: talerz niedojedzonego makaronu, pusta puszka po sardynkach i

kompas, którego pewno nie zabrał George. Odell zachichotał, wgramolił się do środka i zabrał się do porządków. To nie byłby namiot Mallory'ego, gdyby czegoś nie zapomniał.

Kładąc słoik bovrilu i dwa batony Kendal Mint Cake na śpiworze George'a, spostrzegł dwie koperty - jedną zaadresowaną do „Pani Mallory, The Holt, Godalming, Surrey, Anglia”, którą wsunął do kieszeni na piersi, i drugą, z nakreślonym jego nazwiskiem. Rozdarł kopertę.

Drogi Odellu,

Bardzo przepraszam za ten bałagan. Idealna pogoda do wspinaczki. Wypatruj nas albo jak przekraczamy pas skał, albo na linii nieba.

Do zobaczenia jutro, Twój George

Odell się uśmiechnął i kiedy już dwukrotnie sprawdził, czy wszystko jest gotowe na powrót bohaterów, wyczołgał się z namiotu, wstał i rozprostował ramiona, wznosząc wzrok na najwyższy wierzchołek świata. Pogoda była tak wspaniała, że przez chwilę go kusiło, żeby pójść w górę, bo trochę zazdrościł kolegom, którzy musieli teraz zbliżyć się do szczytu.

I wtedy dostrzegł dwie sylwetki rysujące się na tle nieba. Kiedy patrzył, wyższy podszedł do drugiego. Widział, że stoją teraz na Drugim Uskoku, około dwustu metrów od szczytu. Sprawdził godzinę: za dziesięć pierwsza. Mieli jeszcze wystarczająco dużo

czasu, żeby dojść na szczyt i wrócić do swojego małego namiotu, zanim słońce skryje się za horyzontem.

Nie mógł się powstrzymać i podskakiwał radośnie, patrząc, jak wkraczają w tuman mgły i znikają mu z oczu.

Kiedy Irvine wdrapał się na wierzchołek Drugiego Uskoku, wgramolił się na sterczącą skałkę i znalazł się przy George'u.

- Mamy do przejścia około dwustu metrów - powiedział George, sprawdzając wysokościomierz. - Ale pamiętaj, to jest odpowiednik co najmniej półtora kilometra, a bez tlenu Norton mógł przejść tylko około czterdziestu metrów na godzinę. Więc to może zająć nam jeszcze trzy godziny - dodał, łapiąc oddech. - Co znaczy, że nie możemy stracić ani chwili, bo gdy zaczniemy schodzić z tej skalnej ściany późnym popołudniem - pokazał ręką w górę - chcę jeszcze widzieć na kilka kroków przed sobą.

George z powrotem nałożył ustnik, a Irvine podniósł kciuk na znak zgody. Potem zaczęli powolny pochód ostrzem grani, po której nigdy jeszcze nie stąpił człowiek.

Rozdział 60

Godz. 14.07, 8 czerwca 1924 roku

Gdy George znów spojrział w górę, wydało mu się, że wierzchołek jest tuż-tuż, chociaż według wysokościomierza zostało

im niespełna sto metrów wspinaczki. Tak oszałamiająco blisko, chociaż szli tutaj o wiele dłużej, niż się spodziewał.

Pokonawszy Drugi Uskok, wyrabując szlak, podciągając się i zapierając, z wolna torowali sobie drogę wzwyż wąską krawędzią Północno-Wschodniej Grani świadomi, że śnieg z obu stron jest niczym okap dachu, a pod nim tylko pustka i powietrze. Wystarczyło zboczyć trochę w lewo albo w prawo i...

Okazało się, że zachęcająco wyglądający, świeży, dziewiczy śnieg jest ponad pół metra głęboki i niemal uniemożliwia posuwanie się do przodu, a kiedy już udało się postawić krok, stopa posuwała się zaledwie kilkanaście centymetrów i ponownie grzęzła.

Dwieście jedenastę kroków dalej - George liczył każdy krok - wyszli w końcu z zasy, ale za to stanęli przed ścianą skalną, która byłaby dla niego wyzwaniem w ciepły letni poranek na wysokości dziewięciuset metrów, a co dopiero tutaj, kiedy całe ciało oblepiał mu pot, członki miał skostniałe z zimna i był tak wyczerpany, że pragnął tylko się położyć i zasnąć, chociaż wiedział, że gdyby przy minus czterdziestu stopniach nie ruszał się dłużej niż kilka chwil, zamarzłby na śmierć.

George nawet się zastanawiał, czy nie zawrócić, kiedy wciąż mieli szansę, że znajdą się bezpiecznie pod namiotem, zanim zajdzie słońce. Ale wtedy do końca życia musiałby się tłumaczyć, dlaczego w ostatniej chwili pozwolił zwycięstwu wymknąć się z rąk i, co gorsze, co noc by śnił, że wspina się na ostatnie metry, a potem budziłby się z koszmaru zroszony zimnym potem.

Odwrócił się i zobaczył, jak wyczerpany Irvine wyciąga nogę ze śniegu i wpatruje się z niedowierzaniem w piętrzącą się przed nim ścianę skalną. George wahał się przez moment. Czy ma prawo narażać życie Irvine'a i swoje? Czy powinien, nawet teraz, zaproponować, żeby młodzieniec zawrócił, kiedy on pójdzie dalej sam, lub odpoczął i poczekał, aż on wróci? Odpędził od siebie tę myśl. W końcu Irvine zasłużył sobie, żeby z nim dzielić zwycięstwo. George odjął ustnik i powiedział:

- Ta skała to ostatnia przeszkoda przed szczytem.

Irvine niepewnie się uśmiechnął.

George odwrócił się ku pionowej skale pokrytej lodem, który nigdy nie topniał. Rozejrzał się za stopniem, gdzie mógłby oprzeć czubek buta. Zwykle zaczynał, stawiając stopę na wysokości blisko pół metra, a nawet wyżej, ale nie dziś, kiedy kilkanaście centymetrów wydawało się górą samą w sobie. Drżącą rękę zacisnął na chwycie nad głową i wolno podciągnął się w górę. Uniósł nogę i szukał oparcia dla stopy, żeby drugą ręką znaleźć punkt zaczepienia i posunąć się kilkanaście centymetrów do góry, windując się na szczyt pionowej skały. Wolał nie myśleć, jak się będzie szło w dół. Jego umysł wołał: *zawracaj!*, ale serce szeptało: *idź dalej*.

Czterdzieści minut później podciągnął się na wierzchołek skały i naprężył linę, żeby ułatwić zadanie partnerowi. Kiedy Irvine stanął koło niego, George sprawdził wysokościomierz: zostało trzydzieści cztery metry do szczytu. Spojrzał w górę: przed nim był płat lodu, który przez lata utworzył nawis przewieszony nad Wschodnią Ścianą.

Nie śmiałyby go sforsować nawet czworonożne zwierzę z ostrymi kopytkami.

George próbował znaleźć stopień, gdy ujrzał błyskawicę, a po chwili w wierzchołek poniżej uderzył piorun. Pomyślał, że za chwilę ogarnie ich burza, ale spojrzał w dół i pojął, że są dużo wyżej i że pewno nawałnica wyładowuje furję na kolegów sześćset metrów niżej. Pierwszy raz George widział burzę z góry i miał nadzieję, że kiedy będą schodzić, przejdzie dalej i zostawi za sobą spokojne, bezchmurne niebo, co często następuje po takim wybuchu gniewu.

Znów uniósł nogę i próbował wymacać punkt oparcia. Lód natychmiast pękł i obcas się ześliznął. George nieomal się roześmiał. Czy mogło być gorzej? Uderzył czekanem w lód. Teraz lód nie poddał się tak łatwo, lecz kiedy pękł, George wsunął but w ryse. Ale i tak ześliznął się kilka centymetrów. Nie śmiał się, kiedy przypomniał sobie powiedzenie: dwa kroki do przodu, jeden w tył. Po serii małych kroczków i pośliznięć grań stała się tak wąska, że musiał się czołgać. Nie patrzył w lewo ani w prawo, bo wiedział, że z obu stron opadają strome urwiska. Patrz w górę, nie zwracaj uwagi na nic dokoła i podążaj dalej. Jeszcze jeden metr do przodu, znów pół metra do tyłu. Ile jeszcze można znieść? Wtem, nagle, poczuł pod sobą litą skałę, wy dostał się z warstwy lodu i stanął na chropowatym gruncie, tylko piętnaście, może osiemnaście metrów poniżej szczytu. Obrócił się i ujrzał wyczerpanego Irvine'a, wciąż jeszcze na czworakach.

- Zostało tylko piętnaście metrów! - zawołał. Rozwiązał linę, żeby każdy mógł iść własnym tempem.

Minęło jeszcze dwadzieścia minut, nim George Leigh Mallory sięgnął ręką, prawą ręką, szczytu Everestu. Podciągnął się powoli na wierzchołek i położył się na brzuchu. Trudno to nazwać chwilą triumfu, przemknęło mu przez głowę. Podźwignął się na kolana, po czym, z najwyższym wysiłkiem, wstał. Pierwszy człowiek, który stoi na czubku Ziemi.

Objął wzrokiem Himalaje, podziwiając widok, którego żaden człowiek nie oglądał. Chciałby skakać z radości i krzyżeć triumfalnie z całych sił, ale nie starczyło mu ani energii, ani tchu. Zatoczył natomiast małe kółko; przenikliwy wiatr zdawał się atakować go ze wszystkich stron i nie pozwalał prędeż się poruszać. Wokół pyszniły się miriady niezdoitych gór, schylając kornie głowy w obecności monarchini.

Przyszła mu do głowy dziwna myśl. Musi pamiętać, żeby powiedzieć Clare, że wierzchołek Everestu jest mniej więcej wielkości stołu w ich salonie.

George spojrział na zegarek: za dwadzieścia cztery czwarta. Próbował siebie przekonać, że mają aż nadto czasu na powrót do małego namiotu w obozie szóstym, szczególnie gdy noc będzie pogodna i bezwietrzna.

Spojrział w dół i zobaczył, że Irvine jest coraz bliżej, mimo że posuwa się w żółwym tempie. Czy się załamie na samym końcu? I wtedy, jak dziecko, które jeszcze nie potrafi chodzić, Irvine na czworakach wgramolił się na szczyt.

George pomógł mu wstać, a potem zaczął grzebać w kieszeni bluzy, mając nadzieję, że nie zapomniał zabrać tego, czego szuka. Palce miał tak zgrabiałe, że niewiele brakowało, a upuściłby na ziemię kieszonkowy aparat fotograficzny. Kiedy się opanował, sfotografował Irvine'a, który wznosił ręce wysoko nad głową, jakby przed chwilą wygrał regaty wioślarskie. Podał kodaka towarzyszowi, a ten zrobił mu zdjęcie; George usiłował przybrać pozę, jakby był w trakcie ożywczego spaceru wśród walijskich wzgórz.

Ponownie spojrzął na zegarek i zmarszczył brwi. Pokazał zdecydowanym ruchem w dół. Irvine wsadził aparat do kieszeni spodni, którą zapiął, zabezpieczając dowód ich zwycięstwa.

George już chciał wracać, kiedy sobie przypomniał, co obiecał Ruth. Skostniałymi, zlodowaciałymi palcami niezdarnie wydobyl portfel i wyjął sepiową fotografię, którą zawsze zabierał na każdą wyprawę. Spojrzął ostatni raz na żonę i uśmiechnął się, a potem zostawił jej wizerunek na najwyższym punkcie Ziemi. Wsadził rękę z powrotem do kieszeni i zaczął ją przetrząsać.

- Król Anglii składa wyrazy uszanowania, madame - powiedział, zginając się w ukłonie - i ma nadzieję, że pozwoli pani jego pokornym poddanym na bezpieczny powrót do ojczyzny.

George uśmiechnął się. Potem zaklął. Zapomniał suwerena Geoffreya Younga.

Rozdział 61

17.49, 8 czerwca 1924 roku

Wróciwszy do obozu szóstego, Odell nie potrafił ukryć podniecenia. Wgramolił się do namiotu Nortona i powiedział, co zobaczył.

- Mniej więcej dwieście metrów od szczytu, powiadasz? - spytał Norton, który wciąż leżał na wznak.

- Tak - potwierdził Odell. - Jestem tego pewien. Stali na Drugim Uskoku, kiedy widziałem, jak jeden z nich podchodzi do drugiego i ruszają energicznie na szczyt.

- To teraz nic ich nie powinno powstrzymać - rzekł Bullock, kładąc świeży ciepły okład na oczy Nortona.

- Miejmy nadzieję, że masz rację - powiedział Somervell. - Jednak myślę, że byłoby mądrze, gdyby Odell opisał ze szczegółami wszystko, co widział, póki ma to świeżo w pamięci. To może się okazać ważne, kiedy będzie się pisać historię tej ekspedycji.

Odell podczołgał się do plecaka i wyjął swój dziennik. Przycupnął w kącie namiotu i przez dwadzieścia minut spisywał wszystko, czego był świadkiem tego przedpołudnia. O której dokładnie godzinie widział dwie postacie, a także to, że obaj wspinacze zdawali się nie mieć z niczym kłopotów, kiedy zniknęli we mgle. Skończył i zerknął na zegarek: szósta pięćdziesiąt osiem. Czy Mallory i Irvine dotarli bezpiecznie do namiotu w obozie szóstym, stanąwszy wcześniej na szczycie Ziemi?

Związali się liną i pierwsze, co przyszło do głowy George'owi, kiedy zaczął schodzić ze szczytu, było pytanie, na jak długo wystarczy mu tlenu. Irvine przedtem żartował, że wspinaczka nie powinna im zająć więcej niż osiem godzin, ale na pewno ten czas jest już blisko. Potem George zaczął się zastanawiać, ile jeszcze godzin będzie świeciło słońce, bo tego nie można zmienić obrotem zaworu. Miał też nadzieję, że noc będzie pogodna i że ostatni odcinek do obozu przejdą przy świetle księżyca.

Ze zdziwieniem skonstatował, że z chwilą, gdy osiągnęli cel, poziom adrenaliny opadł i pozostała tylko wola przeżycia.

Pokonawszy zaledwie kilkanaście metrów, chciał usiąść i odpocząć, ale był tak zmęczony i obolały, iż zdawał sobie sprawę, że gdyby zamknął oczy chociaż na moment, mógłby ich już nigdy nie otworzyć.

Wbił czekan w spękaną powierzchnię, zrobił krok do tyłu i od razu poczuł, że lina się napreżyła. Widać Irvine'owi zejście sprawia jeszcze więcej trudu niż jemu, jeżeli to w ogóle możliwe. George ostrożnie postawił lewą stopę na oblodzonym zboczu, teraz jeszcze bardziej zdradliwym niż przedtem. Próbował wykorzystać chwyt i stopnie, które pozostawił, gdy szedł w górę, ale już pokrył je lód. Mimo że tracił równowagę i raz po raz przewracał się na plecy, zdołał bezpiecznie dotrzeć do skrawka skalistego podłoża. Tam jednak znowu stanął nad stromo opadającym, zalodzonym skalnym urwiskiem. George wiedział, że to będzie najbardziej niebezpieczna część wspinaczki, a musiał przyjąć, że Irvine jest w jeszcze gorszym

stanie niż on. Jeżeli jeden z nich popełni najmniejszy błąd, obaj runą w dół i czeka ich pewna śmierć. Odwrócił się do swojego towarzysza i uśmiechnął się. Pierwszy raz Irvine nie odpowiedział mu uśmiechem.

George uchwycił górną krawędź skały obiema rękami i wolno opuścił się kilkanaście centymetrów w dół, wyszukując najdrobniejszej nierówności, gdzie mógłby wcisnąć czubek buta. Kiedy wymacał stopą stopień, opuścił drugą nogę. Nagle poczuł, że lina jest luźna. Spojrzał w górę i zobaczył, że Irvine wypuścił oblodzoną krawędź i pada w tył. Moment później jego ciało stoczyło się obok George'a.

George wiedział, że nie zdoła się utrzymać na oblodzonej pionowej płycie skalnej, kiedy mający blisko metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważący sto kilogramów mężczyzna, z którym jest związany liną, spada w dół. Po chwili poczuł szarpnięcie i odpadł. Nie mógł nawet myśleć o śmierci, kiedy leciał w dół, w dół, w dół...

Sekundę później obaj wylądowali w głębokim śniegu, który tak ich udręczył, kiedy szli w górę, a teraz uratował im życie. Oszołomieni, po krótkim milczeniu zaczęli się śmiać jak dwaj niesforni uczniacy, którzy spadli z drzewa prosto w bożonarodzeniowy śnieg.

George powoli się podniósł i sprawdził, czy ma całe ręce i nogi. Niepewnie wstał, ucieszony, że Irvine już się porwał na nogi. Obaj mężczyźni rzucili się sobie w ramiona, George klepał młodszego kolegę po plecach. W końcu odsunął się od niego, uniósł kciuk na znak zachęty, po czym zaczął schodzić.

Wiedział, że teraz już nic go nie powstrzyma.

Rozdział 62

Poniedziałek, 9 czerwca 1924 roku

Kiedy następnego dnia Odell wstał o piątej rano, ujrzał Noela ustawiającego statyw na małej, płaskiej półce skalnej. Kamera z wielkim obiektywem była skierowana w stronę obozu szóstego, gotowa filmować przy najmniejszej oznace życia. Po chwili Norton wypełził ze swojego namiotu i podszedł do nich.

- Dzień dobry, Odell - odezwał się radośnie. - Przyznam, że na razie jesteś niewyraźną plamą, ale przynajmniej mogę cię odróżnić od Noela.

- To dobra wiadomość - rzekł Noel - bo mam nadzieję, że niedługo zobaczymy na tle nieba George'a i Sandyego.

- Nie licz na to - powiedział Norton. - Mallory nigdy nie był rannym ptaszkiem i myślę, że młody Irvine twardo śpi.

- Nie będę tu tkwił i czekał - oznajmił Odell. - Pójdę tam i zrobię im śniadanie, a potem sprowadzę ich triumfalnie na dół.

- Poczekaj, stary - odezwał się Noel. - Możesz coś dla mnie zrobić, jak już tam będziesz?

Odell odwrócił się i spojrzał na niego.

- Czy mógłbyś wyciągnąć z namiotu ich śpiwory i ułożyć je koło siebie na śniegu, żebyśmy wiedzieli, że doszli na szczyt?

- A jeżeli nie doszli? - Zamilkł. - Albo gorzej?
- Wtedy ułóż śpiwory na krzyż - powiedział cicho Noel.

Odell skinął głową, zarzucił plecak i zaczął się wspinać do obozu szóstego po raz drugi w ciągu trzech dni. Ale teraz pogoda pogarszała się z minuty na minutę. Już po kilku chwilach musiał się zmagać z wściekłym wiatrem, który szalał w dolinie; wyraźne ostrzeżenie, że za kilka godzin nadciągnie monsun. Niespokojnie spoglądał w górę z nadzieją, że zobaczy dwóch zwycięskich kolegów schodzących w dół.

W miarę jak zbliżał się coraz bardziej do obozu szóstego, usiłował odpędzić myśl, że mogło im się stać coś złego. Lecz kiedy w końcu dostrzegł ich mały namiot, przekonał się, że leży na nim warstwa świeżego śniegu, brak przed nim charakterystycznych śladów stóp, a zielone płótno łopoce na wietrze.

Odell usiłował przyśpieszyć, ale jego wysiłki były daremne, bo ciężkie buty zapadały się coraz głębiej w świeżym śniegu, aż wreszcie było tak, jakby szedł przez wodę. W końcu się poddał i zaczął się czołgać. Kiedy pokonał ostatnie metry dzielące go od namiotu, wsunął głowę do środka i zdjął gogle, spodziewając się zobaczyć nieład, jaki zostawili dwaj zmęczeni mężczyźni, pogrążeni teraz w głębokim śnie. Ale tak naprawdę już wiedział, że to tylko pobożne życzenie. Patrzył z niedowierzaniem. Potem przez wiele lat Odell mówił przyjacielom, że to, co zobaczył, przypominało mu obraz z martwą naturą. Śpiwory były nietknięte, słoik bovrilu nieotwarty, batony Kendal Mint Cake nierozwinięte, a obok stała świeca, której nie zapalono drugi raz.

Odell włożył gogle i wycofał się z namiotu. Podźwignął się z kolan i spojrzał w górę ku wierzchołkowi, ale widział tylko na kilka metrów przed sobą. Zawołał co sił: George! Sandy!, ale siekący wiatr i zawieja wtłoczyły mu te słowa z powrotem do gardła. Krzyczał tak długo, aż jego głos zamienił się w jęk i sam ledwo siebie słyszał wśród wycia huraganu. W końcu zrezygnował, ale dopiero wtedy, gdy do niego dotarło, że jego własne życie jest w niebezpieczeństwie. Poczłapał się z powrotem do namiotu, z ociąganiem wyciągnął jeden śpiwór i umieścił go na zboczu.

- Ktoś wlecze jeden śpiwór - obwieścił Noel.

- Jaka wiadomość? - krzyknął Norton. - Jeszcze nie wiadomo. Aha, wyciąga teraz drugi. Noel ustawił ostrość na poruszającej się sylwetce.

- Czy to George? - krzyknął Norton, spoglądając z nadzieją w górę, osłoniwszy dłonią oczy przed padającym śniegiem.

Noel nie odpowiedział. Spuścił głowę. Somervell pocłapał najszybciej jak mógł ku skalnej półce i zajął miejsce Noela za kamerą. Spojrzał przez wizjer. Cały obiektyw wypełnił znak krzyża.

EPILOG

Ten, kto mężnie stawia czoło wszelkim przeciwnościom

Jeżeli George Leigh Mallory był zdziwiony przyjęciem, jakie mu zgotowano po powrocie do Anglii z wyprawy w 1922 roku, to co by powiedział o nabożeństwie żałobnym, które odprawiono w katedrze Świętego Pawła ku jego czci? Nie było ciała, trumny, grobu, a jednak tysiące zwykłych obywateli nadciągnęło z wszystkich stron kraju, żeby ustawić się na ulicach i złożyć mu hołd.

Niechaj wytrwa jako Pan w stałości swojej

Jego Królewska Mość, książę Walii, książę Connaught i książę Arthur - wszyscy byli reprezentowani, natomiast obecni byli premier Ramsay MacDonald, były minister spraw zagranicznych lord Curzon, burmistrz Londynu i burmistrz Birkenhead.

Niechajże nie odstąpi od niezłomnego zamiaru

Generał Bruce, który stał na wschodnim krańcu katedry, uformował gwardię honorową składającą się z podpułkownika Nortona, doktora Somervella, profesora Odella, majora Bullocka, majora Morsheada, kapitana Noela i Geoffreya Younga. Ze srebrnymi czekanami pod prawym ramieniem podążyli nawą za dziekanem kapituły katedry Świętego Pawła obok szczelnie wypełnionych ławek i zajęli miejsca w pierwszym rzędzie obok sir Francisa Youngusbanda, pana Hinksa, pana Raeburna i komandora porucznika Ashcrofta, którzy reprezentowali Królewskie Towarzystwo Geograficzne.

Aby podążać drogą pielgrzyma

Na ambonę wstąpił biskup Chesteru, żeby przemówić do tłumnego zgromadzenia. Rozpoczął mowę pogrzebową, usiłując

wyrazić sympatię i podziw, jakimi ludziami darzyli dwóch chłopców z Birkenhead, którzy w Święto Wniebowstąpienia zawładnęli wyobraźnią całego świata.

- Nigdy się nie dowiemy - mówił - czy razem dotarli na szczyt tej wielkiej góry. Ale czy ktoś z nas wątpi, że gdyby zdobycz była w zasięgu jego ręki, George Mallory by walczył wbrew wszystkim przeciwnościom i że młody Sandy Irvine podążyłby za nim na kraniec świata?

Ruth Mallory, która siedziała w przednim rzędzie po drugiej stronie nawy, nie wątpiła, że jej mąż by się nie cofnął, gdyby miał choć najmniejszą szansę, żeby spełnić swe szalone marzenie. Również walebnym Herbert Leigh Mallory, który siedział obok synowej, nie miał wątpliwości. Hugh Thackeray Turner, siedzący po drugiej stronie córki, zejdział z tego świata, nie wyraziwszy swojej opinii.

Ten, który go frasuje strasznymi opowieściami

Kiedy dziekan katedry Świętego Pawła udzielił błogosławieństwa i przedstawiciele dworu i kapitanowie odeszli, Ruth stała sama przy drzwiach północnych i wymieniała uściski rąk z przyjaciółmi i sympatykami; wielu mówiło jej, jak bardzo ten dzielny i nieustraszony dżentelmen wzbogacił ich życie.

Uśmiechnęła się, gdy ujrzała Georgea Fincha, który czekał w kolejce, żeby zamienić z nią kilka słów. Był w ciemnopopielatym garniturze, białej koszuli i czarnym krawacie i odnosiło się wrażenie, że miał to na sobie pierwszy raz. Podając rękę pani Mallory, skłonił głowę. Ruth pochyliła się i szepnęła mu do ucha:

- Gdyby pan wspinał się z George'em, to może by dzisiaj żył.

Finch nie wyjawiał swego od dawna ugruntowanego przekonania, że gdyby zaproponowano mu udział w ekspedycji, to z pewnością on i Mallory weszliby razem na szczyt i, co ważniejsze, wróciliby bezpiecznie do kraju. Aczkolwiek Finch przypuszczał, że gdyby znaleźli się w tarapatach, Mallory mógłby go nie posłuchać i pójść dalej, zostawiwszy go, żeby sam wrócił.

Siebie upokorzy, bo jego moc potężniejsza

W końcu ojciec Ruth uznał, że pora zabrać córkę do domu, choć jeszcze wielu żałobników chciało jej złożyć kondolencje.

W trakcie podróży samochodem do Godalming prawie ze sobą nie rozmawiali. Wszak Ruth straciła jedynego mężczyznę, jakiego w życiu kochała, a starsi panowie nie spodziewają się, że będą uczestniczyć w pogrzebie swych zięciów. Kiedy wjechali w bramę posiadłości The Holt, Ruth podziękowała ojcu za jego dobroć i zrozumienie, ale spytała, czy pozwoli jej samotnie opłakiwać męża. Niechętnie ją zostawił i powrócił do Westbrook.

Zadni wrogowie jej się nie oprą, bo choćby walczył z olbrzymami

Ruth otworzyła frontowe drzwi i od razu rzuciła się jej w oczy leżąca na wycieraczkę koperta, zaadresowana charakterystycznym pismem George'a. Podniosła ją, aż nazbyt dobrze zdając sobie sprawę, że to jego ostatni list. Przeszła do salonu i naląła sobie „kielicha”, jak by powiedział George, potem usiadła w swoim fotelu przy oknie. Wyjrzała na podjazd, podświadomie wciąż oczekując, że George

przekroczy bramę, podejdzie zamaszystym krokiem i weźmie ją w ramiona.

Dowiedzie swego prawa i podąży drogą pielgrzyma

Ruth rozerwała kopertę, wyjęła list i odczytywała ostatnie słowa męża.

7 czerwca 1924 roku

Ukochana,

Siedzę w malutkim namiocie powyżej ośmiu tysięcy trzystu metrów nad poziomem morza, w odległości prawie ośmiu tysięcy kilometrów od rodzinnego kraju, w poszukiwaniu ścieżek chwały. Nawet gdybym je znalazł, nic by to nie znaczyło, jeślibym nie mógł dzielić tej chwili z Tobą.

Nie musiałem przemierzać pół świata, żeby odkryć, że bez Ciebie jestem niczym, jak często mi przypominało wielu mniej szczęśliwych mężczyzn, którym z oczu wyzierała zazdrość, a oni nie wiedzą nawet połowy tego, co zaznałem. Zapytaj któregoś z nich, co by oddał, żeby ten pierwszy moment namiętności trwał całe życie, a odpowie ci, że połowę swoich dni, bo nie ma takiej kobiety. Mylą się. Znalazłem taką kobietę i nic nigdy jej nie zastąpi, a już na pewno nie ta lodowa dziewica, uśpiona tam w górze nade mną.

Są mężczyźni, którzy chępią się swoimi podbojami. Mnie przypadł tylko jeden, bo pokochałem Cię w chwili, gdy Cię zobaczyłem. Ty jesteś moim porankiem, moim zachodzącym słońcem.

A gdyby to było nie dość, wciąż zdumiewam się moim szczęściem, jako że zostałem po trzykroć obdarowany.

Pierwszy raz w dniu, kiedy zostałeś moją żoną i zgodziłaś się dzielić ze mną całe życie. Tej nocy zostałeś moją kochanką i od tej pory stałaś się moją najbliższą przyjaciółką.

Drugi raz, kiedy wspaniałomyślnie zachęcałaś mnie, żebym spełnił moje najśmielsze marzenie, zawsze pozwalając, żebym błędził w chmurach, kiedy Ty, jakimś sposobem, potrafiłaś mądrze i rozsądnie stać mocno obiema nogami na ziemi.

Trzeci raz obdarzyłaś mnie cudowną rodziną, która nadal jest dla mnie źródłem nieskończonej radości, chociaż nie dość jest minut każdego dnia, żeby się z nimi śmiać i ocierać ich łzy. Często żałuję, że pozbawiłem się tak wiele z ich krótkotrwałych lat dzieciństwa.

Clare pójdzie w moje ślady do Cambridge, gdzie umyślem nie tylko przewyższy mężczyzn, których życie jeszcze nie sprawdziło, a sama, stając przed takim wyzwaniem, na pewno odniesie sukces tam, gdzie ja poniosłem porażkę. Beridge odziedziczyła Twoją grację i urok, dorastając z dnia na dzień na Twoje podobieństwo, a kiedy rozkwitnie w kobietę, wielu mężczyzn nisko się pokłoni, prosząc o jej rękę, ale dla mnie żaden nie będzie jej wart. A jeżeli chodzi o małego Johna, to nie mogę się doczekać, kiedy przeczytam jego pierwsze świadectwo szkolne, obejrzę jego pierwszy mecz piłki nożnej i przy nim stanę, kiedy będzie musiał stawić czoło temu, co uzna za swoją pierwszą klęskę.

Kochanie, mam jeszcze tyle do powiedzenia, ale ręka zaczyna mi drżeć, a migocąca świeca przypomina mi, że jutro mam osiągnąć pewien cel, chcę bowiem położyć Twoją fotografię na najwyższym miejscu świata, żeby na zawsze uwolnić się od tego demona i powrócić wreszcie do jedynej kobiety, którą kocham.

Widzę Cię w The Holt, jak siedzisz w swoim fotelu koło okna, czytając ten list i uśmiechając się, kiedy przewracasz jego stroniczki. Podnieś głowę, kochana, bo lada chwila ujrzysz, jak mijam bramę i krocę ścieżką do Ciebie. Czy poderwiesz się i pośpieszysz, żeby mnie przywitać, a ja wezmę Cię w ramiona i nigdy więcej Cię nie opuszczę?

Wybacz mi, że tyle czasu mi zajęło, żeby pojąć, że jesteś dla mnie ważniejsza niż samo życie.

Twój kochający mąż George

Każdego dnia o tej samej porze Ruth Mallory do końca życia siadała w swoim fotelu przy oknie i na nowo odczytywała list męża.

Na łożu śmierci powiedziała dzieciom, że nie było jednego dnia, kiedy nie widziała George'a wchodzącego przez bramę i krocącego dróżką w jej stronę.

Po roku 1924

George Leigh Mallory

Ciało George'a odnaleziono 1 maja 1999 roku na wysokości ośmiu tysięcy stu pięćdziesięciu sześciu metrów. W jego portfelu nie było zdjęcia Ruth, nie było też śladu aparatu fotograficznego. Do dziś środowisko wspinaczkowe jest podzielone co do tego, czy Mallory był pierwszym człowiekiem, który zdobył Everest. Niewielu wątpi, że był w stanie to uczynić.

Sandy Irvine

Kiedy „The Times” podał informację o śmierci Irvine'a, trzy kobiety wystąpiły z twierdzeniem, że były z nim zaręczone.

Mimo kilku ekspedycji poszukiwawczych jego ciało nie zostało znalezione. Jednakże w 1978 roku chiński wspinacz Wang Hong Bao powiedział koledze, że natknął się na ciało, które nazwał „martwym Anglikiem”, zamrożone w wąskim żlebie na wysokości ośmiu tysięcy trzystu metrów. Kilka dni później, zanim można go było dokładniej wypytać, Wang Hong Bao zginął pod lawiną.

Ruth Mallory

Po śmierci George'a Ruth wraz z dziećmi pozostała w Surrey, gdzie spędziła resztę życia. Umarła na raka piersi w 1942 roku, w wieku pięćdziesięciu lat. Sir Trafford Leigh Mallory, marszałek Królewskich Sił Lotniczych, komandor Orderu Łaźni

Brat Mallory'ego Trafford zginął, gdy jego samolot rozbił się w Alpach w listopadzie 1944 roku, kiedy leciał, żeby objąć dowództwo

nad alianckimi operacjami powietrznymi na Pacyfiku. Przypuszczano, że pilotował wtedy samolot.

Arthur C. Benson

Opiekun naukowy Mallory'ego został dziekanem Kolegium Magdaleny w Cambridge w 1915 roku i pełnił tę funkcję do roku 1925. Napisał wzruszający tekst ku czci Mallory'ego na nabożeństwo żałobne w Cambridge, ale był zbyt chory, żeby go odczytać. Zapamiętano go za słowa do pieśni *Land of Hope and Glory*.

Benson zmarł w 1925 roku, w wieku sześćdziesięciu trzech lat.

WSPINACZE

Generał brygady C. G. Bruce, kawaler Orderu Łązi, kawaler Królewskiego Orderu Wiktorjańskiego

Chociaż został ciężko ranny w Gallipoli, Bruce dowodził swoim pułkiem w Północno-Zachodniej Prowincji Granicznej do 1920 roku.

Od 1923 do 1925 roku był przewodniczącym Klubu Alpejskiego i został mianowany pułkownikiem 5. Pułku Strzelców Gurkhów w 1931 roku.

Bruce zmarł w 1939 roku, w wieku siedemdziesięciu trzech lat.

Geoffrey Young, doktor literatury, członek Królewskiego Towarzystwa Literackiego

Powołany na doradcę Fundacji Rockefellera w 1925 roku. Starszy wykładowca na wydziale pedagogiki Uniwersytetu Londyńskiego w 1932 roku. Przewodniczący Klubu Alpejskiego w latach 1940-1943. Young mimo sztucznej nogi wszedł na Matternhorn (4476 m) w 1928 roku, mając pięćdziesiąt dwa lata, i na Zinalrothorn (3415 m) w 1935 roku, w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat.

Young zmarł w 1958 roku, dożywszy osiemdziesięciu dwóch lat.

George Finch, członek Towarzystwa Królewskiego, kawaler Orderu Imperium Brytyjskiego

Mianowany członkiem Towarzystwa Królewskiego w 1938 roku. Przewodniczący Klubu Alpejskiego w latach 1959-1961. W 1931 roku trzech przyjaciół Fincha zginęło w Alpach i od tej pory nigdy się nie wspinał.

Finch zmarł w 1970 roku, w wieku osiemdziesięciu dwóch lat.

Jego syn Peter Finch został aktorem. Peter zmarł, nie dowiedziawszy się przed śmiercią, że w 1977 roku otrzymał Nagrodę Akademii dla najlepszego aktora w filmie Sieć.

Generał porucznik sir Edward Norton, komandor Orderu Imperium Brytyjskiego, odznaczony Medalem za Wybitną Służbę i Krzyżem Wojennym

Był zawodowym żołnierzem, a jako adiutant króla Jerzego VI został mianowany gubernatorem wojskowym Hongkongu. W 1926

roku otrzymał medal Członka Założyciela Królewskiego Towarzystwa Geograficznego.

Dzierżył światowy rekord wysokości ośmiu tysięcy pięciuset siedemdziesięciu dwóch metrów do roku 1953, kiedy Edmund Hillary i Szerpa Tenzing zdobyli Everest.

Norton zmarł w 1954 roku, w wieku siedemdziesięciu lat.

T. Howard Somervell, odznaczony Orderem Imperium Brytyjskiego, magister nauk humanistycznych, licencjat medycyny, licencjat chirurgii, członek Królewskiego Kolegium Chirurgów

Do końca działalności zawodowej pracował jako chirurg w szpitalu misyjnym w Travancore w południowych Indiach i stał się jednym z czołowych światowych autorytetów w dziedzinie wrzodów dwunastnicy. W 1956 roku przeszedł na emeryturę i wrócił do Anglii. Przewodniczący Klubu Alpejskiego w latach 1962-1965.

Somervell zmarł w 1975 roku po żwawym spacerze w Krainie Jezior, w wieku osiemdziesięciu pięciu lat.

Profesor Noel Odell

Komitet Everestowski odrzucił prośbę Odella o włączenie do wyprawy na Everest w 1936 roku ze względu na jego wiek, pięćdziesiąt jeden lat. W tym samym roku wspinał się na Nanda Devi mający 7816 metrów, najwyższą górę, która została zdobyta w owym

czasie. Żaden z członków wyprawy na Everest w 1936 nie dotarł na wysokość siedmiu tysięcy trzystu metrów.

Odell pracował do końca zawodowego życia jako geolog, był profesorem uniwersytetów Harvarda i McGill. Przeszedł na emeryturę w Cambridge, gdzie został honorowym członkiem Kolegium Clare.

Odell zmarł w 1981 roku, w wieku pięćdziesięciu sześciu lat.

Podpułkownik Henry Morshead, odznaczony Medalem za Wybitną Służbę

Gdy powrócił z wyprawy na Everest w 1924 roku, amputowano mu czubki trzech palców prawej ręki. W 1926 roku wrócił do Indii jako mierniczy. Został zastrzelony w 1931 roku podczas jazdy konnej w Birmie przez kochankę swojej siostry, Pakistańczyka.

Miał czterdzieści dziewięć lat.

Kapitan John Noel

Dalej pracował jako zawodowy fotograf i filmowiec. Jego film The Epic of Everest obejrzało ponad milion ludzi w Wielkiej Brytanii i w Ameryce. Dzieło jego życia jest przechowywane w National Film Archive.

Noel zmarł w 1987 roku, w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat.

KRÓLEWSKIE TOWARZYSTWO GEOGRAFICZNE

Sir Francis Younghusband, komandor Orderu Gwiazdy Indii, komandor Orderu Cesarstwa Indyjskiego

Do roku 1934 nadal pełnił funkcję prezesa Komitetu Everestowskiego. W 1925 roku napisał książkę pod tytułem *The Epic of Mount Everest*, która stała się bestsellerem. Cały dochód z jej sprzedaży został przekazany na cele Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. W 1936 roku Younghusband założył Światowy Kongres Wyznań.

Umarł w 1942 roku, w wieku siedemdziesięciu dziewięciu lat.

Arthur Hinks, członek Towarzystwa Królewskiego, komandor Orderu Imperium Brytyjskiego

W 1912 roku Hinks otrzymał złoty medal Królewskiego Towarzystwa Astronomicznego. Rok później został członkiem Towarzystwa Królewskiego. W 1920 dostał Order Imperium Brytyjskiego za zasługi dla wspinaczki górskiej. W 1938 uhonorowano go Wiktoriańskim Medalem Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, pełnił funkcję sekretarza Komitetu Everestowskiego do 1939 roku.

Hinks umarł w 1945 roku, w wieku siedemdziesięciu dwóch lat.

PRZYJACIELE MALLORY'EGO

Guy Bullock

W 1938 roku Bullock został brytyjskim przedstawicielem dyplomatycznym w Ekwadorze. W 1944 otrzymał stanowisko konsula generalnego w Brazzaville.

Bullock zmarł w 1956 roku w wieku sześćdziesięciu dziewięciu lat.

Mary Ann „Cottie” Sanders

Gdy jej ojciec zbankrutował, Cottie pracowała jako ekspedientka u Woolwortha. Później została cieszącą się dużym powodzeniem pisarką, piszącą pod pseudonimem Ann Bridge. Kilku jej powieściowych bohaterów przypominało tylko lekko zakamuflowaną postać George’a Mallory’ego. Wyszła za mąż za dyplomatę sir Owena O’Malleya i pozostawała w bliskiej przyjaźni z rodziną Mallorych.

Cottie zmarła w 1974 roku, w wieku osiemdziesięciu sześciu lat.

POZOSTALI CZŁONKOWIE RODZINY MALLORYCH

Wielebny Herbert Leigh Mallory, magister nauk humanistycznych

W 1931 roku ojciec George’a został kanonikiem katedry w Chester.

Umarł w 1943 roku, w wieku osiemdziesięciu siedmiu lat.

Annie Mallory

Annie przeżyła swojego męża, obu synów i obie synowe. Umarła w 1946 roku, w wieku osiemdziesięciu trzech lat.

Siostry Mallory'ego

Mary, żona Ralpa Brooke'a, umarła w 1983 roku, w wieku dziewięćdziesięciu ośmiu lat.

Avie, żona Harry'ego Longridge'a, umarła w 1989 roku, w wieku stu dwóch lat.

Dzieci Mallory'ego

Clare otrzymała dyplom z wyróżnieniem Uniwersytetu Cambridge. Poślubiła amerykańskiego naukowca Glenna Millikana. Mieszkali w Kalifornii i mieli trzech synów. Mąż Clare zginął podczas wspinaczki w Tennessee w 1947 roku i Clare, podobnie jak jej matka, samotnie wychowywała trójkę dzieci.

Clare umarła w 2001 roku, przeżywszy osiemdziesiąt pięć lat.

Beridge została lekarką i wyszła za mąż za Davida Robertsona, profesora anglistyki na uniwersytecie Columbia i autora książki George Mallory. Mieli dwie córki i syna. Berry, jak jej matka, zachorowała na raka piersi.

Zmarła w 1953 roku, w wieku trzydziestu sześciu lat.

John wyemigrował do Afryki Południowej, gdzie pracował jako inżynier hydrolog. Jest żonaty i ma pięcioro dzieci. Jednym z nich jest George Leigh Mallory II.

George Leigh Mallory II

Wnuk Mallory'ego jest inżynierem, kieruje pracami nad zaopatrzeniem w wodę w Wiktorii, w Australii.

O wpół do szóstej rano czternastego maja 1995 roku George Leigh Mallory II umieścił laminowane fotografie swoich dziadków, George'a i Ruth, na szczycie Everestu. Jak to ujął, „załatwił drobną zaległą rodzinną sprawę”.